

AFERZYŚCI, CINKCIARZE I ZŁODZIEJE.  
KRYMINALNE LATA 90.

# WOJTEK MIŁOSZEWSKI

# KASTOR

**Gorąco polecam!**  
**CEZARY PAZURA**



**Thriller policyjny,  
jakiego jeszcze nie było**

Wydawnictwo  
**ab**  
two

**Wojtek Miłoszewski**

# **KASTOR**



Copyright © by Wojtek Miłoszewski MMXVIII

Wydanie I  
Warszawa MMXVIII

Źródła cytatów:  
Kult, Arahja. Autor tekstu Kazik Staszewski 1988  
Kult, Hej, czy nie wiecie. Autor tekstu Kazik Staszewski, 1987.

Redaktor serii:  
Filip Modrzejewski

Redaktorka prowadząca:  
Ida Świerkocka

Korekta:  
Małgorzata Denys, Katarzyna Płońska

Projekt okładki:  
Krzysztof Rychter

Fotografie wykorzystane na I stronie okładki:  
© sint / Shutterstock; Marek BAZAK / East News

Skład i łamanie:  
Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08

ISBN 978-83-280-6401-0

*dla Oli*

## Prolog

Sterany życiem tramwaj zaprotestował ze zgrzytem, skręcając z Basztowej w Długą. Kilka minut po piątej nad ranem wagon nie był zatłoczony, a nieliczni pasażerowie milczeli. Prawdopodobnie rozmyślali nad swoim losem, nakazującym im zebrać się do roboty o tak niehumanitarnej porze. Stojący z tyłu mężczyzna ubrany był w sztruksowe spodnie, za dużą marynarkę w kratę i brązowe znoszone pantofle. Dobiegał czterdziestki, a jego bladą twarz z drobnym nosem okalały blond włosy, opadające w nieładzie do ramion. Balansował lekko na nogach, wciskając dłonie w kieszenie spodni. Nie trzymał się żadnego z uchwytów. Nie musiał, poruszał się krakowskimi tramwajami od trzydziestu lat i z perfekcyjną precyzją wiedział, w którym momencie obłe cielsko wykona kolejny zwrot lub bujnie się niebezpiecznie w bok.

Komisarz Kastor Grudziński wyskoczył zwinnie na Nowym Kleparzu, cofnął się trochę i po krótkiej chwili szedł wzdłuż muru okalającego Dom Pomocy Społecznej imienia Helclów. Dwie bardzo mocne kawy, które wypił przed wyjściem, niestety nie przyniosły pożądanego efektu. Dostłownie milisekundy przed zapadnięciem w sen zawsze uruchamiał stoper. Nawyk spowodowany bezsennością, dręczącą go od szóstego roku życia. W ten sposób wiedział, że tej nocy przespał całe siedemnaście minut. Bardzo dobry wynik jak na niego, ale teraz czuł potworne zmęczenie, jeden z silnych kryzysów dopadających go w ciągu dnia.

Gdy dotarł do numeru siedemdziesiąt dziewięć i zauważył poloneza w biało-niebieskich barwach, od razu poczuł się lepiej. Wiedział, że jest tu po to, bo stało się coś złego, ktoś potrzebuje pomocy. On jest po tej dobrej stronie. Ta myśl zawsze dodawała mu sił w najtrudniejszych sytuacjach. W mieście ma być porządek.

Rozpoznał stojącego przy radiowozie policjanta, nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział, że jest sierżantem z podgórskiego

komisariatu. Solidny i doświadczony glina. Dlatego zdziwił się wyrazem jego twarzy, bladej i lekko wystraszonej.

– Panie komisarzy, na dole – wychrypiął policjant.

Kastor skinął niedbale głową i ruszył do wejścia. Mijając radiowóz, zauważył na drzwiach samochodu niebieską farbę w innym odcieniu, ślad po niedawnym malowaniu, zmieniającym milicję w policję. Wielomiesięczne rozmowy, wielkie przygotowania związków zawodowych. Wszystko tylko po to, żeby w końcu rzucić hasło, że od dzisiaj policja to nowoczesność. Czyli co, ten rozklekotany polonez? Przynajmniej mundurowi mają samochody, nie muszą dymać na robotę tramwajem tak jak ja, pomyślał ze złością Kastor.

Wszedł na klatkę chylącą się ku upadkowi rudery. Szybko spostrzegł, że w kamienicy dawno wyłączono prąd, i zszedł do piwnicy, świecąc sobie zapalniczką. Uderzenie smrodu było niczym cios brudną szmatą. Kombinacja potu, fekalii i moczu w takim stężeniu, że szybko zgasił zapalniczkę, kierowany absurdalnym strachem, że ta mieszanina gazów po prostu wybuchnie. Stojący na dole policjant oświetlał promieniem latarki brudne twarze około dwudziestu dzieci. Miały od pięciu do dwunastu lat, uniesione w górze ręczki i spojrzenia wypełnione bólem i strachem. Kastor nie znał tego funkcjonariusza, prześlizgnął się tylko wzrokiem po jego pagonach i rzucił cicho:

– Sierżancie... Każcie im opuścić te ręce.

Policjant skinął głową i przekazał prośbę na migi, a wszystkie dzieci jak na komendę opuściły posłusznie ramiona.

– Wykręciliście po kredens? – spytał Kastor.

– Jasne.

Jakby na potwierdzenie tych słów z zewnątrz dobiegł charakterystyczny terkot. Policyjny star. Kastor wziął latarkę od sierżanta i po kolei zaczął świecić po twarzach dzieci mrużących oczy przed ostrym światłem. Wszystkie bez wyjątku miały ciemną karnację i komisarz wątpił, aby któreś pochodziło z Polski. Potrzebowali tłumacza, ale po pierwsze, wiedział, że to trochę zajmie, a po drugie, nie chciał na razie z nimi rozmawiać. Szukał

jakiegoś znaku, elementu lub wskazówki, a ten mógł dostać tylko od kogoś ze starszych dzieci. W końcu znalazł to na twarzy na oko jedenastoletniej dziewczynki z burzą ciemnych włosów ogarniętych wszawicą. Oddał latarkę policjantowi i powiedział:

– Zabieramy je do pogotowia opiekuńczego. Skończcie wodę, jedzenie, no i tłumacza.

– A skąd ja wezmę tłumacza? – spytał szczerze zdziwiony sierżant.

– Wykręć Gienia Jankowskiego z Mogilskiej. Powiesz mu, że potrzebujesz gościa, co się nazywa Santino Mirga. Mieszka w Podgórzu, zna rumuński i cygański. Dobra, zabieramy się stąd.

Słowa „zabieramy się stąd” Kastor podkreślił przystawionym palcem do ust, nakazując policjantowi milczenie, a ten od razu zrozumiał, że komisarz zostaje na miejscu. Funkcjonariusz wyprowadził dzieci, a Kastor stanął za jednym ze słupów podtrzymujących strop.

Stojąc w absolutnej ciszy, z zaskoczeniem skonstatował, że dość szybko przyzwyczał się do potwornego smrodu. Słyszał pokrzykiwania policjantów, trzask drzwi, zwiększone obroty silników i odjeżdżające samochody. Po kilku minutach w budynku i na zewnątrz zapanował spokój. Kastor ciągle miał w pamięci zezujące spojrzenie dziewczynki, dającej mu w ten sposób dyskretny znak. Czekał.

Powoli jego oczy przyzwyczały się do ciemności. Zorientował się również, dlaczego na dole jest tak ciemno. Ktoś pozabijał niewielkie okienka u sufitu deskami, a przez te sporządzone w pośpiechu konstrukcje wpadały cienkie nitki światła, ryjąc korytarze w kurzu. A może to nie kurz, tylko po prostu gęsty smród, pomyślał komisarz i kątem oka zobaczył, jak jedna z ceglanych ścian rozsuwa się bezgłośnie. Powstały w ten sposób otwór był poza zasięgiem marnego źródła światła. Kastor nie widział wychodzącej postaci, ale niejako czuł jej obecność. Rzucił się w tamtym kierunku i wymierzył kilka szybkich ciosów w miejsce, gdzie powinna być czyjaś twarz. Z zadowoleniem poczuł na swoich pięściach krew, chwycił tamtego za szyję i go obalił, a potem zręcznym, wytrenowanym gestem założył

pobitemu kajdanki.

Kastor zerwał po kolei kiepskiej jakości szalunki z każdego z okien i piwnicę wypełnioną nieczystościami zalało światło. Podeszedł i wymierzył leżącemu kilka solidnych kopniaków prosto w twarz. Mężczyzna jęknął głośno, smarkając krwią.

– Ile? – spytał ostrym tonem komisarz.

– Dwa i pół tysiąca marek za sztukę – odpowiedział schwytyany, wypluwając ząb.

Kastor szybko obszukał leżącego, wyciągając ze specjalnego pasa zwinięte banknoty. Przeliczył pieniądze. Miał przed sobą czterdzieści pięć tysięcy marek. Była to jego, komisarza wydziału kryminalnego, pięcioletnia pensja. Schował pieniądze, przesunął skutego mężczyznę w róg pomieszczenia, wycierając jego twarzą o pokrytą odchodami posadzkę. Wyszedł na zewnątrz.

Na szczęście sierżant nie był idiotą i wyczuł jego intencje, czekał razem z kolegą przy radiowozie. Kastor szybko streścił im całą sytuację, po czym przekazał za pokwitowaniem zajęte pieniądze. Całe trzydzieści tysięcy marek.



## Rozdział I

### 1. Poniedziałek, 4 czerwca 1990

Godzinę później Kastor wysiadł z tramwaju na Mogilskiej i ruszył w kierunku surowej bryły komendy wojewódzkiej. Z jednej strony, ten przystanek to była wygoda, a z drugiej przekleństwo. W okolicy nie było absolutnie nic innego, więc każdy lądujący tu pasażer był albo z policji, albo miał z nią zatarg. Nawet teraz przechodząc przez przejście, Kastor nie mógł być pewien, czy idąca baba z siatami była po prostu przechodniem. Może synek rozbojarz wysłał ją, aby przypatrzyła się panu komisarzowi na tyle, żeby potem jej pierwородny mógł stuknąć Kastora gazrurką w jednym z krakowskich zaułków.

Wbiegł po schodach na trzecie piętro, wszedł do pokoju i zasiadł za biurkiem pod oknem. Naprzeciwko jego stanowiska pracy znajdowało się jeszcze jedno biurko, a dalej w kącie nakryty lichym kocem, rozkładany fotel. Mebel ten powszechnie w Polsce nazywano amerykanką. Nie wiadomo, czy miało mu to nadać jakiś status luksusu, bo w rzeczywistości było to wyjątkowo gówniane posłanie. Dodatkowo w pomieszczeniu w kącie przy drzwiach stało trzecie biurko, a po drugiej stronie okazałych rozmiarów szafa, obok której wciśnięto umywalkę z przytwierdzonym do ściany, wyszczerbionym lustrem. Kastor dokończył robotę papierkową dotyczącą porannych wydarzeń. Punkt o godzinie siódmej w pokoju sekcji kryminalnej, której Kastor był dowódcą, zjawił się aspirant Eugeniusz Jankowski, zwany przez wszystkich po prostu Gieniem. Wiecznie ulizany, zawsze gruby i od zarania dziejów powolnie myślący.

– Serwus Kastor! – Aspirant myślał, że to powitanie odejmuje mu lat, a było wręcz odwrotnie.

– Cześć.

Gieniu zdjął buty i założył drewniane chodaki. Ze względu na pokaźną tuszę narzekał na puchnące nogi i po komendzie poruszał się tylko w tym obuwiu. Jakby tego było mało, nie był za pan brat z obowiązującą modą i nosił za długie spodnie, które zawijał i wcisnął w skarpety, upodabiając się do Holendra w stroju ludowym.

Nagle rozległo się mocne, energiczne pukanie do drzwi, ale ani Gieniu, ani Kastor nie raczyli na nie zareagować. Lata doświadczenia sprawiły, że doskonale znali zasady. Jeśli ktoś ma do nich naprawdę ważną sprawę, to wchodzi bez pukania. Gieniu zasiadł przy swoim biurku przy drzwiach i zatarł ręce z zadowoleniem.

– Za trzy dni jadę na urlop! Nareszcie!

Kastor nie pytał, dokąd jedzie, bo wszyscy wiedzieli o największym hobby wiekowego aspiranta. W kasynie na dole komendy wojewódzkiej regularnie urządzano imprezy, choć niewątpliwie uczciwszym słowem byłaby tu „libacja”. Po hektolitrach gorzały wszyscy opowiadali o bandziorach, których złapali, i o kobietach, które przelecieli. Tylko Gieniu z zamglonym wzrokiem perorował o zaletach łapania na błysk, twardości wędek i waleczności okonia.

Pukanie powtórzyło się i Gieniu wraz z Kastorem wrócili do pracy. Ten pierwszy zaczął wypełniać dokumenty powoli i z rozmysłem, starannie kaligrafując litery. Nigdy nie nauczył się korzystać z maszyny do pisania, traktował ją jak szatański wynalazek. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł na czworakach sierżant Robert Kwiecień. Kwiatek, bo tak był nazywany przez kolegów, kompletnie nawalony, bełkocząc coś niezrozumiale, z trudem przemknął na czterech kończynach po wytartych klepkach parkietu i zaległ bez życia na rozłożonej amerykance.

Do środka wślizgnął się młody mężczyzna, który najpewniej pukał wcześniej, a teraz postanowił skorzystać z otwartych drzwi. Obserwował z lekkim niepokojem, jak Gieniu wstaje, przykrywa Kwiatka kocem z matczyną czułością, a potem wytrenowanym gestem wysuwa nogą emaliowaną miednicę spod amerykanki. Gieniu wrócił za biurko, a kiedy przybyły gość zorientował się, że nikt

nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, odchrząknął delikatnie i powiedział:

– Młodszy aspirant Cezary Hewig melduje się na rozkaz!

– O rany, bracie. Toś ty do nas z wojska przyjechał? – spytał Gieniu, odwracając się z zaciekawieniem.

Kastor uniósł głowę i przyjrzał się chłopakowi. Miał na oko jakieś dwadzieścia pięć lat, ładny, ale nie przystojny. Jego ciuchy sprawiały wrażenie wyjątkowo drogich i markowych. Widok bardzo nieczęsty w 1990 roku w Krakowie, kiedy to większość przechodniów wyglądała jakby korzystała z darów pomocowych przeznaczonych dla Afryki Środkowej. Komisarz zwrócił uwagę na trzymane przez Hewiga dokumenty i powiedział:

– Pokaż no te kwity.

Mężczyzna ruszył przez pokój, ale w tym samym momencie śpiący Kwiatek wierzgnął niespokojnie, a spod koca wysunęła się jego służbowa broń i spadła z brzdękiem do miednicy. Chcąc pomóc, Hewig rzucił się usłużnie w kierunku pistoletu, ale w tej samej chwili sierżant Kwiecień zerwał się z pośłania, chwycił zgubę i wycelował prosto w twarz młodego mężczyzny. Kastor i Gieniu zerwali się na równe nogi jak rażeni prądem.

– Kwiatek, uspokój się! Żelazo samo ci wypadło! – komisarz próbował opanować emocje.

– Robcio, pan chciał tylko pomóc. Połóż się, no, już.

Gieniu podszedł i ułożył z powrotem Kwiatka, tym razem dbając o to, aby broń spoczęła bezpiecznie w dokładnie zamkniętej kaburze. Hewig, kompletnie błądzący z przerażenia, podszedł do komisarza i podał mu dokumenty drżącą ręką.

– Co to? Masz pracować w mojej sekcji?

– Tak jest, to dla mnie prawdziwy zaszczyt!

– Chłopie, ale co ty umiesz? – Kastor nawet nie próbował kryć wesołości.

– Panie komisarzu, jestem po szkole referentów operacyjno-dochodzeniowych w Pile!

– Gieniu, podpisz się tutaj panu.

- A o co chodzi? – zainteresował się aspirant.
- Szkołę skończył.
- Służę uprzejmie.

Gieniu chwycił za swój długopis i nabazgrał coś na odwrocie dokumentów, wręczając potem kartkę z uśmiechem Hewigowi, a ten mocno zdziwiony odczytał dedykację: „Życzę dalszych sukcesów w nauce”. Pod napisem widniało duże serce z imieniem autora.

- No, ale...

Mężczyzna wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć, a jego starania przerwał głośny chlup. To Kwiatek wymiotował do miski stojącej na podłodze. Gdy przestał, Gieniu zgarnął miednicę i wylał zawartość do umywalki, po czym wyplukał naczynie.

- Jasna cholera! Kiełbasy się jakiejś nażarł czy jak. Nie chce spłynąć.

Gieniu chwycił za przepychaczkę i zaczął walczyć z rurami, a Kastor uznał, że młodemu policjantowi starczy już tych atrakcji.

– Czarek, słuchaj. – Komisarz wstał i objął ramieniem Hewiga, prowadząc go do wyjścia. – Mam dla ciebie trzy słowa, które dodadzą ci otuchy. Kompania ruchu drogowego!

- Co?

– Porobisz ze trzy lata, to dwa domy pobudujesz. Teraz ludzie mają auta coraz nowsze, każdy lubi przycisnąć, a mandatów to sam rozumiesz, nie lubi nikt. W jednym domu zamieszkasz z narzeczoną, a drugi sobie wynajmiesz. Ba, jak porobisz jeszcze parę lat, to kupisz sobie mieszkanie gdzieś w centrum i do końca życia nic nie musisz robić.

– Ale ja chciałem z panem komisarzem pracować! – Czarek próbował protestować.

– Bardzo mi miło, ale rozumiesz, ja mam wrażliwą, bladą skórę i nie mogę w słońcu z suszarą wystawać.

- Nie no, w sensie tu, w kryminałach...

- Jasne, jasne. Strasznie ci dziękuję za wizytę.

Kastor wypchnął Czarka na korytarz i zamknął drzwi. Gieniu uporał się ze zlewem, odstawił na miejsce miednicę i po chwili obaj z komisarzem wrócili do pracy przy akompaniamencie cichego

pochrapywania leżącego w kącie sierżanta.

Idylla nie trwała długo, bo już po kilku minutach do środka wszedł nadkomisarz Krzysztof Tyszowiecki. Szczupły mężczyzna przed sześćdziesiątką nosił okulary w drucianych oprawkach i bujną brodę, a rzadkie i siwe włosy wiązał w niewielki kucyk. Zdecydowanie bardziej pasował na zwariowanego profesora socjologii niż naczelnika wydziału kryminalnego.

– Gdzie ten nowy? – zagaił Tyszowiecki.

– Zrezygnował. – Kastor nie przerywał pisania na maszynie.

– Co? Niemożliwe! W mordę, tyle razy prosiłem, otwierajcie tu okno. Śmierdzi rzygami.

Nadkomisarz otworzył okno, wyciągnął papierosy i po chwili pokój wypełnił się dymem.

– Kastor, ja cię bardzo proszę. Narzekasz od ponad roku, że nie masz ludzi, i teraz spuścisz tego młodego na drzewo?

– Tyszol, jakbym chciał zostać pedagogiem, tobym się przyczytał w podstawówce. Nie mam czasu na takie bzdety.

– Ma samochód.

– Pierdolisz!

Komisarz szczerze się zainteresował. Problemy z mobilnością od dawna trawiły ich sekcję. Aut było jak na lekarstwo, a te i tak ciągle się psuły. Jeśli nawet peerelowska milicja nie była jakoś specjalnie wyposażona, to teraz, w wyniku przeprowadzanych reform, było o wiele gorzej.

– Popatrz.

Kastor wychylił się przez okno i spojrzał na parking. Zdezorientowany Czarek stał i palił papierosa przy lśniącym, czarnym audi quattro.

– Przecież to złodziejska fura!

– Spokojnie, dzieciak jest po prostu z bogatej rodziny.

– Czekaj, czekaj. Hewig... – Komisarz zmarszczył brwi. – To nie są ci, co to matka, babka, skrzypaczka, poeci i w ogóle rodzina tak bardzo „krakoska”, że wąchają własne pierdy?

– Zgadza się.

– To czego on tu chce?  
– Tego samego co ty, łapać bandziorów.  
– Bez jaj! – prychnął komisarz. – Co ty, pod siusiu mnie bierzesz?  
– Kastor, jakby chłopak był miękką fają robiony, tobym ci go nie podszyłał. Masz ze mną złe układy?  
– Przecież wiesz, że jakby mi szefa zmienili, to pierwsze co, jadę na tandetę kupić mocny sznur.  
– Proszę cię, przemyśl temat.  
Nadkomisarz zduśił papierosa w doniczkę, machnął ręką na pożegnanie i wyszedł bez słowa.

Cezary Hewig, kompletnie zdezorientowany, wsiadł do samochodu, włożył kluczyki do stacyjki i zaczął się zastanawiać, co teraz powinien zrobić. Jego rozważania przerwało otwarcie drzwi od strony pasażera. Kastor usiadł na fotelu obok.

– Kręć rozrusznik. Podrzuć mi do sądów.

Czarek odpalił samochód i wyjechał powoli na Mogiłą. Komisarz patrzył zafascynowany na nowoczesną deskę rozdzielczą.

– Który to rocznik?

– Chodzi o samochód? No, ten.

– W sensie 1990? Ja pierdzielę. Ma klimatyzację?

– Pewnie. – Czarek wzruszył ramionami.

– Pokaż, jak to działa.

Hewig posłusznie zamknął szyby i uruchomił klimatyzację, a Kastor przyłożył rękę do kratki wentylacji, zdziwiony temperaturą wiejącego powietrza. Czarek zawrócił na skrzyżowaniu z Meissnera i rozpędził szybko audi, ruszając na wschód.

– Słyszałem, że chcesz łapać zbójów?

– Zgadza się.

– A jak będziesz to robił?

– Mieliśmy zajęcia przecież. Na przykład raz na wykładach w Pile...

– Młody, jeszcze raz mi wyjedziesz z tą szkołą z miasta o bzdurnej nazwie, to się nie dogadamy! Co chcesz robić?

Czarek zatrzymał audi na czerwonym, wyraźnie myśląc nad odpowiedzią. W końcu wydusił:

– Chcę się nauczyć, jak łapać bandziorów.

– Widzę, że szybko łapiesz. Słuchaj, temat jest następujący, przyjmuję cię do sekcji, ale generalnie jesteś pod moją kuratelą i robisz to, co ci powiem. Żadnej inwencji twórczej, żadnych pomysłów. Rozumiemy się?

– Jasne – przytaknął Czarek.

– Użyczasz samochodu komendzie wojewódzkiej policji, dostaniesz kasę za każdy przejechany kilometr.

– Dużo?

Kastor roześmiał się tak gwałtownie, że jego długie blond włosy zsunęły mu się na twarz. Musiał je odgarnąć, żeby powiedzieć:

– Masz poczucie humoru. To dobrze. Element niezbędnym w tej robocie.

Czarek wjechał na rondo Mogilskie i okrążył olbrzymią połąc trawnika, otoczoną szynami tramwajowego torowiska, a następnie skręcił w Przy Rondzie.

– Niech pan mi powie. Dlaczego nagle zrobiło się tyle bandytyzmu?

– Kastor jestem, a ty dla wszystkich będziesz Czarek. Nie wiem. A ty masz jakieś przemyślenia?

– Może przez ten, no... kapitalizm?

Komisarz uśmiechnął się pod nosem, pokazał Hewigowi ręką, gdzie ma stanąć, i audi zatrzymało się przed jednym z szarych budynków.

– Myślę, że powód jest o wiele prostszy, choć może faktycznie nowy ustrój stoi u podstaw tego syfu. Ludzie prowadzą interesy, bogacą się. Jest coraz więcej osób przy forsie, tym samym coraz więcej złodziei i rozbojarzy jest w stanie się pożywić. Kiedyś miałeś kilku badylarzy na krzyż i koniec!

– A dlaczego policja gorzej działa?

– Jak to gorzej? – zdziwił się Kastor.

– W sensie od milicji.

– Tłumaczę ci, inna skala bandytyzmu. Jest ich więcej do ogarnięcia, a my nie mamy za bardzo kasy. Ten twój samochód

spada nam z nieba. Poza tym za komuny wszyscy prawdziwi bandyci chodzili na esbeckich teczkach i był porządek.

Komisarz wysiadł z samochodu i nachylił się w otwartych drzwiach.

– Pojedziesz z powrotem na Mogiłską. Chłopaki z garażów zakamuflują ci tu radio. Potem zostaw audi na parkingu, kluczyki w schowku.

– Co!?

– Teraz to jest mienie państwowe. Aha, no i ubierz się jutro normalnie, załóż jakąś marynarkę czy coś.

– Panie komisarzu... To znaczy Kastor. Nie przyjąłeś mnie tylko dlatego, że mam samochód?

– Jeszcze będzie z ciebie dobry detektyw. Cześć!

Kastor zatrzaskał drzwi i po chwili zniknął w budynku sądu.

Bez trudu przemierzył gęszcz korytarzy i odnalazł drzwi prowadzące do właściwego gabinetu. Zapukał niedbale i wszedł do środka. Za biurkiem zawalonym tomami akt siedział sędzia Roman Kałuża. Miał ciepłe, radosne spojrzenie i siwą fryzurę z przedziałkiem pośrodku, której niejako kontynuacją były jasne krzaczaste brwi. Dobrotliwy wygląd starszego pana zmylił już niejednego.

Kałuża był strasznym skurwysynem.

– Dzień dobry, panie sędzio. Komisarz Kastor Grudziński, mam do pana jedną sprawę.

– Skarbek – sędzia znany był z tego nietypowego zwrotu – jestem strasznie zajęty.

– Dosłownie pół minuty. Rano zatrzymaliśmy osiemnastoro rumuńskich dzieci. Wszystkie miały iść na handel do burdeli w Reichu.

– Tak? – Kałuża okazywał kompletny brak zainteresowania.

– Chodzi o to, że jak my je odeślemy z powrotem do Rumunii, to znowu zorganizują przerzut. Tym razem będą się pilnować i dzieciaki trafią na zachód, gdzie będą dymane przez Helmuta w szelkach.

– Oczywiście. Ale w czym problem?



– Najlepiej będzie, jeśli sąd powierzy opiekę nad dziećmi jednej z organizacji pozarządowej. Ja wskażę nazwę.

– Chce pan, żeby te dzieci zostały w Polsce?

– Skąd! – zaprotestował Kastor. – Mam tam znajomą, kierującą dzieci do ośrodków w Skandynawii. Rozumie pan, państwo polskie nie będzie miało kosztów, a dzieci w perspektywie naturalizację w Danii lub Norwegii.

Sędzia Roman Kałuża rozdziawił usta w niemym zdziwieniu, a gdy doszedł już do siebie, powiedział:

– Ale przecież to jebane rumuny. Po co im tak dogadzać?

Kastor sięgnął pod koszulę, wyciągnął zza spodni pliki banknotów i położył je na tomach akt.

– Piętnaście tysięcy marek.

Pieniądze, które najpierw były pod ubraniem przemytnika, a resztę czasu za koszulą komisarza, były przesiąknięte potem, i co tu dużo mówić, po prostu śmierdziały. Sędzia chwycił je bez śladu obrzydzenia i schował wyćwiczonym gestem do szuflady.

– Będzie tak, jak pan komisarz sobie życzy. Proszę do mnie jutro zadzwonić i podać nazwę tej organizacji.

Kastor kiwnął głową i odwrócił się w kierunku drzwi. Gdy trzymał już rękę na klamce uznał, że po tym, jak już dał gigantyczną łapówkę, może sobie pozwolić na kilka słów prawdy.

– Aha, jeszcze jedno. Straszny z pana skurwysyn.

– Skarbek, to nie ja. To życie.

## 2.

O drugiej po południu nadszedł silny kryzys. Kastor wlał w siebie dwie kolejne kawy, ale teraz, przechadzając się nerwowo po ulicy, był bliski omdlenia. Wiedział, że zgodnie z zaleceniami lekarzy powinien dbać o regularne spożywanie posiłków, ale był w takim stanie, że nie mógł absolutnie nic przełknąć. Dodatkowo jego trudności ze snem zawsze potęgowane były przez stres. Znowu

zawrócił i po raz chyba dwudziesty przeszedł wzdłuż tego samego fragmentu alei Puszkina, patrząc z zazdrością na roześmianych ludzi wypoczywających na Błoniach. W końcu wziął głęboki oddech, podszedł do jednej z willi, pokonał kilka niskich stopni i pchnął drzwi z napisem „Biuro Matrymonialne Ingrid. Łączymy ludzi od 1975 roku”.

Wewnątrz unosił się ostry zapach pasty do podłogi, a parkiet lśnił niczym lustro, odbijające palmy w donicach oraz dwie przepastne kanapy obite czerwonym pluszem. Te dwa ostatnie meble były w kształcie dwóch połówek serca. Otwierające się drzwi uruchomiły wcześniej dzwonek i już po chwili usłyszał stukot obcasów na schodach. Na dół zeszła elegancko ubrana pani po sześćdziesiątce. Srebrne włosy miała upięte w kok, a na nosie okulary na łańcuszku.

– Dzień dobry panu. – Uniosła dłoń tak wysoko, że komisarz nie miał wyboru i musiał ją ucałować. – Barbara Derko, właścicielka. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Kastor Grudziński. Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon...

– Ach, stróż prawa. Jakże romantycznie. Oczywiście, proszę usiąść i poczekać, zaraz przyniosę formularz.

Starsza pani poprowadziła Kastora do jednej z kanap, wskazując na miętowe cukierki w kryształowej miseczce.

– Przy okazji, proszę się poczęstować miętusem. Gwarantuję, że nigdy pan takich nie jadł.

Komisarz usiadł posłusznie i poczekał, aż Derko wróciła z sąsiedniego pomieszczenia, kładąc przed nim stosik kartek.

– Proszę wszystko wypełnić czytelnie drukowanymi literami. Niech pan się nie śpieszy i wszystko na spokojnie przemyśli. Ja czekam u siebie w gabinecie.

– Dziękuję.

Barbara Derko zniknęła w drugim pomieszczeniu, zostawiając uchylone drzwi, a Kastor zabrał się do wypełniania ankiety. Wzrost, kolor oczu, kolor włosów, upodobania kulinarne. Czy posiada Pani/Pan dzieci? Czy chciałaby Pani/Pan założyć rodzinę?

Wypełniając kolejne rubryki, komisarz poczuł, że chyba jeszcze nigdy wcześniej nie był w tak bardzo niewłaściwym miejscu. Był krakowskim gliniarzem z czterdziestką na karku i pistoletem w kaburze, który uwierał go teraz, gdy opierał się o obitą czerwonym pluszem kanapę. Co ja tu robię? Spadaj stąd człowieku, i to szybko, odezwał się jakiś wewnętrzny głos w jego głowie. Jedź do domu, może uda ci się zdrzemnąć. Kastor podjął decyzję, ale jego plany niweczyła właścicielka biura. Dystyngowana dama siedziała za biurkiem w swoim gabinecie, ale od czasu do czasu zerknęła na policjanta przez uchylone drzwi. Tydzień temu goniełeś złodzieja po dachach kazimierzowskich ruder, a teraz boisz się starej baby? Żałosne, zaczął wyrzucać sobie w myślach. Mimo wszystko trochę głupio mu było tak zrejterować, dlatego chcąc nie chcąc, wypełniał kolejne rubryki.

Po niecałych trzech minutach obrzucił spojrzeniem gabinet i spostrzegł, że starsza pani opuściła swoje stanowisko. Odłożył ostrożnie długopis, wstał i ruszył do wyjścia, stąpając ostrożnie po parkiecie i modląc się, aby klepki podłogowe go nie zdradziły. Gdy tylko położył rękę na klamce i poczuł, że ktoś stoi obok niego, drgnął lekko ze zdziwienia.

– Czy pan przyjechał może do nas z Anglii?

– Proszę? Nie bardzo rozumiem. – Starał się z całych sił uśmiechnąć jak najszerzej.

– Z tego co mi wiadomo, to właśnie Anglosasi mają w zwyczaju opuszczać w ten sposób domostwa. U nas w Krakowie panują inne zwyczaje.

– Najmocniej przepraszam za zawracanie głowy. – Kastor postanowił być szczery. – Ale to chyba nie dla mnie, cały ten interes...

– Interes? – Właścicielka podniosła nieco głos.

– Wie pani, ja to wypełnię, potem dostanę katalog ze zdjęciami, żeby coś wybrać. Źle się z tym czuję.

– „Coś” wybrać? Czy szanownemu panu się wydaje, że jest w burdelu i dostanie zdjęcia kurew w wyuzdanych pozach?

Kastor nie zdołał opanować odruchu zdziwienia i otworzył usta niczym trzylatek. O ile pierwsze niewybredne słowo wywarło na nim wrażenie, o tyle ostatni wulgaryzm w ustach tej leciwej damy do głębi nim wstrząsnął.

– Pani mnie źle rozumiała. Ja nigdy bym nic takiego... Najmocniej przepraszam!

– Przeprosiny przyjęte. – Barbara Derko zdjęła okulary i zmrużyła oczy. – A teraz proszę wypełnić do końca formularz.

– Naprawdę, nie chcę robić kłopotu. Wydaje mi się, że nie dość, że sprawiłem pani przykrość, to jeszcze nadużywam gościnności.

– Po co pan tu przyszedł? Czego pan szuka?

Kastor Grudziński, policjant wydziału kryminalnego z osiemnastoletnim stażem na służbie, zaczął się pocić. Co miał powiedzieć, aby znowu nie zostać posądzonym o traktowanie biura matrymonialnego jak agencji towarzyskiej? Przełknął ślinę, przymknął oczy i powiedział: – Miłości.

– Otóż to! – krzyknęła starsza pani z tryumfem. – Długo pan jeszcze zamierza uciekać? Bronić się przed tym najwspanialszym w świecie uczuciem?

– Cierpię na bezsenność. Jestem strasznie zmęczony... – Kastor bronił się nieporadnie jak uczeń.

– Bzdura! Nie chcę słuchać takich naiwnych wymówek. Myślę, że wie pan, co powinien teraz zrobić.

Wiedział. Komisarz wrócił na pluszową połówkę serca i ponownie zaczął wypełniać formularz. Poczęstował się też miętusem.

### 3.

Wysiadł przystanek wcześniej przed komendą na Mogińskiej. Stwierdził, że spacer dobrze mu robi, a poza tym musiał kupić lekarstwa dla Kwiatka. Cieszył się, że jest już po wizycie w biurze matrymonialnym. Po wypełnieniu ankiety musiał czekać dobrą godzinę, aż właścicielka ją przeczyta, a potem dopasuje

najodpowiedniejszą, jej zdaniem, osobę dla komisarza. Podała wszystkie szczegóły jutrzejszego spotkania i jeszcze miała się odezwać, żeby potwierdzić, że tamta kobieta również się zgadza. Niepotrzebnie. Kastor nie miał zamiaru iść na żadną randkę.

Wszedł na chwilę do spożywczego i kupił pół litra wyborowej i dwa okocimy full light. Było już po ósmej i nadchodziła najlepsza dla komisarza pora dnia. Od wieczora aż do późnych godzin nocnych praktycznie nie dopadały go żadne kryzysy przepiętne zmęczeniem. Teraz mógł funkcjonować właściwie bez zarzutu, zachowując trzeźwy i analityczny umysł. Dlatego zawsze żał było mu poświęcać ten czas na odpoczynek w domu. Przeszedł przez ulicę, odnalazł audi na policyjnym parkingu i wszedł do środka. Otworzył schowek na rękawiczki, wyciągnął kluczyki i uruchomił radio zainstalowane wcześniej przez policyjnych techników. Wcisnął guzik na gruszce i powiedział:

– Zero zero dla zero siedem.

Zero siedem było od zawsze numerem przypisanym Kastorowi. Uwielbiał serial z porucznikiem Borewiczem. Uważał, że był to jeden z lepiej zrealizowanych seriali kryminalnych w historii polskiej telewizji. Rzecz jasna, jako policjant zdawał sobie sprawę z wszelkich nieścisłości, ale te detale nie psuły mu przyjemności z oglądania.

– Zgłaszam zero zero, słucham cię – usłyszał zniekształcony głos oficera dyżurnego.

– Cześć, Klakier. Chciałem tylko sprawdzić radio, co tym samym chyba się powiodło.

– Jasna sprawa, udanego wieczoru, panie komisarzu. Bez odbioru.

Wyłączył radio, zamknął samochód i po dwóch minutach był już w swoim pokoju. Otworzył okno, zerknął na stojącą przed rozkładanym fotelem miednicę i z zadowoleniem stwierdził, że była czysta. Potem ściągnął koc ze śpiącego sierżanta Kwietnia. Policjant przekręcił się na bok, mamrocząc coś niezrozumiale, a Kastor poczuł ostry zapach potu i brudu, kojarzący się nieodłącznie z bezdomnymi okupującymi krakowskie Planty.

Komisarz złożył koc w elegancką kostkę, przyłożył butelkę do

wyszczerbionego rogu biurka i uderzając nasadą dłoni, otworzył ją. Kapsel potoczył się z brzdękiem po podłodze, a na ten sygnał Kwiatek usiadł na łóżku. Chwycił butelkę z piwem i wlał naraz do gardła, pochłaniając zawartość w dwie sekundy. Następnie odebrał podaną półlitrowkę wyborowej i przytknął ją sobie do ust. Tym razem pił bardzo powoli, oddychając ciężko przez nos, niczym niemowlak pijący mleko przez smoczek. Gdy wypił całą wódkę, wstał z łóżka, przytrzymując się ściany. Sierżant Kwiecień przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Pomięte spodnie i koszula, włosy pozlepiane potem oraz szara, wyniszczona twarz wieloletniego alkoholika.

Kwiatek wyszedł z pokoju krokiem paralityka, a komisarz usiadł za biurkiem, podnosząc słuchawkę dzwoniącego telefonu.

– Kastor.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – usłyszał głos oficera dyżurnego, z którym kilka minut wcześniej rozmawiał przez radio w samochodzie. – Chyba mamy zaginięcie.

– Chyba?

– Mąż tej pani, co dzwoniła, miał już być w domu, a ciągle go nie ma.

– Kiedy miał być? Tydzień temu?

Ponieważ po drugiej stronie zapadła cisza, Kastor spojrzał nieufnie na słuchawkę i stuknął w nią kilka razy.

– Klakier, jesteś tam?

– Jasne, panie komisarzu. – Mężczyzna odchrząknął delikatnie. – No więc ten pan miał być w domu o dziewiętnastej.

Kastor zerknął na zegarek i otworzył usta, gdy usłyszał gorączkowe słowa oficera dyżurnego:

– Panie komisarzu, ja wszystko wiem! Zerka pan teraz na zegarek i szykuje się, żeby mi różnych chujów i kurew nawsadzać.

– Masz rację – zgodził się Kastor. – I to mnie trochę zmartwiło. Czy ja mam u nas opinię chama i buraka?

– Nie, tylko nie lubi pan głupoty i ja to rozumiem. Spuściłbym tę babę na drzewo, ale ten adres...

– Jaki?

– Wola Justowska. Pani powiedziała, że zna wszystkich z Wiejskiej i jak się tym nie zajmujemy, to ona sama nam kupi po łóżku polowym, żebyśmy mieli gdzie sznurówkami handlować.

Znak czasów, pomyślał Komisarz. Jeszcze rok temu wyśmiałbym kogoś takiego i przy okazji wysłał jej radiowóz, żeby jeździł całą noc na sygnałach wokół domu. Ale teraz wiele rzeczy się zmieniło. Gdy tylko milicja przekształciła się w policję, całkiem zmieniło się nastawienie społeczeństwa do tej formacji. Ze strachu w czystą pogardę i roszczeniowość. „Teraz to wy jesteście dla nas, morda w kubet!”, słyszeli ciągle, co dla oddanych funkcjonariuszy było zawsze bolesne, bo oni po prostu łapali przestępców, niezależnie od ustroju.

Kastor zapisał adres na kartce i obiecał zająć się sprawą. Jeśli pani mieszkała tam, gdzie mieszkała, to była bogata. A ktoś, kto posiadał majątek w 1990 roku w Krakowie, mógł naprawdę dużo. Kwiatek wrócił do pokoju, ubrany w nienaganny, dwurzędowy garnitur w prążki, błękitną koszulę i czerwony krawat typu śledź. Na nogach miał modne mokasyny z frędzelkami, był gładko ogolony, a jego lśniące czarne włosy były zaczesane do tyłu na wzór dawnych amantów filmowych. W pomieszczeniu uniosła się woń eleganckich perfum. Nuty pomelo i berberysu, połączone z ziarnami kakaowca.

Sierżant wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę i wetknął papierosa do lufki. Usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę, i otworzył drugiego okocimia. Nikt nie wiedział, jak się Kwiatkowi ta sztuka udawała, ale zawsze pod wieczór przechodził przemianę, stając się eleganckim i przystojnym policjantem, gotowym do wytężonej pracy. Komisarz patrzył na to z podziwem, uznając, że sierżant Kwiecień kompletnie nie pasował do tego lichego pokoju na Mogiłskiej. Najbardziej odpowiednią scenerią dla tej postaci byłby statek wycieczkowy po jeziorze Como.

– Mamy zaginięcie. Gościu powinien być w chacie półtorej godziny temu.

– Ktoś znaczny? – Kwiatek szybko zrozumiał sytuację.

– Tego jeszcze nie wiemy. Bogaty na pewno. Zbieraj się, wypijesz po drodze.

Sierżant Kwiecień uporał się z piwem szybciej i na parkingu wyrzucił pustą butelkę do kosza. Po chwili obaj siedzieli w samochodzie, a Kastor pędził Mogiłską w kierunku ronda.

– Jaki adres? – spytał Kwiatek.

– Aleja Kasztanowa sto jeden.

– Bardzo ładna okolica. Kiedyś planowałem tam zamieszkać z Beatą i dziećmi.

Kwiatek spojrzął rozmarzonym wzrokiem za okno. Nad jego barłogiem w pokoju komendy wisiła tablica korkowa, a na niej przypięte zdjęcia byłej żony oraz dwóch córek. Na fotografiach są ledwie małymi szkrabami, ale teraz musieli już wkraczać w dorosłość.

– Bardzo za nimi tęsknię. Każdego dnia.

Kiedy był w swojej wieczornej formie, sierżant Kwiecień nigdy nie przeklinał, a formułowane zdania były nienaganne niczym jego garderoba. Ale łatwo wpadał w melancholijny nastrój. Kastor doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego kolega żyje złudzeniem, a nostalgię wywołuje tylko i wyłącznie poczucie winy. Kwiatek, jak każdy alkoholik, był wręcz skrajnym egoistą, którego myśli zaprzętała jedynie własna osoba. Ale Kastor nie zamierzał go wyprowadzać z błędu. Bo i po co?

Komisarz skrzył energicznie kierownicą. Mijali teraz błonia po prawej stronie, a Kastor mimowolnie zerknął na siedzibę Agencji Matrymonialnej Ingrid. Samochód przyśpieszył gwałtownie, a opony zapisały na suchej nawierzchni.

– Zaraz, czekaj! – Sierżant rozejrzał się ze zdziwieniem po wnętrzu auta. – Skąd my mamy taki samochód?

– Od nowego kolegi.

– Chcesz mi powiedzieć, że przyjąłeś kogoś do sekcji?

– Tak jest. Młody chłopak, zaraz po szkole. Chciałeś go z rana zastrzelić.

– I co, nie trafiłem?



– Skąd, przecież masz świetne oko. Zabiłeś go. Ale z człowieka był taki skurwiel, że rodzina podarowała nam jego samochód w geście podziękowania.

Kwiatek uśmiechnął się, doceniając poczucie humoru przełożonego, i wetknął kolejnego papierosa w szklaną lufkę.

Trzy minuty później zaparkowali na ulicy i weszli przez bramę pod willę oznaczoną numerem sto jeden. Na podjeździe stało czarne, lśniące bmw serii 7. Sam budynek też robił duże wrażenie. Widać było, że wcześniej był typowym, gierkowskim kłocem, ale teraz jakiś zręczny architekt przerobił go na perłę nowoczesnego budownictwa. Wszystko pachniało tu nowością. Elewacja, okna, a nawet równo przycięte bukszpany posadzone wzdłuż krawężnika.

– W książkach napisaliby, że dom dosłownie tonął w kwiatach – wyszeptał Kastor.

– Zgadza się. Tylko bez „dosłownie”. Albo tonął, albo nie.

Budynek był obstawiony donicami różnych wielkości, a okolice eleganckich ścieżek pokryto rabatami. Wszędzie było pełno kwitnących kwiatów, które pachniały nawet ze znacznej odległości. Kastor nie znał się na roślinach, więc w swojej ignorancji rozpoznał jedynie róże i tulipany. Zlustrował za to dokładnie całe otoczenie, próbując wryć każdy jego element w pamięć. Był niemal przekonany, że małżonek zjawi się mocno podpity za kilka godzin i zerwie kilka z rosnących tu kwiatów, aby oferować żonie przeprośny bukiet. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo, być może właśnie rozpoczął kolejną sprawę. Musiał pozostać czujny i profesjonalny. Jak zawsze.

Dosłownie sekundę po tym, jak użyli dzwonka, zostali zaproszeni przez około trzydziestoletnią kobietę do środka. Wyposażenie domu zważało z nóg jeszcze bardziej niż zewnętrzne otoczenie. Niesamowite, pomyślał Kastor, zupełnie jakby niektórzy ludzie po prostu czekali w blokach startowych z furą pieniędzy i po 1989 roku zaczęli kupować na potęgę. Olbrzymi telewizor, nowocześnie

wyposażona kuchnia z mikrofalą i wiele innych gadżetów, które większość Polaków oglądała w amerykańskich serialach. Wyglądało na to, że niektórzy tak szybko się bogacili, jak inni biednieli.

– Proszę usiąść. Napiją się może panowie czegoś?

Komisarz zlustrował kobietę szybkim spojrzeniem. Była ubrana w luźną bluzkę na ramiączkach, obciste spodnie i klapki na obcasie. Nienaganny makijaż podkreślał dobitnie jej urodę, a bluzkę uszyto tak, aby każdy wiedział, że pod spodem kryje się wyrzeźbione ciało. Była przedmiotem. Ktokolwiek posiadał ten dom i stojący na podjeździe samochód, potraktował swoją partnerkę niczym następną rzecz w kolekcji człowieka sukcesu.

– Dziękujemy. Jesteśmy na służbie. – W ustach Kwiatka te słowa zabrzmiały wyjątkowo dziwnie.

– Bardzo panom dziękuję. Wiem, że macie swoje procedury – odezwała się gospodyni, gdy wszyscy usiedli. Zwracała się tylko i wyłącznie do elegancko ubranego sierżanta, z automatu ignorując dziwoląga w przydużej marynarce w kratę z szopą długich włosów na głowie. Najwyraźniej w jej świecie to właśnie wygląd świadczył o człowieku. Ciekawe, co byś powiedziała, widząc Kwiatka nad ranem, pomyślał Kastor i z goryczą stwierdził, że taka małostkowość jednak nie przystoi dorosłemu mężczyźnie.

– Mąż zawsze, podkreślam to słowo trzy razy, wraca z pracy o dziewiętnastej. Jeśli coś mu wypadnie, dzwoni do mnie i uprzedza o tym. – Złożyła elegancko dłonie. Miała nienaganne paznokcie. Lakier w seledynowym kolorze z brokatową obwódką.

– A pani jest wtedy w domu? – spytał Kastor.

– Oczywiście. – Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. – Ważne sprawunki na mieście, takie jak fryzjer, paznokcie czy zakupy, staram się załatwić do godziny piętnastej, a potem czekam na męża.

„Aż mnie zerznie w swej dobroci”, dopowiedział w myślach Kastor, a Kwiatek spytał:

– Próbowwała pani zadzwonić do męża? Ma w pracy telefon?

– I to kilka! – Kobieta prychnęła. – Mąż jest dyrektorem zatrudnionym w amerykańskiej firmie kosmetycznej. Budują teraz

olbrzymią fabrykę pod Krakowem.

– Ma pani jakieś zdjęcie męża?

Gospodyni skinęła głową w odpowiedzi na pytanie sierżanta, wstała i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili wróciła, wręczając im fotografię starszego mężczyzny z czupryną siwych włosów zaczesanych na bok.

– W jakim wieku jest mąż? – wyrwało się Kastorowi.

– A co to ma do rzeczy? – Kobieta wyraźnie się zaczerwieniła.

– Łatwiej będzie nam obdzwonić szpitala.

Kwiatek próbował załagodzić sytuację. Było jasne, że nikt nie będzie dzwonił po szpitalach, bo za wcześnie było mówić o jakimkolwiek zaginięciu.

– Sześćdziesiąt cztery. Zbigniew Gutowski.

– A pani...

– Jolanta Gutowska, jestem żoną. – Ostatnie słowo wypowiedziała w taki sposób, jakby to było jej największe życiowe osiągnięcie. Kastor szybko uznał, że tak właśnie jest.

– W poniedziałki kończy wcześniej pracę, gra z kolegami partię pokera, a potem je z nimi kolację w Wierzyńku.

Niesamowite! Kastor gotował się w środku z wściekłości. Czyli jest to dzień, w którym jej mąż ma wychodne, po prostu zasiedział się w knajpie, a ta głupia cipa wzywa policję. Zwalczył w sobie przemożną chęć wygarnięcia jej tego wszystkiego i zapytał:

– A przyszło pani do głowy, żeby zadzwonić do restauracji?

– Nie mam numeru.

– Wie pani, jest coś takiego jak książka telefoniczna... – zaczął Kastor, gdy poczuł jak Kwiatek kładzie mu delikatnym gestem rękę na ramieniu.

– Szanowna pani, sprawdzimy niezwłocznie wszelkie tropy – nawet opanowany sierżant omal nie wybuchnął śmiechem przy tym słowie – i na pewno odezwiemy się jutro do pani. Miejmy oczywiście nadzieję, że mąż wróci w międzyczasie do domu.

Kwiatek rzucił na odchodnym swój boski uśmiech i niemal wypchnął swojego przełożonego na zewnątrz.

Zaparkowali nieopodal kościoła św. Anny i ruszyli na piechotę w kierunku płyty, jak nazywali w policyjnym żargonie Rynek Główny.

– Dlaczego? – odezwał się w końcu Kastor. Całą drogę z Woli Justowskiej przesiedzieli w milczeniu.

– Bobyś zaraz wygarnął tej pańci, co o niej myślisz.

W oddechu Kwiatka wyraźnie czuć było świeży alkohol. Niesamowicie, nie spuściłem go z oczu, a koleś i tak zdążył coś chlapanąć w międzyczasie, pomyślał Kastor i powiedział:

– Może tak trzeba było zrobić. To jest jakieś zawracanie dupy.

– Narobiłbyś sobie tylko kłopotów. Widziałeś ten dom i samochód? No i żonę? Facet przyjdzie nawalony, a z rana usłyszysz o niegrzecznym policjancie i będziesz bez roboty. Co, masz za dużo forsy?

Komisarz milczał. Wszystko było można o nim powiedzieć, tylko nie to, że jego sytuacja materialna była dobra. Jak każdy policjant w tych czasach był w kompletnej dupie finansowej. Weszli do Wierzyńka i stanęli przy barze, zamawiając po setce czystej. Gdy tylko wypili, Kwiatek odszedł od baru i zaczepił jednego z kelnerów. W tej kategorii sierżant był absolutnie bezkonkurencyjny. Kelnerzy tej jednej z najbardziej luksusowych restauracji w Krakowie wyjątkowo zazdrośnie strzegli prywatności i tajemnic swoich klientów. Komisarz ze swoją wyciągniętą blachą od razu zostałby zbyty wzruszeniem ramion. Ale nie Kwiatek.

Kastor z oddali widział, jak tłumaczył coś kelnerowi, gestykulując i wywołując uśmiech na twarzy tamtego. Bajerował na całego, by w decydującym momencie wyciągnąć fotografię i zadać niewinne pytanie. Po kilku minutach Kwiatek wrócił do baru i gestem poprosił barmana, aby nalał im jeszcze kolejkę.

– Kelner robi tu od piętnastu lat. Nigdy nie widział faceta na oczy.

– Czyli żaden pokerek i kolacja, tylko jakieś kurwy.

– Po co? Widziałeś przecież jego żonę.

– Niektórzy wyznają zasadę „od przybytku głowa nie boli”. Tak czy siak, na pewno tu nie przychodził. Wierzynek to nie miejsce dla kurew.

Kwiatek zgodził się z nim gestem, wypili wódkę i wyszli na zewnątrz. Kastor pożegnał się niepewnym uściskiem dłoni i ruszył w stronę samochodu, a sierżant poszedł w dół Grodzkiej. Komisarz wiedział, że będzie zaliczał kolejne knajpy, próbując niemożliwego, czyli dojścia do Wawelu. Nad ranem wda się w jakąś pijacką awanturę, a jeden z patroli przywiezie go na Mogiłską.

#### 4.

Musiał przyznać, że jazda tym samochodem to była czysta przyjemność. Benzynowy silnik nawet na wysokich obrotach pracował cicho, a skrzynia biegów działała bardzo płynnie i nie wymagała wiele wysiłku przy zmianie przełożeń. Zaparkował pod swoją kamienicą na Józefitów i siedział przez chwilę w aucie, rozmyślając nad gniewem, który wezbrał w nim podczas wizyty u atrakcyjnej żony statecznego dyrektora.

Co się ze mną dzieje? Czyżby to efekt potęgującego się niewyspania, pomyślał. Szybko odrzucił tę teorię, bo na chroniczną bezsenność cierpiał ponad trzydzieści lat i jako tako nauczył się z nią radzić. Po prostu coraz częściej czuł, że świat po przemianach dokonujących się w Polsce umykał mu i oddalał się od niego, a on sam miał wrażenie, że stoi w miejscu. Niektórzy bogacili się w szybkim tempie, zakładali jakieś biznesy, a on ze swoją pensją czterech milionów złotych mógł co najwyżej pomarzyć o namiastkach luksusu. Wyjątkowo go to złościło, bo nigdy nie był materialistą i naprawdę kochał swoją policyjną robotę. Ale teraz, choćby patrząc na nowoczesną deskę rozdzielczą i elegancko podświetlone na czerwono zegary, czuł jakiś wewnętrzny żal, że prawdopodobnie nigdy nie będzie go stać na taki samochód. Wykonywał niezwykle potrzebną i przede wszystkim pożyteczną społecznie pracę. I wszyscy mieli to w dupie.

Wysiadł i zamknął audi, po czym wszedł do budynku i wdrapał się na drugie piętro. Po wejściu do mieszkania od razu przeszedł do

dużego pokoju, gdzie jedną czwartą pomieszczenia zajmowała potężna klatka jego własnej konstrukcji. Od razu zauważył Zośkę, która wdrapała się po pręcikach i wysunęła pyszczek w jego stronę.

– Cześć, śliczna. A gdzie Jasna?

Kastor otworzył klatkę. Umaszczona na czarno Zosia szybko wyskoczyła na zewnątrz i zniknęła pod jednym z foteli. Komisarzowi żal było zwierzątek, bo przez cały dzień nie było go w domu, dlatego zbudował sam klatkę, dając szczurzycom jak najwięcej przestrzeni. Mimo wszystko nie chciał ich puszczać samopas po mieszkaniu, kiedy go tu nie było. Zawsze obwieszczał wszem wobec, że nie lubi zwierząt, a już tym bardziej trzymania ich w domu, ale te dwa gryzonie były wielkim marzeniem jego żony Karoliny. Ciekawe, ile jeszcze mogą pożyć, zastanowił się Kastor. Teoretycznie słyszał, że te hodowlane dożywają do dwóch lat, ale Zośka i Jasna miały już trzy i ciągle były w dość dobrej formie.

W końcu szczurzyca z jasnym futerkiem wyskoczyła z konstrukcji trapezów i mostków urządzonych w klatce i od razu wdrapała się na komisarza, siadając mu na ramieniu. Obydwa gryzonie bardzo różniły się charakterami. Zośka, ciemna z jasnym podbrzuszem, była awanturnicą i swoim zachowaniem bardziej przypominała dziką szczurzycę. Natomiast Jasna za każdym razem musiała udowodnić, że prawdopodobnie jest arystokratką. Była oszczędna w ruchach, bardzo ciągnęło ją do komisarza i gdy tylko ten wrócił do domu, każdą chwilę spędzała przy nim.

Kastor przeszedł do kuchni i zaczął przyrządzać kolację. Ten nawyk pozostał mu z czasów, gdy przez pewien okres późne obfite posiłki powodowały, że był w stanie zdrzemnąć się w nocy trochę dłużej. Zagotował furę spaghetti, rozbił osiem jaj na patelni i podsmażył je razem z makaronem, na koniec posypując wszystko startym żółtym serem. Pomimo tej bomby kalorycznej spożywanej późną nocą komisarz pozostawał szczupły. Na jego figurę na pewno miały wpływ brak snu oraz to, że w ciągu dnia praktycznie nic nie jadł.

Wziął prysznic, klęcząc w ciasnej wannie wciśniętej w kąt niewielkiej łazienki. Założył piżamę, umył zęby i przeszedł do małego

pokoju, choć określenie mikroskopijny byłoby tu o wiele bardziej na miejscu. W pomieszczeniu znajdowało się łóżko, niski stolik i zielony, powycierany na podłokietnikach fotel. Na więcej mebli nie starczyło tu miejsca. Kastor dawno dał sobie spokój z próbami spania na leżąco, bo te prawie nigdy nie kończyły się powodzeniem. Kapa nakrywająca łóżko była nieruszana od tak długiego czasu, że zdążyła się pokryć grubą warstwą kurzu.

Komisarz umościł się wygodnie w fotelu, włączył nocną lampkę i położył notatnik z długopisem na stoliku, zaraz obok stopera. Od kiedy znalazł się w domu dziecka, zaczęły się jego kłopoty ze snem. Od tamtej pory śnił też każdej nocy bez wyjątku ten sam sen. Tydzień temu udał się do terapeuty, ostatniej deski ratunku w kwestii wyleczenia go z uciążliwej choroby. Psycholog doradził mu, aby zapisał to, co mu się śni, ze wszystkimi detalami, a może w ten sposób przypomni sobie, co takiego wydarzyło się, zanim trafił jako sierota do bidula. Kastor początkowo był sceptyczny, bo przecież sen ów znał na pamięć, ale w ostatnich dniach bezsenność nasiliła się tak bardzo, że jego życie stało się niezwykle utrudnione. Siedział w fotelu dłuższą chwilę, gdzieś tam w kącie mignęła mu Zosia, a Jasna wdrapała się na jego kolano i zwinęła się w kłębek. Gdy tylko komisarz poczuł, że zapada w sen, ostatnim odruchem uruchomił stoper.

*Jestem na polu, na placu zabaw. Jest zima i metalowe konstrukcje pokryte są śniegiem. W ostatnich dniach zrobiło się trochę cieplej i teraz widzę, jak topniejący śnieg skapuje powoli z gałęzi drzew, a krople rozświetla wyjątkowo ostre tego dnia słońce.*

*– Kastj, chodź ulepimy bałwana!*

*To Agata, moja opiekunka, woła do mnie tym swoim perlistym głosem, ma szeroki uśmiech i piękne blond włosy. Mam sześć lat i bardzo lubię się do niej przytulać. Wierzę, że kiedyś zostanie moją żoną. Oblizuję gile spod nosa, biegnę do niej i pomagam jej toczyć śnieżkę, która wkrótce potem zamienia się w coraz większą kulę. Cieszę się tym spacerem, świeżym powietrzem. Oczywiście dzisiaj*

zdamy sobie sprawę z tego, że zimą w Krakowie powietrze rzadko kiedy bywa naprawdę świeże. Ale wtedy o tym nie wiem. Za każdym razem mój sen jest mieszanką mnie dorosłego i mnie sześciolatniego.

Po ulepieniu bałwana idziemy do domu, zawsze przechodzimy obok rycerza na koniu. Ja wtedy mówię, że jak dorosnę, też będę rycerzem, a Agata moją królową. Na co ona z tym swoim wiecznym uśmiechem odpowiada, że na pewno tak będzie, i całuje mnie w oba policzki. Jestem dumny. I taki szczęśliwy. Teraz wiem, że nigdy już nie będę taki szczęśliwy.

Gdy podchodzimy pod naszą kamienicę, zauważam kremową warszawę z napisem MILICJA na drzwiach i kogutem na dachu. Teraz już wiem, że to bardzo zły omen, ale wtedy jedyne, na co zwróciłem uwagę, to piękne niebieskie światło skrzące się w promieniach słońca. Śniłem to tyle razy, że całość przypomina ulubiony film, który ogląda się po raz dziesiąty czy dwudziesty. Nie zwracam już uwagi na główną fabułę, a moje oko rejestruje coraz to nowe szczegóły drugiego i trzeciego planu.

Wchodzę do domu, rozbieram się zgodnie z zaleceniem Agaty, ona każe mi wydmuchać nos, a potem każe umyć ręce. Potem od razu biegnę do dużego pokoju i zaczynam bawić się samochodem, który dostałem miesiąc wcześniej na urodziny. Brązowy, drewniany samochodzik ciągnie naczepę, w której są dwa konie. Drzwiczki od naczepy są otwierane i konie można wyjąć. Jeżdżę autkiem po podłodze, wyciągam co chwilę konie i z palców formuję jeźdźca, który galopuje po podłodze. Mogę się tak bawić godzinami.

Ktoś dzwoni do drzwi, zajęty zabawą słyszę tylko, jak Agata idzie do przedpokoju, a po stłumionej, szybkiej wymianie zdań w mieszkaniu rozlega się jej gardłowy okrzyk przerażenia. Podnoszę się z kolan i staję jak sparaliżowany, ściskając w dłoni konika. W pomieszczeniu pojawia się dwóch mężczyzn w mundurach. Jeden z nich sadza na kanapie szlochającą Agatę, mówi do niej:

– Proszę się wziąć w garść. Przecież tu jest dziecko!

Nie chcę, żeby Agata płakała. Czuję, że powinienem stanąć w jej



*obronie jak ten rycerz na koniu, ale boję się też tych ludzi w niebieskich mundurach. Jeden z nich, wysoki z siwiejącym wąsem, podchodzi do mnie i podaje mi rulonik dropsów.*

*– Cześć, smyku, nie martw się. Wszystko będzie dobrze.*

*Biorę cukierki i ściskam je mocno w drugiej dłoni. To chyba z perspektywy czasu nierealne, pewnie wyobraźnia płata mi figle, ale czuję jak pod naporem moich palców cukierki pękają z delikatnym chrzęstem.*

*– Musisz być dzielny – mówi jakoś smutno mężczyzna, a ja zadzieram głowę i patrzę na jego białą czapkę z daszkiem.*

## Rozdział II

### 1. Wtorek, 5 czerwca 1990

Kastor znalazł wolne miejsce na parkingu przed komendą, zamknął samochód, skinął głową wartownikom przed szlabanem i ruszył w kierunku budynku. Wcześniej w nocy po przebudzeniu zatrzymał stoper i stwierdził, że spał niecałe dwadzieścia jeden minut. Całkiem dobry wynik.

Rzecz jasna, nie były to jedyne minuty, jakie jego mózg poświęcał na odpoczynek. W ciągu dnia zdarzało mu się kilka razy, gdy miał chwilę, wyłączyć się na pięć lub dziesięć minut. Ale w ciągu nocy nie przesypiał nigdy więcej niż zmierzony na stoperze czas.

Zgodnie z zaleceniem psychologa zapisał dokładnie cały sen, nakarmił dziewczyny, jak nazywał szczurzyce, a resztę nocy spędził nachylony nad lekturą niejakiego Stephen Kinga pt. Jasność.

Pierwszy raz słyszał o tym autorze i po książkę sięgnął trochę z obawą, zniechęcony wyjątkowo, jego zdaniem, nieudaną okładką. No ale przecież nie po tym ocenia się książki. Dlatego przedwczoraj kupił egzemplarz, zachwalany mu przez pracownicę księgarni Pod Globusem, a dzisiaj w nocy skończył lekturę.

Naprawdę dobra i trzymająca w napięciu powieść, pomyślał, wchodząc na komendę i od razu wpadając w środek gigantycznej awantury.

– Gdzie wy, ciule zajebane!

Darł się mężczyzna, którego próbowano obalić dwóch mundurowych. Gdy w końcu im się udało i Kastor zerknął na wykrzywioną, purpurową z wściekłości twarz olbrzyma, z miejsca rozpoznał Basiurę, blisko pięćdziesięcioletniego waluciarza z Dębnik. Mundurowi założyli mu kajdanki na prawy przegub, ale zdecydowanie nie szło im z drugą ręką. Komisarz postanowił im

pomóc, ściągnął wielki zegarek z lewego nadgarstka leżącego i zatrzasnął na nim kajdanki. Mundurowi, sapiąc, podnieśli zatrzymanego, a Kastor schował mu zegarek do kieszeni.

– Basiura, co z tobą? Przeklinasz w państwowej placówce?

– Dzień dobry, panie komisarzu. Bo mnie wkurwili, no!

– Czyli?

– Panie komisarzu, pan mnie zna przecież. Ja do władzy z łapami nie startuję, ale ten jeden chciał ode mnie pięćdziesiąt bonów, tylko płacić nie miał ochoty.

– Łżesz, skurwysynu! – wydarł się jeden z mundurowych. – Zobaczysz na dole, jaki ci wpierdol spuścimy. Tutaj to była uwertura!

– Posterunkowy, skąd u was takie skomplikowane słowa? – Kastor roześmiał się.

– Prawdę mówię – wysapał Basiura. – Powiedział mi, że se posiedzę, dewizówka się ucieszy.

– Nie ma już dewizówki. Sprawa nieaktualna.

– A potem ten drugi też zaczął mnie szarpać – ciągnął niezrażony Basiura. – To, myślę, nie wytrzymię. No i wypłaciłem chleba w pysk. Niech pan pomoże, dobra? Odwdzięczę się.

– Nie mam czasu. Poza tym jak się ma za krótki lont, to trzeba płacić frycowe.

Minutę później komisarz wszedł do pokoju, przywitał się z Gieniem i zdjął marynarkę, wieszając ją na oparciu krzesła. Kwiatek leżał już pod kocem, pochrapując cicho. Po chwili do pokoju wszedł Tyszol, przezuwając poranną bułkę z serem i wędliną.

– Gieniu, zbieraj się. Robota jest.

– Co takiego?

– Enen. Znaleziono nogę przy Lasku Wolskim. Ktoś musi się tym zająć.

– Dlaczego zawsze ja jeżdżę na te cholerne eneny? – zaczął się pieklić aspirant. – Ten młody niech jedzie!

– Młody to na razie gównowicie i musi być pod kuratelą Kastora.

– Gieniu, co się ciskasz? – Kastor uśmiechnął się łagodnie. – Przecież to będzie prosta sprawa.

– Nie rozumiem.

– Ogród zoologiczny! Mówi ci to coś?

– Tak jest, podjedziesz, przesłuchasz wszystkie lwy i będziesz miał sprawcę. – Tyszol roześmiał się, kończąc śniadanie. – Sto procent wykrywalności.

– Wam to wiecznie żarty w głowie. – Gieniu machnął ręką. – A mi dwa lata do emerytury zostały i mam po lasach ganiać?

– Chodź, nie marudź. Załatwiłem ci transport.

Tyszol otworzył drzwi, Gieniu rzucił chodaki, z pomocą łyżki założył pantofle, a potem chwycił marynarkę i obaj wyszli, mijając się w drzwiach z wchodzącym do środka Czarkiem.

– Cześć. Tak może być?

Komisarz z początku nie zrozumiał, o co chodzi, ale gdy tamten pokazał nienagannie skrojoną, sportową marynarkę, kiwnął przyzwalająco głową.

– Jest git. Siadaj.

Czarek ściągnął marynarkę i usiadł na taborecie przy biurku Kastora. Ten zerknął ze zdziwieniem na szelki z przymocowaną doń kaburą.

– A to co?

– Co? No jak... Kabura na służbową broń.

– Powinna być na pasku z prawej strony, piętnaście stopni. To nie amerykański film. – Komisarz zrobił poważną minę.

– Niby dlaczego?

– Wstań.

Czarek wykonał posłusznie polecenie i po chwili obaj mężczyźni stali w pokoju naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Kastor sięgnął po broń, a Czarek zrobił to samo. Ten ostatni nie zdążył nawet dotknąć broni, gdy pistolet komisarza był już wycelowany prosto w jego głowę.

– Teraz rozumiesz? Tak to Kodzak może się nosić, jak go będą kręcić na dwie kamery. Ty masz być skuteczny – powiedział Kastor, chowając broń.

– Pójdę się przebrać...

– Na razie sobie odpuść. Wątpię, abyś dzisiaj musiał wyciągać żelazo. Co sądzisz o tym zaginięciu?

– Jakim zaginięciu? – Czarek kompletnie zbaraniał.

– Dostaliśmy wczoraj wieczorem zgłoszenie.

– Przecież ja wtedy byłem już w domu.

– No tak. W takim razie wszystko w porządku.

Kastor podszedł do okna, otworzył je szeroko, wychylił się i wydarł na całą okolicę:

– Ludzieeee!!! Pamiętajcie, żeby nie kraść i nie mordować w nocy, bo Czarek wtedy śpi!

Kilku mundurowych stojących na dole zadarło ze zdziwieniem głowy, a Kwiatek przestał na chwilę chrapać. Komisarz zamknął okno i usiadł za biurkiem, sięgając po dokumenty, które zaczął przeglądać z fałszywym zainteresowaniem. Czarek stał bez ruchu na środku pokoju, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. W końcu Kastor z westchnieniem znużenia odgarnął swoją blond czuprynę i powiedział powoli:

– Młody, zapierdalaj w podskokach na dół po biuletyn i masz wykuć na blachę absolutnie wszystko, co wydarzyło się, od kiedy zszedłeś ze służby, aż do twojego powrotu. Zrozumiano!?

– Tak jest!

Czarek nieomal stanął na baczność i wypadł biegiem z pokoju. Komisarz pokręcił głową ze złośliwym uśmiechem, a gdy stojący na biurku telefon ożył charakterystycznym dzwonkiem, sięgnął po słuchawkę.

– Komisarz Kastor Grudziński.

– Dzień dobry, panie komisarzu, Barbara Derko z tej strony. Chciałam pana poinformować, że pani Aleksandra potwierdziła spotkanie. Rozumiem, że mogę jej przekazać to samo?

Wiedział, że ma ułamki sekund, zanim znowu zostanie zbesztany przez bezkompromisową starszą panią. Co zrobić? Wymówić się pracą, natłokiem obowiązków? Poza tym zaginięciem na razie wiele się nie działo. Gorąco było w przestępstwach przeciwko mieniu, czyli wszelkiego rodzaju mieszkaniówce, ale to nie było już jego działką

od przeszło pół roku. Nie zdążył dokończyć wewnętrznego monologu. Najwyraźniej jego czas się skończył.

– W takim razie potwierdzam – usłyszał w słuchawce głos właścicielki biura matrymonialnego. – Godzina szesnasta trzydzieści w Zalipiankach. Pani Aleksandra będzie miała na sobie ciemną spódnice, niebieską bluzkę, a w ręku bukiet fiołków. Proszę pamiętać o swoim znaku rozpoznawczym. Powodzenia! – Kobieta rozłączyła się, a Kastor jeszcze dłuższą chwilę trzymał słuchawkę przyklejoną do ucha.

Godzinę później do pokoju wbiegł zziębnięty Czarek.

– Zrobione. Kurwa, wiem chyba wszystko, łącznie z awariami wodociągowymi z nocy. Możesz mnie przepyttać.

– Przepytывanie zostawiam twoim mentorom z Piły. Co sądzisz o sprawie tego dyrektora?

– W ogóle jakiś pic na wodę fotomontaż. Facet nie wraca na wieczór, a my już ciśniemy zaginięcie?

– Takie czasy. Dzwon.

– Do kogo?

– Do episkopatu! Dzwon do tej baby, może słomiany wdowiec odnalazł drogę do domu!

Czarek sięgnął po słuchawkę, a komisarz podał mu swój notes z zapisanym numerem telefonu. Młodszy aspirant wykręcił numer i czekał dłuższą chwilę, wsłuchując się w sygnał po drugiej stronie.

– Nikt nie odbiera. – Czarek odłożył słuchawkę.

– Pewnie to jest czas fryzjera i paznokci.

– Co?

Kastor pokrótce zrelacjonował wczorajszą wizytę, opisując nowobogacką willę, luksusowy samochód i ekskluzywną żonę. Gdy skończył, Czarek zamyślił się na chwilę i powiedział:

– Ciekawe, czy mu w tej amerykańskiej firmie płacą w dolcach?

– Dlaczego?

– Mikrofala, całe wyposażenie. Takie luksusowe rzeczy to w

papierze trzeba kupować. Wiem, bo moi starzy dopiero co remont robili.

– Masz mikrofalówkę?

– Tak.

– Ty, mówią, że można w niej jajko ugotować. To prawda? – Kastor zainteresował się na poważnie.

– Czy ja wiem... Jeszcze nie próbowałem.

– Wątpię, żeby mu płacili amerykańskim „piniondzem” – Komisarz bez żalu porzucił kulinarne tematy. – Pewnie musi dymać po waluciarzach.

Po wypowiedzeniu ostatniego zdania uniósł się lekko na krześle, mrużąc oczy.

– Co jest?

– Chodź, może się czegoś nauczysz.

Kastor sprowadził Czarka na dół do aresztu i kazał otworzyć drzwi jednej z cel. W środku na pryczy leżał Basiura. Mężczyzna był bez butów, a skarpetki zrolował do połowy stopy, odsłaniając pięty.

– Basiura, coś się tak wyłożył? Szklanki wódki nie ma ci kto podać, co?

– Pan komisarz? Te skurwysyny po piętach mnie lały! Gestapo! Pierdoleni hitlerowcy!

– No już, uspokój się, bo ci żyłka pierdyknie – rzucił pojednawczo Kastor. – Załóż te skarpety, bo się tu podusimy.

Basiura usiadł na łóżku, naciągnął skarpetki i spojrzał bez zaufania na Czarka.

– Spokojnie, jest w porządku. – Komisarz wyciągnął zdjęcie Zbigniewa Gutowskiego i podał je zatrzymanemu. – Kojarzysz?

Basiura wpatrywał się w fotografię przez dłuższą chwilę.

– Nie kojarzę. A powinienem?

– Elegancki pan, człowiek sukcesu. Musiał gdzieś kupować zagraniczne pieniądze. Może coś wiesz, jako waluciarz?

– Jaki waluciarz!?! Panie komisarzu, ja jestem teraz biznesmen, mam

trzy kantory. Porobię jeszcze dwa lata, a potem sobie pół Nowego Śącza kupię i chuj, spokój do końca życia.

– Dobra, przygody misia Colargola będziesz snuć komu innemu. – Komisarz skrzywił się z niesmakiem. – Chcesz zjeść kolację w domu?

– Musiałbym popytać. Pan mnie puści, a ja podjadę za kilka dni.

Słyszac to, Kastor roześmiał się na cały głos, szturchnął Czarka, dając mu znak do wyjścia, i po chwili stali na korytarzu, a mundurowy zatrzaskał drzwi celi.

– Panie komisarzu! To na kiedy to ma być!?

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym na rogu Pstrowskiego i Warneńczyka, słuchając co jakiś czas trąbienia zniecierpliwionych kierowców, którym nie podobało się, że czarne audi blokuje część jezdni.

– Nie mogę uwierzyć, że wozimy zatrzymanego po mieście, a on odwiedza różne kantory. – Czarek pokręcił głową. – Podpisałeś chociaż jakieś kwity, że go bierzemy?

– A ty się z rana w prokuraturze zatrudniłeś? – Kastor odgarnął zmęczonym gestem swoją czuprynę. Powoli zaczął dopadać go jeden z pierwszych kryzysów.

– Przecież on może uciec.

– Może, ale nie chce.

Jakby na potwierdzenie tych słów zza rogu wyłonił się spocony Basiura i podszedł do drzwi od strony pasażera, a komisarz uchylił dobrodusznie szybę.

– Mamy go. Mój funfel twierdzi, że bywał u niego nieraz. Czasami z synem. Tylko takim, co to ma nie tego pod kopułą, pan rozumie.

– Synem? – Kastor próbował wyszukać w pamięci, czy w odwiedzionym poprzedniego dnia domu były jakieś zdjęcia lub ślady świadczące o potomstwie.

– Tak. Raz czy dwa nawet woził mu gotówkę na Kazimierz. Znaczą się mój koleżka.

– Kazimierz? Pod jaki adres?



– Nie pytałem – odparł Basiura i widząc spojrzenie Kastora, szybko się wycofał, wracając po trzech minutach i meldując postłusznie: – Bohaterów Stalingradu 26A. W podwórzu, drugie piętro.

– Dzięki. Trzymaj się! – powiedział Kastor i gestem nakazał Czarkowi odjechać.

– Panie komisarzu, no ale jak!? – Basiura uczeplił się okna. – Na Mogilskiej mają moje dokumenty, pasek, no i te, sznurówki! Przecież się spisałem!

– Spisałeś się, to prawda. Wsiadaj!

Czarek zawrócił, wywołując kolejne gniewne trąbienia, i audi pomknęło na wschód. Przecięli Wisłę mostem Powstańców Śląskich i gdy przekroczyli granicę Kazimierza, Kastor poczuł, że coś jest nie tak. Normalnie wszystkie zakazane mordy, złodzieje, rozbojarze i doliniarze z miejsca kryli się po bramach. A teraz jak gdyby nigdy nic stali na uliczkach, wystawiając swoje bezczelne gęby na pokaz. Komisarz szybko zorientował się, że to dlatego, że nie jechali polonezem, będącym od przeszło miesiąca w naprawie, tylko poruszali się samochodem Czarka.

Dopiero gdy zatrzymali się pod wskazanym adresem i okoliczni mieszkańcy mieli w końcu szansę ujrzeć zmierzwioną blond czuprynę, ten i ów z miejsca schował się w bramę, w podcienie jednej z kamienic, czy też po prostu z werwą przesadził ogrodzenie. Tak, teraz wszystko w porządku, pomyślał Kastor i rzucił krótko do siedzącego na tylnym siedzeniu waluciarza:

– Basiura! Pilnuj auta, żeby nam kół nie pokradli.

– Chryste, panie komisarzu... Przecież pomyślą, że ja w druty daję.

– Też racja.

Kastor otworzył tylne drzwi i uderzył kilka razy pięścią w bladą twarz zatrzymanego, łamiąc mu nos. Basiura jęknął z bólu i nachylił się gwałtownie, a komisarz chwycił go za kark i wysunął z samochodu. Krew z rozbitego nosa zaczęła kapać obficie na chodnik.

– Widzisz, jak ja dbam o twoją furę? – powiedział komisarz do Czarka i obaj weszli w bramę kamienicy.

Ciasne podwórko otoczone było chylącymi się ku ruinie budynkami.

Kazimierz był dzielnicą nędzy, brudu i beznadziei, gdzie lepiej nie zapuszczać się po zmroku. Zresztą nie było specjalnie po co, bo o ile Stare Miasto obfitowało w różnego rodzaju knajpki i kawiarnie, o tyle na krakowskim Kazimierzu nie było praktycznie nic. Oczywiście nie licząc podejrzanych mordowni, gdzie można było dostać w zęby na przysłowiowe „dzień dobry”.

Szybko odnaleźli właściwe mieszkanie i Czarek zapukał energicznie do drzwi. Po chwili w progu stanęła około czterdziestoletnia kobieta o wybitnie kazimierzowskiej fizjonomii, świadczącej, że tak zwane szlifowanie bruku nie było jej obce.

– Co jest? – spytała, nie wyjmując papierosa z ust.

W normalnej dzielnicy trzeba by się było grzecznie przedstawić, wyciągnąć legitymację służbową i wyjaśnić cel wizyty. Ale nie tutaj.

– Gównno!

Komisarz wydarł się na całą klatkę, pchnął ramieniem drzwi i przemknął obok gospodyni do wnętrza domu. Ta potulnie wpuściła obu gości i stanęła przy ścianie, ćmiąc swojego papierosa. Kastor rozejrzał się po zabiedzonym wnętrzu, które wyglądało niczym z katalogu mieszkań biedoty, ale jednak kilka szczegółów zwróciło jego uwagę. Łazienka z farbą odłóżącą ze ścian, ale nowa pralka. Kuchnia lepiąca się od brudu, ale prowizorycznie zamontowany nowy zlew i podgrzewacz do wody. Dywan wytrzepany w czasach, gdy Kazimierz był oddzielony martwą Wisłą od Starego Miasta, ale telewizor nowiutki. Komisarz rzucił pytające spojrzenie koledze, tym samym sprawdzając chłopaka.

– Skąd te nowe graty? – zdziwił się Czarek.

– Bardzo dobrze. Spokojnie, zaraz się wszystkiego dowiemy.

Kastor spojrzął na stojącą bez słowa kobietę. Mocny, wyjątkowo wulgarny makijaż jej nie zdradził, tak nosiło się wiele tutejszych kobiet. Za to postawa, jaką przyjęła wobec funkcjonariuszy, była niczym barwiący się na odpowiedni kolor papierek lakmusowy. Gospodyni stała cicho w kącie, nie odzywała się, nie dziwiła, czekała, aż będzie mogła się odezwać. Musiała mieć z nami do czynienia nie raz i nie dwa, pomyślał komisarz. Chciałoby się powiedzieć, że to

prostytutka mająca lata świetności za sobą, ale na Kazimierzu i na taki towar znajdowali się nabywcy.

– Gdzie synalek dyrektora?

Kobieta wskazała bez słowa drzwi, a Kastor przeszedł do drugiego pokoju. W środku przy stole siedział zgarbiony, około osiemnastoletni chłopak. Miał na sobie krótkie spodenki, koszulę w prążki i wprost nieprawdopodobnie uświniony sweter. Gdy komisarz podszedł bliżej, poczuł smród bijący od młodego mężczyzny i zobaczył jego kompletnie puste spojrzenie. Chłopak kiwał się miarowo do przodu i do tyłu, a w rękę trzymał foliową torebkę wypełnioną żołędziami i agrafkami. Po kolei wyjmował wszystko i układał na blacie stołu w skomplikowane wzory, po czym zgarniał z powrotem przedmioty do torby, mieszał i od nowa rozpoczął układanie.

– Jak się nazywasz?

Chłopak drgnął na dźwięk głosu komisarza i zastygł w bezruchu.

– Niebezpieczny nie jestem – powiedział, po czym wrócił do kiwania i swego poprzedniego zajęcia.

Kastor przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i powiedział do kobiety:

– Dokumenty. Chłopaka też.

Kobieta wyciągnęła dowody z szuflady i podała je komisarzowi. Ona nazywała się Bożena Leśniak, a jej syn miał na imię Antoni.

– Zbigniew Gutowski. Kiedy go pani ostatnio widziała?

– Wczoraj. Był tu z samego rana, przywiózł pieniądze.

– To jego syn?

– Owszem, jego. Kiedyś się znaliśmy, mała wpadka. Resztę sami sobie dopowiedzcie. Zresztą... – Leśniak wyciągnęła kolejnego papierosa i zapaliła go. – To jest wspaniały człowiek. Ja go naprawdę kochałam.

– Wzruszające.

– Żebyś, kurwa, wiedział. – Spojrzała na komisarza z nienawiścią. – Ale co taki fagas z blacharni może o tym wiedzieć?

– Przyhamuj, bo ci podrasuję ten makijaż.

Kobieta lekko drgnęła, zlustrowała Kastora uważnym spojrzeniem i powiedziała:

– Ty nie z takich. Już ja się na was dobrze znam.

– Uważaj, bo cię kiedyś instynkt zawiedzie. – Kastor oddał jej dokumenty. – Jak często bywa tu pan dyrektor?

– Raz w miesiącu, zazwyczaj na początku. Czasami bierze Antka na przejażdżkę, albo na spacer.

– A wczoraj?

– Nie.

– Przydałoby się umyć chłopaka. Nieźle capi.

– Tak? To spróbuj! Zobaczysz. Byk ma osiemnaście lat i jak tylko widzi wodę to się wyrывa i tłucze mnie po pysku! Wszyscy, kurwa, mądrzy, a pomoc nie ma komu.

Urwała gwałtownie, patrząc ponad ramieniem komisarza. Ten odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Antka. Zdziwiło go jego spojrzenie, w przeciwieństwie do poprzedniego wyjątkowo bystre i rozumiejące.

– Ojca trzymają w piwnicy. Chcą go zabić – powiedział chłopak i jego wzrok przysgał, jakby ktoś nagle odłączył mu prąd.

Kastor i Czarek wymienili spojrzenia, a Leśniak zatrzęsła się od śmiechu.

– Co panią tak śmieszy?

– Chodźcie, zobaczycie.

Kobieta wyprowadziła ich z mieszkania i sprowadziła na dół, gdzie zobaczyli schody wiodące do piwnicy, w połowie zalane betonem.

– Dwa lata temu budynek groził zawaleniem, musieli wzmocnić fundamenty, przy okazji zlikwidowali nam piwnicę.

Komisarz pożegnał się z Bożeną Leśniak skinieniem głowy i razem z Czarkiem wyszli na zewnątrz. Gdy przechodzili pod oknami mieszkania, usłyszeli chłopaka, który wychylony z okna powiedział:

– Ojciec jest w piwnicy. Tam, gdzie mama suszy pranie.

Kastor zadął głowę do góry, popatrzył w oczy Antka, przeniósł spojrzenie na Czarka i po dwóch minutach obaj policjanci byli już na strychu. Pomieszczenie przecinały masywne belki podtrzymujące

dach, a źródłem światła były dwa niewielkie okienka. Pomiedzy krokwiemi rozwieszono kilka sznurków, na których suszyły się prześcieradła.

– Nikogo tu nie ma – powiedział po dłuższej chwili Czarek.

– Zaczekaj. – Komisarz nachylił się nad drewnianą podłogą. Deski pokryte były grubą warstwą kurzu, ale gdzieś tam widniały świeże ślady w kształcie półksiężyca. – Co myślisz?

Czarek nachylił się i zaczął się w milczeniu przyglądać cienkim wgłębieniom w kurzu, układającym się w dziwaczne kształty.

– Na mój gust to ktoś toczył coś ciężkiego. Nie wiem, beczkę?

– Dobrze. Bardzo dobrze kombinujesz, młody.

– Wykłady w Pile jednak na coś się przydały.

W odpowiedzi Kastor uśmiechnął się krzywo, a schodząc na dół, zatrzymali się na drugim piętrze, żeby rozpytać jeszcze trochę Bożenę Leśniak.

– Beczka? – Zmarszczyła grubo pomalowane brwi. – No była z rana beczka na podwórku, faktycznie. Potem samochód ją zabrał. Niebieski, taki nowiutki, z taką klapą z tyłu, co jeździła w górę i w dół.

– Nie pamięta pani marki?

– Co mam nie pamiętać? Taka ciemna jestem. Mercedes.

Odwieźli poturbowanego Basiurę na Mogilską, a potem Kastor poprosił Czarka, aby podrzucił go na Planty. Gdy komisarz wysiadł na rogu Podwala i Szewskiej, obszedł samochód i stanął przy drzwiach kierowcy.

– Zostaw potem auto na Mogilskiej, żebym miał na wieczór. Rozejrzę się za tym mercedesem. Aha, i zrób kwity ze wszystkiego, żeby Kwiatek znał temat.

– Na poważnie myślisz, że w tej beczce był dyrektor?

– Nie wiem, dopóki nie zobaczę, to nic nie myślę. Dlaczego na Kazimierzu? Może wiedzieli, że tam będzie, a może to jakaś sprawa z przeszłości...

- A, mam jeszcze pytanie. – Czarek wyraźnie się krępował.
- Pytaj.
- Broń to ja mam zdawać do jakiegoś arsenału czy jak?
- Znaczy do muzeum!?
- Wiesz, o co mi chodzi. Chyba macie tu w wojewódzkiej jakieś procedury?
- Tak, procedura jest jedna. Broń masz zawsze przy sobie. Możesz ją na chwilę zdjąć, jak pójdziesz srać albo będziesz obracał jakąś lalę. Chociaż w tym drugim przypadku to niekoniecznie.
- Mam ją trzymać w mieszkaniu?
- Jasne. Najwyżej wyjmuj zamek, no i pilnuj pestek, bo z tego się rozliczamy. Dużo ćwicz. Broń jest zazdrosna tak samo jak kobieta. Jak się lenisz i o nią nie dbasz, to potem są problemy. Trzymaj się!

## 2.

Zerknął na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze pół godziny. To znaczy tak naprawdę uważał, że czasu ma o wiele więcej, ponieważ nie zamierzał iść na żadną randkę. To była kolejna zmiana zdania w ciągu tego dnia. Średnio raz na pół godziny stwierdzał, że na randkę idzie, a potem, że to bez sensu i po prostu nie da rady.

Szedł spacerowym krokiem przez Planty, przypatrując się roześmianym ludziom, którzy wylegli tłumnie na zewnątrz, korzystając z pięknego, czerwcowego słońca. Normalnie musiałby wlać w siebie kolejne pół litra kawy, bo zwyczajowo była to pora następnego kryzysu. Jednak teraz był zdenerwowany i buzująca w jego żyłach adrenalina nie pozwalała na jakiegokolwiek oznaki senności. Gdy doszedł do Franciszkańskiej, podjął, jak mu się zdawało, ostateczną decyzję. Trudno, może robię z siebie niepoważnego faceta i po prostu gówniarza, pomyślał. Ale jeszcze nie jestem na to gotowy. Poza tym Karolinę poznałem przez znajomych, umawialiśmy się, spotykaliśmy, wszystko jakoś naturalnie ewoluowało. A tutaj? Zupełnie bez sensu.

Ruszył w stronę Straszewskiego. Chciał złapać tramwaj pod filharmonią, który zawiezie go na plac Inwalidów. Postanowił, że posiedzi chwilę w domu, posprząta klatkę dziewczynom, a wieczorem pojedzie do pracy i razem z Kwiatkiem popracują trochę nad sprawą zaginionego, który tak naprawdę już dawno mógł wrócić. Właśnie, ciekawe czy dyrektor wrócił w nocy z przeprośnym wyrazem twarzy, a my tak naprawdę kręcimy się wokół sprawy, która nie istnieje, zaczął się zastanawiać, gdy jego wzrok padł na stoisko z kwiatami. W niewielkim czerwonym wiaderku tkwiły zanurzone w wodzie białe kalie. To miał być jego znak rozpoznawczy, właśnie z tym kwiatem wetkniętym w klapę powinien pojawić się za dziesięć minut w Zalipiankach.

– Dzień dobry – przywitał się z kwiaciarką i wyciągnął portfel. – Poproszę jeden taki kwiatek.

Kastor zostawił parę złotych górką, wywołując uśmiech sprzedawczynie, wetknął kwiat w butonierkę i ruszył przez Planty w stronę Zalipianek. Postanowił, że po prostu powie czekającej na niego kobiecie, że postąpił nierozsądnie i bardzo przeprasza, ale na razie nic z tego nie będzie. Zachowa się jak mężczyzna.

Pięć minut później wszedł do gwarnego wnętrza kawiarni. Ściany zdobiły ludowe wzory prosto z Zalipia, a stoły nakryto koronkowymi obrusami, między którymi kręciły się ubrane w regionalne stroje kelnerki. Od razu ją zauważył. Siedziała tyłem do niego, przy małym stoliku pod oknem, a przed nią leżał bukiet fiołków. Chciał już podejść, gdy zerknął na wiszące obok baru lustro. Przydeptane pantofle, ta jego za duża marynarka i zmierzwione blond włosy opadające do ramion. Jakby tego było mało, biała kalia ze zwiniętymi liśćmi tkwiąca w butonierce, wyglądała jak szparag, albo jeszcze gorzej, jak penis wystający z fałd kraciastej marynarki. Mogłeś się chociaż jakoś ubrać na tę randkę, wyglądasz jak debil, pomyślał. Tylko ją obrazisz.

Jedna z kelnerek zauważyła gościa i podeszła do niego, ale komisarz wyszedł bez słowa. Przechodząc przez Szewską chwycił kalię i rzucił kwiat prosto na ulicę. Szedł bez słowa przez Planty, myśląc o swoim

zachowaniu. Dowódca sekcji kryminalnej, wcześniej tyle lat w dochodzeniówce. Zasadzki, obserwacje. Czekanie po trzydzieści sześć godzin w bramie, aż jakiś paser wróci z weekendowego wyjazdu. Pościgi, bójki, włazienie bez strachu w ciemne zaułki i zakazane kamienice na Kazimierzu. Jak przyjeżdżał na włam, to już na pierwszy rzut oka wiedział, czy ktoś opędził mieszkanie na graty, czy może na brechę. A tutaj? Stchórzył paskudnie.

Stał teraz na przystanku pod Bagatelą, czekając na tramwaj, który zawiezie go do domu, gdy usłyszał niski kobiecy głos:

– Przepraszam, chyba pan coś zgubił.

Odwrócił się. Przed nim stała niższa o głowę brunetka z włosami zaczesanymi na jedną stronę. W dłoni trzymała lekko ubrudzoną, przydeptaną białą kalię. Zalała go fala wstydu. Poczuł, że twarz eksploduje mu zaraz od pulsującej pod skórą krwi.

– Widziałam pana w lustrze – powiedziała, pokazując bukietek fiołków, na wypadek gdyby on jednak się nie domyślił. Delikatnym gestem wsadziła białą kalię do jego butonierki.

– Dziękuję – bąknął nieporadnie. – Najmocniej panią przepraszam.

– Za co?

– Za swoje zachowanie.

Skinęła głową, trochę ze smutkiem, trochę z rozbawieniem. Zauważył, że pod prostymi, gładko zaczesanymi włosami zakrywającymi jej lewy policzek kryje się jakaś niewielka blizna.

– To mój tramwaj. – Wskazała nadjeżdżający pojazd. – Jeśli naprawdę nie chce pan mnie poznawać, to proszę po prostu powiedzieć. Pojadę do domu i nigdy więcej się nie zobaczymy.

Kastor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, obserwując jednocześnie zatrzymujący się tramwaj. Ludzie wysiedli na przystanku, nowi pasażerowie zajęli swoje miejsca, motorniczy nacisnął ostrzegawczo dzwonek i po chwili pojazd odjechał ze zgrzytem. Kobieta patrzyła na rozdziawione usta komisarza i w końcu wybuchnęła śmiechem. Kastor zamknął usta i pomyślał, że bardzo podoba mu się sposób, w jaki się śmieje.

– Przepraszam. Ale właśnie o to chodzi. Nie jestem w tym dobry.



– W czym?

– W rozmowach z kobietami. Przez cały ten czas, kiedy stałem z otwartą gębą, myślałem, co by tu powiedzieć.

– Najlepiej coś szczerego. I miłego.

– W porządku. – Zamyślił się na krótką chwilę. – Chcę panią poznać i podoba mi się sposób, w jaki pani się śmieje.

– Dziękuję. – Dygnęła z przesadą. – Ola jestem.

– Kastor, bardzo mi miło.

– Kastor? Poważnie?

Komisarz znowu poczuł, że traci pewność siebie. Właściwie bywał tylko w pracy, a tam wszyscy przyzwyczaili się do jego nietypowego imienia. Za to w podstawówce przeszedł prawdziwe piekło z tego powodu.

– Ekstra imię! Takie nietypowe! No i to dźwięczne „r”.

– W Aleksandrze też jest.

– Prawda – Uśmiechnęła się. – Ale wszyscy mówią na mnie Ola. Wiesz co, po zastanowieniu uważam, że to jednak nie jest najlepsza ozdoba.

Wyjęła białą kalię z jego marynarki i wyrzuciła do pobliskiego kosza.

– Co, wyglądam jak zboczeniec?

– Słucham?

– Ten kwiat wyglądał trochę jak penis, prawda? – Roześmiał się, szybko uświadamiając sobie, że palnął niezłą gafę. – To znaczy jak szparag...

– Masz rację, nie pomyślałam o tym. – Pacnęła się w czoło jak dziecko, ciągle uważając, aby włosy nie odstoniły jej policzka. – Umówmy się, że po prostu wyglądało to dziwnie.

– Zgoda.

– Słuchaj, może spotkajmy się jutro po południu. Porozmawiamy na spokojnie, przejdziemy się gdzieś? – spytała i zrobiła minę, jakby sobie o czymś przypomniała. – O rany, znowu niepotrzebnie przejmuję inicjatywę. Czy ja wyglądam na zdesperowaną? No jasne, że tak!

– Nie, wszystko w porządku. – Komisarz uśmiechnął się

mimowolnie. – Proponuję szóstą wieczorem. To co, może tutaj pod Scalą?

– Będę! Naprawdę było miło cię poznać, Kastor. Do jutra!

Uśmiechnęła się do niego, machnąwszy ręką, i wskoczyła do odjeżdżającego tramwaju. Kastor nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nie powiedział nic. Po prostu odprowadził ją spojrzeniem. Zauważył jeszcze, że usiadła z tyłu wagonu, a gdy pojazd odjeżdżał, rzuciła mu wesołe spojrzenie.

### 3.

Gdy tylko komisarz wszedł do pokoju, od razu zauważył, że stojąca w kącie amerykańka jest pusta. Najwyraźniej Gieniu został trochę dłużej i postawił Kwiatka na nogi. To były niepisane zasady. Zawsze albo jeden, albo drugi leczyli sierżanta Kwietnia, a gdy ich nie było, zajmował się tym nawet sam naczelnik Tyszowiecki. Rzecz jasna, pod koniec miesiąca Kwiatek rozliczał się z nimi, zwracając pieniądze za alkohol. Czasy i stroje się zmieniały, ale jedno w kraju nad Wisłą pozostawało niezmiennie, wódka była zawsze na każdą kieszeń.

Drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Tyszol.

– Kastor. Prewencja się skarży, że im ludzi wypuszczasz. I to takich, co biją naszych.

– A kto to są ci nasi, panie naczelniku kochany? Każdy, kto przez przypadek z rana założył mundur?

– Przestań się zgrywać. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Musiałem skorzystać z pomocy. Poszukujemy jednego faceta.

– Słyszałem. Tylko dlaczego ja nie mam żadnego zawiadomienia?

– Sprawa jest rozwojowa. – Komisarz wyszczerzył się.

– Ej, to moja wymówka przed komendantem. Muszę zacząć pobierać tantiemy. Jak zwykle na razie kryję twoją dupę, bez podtekstów, ale ściągnij trochę cugle, dobra?

– Przyjąłem. Reprimendę biorę sobie do serca.

Naczelnik Tyszowiecki zniknął, a Kastor stwierdził, że jeśli faktycznie

okaże się, że dyrektor wrócił cały i zdrowy do domu, to skończy się kompromitacją. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Gutowskich. Nikt nie odebrał po drugiej stronie. Komisarz w końcu odłożył słuchawkę, a do środka wszedł Kwiatek. Dziś miał na sobie garnitur w stalowym odcieniu z elegancką, zapiętą na wszystkie guziki kamizelką, śnieżnobiałą koszulę i krawat w kwieciste wzory. Gdy usiadł za biurkiem naprzeciwko, do Kastora doleciała woń eleganckich perfum, jakieś połączenie bzu i piżma, wraz z wyczuwalną nutą gardenii. Sierżant chwycił za stojące na biurku piwo, otworzył je i przelał zawartość do eleganckiej szklanki typu pils na smukłej nóżce. Komisarz nie miał pojęcia, skąd jego kolega mógł wytrzasnąć to naczynie, którego nie widywał nawet w najelegantszych lokalach na mieście. Gdy Kwiatek zapalił papierosa w lufce, jako tło do jego postaci mógł już tylko pasować kwartet jazzowy w knajpie nowojorskiego Harlemu.

– Czarek zostawił ci notatkę?

– Tak, wszystko wiem.

– Dziwne, co?

– Trudno powiedzieć. – Sierżant Kwiecień wzruszył ramionami. – Gościu zrobił dzieciaka i postanowił na niego łożyć. Zapytałbym: „mało to takich historii?”. Ale wszyscy wiemy, że o wiele więcej jest takich, w których facet do niczego się nie przyznaje i po prostu znika jak kamfora.

Komisarz chciał coś odpowiedzieć, ale zauważył niewielką różę wpiętą w butonierkę szarej marynarki.

– A biała kalia?

– Co?

– Wpiąłbyś sobie białą kalię zamiast róży?

– Do tego garnituru nie pasuje – stwierdził Kwiatek ze znanstwem.

– Źle łamałoby barwy. Poza tym jeśli płatki kalii są nierozwinięte, no cóż, wygląda to wtedy dość dwuznacznie...

– Rozumiem. – Kastor skinął głową i zastanawiał się, czy właścicielka biura matrymonialnego nie chciała przypadkiem zrobić z niego durnia. Uspokój się, pomyślał, czując ogarniające go

zmęczenie, jeśli ktokolwiek robi z ciebie durnia, to jesteś to ty sam. Poczuł pod powiekami nie ziarenka, ale grudy piasku. Wstał i zaczął parzyć sobie mocną kawę, rzucając przy tym pytające spojrzenie Kwiatkowi.

– Nie, dzięki – powiedział jego kolega, dopijając okocimia.

Po chwili komisarz wrócił za biurko, pijąc z kubka czarny jak smoła napar. Poczuł ciepło rozchodzące się po ciele, a senność powoli zaczęła ustępować.

– Masz pomysł, jak namierzyć tego merca?

– Otwierana z tyłu winda to raczej rzadkość – stwierdził Kwiatek. – Sam takie coś widziałem do tej pory tylko na filmach. Może zapytajmy kogoś z pegie?

– Ale wiesz, że w styczniu rozwiązali wydział do walki z przestępczością gospodarczą? – Kastor roześmiał się.

– Poważnie? Jakim cudem mi to umknęło?

Komisarz rzucił okiem na rozgrzebaną amerykankę i tkwiącą pod meblem miednicę, ale postanowił nie komentować. Zamiast tego powiedział:

– Chociaż z drugiej strony, może to nie jest najgorszy pomysł. Pamiętasz Rolnika? On tam robił, a teraz przenieśli go do taborów. Chodź, przejdziemy się.

Potocznie taborami określano Wydział Gospodarki Materiałowo-Technicznej, mieszczący się w wąskim, parterowym budynku na tyłach komendy wojewódzkiej. Aby się do niego dostać, trzeba było przejść przez niewielką przestrzeń przy garażach. Gdy tylko opuścili główny budynek, zaczęło delikatnie padać, a rzadkie jeszcze krople znaczyły asfaltową powierzchnię.

Szybko dotarli do siedziby komórki zajmującej się między innymi uzbrojeniem, umundurowaniem, sprzętem techniki policyjnej, a także zaopatrywaniem miejscowych jednostek w żywność, artykuły biurowe, środki czystości i inne tego typu pierdoły. Mimo późnej pory Rolnik siedział w swoim ciasnym gabinecie, ledwo mieszcząc się

przy mikroskopijnym biurku. Swój pseudonim zawdzięczał wyjątkowo wielkim, wręcz karykaturalnym dłoniom. Potężne niczym bochny chleba ręce spoczywały swobodnie na blacie, a gdy weszli do środka, siedzący rzucił im krzywy uśmiech i powiedział:

– Nie wierzę. Czyżby to wielcy oficerowie policji kryminalnej odwiedzili moje skromne progi? A cóż to się stało?

– Dlaczego coś by się miało stać? Pogadać chcieliśmy – rzucił swobodnym tonem Kastor.

– Tak? A co z waszym stałym powiedzeniem: „Gdy pegowca nie szanujesz...”?

„To masz rację, bo to chuje”, skończył w myślach Kastor. Faktycznie wcześniej funkcjonariusze z przestępstw gospodarczych byli uważani za safandudy i lekko pogardzani przez inne wydziały. Kryminalni, którzy cieszyli się w swoim zawodzie podobną estymą co chirurdzy w medycynie, trzeba uczciwie przyznać, w tej pogardzie przodowali.

– Przecież wiesz, że ja zawsze byłem w porządku. – Komisarz wzruszył ramionami.

– To akurat prawda.

Swoją drogą, pomyślał Kastor, dziwnym trafem wszyscy z pegie chętnie przyjęli nowe posady za biurkiem, a żaden z nich nie palił się do pracy w terenie.

– To straszne skurwysyństwo, że zlikwidowali ten wydział – zaczęli żalić się Rolnik. – Myślą, że jak mienia państwowego nie ma, to co, niepotrzebne? A ja wam mówię, że ludzie będą mieć firmy i będą kantować! Mam brata w Australii. Tak samo jak tam będą kręcić wały na podatkach, wyłudzać. A teraz co!? Gówno! Wolna amerykanka!

– Wolnoamerykanka – poprawił ze spokojem Kwiatek.

– Co?

– Nic. Rolnik, nie denerwuj się, bo właściwie to i po co?

– Rozkradną kraj, skurwysyny!

Komisarz skinął głową i dał chwilę swojemu rozmówcy, aby uspokoił nerwy. Po krótkiej przerwie powiedział:

– Szukamy nowego mercedesa. Niebieski, dostawczy, z windą taką z

tyłu. Kto może mieć tyle forsy, żeby posiadać takie cacko?

Rolnik zastanowił się, patrząc w sufit, i zaplótł swoje potężne dłonie na biurku. Mogło się wydawać, że miał ze dwadzieścia palców, a nie dziesięć.

– Tomek Godart – powiedział po chwili. – Ma jedną z najpotężniejszych firm budowlanych nie tylko w Krakowie, ale i w całym regionie. Robi teraz absolutnie wszystko. No i ma hopla na punkcie mercedesów.

– To znaczy?

– Zaczynał jako zwykły budowlaniec, ja robiłem wtedy w dochodzeniówce, lata sześćdziesiąte. Zgarnąłem go za jakąś bójkę, a na plecach miał ten znaczek i na rózach wielki napis: „Bez gwiazdy nie ma jazdy”.

– Romantyk – wtrącił bez przekonania sierżant Kwiecień.

– Wiesz, gdzie ma siedzibę?

– Pewnie. Na Zakopiańskiej. Nie ma szans, żeby przegapić. Największy w okolicy ogrodzony teren, hałdy piachu i żwiru, ze dwadzieścia wywrotek ma.

– Dzięki.

Kastor wstał, pożegnał się uściskiem dłoni i otworzył drzwi. Rolnik zaczął wołać za nimi:

– I taki skurwiel będzie na pewno kantował na tych budowach! Gdyby nas nie rozwiążali, dobrałbym mu się do dupy! A tak będzie sobie jeździł mercedesami, a ja tu, kurwa, w tej kanciapie...

Komisarz zamknął drzwi, ucinając monolog sfrustrowanego kolegi.

Czarne audi minęło w pełnym pędzie charakterystyczne budki sterownicze rozmieszczone na moście nakrywającym Stopień Wodny Dąbie. Gdy skręcili w Nowohucką, rozpadało się na dobre. Deszcz młócił wściekle o przednią szybę, a Kastor nie mógł wyjść z podziwu nad cichą pracą wycieraczek luksusowego auta. Sierżant Kwiecień, wyraźnie zamyślony, w końcu odezwał się:

– Myślisz, że specjalnie rozwiążali pegie? Znaczy, żeby łatwiej robić

lewe interesy?

– Nie wiem, ale trochę dziwnie to wygląda, co? Wprowadzają kapitalizm i nagle bum! Ni z tego, ni z owego znika wydział, który jako jedyny mógłby ścigać aferzystów.

– Zwolnij – powiedział Kwiatek, gdy po lewej stronie minęli przystanek kolejowy na Łągiwnikach.

Kastor posłuchał i wkrótce po prawej zobaczyli olbrzymi teren z hałdami usypanymi ze żwiru, piachu i tłucznia. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś miał wątpliwości, ogromny transparent nad ogrodzeniem kompletnie je rozwiewał: „Godart. Król budowlanki. Od 1972 roku i na zawsze!”.

Komisarz skręcił kierownicą i zajechał pod źle oświetloną bramę, ale gdy tylko na żelazne skrzydła rzuciły się dwa potężne owczarki niemieckie, poderwał samochód na pierwszym biegu i odjechał na pełnym gazie.

– Co jest? – spytał zdezorientowany Kwiatek.

– Chcę się rozejrzeć, a z tymi brytanami to będzie utrudnione. Zawrócisz i pogadasz z nimi przez bramę. Zadbaj o to, żeby psy były ciągle przy was. Dasz radę?

W odpowiedzi sierżant Kwiecień tylko kiwnął głową, a komisarz zaczął się zastanawiać, ile Kwiatek zdążył już w siebie wlać przez ten wieczór. Kastor zjechał na pobocze i wyskoczył prosto w deszcz. Jego kolega podkurczył nogi, przesunął się na miejsce kierowcy i pomknął w kierunku bramy króla budowlanki.

Zaparkował maską do wykutych z żelaza skrzydeł, włączył długie światła i wyszedł na zewnątrz. Sierżant Kwiecień rozpostarł nad sobą spory parasol, wetknął papierosa w lufkę i zapalił. Pięć olbrzymich psów, szczerzących kły i ujadających na całą ulicę kotłowało się po drugiej stronie bramy. Wkrótce pojawiło się przy nich trzech mężczyzn. Ten w środku, ubrany w przeciwdeszczową kurtkę i białą czapkę bejsbolówkę, z miejsca wyciągnął broń, wycelował w przybysza i krzyknął:

– Zgaś te światła, bo ci podziurawię lampy!

– Sierżant Robert Kwiecień, komenda wojewódzka policji! Ma pan

pozwolenie na broń!? – Kwiatek próbował przekrzyknąć szum deszczu. Kątem oka zauważył, że po lewej stronie w oddali Kastor zwinnie przeskakuje przez płot. Psy dalej tkwiły na swoim miejscu, warcząc i ujadając.

– Spokój! – wydarł się gospodarz, a potem spojrzał z niedowierzaniem na groteskową postać nakrytą olbrzymim parasolem. – Pokaż szmatę!

Kwiatek zauważył, że trzy z psów uspokoiły się, a dwa zaniepokojone obróciły się w kierunku, gdzie komisarz przesadził płot. Sierżant podszedł gwałtownie do bramy, a psy na nowo skupiły całą swoją uwagę na nim.

– Coś takiego! – krzyknął właściciel posesji. – Jakoś, kurwa wasza, jak mi się tu wbijali kilka razy przez ostatnie pół roku, to za każdym razem przyklejaliście mi „umorzenie z powodu niewykania sprawców”. A teraz dupę zawracacie po nocy!?

– Pan Tomasz Godart!?

– Tak!

– Jest pan właścicielem niebieskiego mercedesa z windą!? – Kwiatek schował swoją legitymację i aby ponownie zwrócić na siebie uwagę psów, strząsnął gwałtownie strugi wody z parasola. Zwierzęta znowu drgnęły i zaczęły warczeć, rzucając się na bramę.

– Nawet jak jestem, to co!?

– Weź zabierz te psy i wyjdź pogadać jak człowiek! – Kastor wynurzył się z ciemności, całkiem przemoczony.

– Wypierdalajcie stąd, bo nie jestem w nastroju! Macie nakaz!?

– To nie jakiś amerykański serial! – Komisarz podszedł do swojego kolegi, a ten przesunął parasol, aby choć trochę ochronił go przed deszczem. – Pański samochód przewoził dzisiaj beczkę! Chcemy wiedzieć dokąd!

– Nic o tym nie wiem!

– Dobrze, w takim razie wzywamy mundurowych i wchodzimy na posesję! Jeśli okaże się, że ma pan niebieskiego mercedesa o numerach KKF 1707, to będzie, zamieszany w sprawie o głowę! A to już grubo, co nie!?



Gospodarz zamilkł i nic nie powiedział dłuższą chwilę, w końcu schował pistolet i rzucił do swoich towarzyszy:

– Zamknijcie na razie psy!

Gdy tamci zabrali zwierzęta, mężczyzna otworzył bramę i wyszedł na zewnątrz. Kastor podczas swojej krótkiej wycieczki na posesję widział trzy takie mercedesy. Zapamiętał numery rejestracyjne jednego z nich i albo trafił, albo właściciel sam nie wiedział, którego samochodu użył, bo wszystkie trzy musiały być rejestrowane jeden po drugim i różniły się tylko ostatnią cyfrą. Dodatkowo termin „za głowę” znany był głównie wśród karanych ludzi, którzy wiedzieli, że oznacza zabójstwo.

– Jaka głowa, w co wy chcecie mnie wrobić? – Mężczyzna był już na tyle blisko, że nie musiał podnosić głosu, aby przekrzyczeć szum deszczu.

– Przyjąłeś zlecenie, żeby przewieźć beczkę, tak? Jak rozumiem, kasa była wysoka, skoro sam się tym zająłeś?

– Miałem zawieźć towar, to zawiozłem. Kasę zgarnąłem i tyle. Gość zadzwonił do mnie na telefon, a na miejscu czekała gotówka. Nie mam pojęcia, co było w beczce.

Ja też nie wiem, mogę tylko przypuszczać, pomyślał komisarz. Nie miał powodów, żeby nie wierzyć królowi budowlanki.

– Dokąd?

– Na Dworzec Główny. Tam remontują te przejścia pod peronami. Dokładnie wskazali miejsce.

– Kwiatek, przynieś panu coś do pisania – mruknął komisarz.

Deszcz przestał padać akurat w tym momencie, w którym zjawili się na dworcu. Dzięki planowi rozrysowanemu przez Godarta szybko odnaleźli sporych rozmiarów beczkę. Pokryta była niebieską farbą, która miejscami odchodziła całym płatem. Miejsce idealne, pomyślał komisarz. Stoi sobie wśród innych śmieci, które budowlańcy raz na jakiś czas utylizują. Oglądając znalezisko, Kastor zauważył, że Kwiatek jest już porządnie wcięty. Dyszał, opierając się

rozpaczliwym gestem o ścianę. Wyraźnie kończył się jego termin przydatności.

Komisarz spróbował ruszyć beczkę, ale ta była ciężka niczym głaz. Rozejrzał się za jakimiś narzędziami, ale robotnicy pracujący na budowie nie byli głupi. W ostatnich czasach złodziejstwo w Polsce tak mocno przybrało na sile, że nikt nawet najmniejszego śrubokręta by tu nie zostawił. Kastor wyciągnął niewielki scyzoryk i wraził ostrze w krawędź pomiędzy wiekiem a beczką. Sukcesywnie, centymetr po centymetrze, podważył metalową pokrywę i gdy w końcu udało mu się ją ściągnąć, zobaczył chropowatą powierzchnię wylanego wewnątrz betonu. Coś w środku mignęło srebrną poświatą. Komisarz wyciągnął latarkę i oświetlił powierzchnię wylewki, przysuwając z zaciekawieniem twarz. Mniej więcej pośrodku betonowej skorupy wystawało kilka srebrnych włosów. Od razu skojarzył siwą czuprynę Zbigniewa Gutowskiego ze zdjęcia i powiedział do Kwiatka:

– Idź i wezwij mundurowych. Powiedz, żeby zostawili radiowóz pod dworcem, i w ogóle mają tu podjechać dyskretnie.

– Jasne.

Sierżant Kwiecień wrócił po kilku minutach. Był już porządnie pijany. Prawdopodobnie zameldował wykonanie zadania, ale komisarz nie mógł rozróżnić bełkotliwych słów. Kwiatek zgiął się wpół i puścił pawia pod ścianą. Jego garnitur znacznie odbiegał od klasycznej elegancji, wypielęgowana fryzura była teraz w nieładzie, a wzrok miał mętny i nieobecny. Z bystrego gliny stał się na powrót zwykłym ulicznym pijakiem. Niczym w bajce o Kopciuszku.

Z daleka było słychać obłąkańcze wycie policyjnej syreny. Radiowóz nie został pod dworcem, ale z ogłuszającym łoskotem zjechał po przygotowanych dla budowlańców pochylniach i zaparkował metr od komisarza. Jakby tego było mało, kierowca dodatkowo wcisnął kilka razy klakson. Nieprzytomny z wściekłości Kastor chciał udzielić mundurowym porządnej reprimendy, gdy rozpoznał twarze wysiadających z samochodu. Byli to ci sami policjanci, którzy wcześniej zakuwali Basiurę.

– Dzień dobry, panie komisarzu, uszanowanko. Czy podjechaliśmy wystarczająco dyskretnie? – powiedział pierwszy z nich, spluwając na ziemię.

– W czym możemy pomóc? Wielki kryminał znowu będzie kogoś luzować spod celi? – dodał z pogardą ten drugi, zerkając na Kwiatka, który zdecydował się usiąść pod ścianą, wpatrzony we własne wymiociny.

– Pilnujcie tej beczki, bo chłopaki z techniki będą tu dopiero rano. Rozumiem, że mnie nie lubicie, ale to dowód w sprawie. Więc jeśli coś spieprzycie, a wierzę, że macie do tego talent, to osobiście dopilnuję, że pożegnacie się z resortem.

Harde twarze mundurowych jasno mówiły, że nie boją się tych pogróżek, a i komisarz wiedział, że groźby są trochę na wyrost. Podniósł Kwiatka, owinął sobie jego ramię wokół szyi i obaj powlekli się do wyjścia.

#### 4.

Na szczęście sierżant Kwiecień nie wymiotował już w samochodzie. Kastor odprowadził go do pokoju, ułożył na pościeli i przykrył kocem. Czarne audi szybko przemknęło przez puste o tej porze miasto i po kilkunastu minutach komisarz był już w swoim mieszkaniu na Krowodrzy.

Wypuścił dziewczyny i zaczął sprzątać im klatkę, usuwając zużyte trociny. Po co ta cała maskarada, zaczął się zastanawiać, myśląc o sprawie. Oczywiście równie dobrze w beczce mogło nie być ciała, ale szczerze w to wątpił. Gdzie złapali dyrektora? Na Kazimierzu czy może gdzie indziej? Sam motyw z tym, aby wynająć kogoś do przewiezienia beczki, nie był zły. Miejsce jej ukrycia też było wybrane bardzo dobrze. Dosypując karmy dla Zosi i Jasnej, komisarz zaczął się zastanawiać, czy mordu też dokonano na zlecenie. Przyhamuj trochę, zganił się w myślach, na razie nie ma żadnego ciała.

Potem przypomniał sobie o Jolancie Gutowskiej, zaniepokojonej żonie. Zerknął na zegarek, było po drugiej w nocy. Trudno, najwyżej ją obudzę, pomyślał i wyciągnął notes z marynarki przewieszanej przez oparcie krzesła. Wykręcił numer i czekał bardzo długo, na pewno obudziłyby ludzi pogrążonych nawet w głębokim śnie. Po drugiej stronie nikt nie odpowiedział. Coraz mniej mi się to podoba. Trzeba tam będzie jutro podjechać albo kogoś wysłać, pomyślał i odłożył słuchawkę.

Jak zwykle pomimo potwornego zmęczenia poczuł, że ciężko będzie mu usnąć. Nie był głodny, ale zdecydował się zaparzyć ziółka, które kupił na tandecie miesiąc temu. Śmierdziały jak upalny dzień na Baryczy, smakowały jeszcze gorzej i absolutnie nic nie dawały. Ale tak to już jest z człowiekiem, że w desperacji najchętniej oszukuje samego siebie.

Po wypiciu mikstury komisarz najpierw otworzył okno, aby przewietrzyć choć trochę, a potem usiadł w swoim fotelu, zapalił lampkę i położył obok notatnik z długopisem.

– Po co? Przecież od ponad trzydziestu lat śni mi się to samo. Każdej nocy – powiedział do siebie z westchnięciem, a sekundę przed tym, zanim zapadł w sen, uruchomił stoper.

Miarowy stukot kół i szum wiatru rozbijającego się o szyby. Zawsze lubiłem jeździć pociągami. Uwielbiałem podróże, zwłaszcza samochodem z rodzicami, nawet jeśli to były tylko krótkie wycieczki do cici mieszkającej w Bronowicach. Ale teraz wiem, że rodziców już nigdy nie będzie. Za każdym razem jak o tym pomyślę, to robi mi się jakoś pusto w środku. Nie płaczę, ale czuję, że nagle wszystkie wnętrzności wypychają się na zewnątrz, a skóra robi się cienka i gdyby tylko ktoś wbił we mnie igłę, to niechybnie bym zniknął.

Pewnie częściowo czuję to wszystko z perspektywy mnie dorosłego, ale jestem w szoku. Po raz pierwszy w życiu mój dyżurny sen ma kontynuację. Jestem podekscytowany. Co będzie dalej? Naprzeciwko mnie w przedziale siedzi Agata. Po jej dawnej, młodszej urodzie nie pozostał ślad. Od wizyty ludzi w

mundurach i białych czapkach minęło raptem kilka dni, a jej skóra stała się szarą, oczy podkrążone i nie pachnie już od niej świeżymi jabłkami, tylko czymś kwaśnym.

Mimo że jadę pociągiem, jestem smutny. Agata wytłumaczyła mi, że na razie nie wrócę do Krakowa. Najstraszniejsze było to, że w naszym mieszkaniu będzie teraz mieszkał ktoś inny. Gdy o tym usłyszałem, rzuciłem się na wersalkę i płakałem tak długo, aż zabrakło mi łez. Agata wyciąga butkę z wędliną. Zjadam połowę, gdy nagle po lewej stronie pociągu widzę morze. I po prawej też! Wstaję podekscytowany i chcę odłożyć kanapkę na stolik.

– Nie! – krzyczy przerażona Agata i w ostatniej chwili łapie butkę. W ogóle podczas tej podróży jest bardzo nerwowa i ciągle powtarza mi: „niczego nie dotykaj”.

– Morze! – krzyczę i wskazuję przez okno przedziału.

Agata kiwa głową z uśmiechem, a ja wybiegam na korytarz, pokazując olbrzymią tafelę wody po prawej.

– Tutaj też!

– To jest zatoka. – Agata tłumaczy mi cierpliwie.

Pociąg z przeciągłym gwizdem wtacza się na niewielką stację. Agata ubiera mnie i wysiadamy. Jest zimno i wieje mocny, bardzo chłodny wiatr. Ale powietrze jest tak rześkie, że aż mnie zatyka. Na peronie czeka na nas wysoki szczupły mężczyzna. Ma siwą czuprynę i wąsy oraz brodę tego samego koloru.

– Cześć. – Wyciąga do mnie rękę, kucając. – Jestem Remus. A ty? Jak masz na imię?

Trochę się boję, próbuję schować za Agatą, ale ona wypycha mnie delikatnie i szepce do ucha:

– To twój dziadek. No, przywitaj się.

– Jestem Kastor – mówię cicho i wyciągam do niego rękę.

On ściska moją dłoń i po chwili jedziemy małym dostawczym samochodem. Podjeżdżamy pod dużą wieżę z czerwonej cegły. Teraz już wiem, że to po prostu latarnia morska, ale mnie sześćioletniemu wydawało się, że to bardziej część jakiegoś zamku.

– Chcesz zobaczyć, jaki stamtąd jest widok? – Remus uśmiecha się

szeroko.

Trzymam go za rękę i wchodzę po bardzo stromych i długich schodach, które kręcą się w kółko. Pod koniec brakuje mi tchu. Gdy wychodzimy na zewnątrz, lodowate powietrze niemal spycha nas na barierki. Remus trzyma mnie mocno, a ja podziwiam oszałamiający widok. Zewsząd otacza nas tafla wody, skrząca się w ostrym słońcu. Tylko z jednej strony widać wąski pasek lądu i drzewa pokryte szronem.

Dziesięć minut później siedzę przy rozgrzanej kuchni kaflowej, a dziadek uciera mi kogel-mogel. Trze tak mocno, że żółtka robią się praktycznie białe. Jem ze smakiem i mówię do Remusa:

– Do tej pory znałem tylko dziadka Wojtka. Gdzie ty byłeś?

– Cały czas tutaj.

– Nie chciałeś do nas przyjechać?

– Chciałem... – Remus milknie na chwilę. – Ale byłem trochę pogniewany z twoim tatą. Przynajmniej imię dał ci porządne. Wiesz, że jakbyś miał brata, toby się nazywał Polluks? To znaczy mam taką nadzieję.

– A ty, dziadek? Masz brata?

– Kiedyś o tym pomówimy. Jedz kogel-mogel. Smakuje ci?

Kiwam głową z zadowoleniem i skrobię łyżeczką o dno szklanki.

## Rozdział III

### 1. Środa, 6 czerwca 1990

Komisarz wcisnął guzik i szyba zasunęła się bezszelestnie. Mimo początku czerwca ten ranek był wyjątkowo chłodny. Aleja Trzech Wieszczów kilka minut po szóstej świeciła pustkami. Zobaczył, że światła na skrzyżowaniu z Łobzowską zmieniają barwę na żółtą. Docisnął lekko pedał gazu i czarne audi z napędem na cztery koła wyrwało się posłusznie do przodu.

Nie mógł przestać myśleć o śnie. Oczywiście zaraz po przebudzeniu wszystko zapisał. Był niezwykle podekscytowany tym, że rada terapeuty przyniosła taki efekt. Nie dość, że być może w końcu dowie się więcej o wydarzeniach z dzieciństwa, to na dodatek stoper jasno wskazywał, że przespał niemal czterdzieści minut! A może to stoper po prostu nawalił, pomyślał, mijając po swojej lewej stronie budynki aresztu śledczego przy Montelupich, które zarówno wśród policjantów, jak i bandytów nosiły egzotyczne miano „Monte”. Cholera jasna, kupię nowy stoper, na wszelki wypadek będę miał dwa. Może to paranoja, ale jeśli przez trzydzieści parę lat człowiek nie spał na raz dłużej niż pół godziny, to logiczne, że robi się trochę podejrzliwy.

Zaparkował na Pawiej, obok nyski należącej do ekipy z laboratorium kryminalistycznego. Gdy szedł w kierunku wejścia do dworca, usłyszał wołanie:

– Kastor, poczekaj!

Odwrócił się i zobaczył biegnącego od przystanku tramwajowego Czarka. Szybko wymienili uścisk dłoni i zniknęli w podziemiach Dworca Głównego.

– O, jest już Smok! – powiedział Komisarz, widząc szczupłego mężczyznę w okularach nachylonego nad beczką.

– Dlaczego Smok? – spytał Czarek.

– Co?

Czarek machnął ręką, że nieważne, bo zauważył, jak okularnik wyciąga niedopałek bez filtra, który musiał parzyć mu usta, tylko po to, aby odpalić kolejnego papierosa.

– Cześć, byku! – Smok uśmiechnął się, ściskając serdecznie Kastora.

– Cześć. Poznajcie się. Smok, mistrz i guru techników kryminalistycznych w Polsce. Nasz nowy narybek, Czarek Hewig.

Smok wyciągnął dłoń do Czarka. Z bliska jego żółta cera sprawiała wyjątkowo niezdrowe wrażenie, a dodatkowo ubrania, oprócz bawełny, miały w sobie spory dodatek nikotyny. Mężczyzna był wprost przesiąknięty papierosowym dymem.

– Z tych Hewigów?

– Obawiam się, że tak – odparł lekko zmieszany Czarek.

– Smok też ma rodzinę z tradycjami. Jego wuj przez czterdzieści lat był psychologiem na Monte. Twórca słynnej teorii resocjalizacji warstwowej.

– Tak? – Czarek pochylił głowę z szacunkiem. – Nigdy nie słyszałem.

– To bardzo prosta teoria. – Smok wyszczerzył się, wkładając do ust nowego papierosa. – Warstwa wapna, warstwa skazanych. Warstwa wapna, warstwa skazanych...

Kastor roześmiał się i po chwili wrócił do poważnej miny, widząc zmieszaną twarz Czarka.

– Dobra, mów, co z tą beczką.

– Trochę już rozkuliśmy – powiedział Smok i pokazał efekty pracy jego ludzi. – Kurewska robota, bo żeśmy bardzo delikatnie stukali, żeby nie uszkodzić ciała.

Czyli jednak, pomyślał Kastor, patrząc na odsłoniętą z betonu głowę. Na wszelki wypadek wyciągnął jeszcze fotografię otrzymaną od zaniepokojonej, luksusowej żony, ale nie było wątpliwości. Pokryta cementowymi strupami twarz należała do Zbigniewa Gutowskiego.

– Spójrz na to. – Smok odchylił delikatnie głowę, której ciało ciągle uwięzione było w betonowej pułapce. Szeroko otwarte usta



zmarłego wypełnione były szarą bryłą.

– Skurwysyny – mruknął Kastor. – Musieli go zalać żywcem.

– Zgadza się – odparł Smok. – Teraz weźmiemy go do nas. Ale żeby całość rozkuć, to naprawdę potrwa. Do ZMS-u trafi najwcześniej jutro rano.

– Dobra. Czarek, zbieramy się i jedziemy po wdowę. Musi zidentyfikować ciało.

Kilka minut później komisarz skręcił z Pawiej w Basztową. Gdy minęli Barbakan, odezwał się do Czarka:

– Musimy być teraz na maksa skoncentrowani.

– Rozumiem...

– Początek sprawy jest zawsze najważniejszy. Mamy takie powiedzenie: „zabójca jest zawsze w pierwszym tomie akt”. Nie możemy teraz niczego przeoczyć, czaisz?

– Jasne.

– Chciałem cię jeszcze o coś zapytać – kontynuował komisarz.

– Słucham.

– Po co ci to?

– Nie rozumiem.

– Jesteś członkiem jednej z bardziej znanych, krakowskich rodzin. – Kastor zatrąbił na kierowcę wyjeżdżającego z bocznej ulicy. – Jesteś ustawiony, wykształcony. Języki znasz?

– Angielski i francuski.

– No widzisz. Teraz tyle tych nowych zagranicznych firm się otwiera. Dostałbyś dobrą posadę, zrobiliby cię dyrektorem.

– Sam widzisz, jak kończą dyrektorzy, w beczkach. – Czarek uśmiechnął się.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jasne. Tak szczerze, to mam w dupie całą tę moją szacowną rodzinę. Zresztą mój stary trochę przetaił mi szlaki.

– Jak to?

– Wśród moich przodków i rodziny jest trochę znanych ludzi –

zaczął tłumaczyć Czarek. – Ale potracili część swoich majątków podczas wojny. To byli zawsze ludzie, dla których pieniądze miały drugorzędne znaczenie. Bo wychowali się, mając ich mnóstwo, i byli nauczeni innych wartości.

– A jak je potracili, to wartości im się nie pozmiały?

– Otóż nie. To zawsze denerwowało mojego ojczulka, który został wziętym adwokatem, i uwierz mi, nie znajdziesz większego kapitalisty w okolicy niż on.

– Czyli podoba mu się to, co teraz się dzieje? – Kastor pokazał ludzi na ulicach, którzy porozkładali swój towar na kocach i połówkach, handlując czym się da.

– Jest podjarany jak kozioł z trzema fujarami! Zachęca wszystkich do handlu i bogacenia się. Jest święcie przekonany o tym, że ci ludzie handlujący tu gaciami, wiertarkami i co im tam jeszcze wpadnie w ręce, zostaną bogaczami.

– Dwa dni temu widziałem stoisko z mięsem na dziko. – Kastor pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ustawił pieniek i rąbał schab chętnym, a wkoło latały muchy. Nikt tego nie kontroluje.

Czarek wzruszył ramionami. Przez chwilę jechali w milczeniu, które komisarz przerwał w okolicach Kopca Kościuszki.

– Dwie sprawy.

– No?

– Po pierwsze, to znasz jakiś kraj, w którym wszyscy byliby w miarę bogaci i ustawieni?

– Szwajcaria?

– Dobra, masz mnie. – Kastor zarechotał. – A jakiś inny?

– Wiem, o co ci chodzi. Że to niemożliwe, żeby wszystkim się powodziło?

– Zgadza się. Zwłaszcza w polskich warunkach.

– Może i tak. Ale przecież lata osiemdziesiąte to była straszna bieda. To już chyba lepiej, żeby chociaż części Polakom się powodziło, co nie?

– Mam pewne wątpliwości, jak na to zareaguje ta druga część.

– Przewidujesz rewolucję?

– Nie mam pojęcia. – Komisarz wzruszył ramionami.

– A ta druga sprawa?

– Jesteś jak twoi przodkowie, którzy kasą się nie przejmują.

– Dlaczego?

– Przecież nie poszedłeś w palestrę, jak twój stary. – Kastor zaparkował na podjeździe domu Gutowskich. – Zamiast kosić gotówkę, rozwijając zachodnie firmy, siedzisz w aucie z gościem, który jest na dole krakowskiej drabiny ewolucyjnej.

– Przynajmniej samochód mamy fajny.

– TY masz fajny samochód. MY mamy gówno.

Komisarz wyłączył silnik i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Gdy sięgnął do klamki, Czarek zatrzymał go gestem.

– Poczekaj. Mamy tam wejść i po prostu powiedzieć, że jej mąż nie żyje?

– Tak. A co?

– Nie trzeba się do tego jakoś przygotować?

– Na to nikt się nie przygotowuje. Ani my, ani ona – powiedział Kastor, patrząc w bok, a przed oczami stanął mu wąsacz w białej czapce, wręczający mu dropy, gdy był małym brzdącem.

– Okej, rozumiem. – Czarek przełknął ślinę. – Ale jak ktoś wtedy zaczyna słabnąć, wariować? Co się robi? Nie wiem, dajemy szklanę wody?

– Szklanę wody to możesz dać komuś, kto jest spragniony. Tu się wzywa karetkę. Oni są fachowcami i zajmują się człowiekiem.

Wysiedli z samochodu i podeszli do drzwi. Kilukrotne próby użycia dzwonka nic nie dały, więc wreszcie komisarz zabrał się do energicznego pukania, ale drzwi ciągle pozostały zamknięte.

– Mówiłeś, że w ciągu dnia jeździ na zakupy czy coś? Może poczekamy?

Kastor odszedł kawałek od domu i ogarnął wzrokiem całą bryłę.

– Czarek, popatrz. Co ci się tutaj nie zgadza?

Młodszy aspirant zaczął przyglądać się budynkowi, ale w końcu dał za wygraną.

– Nie mam pojęcia. Pamiętaj, że mnie tu wcześniej nie było.

– To bez znaczenia. Masz być wyczulony na wszystko.

– Mam obserwować za każdym razem najmniejsze fragmenty otoczenia? To nierealne.

– Masz być detektywem. Rozumiesz? Daję ci pięć minut.

Komisarz oparł się o samochód i zerknął na zegarek, odmierzając czas. Po niecałych trzech minutach usłyszał głos Czarka:

– Dobra, wszystko tutaj jest ustawione pod linijkę i symetrycznie. Jak mawiała moja ciotka, znakomita malarka przymierająca głodem, symetria to estetyka głupców.

– Do rzeczy.

– Więc wszystko jest identycznie. Trzy bukszpany przycięte w kule po lewej, trzy po prawej. Klon palmowy tutaj, a drugi tam. Jedyne, co się nie zgadza, to ustawienie doniczek pod oknem. Te w środku w kolorze żółtym i fioletowym są przestawione.

– Zgadza się – komisarz mruknął z zadowoleniem.

– Może ktoś przestawił je przy podlewaniu?

– Może...

Kastor podszedł do okna i usunął doniczki, stawiając je na trawniku. W ten sposób zyskał dostęp do szerokiego stopnia, z którego mógł zajrzeć przez okno do środka. Próbował przez dłuższą chwilę wypatrzeć jakikolwiek ruch, ale bez powodzenia. Zauważył drobne pęknięcie na ramie okiennej, a gdy puknął w nie delikatnie palcem, odleciał cały kawałek, ukazując świeże drewno pod spodem.

– Ktoś podważał okno – powiedział komisarz i naparł dłonią na ramę, ale okno było zamknięte. Kastor wyciągnął pistolet i wybił kolbą szybę.

– Możemy tak robić? – zaniepokoił się Czarek, ale w odpowiedzi komisarz tylko wzruszył ramionami. Sięgnął do wnętrza, otworzył okno od środka i po chwili zniknął w domu. Czarek usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i dołączył do swojego przełożonego.

Dom pogrążony był w ciszy, Kastor wyszeptał do niego:

– Wyjmij broń, osłaniaj mnie.

Czarek wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i położył palec na spuście.

– Jasna cholera, co jest? Te zajęcia przespałeś? – Komisarz zabezpieczył jego broń i przesunął palec na kabłąk. – Na spust to dopiero wtedy, jak będziesz strzelał. Rozumiesz?

Czarek w odpowiedzi kiwnął niepewnie głową, a Kastor zauważył, że chłopak był blady ze strachu. Niedobrze, pomyślał, jeśli w tym domu ktoś będzie chciał mi zrobić kuku, to mogę liczyć tylko i wyłącznie na siebie.

– Idziesz za mną – wyszeptał. – Jeśli podejdziesz do miejsca, z którego ktoś może mnie kropnąć, to osłaniaj tamtą stronę. To nie jest trudne.

Przeszukali cały dom od fundamentów aż po sufit. Nikogo nie było. Nie znaleźli też żadnych śladów walki ani innych tropów mogących świadczyć o włamaniu. Nikt nie kłopotał się, aby zabrać nowoczesny telewizor, błyszczący nowością komputer czy mityczną kuchenkę mikrofalową. Wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Zeszli do salonu, a Czarek spojrzał z niepokojem na stłuczoną szybę pod oknem.

– I co teraz? Gospodyni raczej nie będzie zadowolona.

– Pamiętaj, że mamy jeszcze kilka innych zmysłów poza wzrokiem.

– Kastor był wyraźnie niezadowolony. Wcześniej był przekonany, że ktoś włamał się do wnętrza przez okno.

– Nie rozumiem.

– Co czujesz?

– Czy ja wiem... – Czarek kilka razy wciągnął powietrze nosem. – Coś jakby płyn do mycia podłóg?

– Zgadza się. – Kastor kucnął na parkiecie i potarł delikatnie łączenia między klepkami, ale nic nie zostało na jego palcach. W końcu rozejrzał się dokładnie po ścianach, ale też niczego nie dostrzegł.

– Nic tu nie ma.

Komisarz zadartł nagle głowę do góry, a gdy Czarek podążył za jego wzrokiem, wyszeptał:

– O kurwa. – Bielutki sufit znaczyły wyraziste, czerwone smugi w kształcie niewielkich, okrągłych plamek. – Jakby ktoś pędzlem

machnął.

– Raczej narzędziem zbrodni.

– Co?

– Ktoś machał i uderzał czymś swoją ofiarę. Przedmiot osiągał szczytową fazę ruchu pod sufitem i stąd te ślady. Pewnie przetarł trochę ściany i wygłancował podłogę, ale na to nie wpadł.

Kastor wyszedł na chwilę do samochodu i skontaktował się ze Smokiem. Polecił mu wziąć drugą ekipę i przyjechać natychmiast na miejsce. Potem wrócił i powiedział:

– Ja lecę na Mogilską, ty poczekaś na Smoka i zobaczysz oględziny i przeszukanie. Może się czegoś nauczysz.

– Czyli ktoś się włamał i zaciukał tę babkę? I co, zabrał zwłoki?

– Na razie nie wiemy, czy są jakieś zwłoki. Nie wiemy też, czy to jej krew. Jak się dowiesz czegoś nowego, to pamiętaj, żeby wszystko spisać, żebyśmy mieli na wieczór z Kwiatkiem jakiś ogląd sytuacji. Na razie.

Komisarz wyszedł na zewnątrz i wszedł do samochodu.

Gdy zasiadł za biurkiem ciasnego pokoju na Mogilskiej, jego pierwszym poleceniem było wyciągnięcie z ewidencji ludności danych oraz rysopisu Jolanty Gutowskiej. Musieli zacząć organizować formalne poszukiwania, ogłosić wszystko w radiu i telewizji, choć tak naprawdę los kobiety mógł być już przesądzony. Tylko czy aby na pewno, zaczął zastanawiać się komisarz, rozpierając wygodnie na kompletnie niewygodnym krześle. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby utopić jej męża w becze z betonem, a teraz co? Zaszlachtował kobietę w domu, posprzątał i też wywiózł? Kolejną beczką? Bez sensu. Być może pochodzenie krwi okaże się całkiem inne albo wręcz badania wykażą, że to wcale nie krew. Ale tutaj Kastor miał poważne wątpliwości, po latach pracy doskonale rozpoznawał tę ciemną barwę skrzepliny. Gdy szedł czasami o poranku przez ulice Starego Miasta, mógł z chirurgiczną niemal precyzją określić, gdzie zaczęła się bójka i w którą stronę poszedł ten

z rozwalonym nosem, a w którą ten, który dostał w oko.

Może psychopata? Komisarz próbował poukładać fakty w swojej głowie. To rozwiązanie też wydawało mu się mało prawdopodobne. Takie rzeczy zdarzały się w Ameryce. Oczywiście była słynna sprawa wampira z Zagłębia, ale to ledwie jeden taki głośny przypadek w PRL-u. Z drugiej strony kapitalizm w niecały rok uitorował sobie swoją żelazną pięścią drogę do serc Polaków. Ale czy to oznaczało także import dewiacyjnych zachowań?

Spisał protokoły, wypełnił niezbędne dokumenty, a także nadrobił zaległości w innych, pomniejszych sprawach. Gdy skończył, poczuł się potwornie zmęczony. Jasne, był przyzwyczajony do tych kryzysów, ale ten spadek na niego z jakąś nową, podwójną siłą. Jakby wraz z dłuższymi okresami przesypianymi w nocy, te dzienne przesilenia również zyskiwały na sile.

Powłókł się do stolika obok umywalki, potrząsnął ceramicznym czajnikiem, sprawdzając, czy w środku jest woda, i włożył wtyczkę do gniazdka. Normalnie sypał cztery czubate, ale tym razem, czując, jak powieki ciężą mu do podłogi, wrzucił sześć łyżeczek, wypełniając szklankę praktycznie do połowy. Gdy zalewał całość wrzątkiem, do środka wszedł Gieniu.

– Serwus.

– No cześć, kawki się może napijesz? – zaproponował Kastor. – Jak tam twój enen?

– Dzięki, za późno dla mnie na kawę – sapnął Gieniu, zdejmując z ulgą buty i wsuwając stopy w drewniaki. – Ten enen to jakieś zawracanie dupy. Raptem nogę ktoś znalazł i od razu wielka afera. Mało to teraz takich znalezisk?

Aspirant swoim zwyczajem zawiązał nogawki spodni w skarpety i usiadł przy swoim biurku. Komisarz oparł się o ścianę, wyglądając przez okno i mieszając energicznie łyżeczką. Pociągnął łyk smolistej kawy, zgiął się wzdłuż i podbiegł do umywalki, wypluwając zawartość.

– Kurwa ja pierdołę! Co to jest!?

Kastor pluł, na przemian płucząc usta wodą z kranu, a zaniepokojony Gieniu stanął przy nim.

– Co ty wyrabiasz?

– Kurwa, co z tą wodą jest w tym mieście!? Przecież to jest jakaś miazga!

Gieniu sięgnął po szklankę i powąchał kawę, rozpromienił się i rzucił tonem wyjaśnienia:

– A nie. To ja boczek sobie gotowałem z rana i zapomniałem wylać wodę.

– Co!?

– Boczek na śniadanie.

– Chcesz mi powiedzieć, że zawsze gotujesz boczek w naszym czajniku!?

Ponieważ Gieniu udzielił odpowiedzi twierdzącej, komisarz rzucił się na niego, ale starszy mężczyzna pod wpływem adrenaliny dosyć rażno wyskoczył w swoich chodakach na korytarz. Te wszystkie hałasy i zatrzaśnięte przeciągiem drzwi nie obudziły śpiącego w kącie Kwiatka. Policjant mruknął tylko coś niezrozumiale i przewrócił się na drugi bok.

## 2.

Tramwaj powoli nabierał prędkości, pnąc się w górę i mijając Hotel Europejski po lewej. Kastor swoim zwyczajem stał z tyłu, trzymając ręce w kieszeniach, i ciągle w nerwowym odruchu przejeżdżał językiem po zębach. Gieniu, poczuwając się do winy, w ramach zadośćuczynienia kupił w kiosku na dole komendy szczoteczkę i pastę do zębów. Mimo że komisarz chyba nigdy tak długo i zapamiętale nie szorował swego uzębienia, ciągle miał w ustach smak potwornej mieszaniny kawy i rozgotowanego boczku.

Sukinkot, że też musiał mi taki numer wyciąć przed randką. Chyba będę z nią rozmawiał na bezdechu, pomyślał zniechęcony. Wcześniej poprosił chłopaków z garaży, aby porządnie umyli audi. Chciał podjechać tryumfalnie samochodem, robiąc wrażenie na świeżo poznanej kobiecie. Ale gdy wsiadł za kierownicę, szybko



zrezygnował z tego pomysłu i poszedł na przystanek. To byłoby takie pretensjonalne. A przede wszystkim szczeniackie. Po co udawać kogoś, kim się nie jest. Przecież nigdy nie będzie go stać na taki samochód. Chyba że zajmę się ulicznym handlem, stwierdził gorzko, przypominając sobie rozmowę z Czarkiem. Kompletnie nie wierzył w przewidywania Hewiga seniora.

Wyskoczył lekko z tramwaju i rozejrzał się po okolicy. O tej porze w czerwcu było jasno, więc charakterystyczny neon z napisem „Scala” nie płonął jeszcze swoim kolorowym światłem. Był to dosyć popularny punkt spotkań i pod teatrem kłębił się tłum ludzi. Od razu ją zauważył. Miała na sobie kwiecistą bluzkę, krótkie dżinsowe szorty oraz sandały na paskach przypominających sznur pereł. Płócienną przepastną torbę przewiesiła sobie przez ramię i rozglądała się z zaniepokojeniem. Znowu wyrzucił sobie, że mógłby się postarać i wyglądać o wiele lepiej. Po tym, jak zmoczyła go wczorajsza ulewa, założył świeżą marynarkę, ale ciągle była za duża, bo musiała zamaskować broń, no i deseń w kratę jako żywo przypominał tę wcześniejszą. Gdy tylko go zauważyła, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Cześć.

– Cześć, przepraszam za spóźnienie.

– Daj spokój, to raptem dwie minuty.

Podążyła mu rękę, nachylając się delikatnie. On źle odczytał jej intencje, myśląc o tym, żeby ucałować w policzek, a ona liczyła na to, że raczej ucałuje jej dłoń. Zastygł więc w jakimś dziwnym wygibasie, a całość wyszła dość niezręcznie.

– Może przejdziemy się na płytę? – zaproponował komisarz.

– Gdzie?

– To znaczy na Rynek.

– A, rozumiem. Przepraszam, ale jestem w Krakowie dopiero pół roku. Nie wiedziałam, że tak mówicie.

Kastor nie wyjaśnił, że tak naprawdę Rynek tak nazywano w policyjnym żargonie. Wolał na razie nie zdradzać, czym się zajmuje. Mimo że bardzo słabo znał Olę, czuł do niej dziwną sympatię.

– Skąd przyjechałaś?

– Z Rzeszowa.

Przeszli przez Podwale i ruszyli Szewską. Mimowolnie zerknął na jej biust, kołyszący się pod bluzką. Mężczyźni zawsze byli przekonani o tym, że potrafią zlustrować kobiety wzrokiem wyjątkowo dyskretnie, podczas gdy one orientowały się we wszystkim nawet wtedy, gdy były odwrócone. Potyskujące włosy miała tym razem lekko upięte, ale ciągle ich gęstwina szczelnie zasłaniała lewy policzek. Wskazał mijane przez nich Zalipianki i powiedział:

– Wczorajsze miejsce mojej porażki.

– Dlaczego porażki?

– Przecież oboje wiemy. Stchórzyłem, a ty popisałaś się odwagą za nas oboje.

– Nie przesadzaj. Ale to bardzo fajne, że jesteś szczerzy i bezpośredni. To dzisiaj prawdziwa rzadkość. – Chłodniejszy powiew wiatru skłonił ją do zasłonięcia się ramionami.

– Nie jest ci za zimno?

– Trochę nabrało mnie to ostre słońce. Myślałam, że będzie o wiele cieplej. – Uśmiechnęła się do niego i zerknęła znacząco na marynarkę. Domyślił się, że oczekuje od niego, aby ją poratował swoim okryciem. Ale nie mógł tego zrobić, bo tkwiący w kaburze pistolet przyciągałby spojrzenia przechodniów. Szybko zmienił temat.

– Wynajmujesz coś, masz tu rodzinę?

– Cała moja rodzina jest w Rzeszowie. Z koleżanką wynajmujemy małe mieszkanie na Długiej. Jest ciasno, ale to poddasze. Wiesz, taka fajna, krakowska atmosfera. – Roześmiała się nagle po dziewczęcemu, wzruszając ramionami.

– Co?

– Nic, to poddasze to tak naprawdę nakrywa pierwsze piętro, bo to niski budynek. Widok mamy na ścianę z cegły. A ty?

– Na Józefitów. To zaraz obok parku Krakowskiego.

– Chyba nie kojarzę... – Zastygła nagle, patrząc na wiszący na ścianie afisz. – Patrz, nowy Bond! Widziałeś?

– Nie, ale jakoś nie przekonuje mnie ten koleś – powiedział, patrząc na Timothy’ego Daltona z pistoletem. – Dla mnie Bond to Roger Moore i nikt inny.

– Tak? A mi się podoba.

– Więc wolisz brunetów? – Odgarnął znacząco swoją blond czuprynę. – Rozumiem. Miło mi było panią poznać.

– Daj spokój, mówię jako aktor. O rany, patrz, grają zaraz o dziewiętnastej w Wiśle. – U dołu afisza widniały rozpisane ręcznie miejsca i godziny seansów. – Może pójdziemy?

– Do Meksyku?

– Co?

Kino Wisła mieściło się na południu Kazimierza i miało dwie cechy wyróżniające je spośród innych. Po pierwsze, siedzenia nie rozkładały się pojedynczo, ale od razu całym rzędem. Więc gdy ktoś wiercił się niespokojnie na jednym z foteli, to drgania przenosiły się na wszystkie. Drugą cechą doskonale odzwierciedlała potoczna nazwa, czyli Meksyk. Ze względu na swoją lokalizację, w kinie często gęsto dochodziło do karczemnych awantur, które urządzali miejscowi.

– Nie, nic. Jasne, ja zapraszam. Przynajmniej tam będzie trochę ciepiej.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i zawrócili z powrotem w kierunku Podwala. O tej porze szybko złapali odpowiedni tramwaj i kwadrans później wysiedli przy placu Wolnica. Kastor zrezygnował z krótszej drogi i poprowadził ich wzdłuż Krakowskiej aż do mostu Piłsudskiego. Tam zeszli po schodkach i ruszyli wzdłuż Wisły w kierunku Gazowej. Słońce było coraz niżej, rzucając żywe, pomarańczowe rozbłyski na wstęgę rzeki. Popatrzył z zadowoleniem na ciepłe światło, muskające stojące po drugiej stronie rzeki budynki.

– Dlatego lubię to miasto. Właśnie ze względu na takie widoki.

– Faktycznie, efekt jest niesamowity. – Podążyła za jego spojrzeniem. – Co to za wieża tam w oddali?

– Kościół Świętego Józefa na Podgórzu.

– Właśnie chciałam zapytać, czy dobrze znasz Kraków, ale cofam to pytanie. Mam inne. Czy jesteś romantyczny?

– Trudno odpowiedzieć na takie pytanie.

– Szczerść nie powinna być trudna.

– Tak, ale jeśli powiem, że jestem, to wtedy będziesz ciągle ode mnie oczekiwać czegoś romantycznego.

– Na razie niczego nie oczekuję.

– Dobrze... – Zamyślił się na krótką chwilę. – Zamiast iść Mostową, przyprowadziłem cię tutaj na bulwar, żebyśmy mogli trochę popatrzeć na rzekę. Tak, chyba jestem romantyczny. Choć niewątpliwie są słynniejsze widoki w tym mieście.

Uśmiechnęła się zagadkowo i resztę drogi przeszli w milczeniu, podziwiając ten kawałek miasta i przyglądając się innym spacerowiczom. Gdy wreszcie dotarli do niskiego i obskurnego, drewnianego budynku, Ola spytała ze strachem:

– Co to takiego?

– Kino Wisła. – Wyszczrzył się Kastor. – To tyle jeśli chodzi o romantyzm.

Nieopodal wejścia stało trzech, wyjątkowo dobrze zbudowanych jak na swój wiek, nastolatków. Wszyscy byli ubrani w różnokolorowe dresy, a na nogach mieli sportowe buty, których końcówki sznurowadeł obwiązali wokół kostek.

– Bez kitu wam mówię. Jestem w tym całym Wrocławiu i wchodzę do burdelu, co nie? – rozpoczął opowieść jeden z młodzieńców. Byłby całkowicie łysy, gdyby nie długa grzywka zaczesana za ucho. Całość wyglądała i absurdalnie, i groźnie. – I ta parkieciara do mnie, że ona lachę to robi tylko w gumie. Na co ja do niej: „to co z ciebie za kurwa, co się brzydzi kutasa językiem dotknąć?”. Dobrze jej powiedziałem, co nie?

Jego kompani zarechotali donośnie, jasno dając do zrozumienia, że „dobrze jej powiedział”. Jednak Oli ta historia chyba nie za bardzo przypadła do gustu, bo powiedziała półgłosem do Kastora:

– Wiesz co? Może jedźmy jednak na, jak ty to mówisz, płytę.

– Daj spokój. Nic się nie denerwuj.

Komisarz chwycił ją delikatnie za rękę i weszli do wnętrza. W środku kłębił się spory tłumek. Kastor przeprosił gestem Olę i podszedł do kasy. W środku siedziała gruba kobieta z włosami ufarbowanymi na różowo. Na niewielkim blacie leżał wykaz miejsc do połowy zasłonięty przez ogromny biust, który dla wygody kasjerka również położyła na stole. Na piersiach z kolei leżały jej założone ramiona, a dopiero potem wystawała głowa. Spojrzała z niechęcią na podchodzącego do niej Kastora, który zagaił z nienagannym uśmiechem:

– Dzień dobry. Pięknie pani dzisiaj wygląda. Dwa normalne na teraz poproszę.

– Te, kawaler. Bajeruj to ty młodsze. Coś pan, z piątego piętra na łeb zleciał? Przecie to nowy Bond, Licencja na zabijanie. I to w kinie, nie na kasecie! Wszystko wyprzedane.

– Licencję to ja tutaj mam. – Komisarz pokazał jej dyskretnie swoją legitymację. – Szefowo, bardzo panią proszę. Zapłacę trochę górką i raz w życiu będę szczerzy. Od dwóch lat nie byłem na randce. Nie mogę dać plamy.

– Szczerzy... A bo to który z was kiedyś był szczerzy? Chyba dobrze wie, że takich rzeczy to już lepiej u nas na Kazimierzu nie pokazywać, co?

Komisarz uśmiechnął się przepaszająco i położył przed biustem kasjerki banknot. Kobieta schowała go zręcznym ruchem i podała mu dwa bilety.

Kiedy usiedli w przedostatnim rzędzie, niemal natychmiast zgasło światło. Po typowym początku, gdy James Bond strzela w kierunku widza, a ekran zalewa czerwień, rozległ się charakterystyczny motyw ścieżki dźwiękowej. Na ekranie samolot zwiadowczy amerykańskich pograniczników patrolował malownicze okolice Florydy.

– Kurwa, ale widoczki, co? – rozległ się zachrypnięty głos z ostatniego rzędu.

– Zamknij ryj – odezwał się inny, a Kastor rozpoznał, że jest to nastolatek z opowieści o wrocławskim burdelu. Przez krótką chwilę komisarz ucieszył się, że może chłopak z grzywką naprawdę chce w

skupieniu obejrzeć film, gdy usłyszał:

– Najpierw się napijemy, potem pogadamy.

Kastor odchrząknął znacząco, słysząc, jak młodzieńcy z tyłu odbijają flaszkę i rozlewają wódkę do plastikowych kubeczków. Ola chwyciła go delikatnie za rękę i rzuciła uspokajające spojrzenie. Na filmie James Bond musiał zrezygnować chwilowo z bycia drużbą swojego kolegi i przesiadł się z eleganckiego rolls royce'a do helikoptera amerykańskich pograniczników.

– Ja pierdolę, nic nie widzę przez tę czuprynę. Szopen, weź się kurwa przesun!

Komisarz poczuł, że ktoś szarpie go za włosy. Odwrócił się, a mocny błękit nieba z ekranu rzucał na tyle mocne światło, że mógł bez problemu namierzyć twarz chłopaka. Zadał mu dwa mocne ciosy pięścią w sam środek nosa, a potem chwycił nastolatka za grzywkę i zaczął ciągnąć w stronę wyjścia.

Na zewnątrz Kastor gwałtownym gestem posłał chłopaka na środek Gazowej, gdzie ten stracił równowagę i przewrócił się na asfalt. Z kina wybiegło dwóch kolegów leżącego, a po nich pojawiły się Ola oraz biust kasjerki, za którym podążała jego właścicielka.

– Niech pani dzwoni na policję! – krzyknęła przerażona Ola do kasjerki, a gdy ta chciała spełnić prośbę, usłyszała spokojny głos Kastora:

– Proszę nigdzie nie dzwonić.

– Zobaczmy, jaki z ciebie kozak – powiedział jeden z nastolatków i uderzył trzymaną za szyjkę butelką wódkę w latarnię, tworząc wyszczerbione narzędzie do walki.

Komisarz założył kajdanki leżącemu, a potem niedbałym gestem odwinął marynarkę, pokazując broń.

– Z żelazem każdy, kurwa, odważny! Pała jebana! – Chłopak trzymający tulipana splunął.

– Tak?

Kastor ściągnął marynarkę, oddał ją Oli, a potem odpiął kaburę z pistoletem i przekazał broń przestraszonej dziewczynie.

– No to chodź na pięści!

Chłopak spojrzał niepewnie na stojącego obok kolegę, który rzucił mu spojrzenie, że „skoro słowo się rzekło”, to powinien podjąć wyzwanie. Jednak ten nie był przekonany i na wszelki wypadek nie wypuszczał z rąk wyszczerbionej butelki.

– Co tu się odpięrdala!?

Kastor spojrzał na podchodzącego do nich, niskiego mężczyznę z ciemnymi kędzierzawymi włosami. Kilka sekund zajęło mu dopasowanie twarzy do wyroków i w końcu rozpoznał złodzieja mieszkaniowego. Kalafior zawsze robił na zrzutkę, odchylając górną część podwójnych drzwi krakowskich kamienic, wyciągając dolny rygiel i otwierając je bez forsowania centralnych zamków. Mieszkał gdzieś na Piekarskiej. A może na Skątecznej?

– Dzień dobry, panie komisarzu. Widzę, poznał pan już mojego młodszego brata? – Kalafior wskazał leżącego i wyciągnął dłoń. Kastor kompletnie zignorował ten gest. – Przepraszam, zapomniałem. Pan komisarz złodziejom i kurwom ręki nie podaje, prawda?

– Coś ci się pomyliło – odparł Kastor. – Do kurew nic nie mam.

– Rozumiem, że mój kochany braciszek trochę odleciał w Meksyku? A jakbym tak obiecał, że zabieram go na chatę i tam udzielam porządnej, złodziejskiej reprimendy?

Komisarz popatrzył przeciągle na Kalafiora. Udał, że zastanawia się nad całą sytuacją i w końcu rozkuł leżącego, chowając kajdanki.

– Na drugi raz pijcie jak ludzie. Na klatce albo przy śmietniku.

– Jaki, kurwa, mądry... – Chłopak trzymający butelkę chciał mieć ostatnie słowo, ale nie skończył kwestii, bo Kalafior wymierzył mu tak mocny policzek, że nastolatek zatoczył się na ścianę, upuszczając tulipana na chodnik.

– Kurwa waść! Wszyscy do domu, ale już!

Kalafior, szarpiąc i popychając chłopaków, oddalił się w kierunku Bocheńskiej, a Kastor odebrał od Oli pistolet i marynarkę. Przeszli w milczeniu nad Wisłę, a gdy usiedli na ławce, komisarz okrył drżącą dziewczynę swoją marynarką i powiedział:

– Przepraszam.

– Daj spokój, nie ma za co. Ale lepiej było to zostawić. Dałbyś im sam radę?

– Przykro mi, ale nie jestem Jamesem Bondem. – Kastor roześmiał się. – Dlatego dałem ci pistolet. Gdybym zaczął przegrywać, tobyś ich zastrzeliła. A przeprosiny były za to, że wcześniej nie dałem ci marynarki. Ale sama rozumiesz, nie chciałem od razu zdradzać, że jestem z policji.

– Dlaczego?

– Czy ja wiem... To nic atrakcyjnego mieć pensję bardziej przypominającą zapomogę.

– Jakie to ma znaczenie?

– Obawiam się, że w dzisiejszym świecie coraz większe. – Zamyślił się, patrząc na leniwy nurt Wisły.

– Długo pracujesz w milicji? Przepraszam, w policji...

– To nie praca, to służba. W tym roku minie osiemnaście lat. A ty?

– Biuro księgowo, nic specjalnego. – Wzruszyła ramionami. Zauważył, że zdecydowanie nadużywała tego gestu.

– Nie martw się, jeszcze pójdziemy na ten film. To znaczy, jeśli tylko będziesz chciała...

– Oczywiście. To znaczy chętnie umówię się z tobą jeszcze raz, ale na dziś chyba starczy mi emocji. Nie jestem do tego przyzwyczajona. Odprowadzisz mnie na przystanek?

– Jasne.

### 3.

Pożegnał się z nią przy placu Wolnica. Uśmiechnęła się do niego i pocałowała delikatnie w policzek. Pachniała czymś ładnym, czego nie potrafił zidentyfikować. Krem czy może perfumy? Początkowo chciał zaczekać na swój tramwaj, ale w końcu zdecydował się przespacerować. Przeszedł się Krakowską, praktycznie nie myśląc o niczym, a gdy tylko skręcił w Dietla, zaczął analizować całe spotkanie. Miał do siebie pretensje. Na cholerę reagowałem? Po co



robiłem z siebie takiego szeryfa? Trzeba było całkiem zignorować tych gówniarzy. Widać było, że Ola wystraszyła się całą tą konfrontacją. Był przekonany o tym, że więcej się do niego nie odezwie. Bo niby i jak miałyby się odezwać, pomyślał zrezygnowany. Przecież nie zostawił jej numeru telefonu, nic. Początkowo pomyślał, że mógłby się skontaktować z biurem matrymonialnym, ale szybko porzucił ten pomysł.

Zaczęło się ściemniać i gdy chciał złapać tramwaj, który zawiezie go na Mogiłską, poczuł głód. Zazwyczaj takie uczucie pojawiała się u niego tylko w środku nocy. Wszedł do Baru pod Filarkami, w którym szczęśliwie o tej porze nie było już tłoku. Zjadł na stojąco porcję pierogów z serem i śmietaną, popijając szklanką kompotu. Zregenerowany posiłkiem szybko dotarł pod Poczta Główną i złapał tramwaj jadący na Mogiłską.

Stał jak zwykle z tyłu, obserwując podróżujących ludzi. Zawsze uważał, że dobry policjant ciągle powinien ćwiczyć zmysł obserwacji. Ale robił to także dla czystej przyjemności. Wymęczony robotnik w zakurzonych drellichach, trochę przechylony na jedną stronę. Stara kobiecina z palcami tak wykrzywionymi artretyzmem, że Kastor od razu rozpoznał w niej szwaczkę. Młoda dziewczyna stojąca na samym tyle wagonu. Twarz miała odwróconą do okna, w szybie odbijającej uliczne światła było widać łzy ciekące jej po policzkach. Nieudana randka? Nie sądzi innych swoją miarką, pomyślał gorzko. Może po prostu nie zdała jakiegoś egzaminu. Samochód był niewątpliwie wygodny, ale czuł, że z za bezpiecznej szyby pojazdu w jakiś sposób tracił kontakt z ludźmi i mniej ich rozumiał. A może po prostu mi się wydaje i myślę o bzdurach, zamiast wziąć się za robotę.

Gdy wpadł do pokoju, Kwiatek siedział już na łóżku, ale był zdecydowanie daleki od dobrej formy. Wypita flaszka i jedno piwo świadczyły o tym, że ktoś już rozpoczął stawianie na nogi sierżanta Kwietnia.

– Cześć – przywitał się komisarz, ale Kwiatek wstał bez słowa i ruszył do wyjścia. Kastor poczuł od mijającego go kolegi ostrą woń

bezdonnego. Szybko pootwierał okna, a po chwili do środka wszedł Gieniu ze świeżo wymytą miednicą i schował naczynie pod amerykańkę.

– Ja się zbieram, jakby co – obwieścił, zamieniając białe drewniaki na buty.

Naczelnik Tyszowiecki wszedł do pokoju z groźną miną i spytał aspiranta:

– Gieniu, wysłałeś tę stówę do IES-u?

– Jaką znowu stówę?

– Błagam cię, nie wkurwiał mnie. Baba ze sklepu tydzień temu przyniosła fałszywe sto tysięcy. W Instytucie mówią, że nic nie dostali.

– Wiecznie mnie oczerniacie i o wszystko oskarżacie! – sapnął Gieniu. – Że niby jestem takim tłukiem, co? Tym razem się przygotowałem.

Aspirant skończył sznurować buty, wyciągnął nogawki spodni ze skarpet i z zaczerwienioną twarzą sięgnął po segregator.

– Proszę bardzo. Wysłałem sto tysięcy na Instytut Ekspertyz Sądowych.

Tyszol wziął od Gienia kwit i gwałtownie poszarzał na twarzy. Po czym wydarł się na całe gardło:

– Kurwa mać, Gieniu! To jest przekaz pocztowy! Wysłałeś fałszywe sto tysięcy na konto IES-u! Tym samym wprowadziłeś do obiegu nielegalną gotówkę! Ja pierdołę! Chodź szybko, musimy to odkręcić!

Gieniu, wyraźnie skruszony kolejnym błędem, zgarnął z oparcia krzesła swoją marynarkę i wyszedł razem z naczelnikiem, a Kastor jeszcze dłuższą chwilę nie mógł opanować napadu śmiechu.

– Co ci tak wesoło? – spytał wchodzący do środka Kwiatek. Miał na sobie ciemnogranatowy garnitur z dwurzędową marynarką, czerwoną koszulę i krawat w kolorze écru. Włosy lśniły czystością, a w pomieszczeniu zapach wymiocin wyparła woń połączonych nut kwiatowych i drzewa sandałowego. Kwiatek prezentował się tak, jakby zaraz miał wyjść na ulicę i zanurzyć się w tłum spacerowiczów mediolańskiego Via Dante.

Kastor opowiedział mu historię z Gieniem, a potem streścił wydarzenia z pierwszej połowy dnia. Na koniec przekazał mu protokół z oględzin i przeszukania domu Gutowskich, które nadzorował Czarek.

– Nic nie znaleźli. Poza gadżetami z tych jakże teraz modnych sex-shopów.

– Coraz więcej takich miejsc powstaje. – Sierżant Kwiecień wetknął papierosa w lufkę. – Pamiętasz Mrówę z dochodzeniówki?

– No.

– Otworzył z żoną taki sklep na Karmelickiej. Podobno mają niezły utarg. Dużo turystów ich odwiedza, zwłaszcza z Niemiec.

Komisarz zamyślił się głęboko nad ostatnio poruszaną przez niego wysokością skromnego uposażenia. Zastanowił się na poważnie, czy pasowałyby za ladą wypełnioną wibratorami, jak z uśmiechem łamaną niemczyzną próbuje opchnąć swój asortyment. Szybko porzucił tę wizję.

– Myślisz, że ją zabili? W sensie Gutowską? – spytał Kwiatek, zapalając papierosa.

– Będziemy jej szukać. Tylko wiesz, jakie mamy budżety. Na telewizję nas nie stać, a te ogłoszenia w gazetach są zawsze gdzieś na końcu.

W drzwiach stanął mundurowy z niewielkim pudełkiem pod pachą.

– Panie komisarzu, Smok mnie przysyła.

– Dawaj.

– Tu są rzeczy znalezione przy denacie. – Policjant postawił pudełko na biurku. – Ciało pojechało na Grzegórzecką, sekcja jutro rano. Odmeldowuję się.

– Dzięki – rzucił w roztargnieniu Kastor i otworzył pudełko. Kwiatek również podniósł się z miejsca i nachylił z zaciekawionym wyrazem twarzy. W środku znaleźli elegancki portfel, a w nim między innymi dowód osobisty oraz dokumenty luksusowego bmw. W portfelu było niewiele pieniędzy, ale w osobnej, eleganckiej saszetce, tkwiły pliki banknotów. Komisarz szybko rozłożył pieniądze na blacie i dokonał obliczeń.

– Osiemnaście milionów złotych, osiemset marek i trzy i pół tysiąca dolarów.

– Wyobrażasz sobie zamordowanie kogoś i zostawienie takiej ilości pieniędzy?

– Nie. Kompletnie nie rozumiem. Co? Bał się, że przykleimy mu zarzuty kradzieży?

– Zbrodnia w afekcie? Bez sensu. Wszystko zostało świetnie zaplanowane i wykonane.

Ostatni przedmiot był pokryty zbrzylonymi kawałkami betonu. Albo luzem wrzucono go do beczki, albo wypadł dyrektorowi, gdy upychano go w ciasnym blaszanym wnętrzu. Kastor rozłożył szczyryk i zaczął delikatnie obłupywać zaprawę. Na plastikowej, przezroczystej tabliczce wytłoczono w białym kole „FH Kraków”, a na dole numer 519. Do kawałka plastiku przytwierdzono kółko z kluczem. Kwiatek zaciągnął się mocno papierosem i powiedział:

– Hotel Forum.

Przede wszystkim położenie. Goście hotelu ze swoich pokoi mogli podziwiać zakole Wisły oraz widoczny po drugiej stronie rzeki Wawel. Surową, brutalistyczną bryłę wsparto na żelbetowych filarach, a przesunięte względem siebie piętra doskonale komponowały się z nachyleniem nabrzeża. Korty tenisowe, basen, kasyno, klub Szalony Smok oraz kawiarnia Panorama umieszczona na ostatnim piętrze. Każdy, kto w Krakowie 1990 roku znaczył coś na mieście albo chciał chociaż udawać, musiał tu bywać.

Podjechali od strony Ludwinowskiej, z której zazwyczaj korzystali dostawcy. Zza żelaznej bramy wyszedł do nich potężnie zbudowany mężczyzna w czarnym garniturze i białym golfie.

– Panowie, wejście główne jest od Konopnickiej, tam możecie postawić auto i... – Zamilkł, rozpoznając twarz kierowcy. – Pan komisarz?

– Cześć, Dempsey. Co ty tu robisz? Myślałem, że stoisz na bramce w Feniksie?

– W Feniu tylko w weekendy i we wtorki. Tutaj w tygodniu płacą trochę mniej, ale robota spokojna.

Postawny mężczyzna z przesuniętym, wybitnie bokserским nosem naprawdę nazywał się Zygmunt Pakuła. Swoją ksywę zawdzięczał amerykańskiemu bokserowi Jackowi Dempseyowi. Podobnie jak słynny pięściarz, Zygmunt również zaczynał agresywnie walkę od pierwszego gongu i często jego pojedynki kończyły się nokautem w początkowej rundzie. Dempsey był świetnie zapowiadającym się bokserem Wisły Kraków. Był tak dobry i wiązano z nim tak wielkie nadzieje, że dość szybko i gwałtownie zanurzył się w świecie dużych pokątnych pieniędzy. Takie nury często kończą się zachłyśnięciem i tak też było w tym wypadku. Dzisiaj Dempsey był złamanym życiem, trzeźwym alkoholikiem z dwiema odsiadkami na karku. Ale Kastor był zawsze zdania, że to po prostu porządny człowiek.

– Musimy pogadać z recepcją.

– Jasna sprawa, postawcie auto z boku, żeby nie blokowało, bo zaraz przywożą gorzałę. Zna pan drogę?

Kastor skinął głową, zaparkował auto zgodnie z instrukcją i po chwili weszli do rozświetlonej, wspaniale udekorowanej recepcji. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, którzy swoją postawą i strojem dobitnie podkreślali doskonałą sytuację materialną. O ile Kwiatek jeszcze tu od biedy pasował, o tyle na komisarza wszyscy patrzyli tak, jakby ktoś ożywił słynnego Chochoła z Wesela Wyspiańskiego, kazał opuścić mu Bronowice i wynająć pokój w Hotelu Forum.

Trudno było stwierdzić, czy to uniform był za ciasny, czy recepcjonista o wiele za chudy. Faktem było, że swoim sposobem poruszania i wyglądem na pierwszy rzut oka przypominał Kastorowi czaplę. Gdy tylko mężczyzna zobaczył policyjną legitymację, z wyrzutem powiedział, że teraz musi obsłużyć gości i zaraz do nich podejdzie. Komisarz czekał cierpliwie, obserwując pracownika nachylonego nad jednym z monitorów, ale po dziesięciu minutach zaczął się powoli gotować. Poczłł uspokajającą dłoń Kwiatka na ramieniu i wyczuł ostrą woń śliwowicy, którą tamten musiał się uraczyć.

- Ale jak? Kiedy?
- Proszę pana! Teraz! – wypalił w końcu Kastor.
- Proszę na mnie nie podnosić głosu! – Recepcjonista podszedł do nich. – Co pan sobie wyobraża? Wasze czasy się skończyły. Teraz to wy jesteście dla nas, a nie na odwrót. Jak będę miał chwilę, to podejść.
- Pan w hotelu pracuje od niedawna? – Komisarz podpuścił mężczyznę.
- Żarty? Wcześniej na Wybrzeżu dwadzieścia lat między innymi w...
- W takim razie bucu, byłeś na uchu – przerwał mu z nieprzyjemnym uśmiechem Kastor. – Jak każdy z was. Wyciągnę teczkę z archiwum i podeślę twoim nowym właścicielom. Co ty na to?
- Rozumiem, że pan żartuje. – Recepcjonista błysnął zębami w uśmiechu. – Tak samo jak ja wcześniej. Służę uprzejmie panom oficerom. W czym mogę pomóc?
- Pokój 519.
- Nie bardzo rozumiem. – Mężczyzna przybrał zatroskany wyraz twarzy, ale komisarz zobaczył to, co chciał. Tę milisekundę panicznej reakcji, zanim przybrał obojętną minę.
- Naprawdę myślisz, że w błahej sprawie byśmy jechali do tego waszego złotego grajdoła? O zabójstwo chodzi. Prowadź na górę. Teraz.

W pokoju śmierdziało kurzem. Nic dziwnego, niemal wszystko było przykryte jego grubą warstwą.

- Sprzątacie tu w ogóle?
- „W ogóle” to jest to hotel czterogwiazdkowy i tak, sprzątam tu – odparł z niechęcią recepcjonista. – Ale w tym konkretnym przypadku życzeniem gościa było, aby nikt tu nie wchodził.
- To chyba dosyć nietypowa prośba?
- Oczekuje pan odpowiedzi?
- Ależ skąd. – Komisarz otworzył drzwi do łazienki i zapalił światło.

W środku unosił się zatęchły zapaszek niewietrzonego od dawna pomieszczenia.

– Kastor, chodź na chwilę.

Komisarz przeszedł do pokoju i zerknął przez ramię zagląającego do szafy Kwiatka. Ktoś usunął całe wnętrze mebla i wstawił do środka sejf. Miał może metr wysokości i trzy błyszczące rozety na drzwiach. Nie było żadnych wątpliwości, że akurat ten element wystroju używany był dość regularnie. Kastor odwrócił się do recepcjonisty. Tym razem zdziwienie na twarzy mężczyzny było szczere.

– Ktoś to chyba tutaj musiał jakoś wnieść, co? – spytał komisarz.

– Kurwa, człowieku... – Recepcjonista miał wyraźnie dość. – Za tę kasę, którą płacił nam ten gość, to mogliby tu przytargać ołtarz z Kościoła Mariackiego. A ja bym siedział na piździe i nie mrugnął. Jasne?

#### 4.

Kwiatek gorąco zapewniał komisarza, że wytrzyma do rana i poczeka na Smoka z ekipą, która przewiezie sejf. Kastor wezwał ekipę natychmiast, wyganiając Smoka z łóżka, co czynił niezwykle rzadko. Zresztą cała operacja przewiezienia sejfu na tyle cicho, aby nie przeszkadzać gościom hotelowym, miała być długa i skomplikowana.

Zostawił sierżanta Kwietnia w klubie Szalony Smok na dole, a przed odjazdem podzielił się tą informacją z Dempseyem, który doskonale wiedział, co robić, gdy Kwiatek zacznie wszczynać pijackie burdy.

O tej porze dojechał pod dom w niecałe pięć minut. Gdy tylko otworzył klatkę, Zosia natychmiast wskoczyła mu na rękę i zaczęła skubać delikatnie zębami.

– Co się dzieje?

Szczurzyca wbiegła z powrotem do klatki i ułożyła się obok Jasnej. Kastor podniósł zwierzątko i zauważył, że całe lewe oko Jasnej było

sklejone ropą.

– W porządku, rozumiem. Poczekajcie chwilę.

Komisarz zaparzył rumianku, ochłodził wywar i potem, używając wacika kosmetycznego, przetarł delikatnie zanieczyszczone oko. Jasna wskoczyła mu na ramię i polizała z wdzięcznością za uchem. Kastor poczuł, że jest trochę głodny, mimo że przecież w ciągu dnia zjadł posiłek. Niestety w lodówce znalazł tylko spleśniałą wędlinę, więc musiał się zadowolić czerstwym rogalem, którym podzielił się z dziewczynami.

Zrezygnował z ziółek. Umył zęby, wziął szybki prysznic i przebrany zasiadł w fotelu, kładąc obok kartkę papieru i długopis. Potem przypomniał sobie o kupionym w ciągu dnia stoperze i położył nowy nabytek obok starego. Ponieważ jeszcze nie chciało mu się spać, spróbował się skoncentrować i pomyśleć o śledztwie, ale nie wiedzieć dlaczego jego myśli krążyły wokół Oli. Rozmyślał o tym, czy coś mógł zrobić inaczej dzisiejszego dnia. Powiedzieć coś więcej, a może wręcz przeciwnie, powstrzymać się od niepotrzebnych komentarzy. Ten jej dziewczęcy uśmiech, włosy zakrywające policzki oraz mądre, ufne spojrzenie. Spodobała mi się. I to bardzo, pomyślał, czując jak ogarnia go senność. Czekąco go trudne zadanie. Przed snem musiał tym razem włączyć dwa stopery. Udało mu się.

*Huragan. Ja sześćioletni nie znam tego słowa, ale ten wiatr jest po prostu przerażający. Boję się, ale nie krzyczę. Biegnę w milczeniu, a drzewa wokół mnie kładą się, szorując konarami po wydmach. Tumany piachu sypią się dookoła, oślepiając mnie. Potężne podmuchy raz po raz przewracają mnie na ziemię. Wypluwam piasek, czuję, że serce kołata mi się w piersi, wywołując fale eksplodującego bólu. Jestem tak przerażony, że praktycznie bliski obłądu. Ale nie krzyczę.*

*W końcu wypadam na plażę, a wiatr niemal natychmiast porywa mnie dwa metry w górę i ciska w piach. Na chwilę robi mi się ciemno przed oczami. Do wycia wiatru dołączył łoskot fal rozbijających się o brzeg. Oszalała kipielał młoci bezlitosnymi grzywami w piasek, chcąc*



za wszelką cenę wyrwać kolejne kawałki lądu. Wiem, co muszę zrobić. Idę powoli na czworakach w kierunku wody, ale nagle zamieram, widząc słabe błyski tańczące po morskiej pianie.

To Remus, wypadł z latarką na plażę. Walczy z wiatrem, pochylając się do przodu, rozgląda i krzyczy:

– Kaaastoor! Kaaastoor! Kaaastiiiiiii!

Widzę, że Remusem wstrząsa szloch, łyż od razu zostają porwane przez wiatr. Remus kręci się z latarką zaledwie kilka metrów ode mnie, ale nie jest w stanie mnie zauważyć. Potężny wiatr podrywa kolejne tumany piachu, które przesłaniają widoczność. Remus zakrywa twarz przedramieniem, ciągle mnie nawołuje i, idąc wzdłuż brzegu, opryskiwany falami, oddala się.

Jestem spokojny, moje serce zaczyna bić normalnie. Wiem, że to jedyny sposób. Tylko tak mogę dołączyć do mamy i taty. Lodowata woda szybko pochłania moje ręce. Nadgarstki eksplodują bólem. Kolejna potężna fala porywa mnie z brzegu, ciska w kipiel pod powierzchnię. Wycie wiatru ustaje, jest przytłumione, słyszę szelest pieniającej się wody. Cofająca się fala zabiera mnie coraz głębiej w morze, rzucając po dnie. W ostatnim, rozpaczliwym odruchu zmieniam zdanie. Wbijam palce w piaszczysty grunt, próbuję wydostać się na powierzchnię. Ale nawet ja sześćioletni wiem, że jest na to za późno. Tracę przytomność.

Całe ciało mam zziębnięte i skostniałe. Ból jest wszechogarniający. Gdy budzę się, z miejsca wymiotuję całą morską wodę. Krztuszę się bez końca. Mam wrażenie, że płuca pochłania mi ogień i już nigdy nie będę w stanie zaczerpnąć tchu. Gdy w końcu mi się to udaje, siadam na piasku i rozglądam się. Powoli świta. Wiatr jest już słabszy, a morska kipiel nie jest już tak rozszalata jak wcześniej. Odwracam się i widzę, że na wydmach krąży wiele światełek latarek. Szukają mnie.

Gdy docieram do latarni, z miejsca wspinam się po krętych schodach na górę. Nie czuję rąk ani nóg, jestem przekonany, że zamarzyły mi dokładnie tak, jak w bajce, którą kiedyś mama czytała mi przed snem. Wspinam się na samą górę i z szeroko otwartymi

*oczami wpatruję się w ostre światło, które oślepia mnie co kilka sekund.*

*Nie wiem, jak długo tak siedzę. Cykliczny rozbłysk światła, powoli wnikający w mój mózg, i monotonne wycie wiatru na zewnątrz. Wydaje mi się, że moja dusza oddziela się od ciała. Światło gaśnie i nagle słyszę rozpaczliwy, przykryty szlochem głos Remusa:*

*– Kastor, dziecko moje. Boże kochany, co z tobą... – Dziadkiem wstrząsa spazm i po chwili krzyczy: – Jest tutaj! Znalazłem go!*

*Nic nie widzę. Czuję tylko kołysanie samochodu i jęk syreny. Oraz głos Remusa:*

*– Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.*

*Sam nie wiem, czy próbuje oszukać mnie, czy siebie. Ale rozumiem jedno. To jest teraz moja rodzina. Mamy i taty już nie będzie.*

## Rozdział IV

### 1. Czwartek, 7 czerwca 1990

W przeciwieństwie do poprzedniego dnia ten zapowiadał się upalnie. Kastor zaparkował na Świętego Łazarza i zerknął na deskę rozdzielczą. Było kilka minuta po ósmej, a temperatura już osiągnęła dwadzieścia cztery stopnie. Na niebie nie było ani jednej chmury. Siedział w samochodzie z włączonym silnikiem, chcąc skorzystać jeszcze trochę z chłodnego powietrza klimatyzacji.

Zaraz po przebudzeniu zapisał kolejny sen, a potem przeczytał treść kilka razy. Był dziwnie rozbity i przerażony. Tak, początkowo bał się, że to za mocne słowo, ale mimo wszystko chyba najlepiej oddawało uczucia kogoś, kto właśnie dowiedział się, że oto w wieku sześciu lat chciał popełnić samobójstwo. Jeszcze godzinę temu jakaś jego część starała oszukać samego siebie. Przekonać, że to tak naprawdę tylko sen i te wydarzenia wcale nie musiały mieć miejsca. Ale teraz już wie, że to nieprawda. Przypomina sobie coraz więcej szczegółów. Elementy te wypełniają z zakamarków jego umysłu, wypędzone tam wcześniej przez podświadomość.

Wysiadł z samochodu i przeszedł na Grzegórzecką. Czuł się wyjątkowo naładowany energią. Coś takiego nie przytrafiło mu się od dawna, dwa stopery nie mogły się mylić. Przespał naraz niemal półtorej godziny. Dla normalnego człowieka skończyłoby to się nieludzkim zmęczeniem, ale on wręcz kipiał entuzjazmem.

Budynek Zakładu Medycyny Sądowej był sam w sobie wizytówką mieszczącej się tam instytucji. Postawiony pod koniec XIX wieku, szary, ponury i kompletnie bez wyrazu. Przed wejściem czekał na niego młodszy aspirant Hewig.

– Cześć, tak się ciągle nad jednym zastanawiam.

– Słucham cię, młody człowieku.– Kastor uściśnił wyciągniętą dłoń.

– Dlaczego skoro to jest mój samochód, to ciągle zapieprzam tramwajami?

– Po raz kolejny, to mienie państwowe! Poza tym w tramwajach jesteś bliżej ludzi, ćwicz zmysł obserwacji. Ilu złapałeś kieszonkowców podczas dzisiejszej podróży?

– Co? Ani jednego.

– Chcesz mi powiedzieć, że w krakowskich tramwajach nie ma kieszonkowców? – Komisarz zrobił groźną minę, a potem roześmiał się, widząc zmieszanie Czarka. – Spokojnie, żartuję.

– Bardzo dobry humor masz dzisiaj. Ale chyba zupełnie niepotrzebnie.

– Dlaczego?

Czarek wyciągnął teczkę ze zdjęciem i wręczył komisarzowi.

– Przyszły kwity z urzędu, żeby dać rysopis i zdjęcie do gazet. To pani Jolanta Gutowska.

– O kurwa – mruknął Kastor, patrząc na fotografię. Kobieta ze zdjęcia miała około pięćdziesięciu lat i tlenione blond włosy. Mogła być podobna do dowolnej osoby na Ziemi, ale na pewno w niczym nie przypominała luksusowej żony, z którą rozmawiał podczas pierwszej wizyty w domu dyrektora.

– To nie jest babka ze zdjęć, które widziałem podczas oględzin.

– Co ty nie powiesz? – Sarkazm komisarza był aż nadto słyszalny.

– Nie sprawdziliście jej dowodu?

– Młody, nie ucz ojca, jak dzieci lać, dobra? Z początku nie traktowaliśmy tej sprawy poważnie, facet spóźnił się na chatę kilka godzin. Ja pierdolę, ale mina. Tyszol już wie?

– Jestem „młody”, ale nie konfitura. Wszystko zachowałem dla siebie.

– Będą jeszcze z ciebie ludzie. Chodź, pogadamy z patologiem, a potem ogarniemy ten syf.

W powietrzu unosił się specyficzny zapach. Sala prosektorium była obdrapana i poniszczona, co było naturalną konsekwencją całego obrazu służby zdrowia w Polsce. Skoro żywi nie zasługiwali na

porządny standard obsługi, to dlaczego martwi mieli mieć lepiej? W końcu tym ostatnim to już naprawdę wszystko jedno. Z małego biurka wciśniętego w kąt podniosła się kobieta w białym kitlu.

– Cześć, Kastor – powiedziała.

– Kłaniam się nisko. – Kastor uśmiechnął się i wskazał Czarka. – Młodszy aspirant Hewig, nasza nieoceniona pani doktor, Eryka Sadowska.

– Miło mi. – Patolog uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń do Czarka, a komisarz z rozbawieniem obserwował reakcję chłopaka.

Ciasny fartuch opinał zgrabne ciało pani doktor. Kształtny biust oraz wyraźne wcięcie w talii i szerokie biodra zawsze robiły wrażenie na mężczyznach. Delikatne rysy twarzy oraz duże oczy przykryte były gęstwiną mocno kręconych włosów. Było w tej kobiecie coś tak pociągającego, że wszyscy policjanci z komendy wojewódzkiej opowiadali sobie o niej. Ten i ów chełpił się różnymi historiami, którym Kastor nie bardzo dawał wiarę.

– Bardzo ci dziękuję, że zajęłaś się tym trochę szybciej.

– Nie ma sprawy. Wielkich tajemnic tu przed wami nie odkrywę. Przyczyną śmierci było uduszenie, chociaż przedtem mężczyzna musiał bardzo cierpieć z powodu rozepchanego przełyku.

– To znaczy?

Sadowska ściągnęła prześcieradło ze stołu prosektoryjnego. Zbigniew Gutowski leżał z rozkrojoną klatką piersiową i gardłem, a ziejącą szczelinę przytrzymywały srebrne klamry. Twarz oraz dłonie miał kompletnie pomarszczone i poszarzałe od betonowej skorupy, której pozbyli się ludzie Smoka.

– Ktoś brutalnie i z olbrzymią siłą rozepchał mu przełyk oraz część układu pokarmowego. Albo może próbował połknąć coś dużego, to tak naprawdę trudno mi stwierdzić.

Potem Sadowska pokazała otarcia i nacięcia skóry na rękach i nogach.

– Ślady krępowania na nadgarstkach i kostkach.

– No tak, sam do tej becзки na pewno nie wlaźł – mruknął Kastor i zajrzał do dziury ziejącej w klatce piersiowej zmarłego. – A co tu tak

pusto? Czarek, chodź zobacz.

Komisarz zerknął na podchodzącego kolegę. Zazwyczaj ludzie podziwiający po raz pierwszy tego typu widoki trochę wszystko przeżywali. Ale młodszy aspirant całkiem dzielnie się trzymał. Nie był blady ani nie wyglądał na kogoś, kto ma mieć jakieś sensacje żołądkowe.

– Wyciągnęłam zawartość. Jest tutaj.

Kastor zerknął na stojący obok stół.

– O w mordę. Coś takiego widzę po raz pierwszy. Możliwe, żeby się tego nałykał?

Na srebrnym blacie leżał żołądek wraz z częścią przełyku. Była to tak naprawdę betonowa skamielina obciążnięta błoną mięśniową, mocno popękana w kilku miejscach.

– Raczej było tak, że po prostu siłą zalali mu żołądek betonem.

– Przyjemniaczki. Czekał, widziałaś to?

Patolog podeszła do komisarza wskazującego punkt na betonowej powierzchni, prześwitującej spomiędzy popękanej błony.

– Jakiś metal. Masz coś, czym moglibyśmy to trochę rozkuć?

– Żartujesz? Mam tu dłuta w każdym rozmiarze.

Sadowska założyła gumowe rękawiczki, a potem za pomocą dłuta i młotka wydobyla z zastygniętej zaprawy metalowy przedmiot. Oskrobała go, wymyła w jednym z rozpuszczalników i położyła obok na chuście chirurgicznej. Kastor przyjrzał się znalezisku. Metalowy drut wygięto w fantazyjny kształt. Z linii prostej po dwóch stronach wystawały zakrzywione końcówki, a każda z nich wskazywała w przeciwną stronę.

– Co to takiego? – spytał Czarek.

– I to właśnie, młodszy aspirancie, określamy jako „bardzo dobre pytanie”.

Pani patolog włożyła znalezisko do plastikowej torebki i wręczyła komisarzowi.

– Dzięki serdeczne.

– Nie ma za co. Do następnego trupa! – odpowiedziała z uśmiechem.

Przed rondem Grzegórzeckim ciągnął się długi sznur pojazdów. Czarne audi posuwało się w żółtym tempie. Przez dziesięć minut przejechali raptem sto metrów.

- Co sądzisz o naszej pani patolog? – zagaił niewinnie komisarz.
- Czy ja wiem? Wygląda na sympatyczną.
- Starsza ode mnie. Ma czterdzieści lat.
- Poważnie? Nie wygląda.
- Tak więc, młodzieńcze, właśnie chciałeś wydymać starą babę. To znaczy starą według twoich standardów. – Kastor roześmiał się.
- Jakie wydymać? Zwariowałeś?
- Daj spokój, widziałem, jak się na nią gapieś.
- Dobra... Przyznaję, faktycznie jest atrakcyjna i ma w sobie coś...
- Jest napalona, kiedyś rzuciła się na mnie i różniłmy się do upadłego wśród tych wszystkich trupów.
- Co? – Czarek nerwowo przełknął ślinę. – Poważnie?
- Nie no, jaja sobie robię, bo mi się nudzi w korku. Za stary jestem dla niej. Ona woli młodych chłopców, takich jak ty. A propos korka to chyba jakiś wypadek, co?

Kastor skręcił kierownicą i wjechał na torowisko. Gdy dojechali do ronda, szybko okazało się, że faktycznie przejazd blokują zderzone ze sobą pojazdy. Na miejscu był już polonez z drogówki. Gdy tylko policjant zauważył audi jadące torowiskiem, rzucił się do nich i zamachał energicznie lizakiem. Komisarz zatrzymał się na chwilę, uchylił szybę i machnął swoją legitymacją. W odpowiedzi policjant z drogówki energicznym gestem kazał im odjechać i po kilku minutach zaparkowali przed komendą na Mogiłskiej.

Minęli główną siedzibę i doszli do szarego, nieotynkowanego budynku z cegły. Na drzwiach wisiał plakat z naprężonym Bruce'em Lee z filmu *Wejście Smoka*. W środku było siwo od dymu. Naturalnym odruchem każdego normalnego człowieka była chęć zadzwonienia po straż pożarną.

- Okno byś jakieś chociaż otworzył – powiedział Kastor, witając się

ze Smokiem.

– Jakoś chłodno.

– Chłodno to było wczoraj – zaprotestował Czarek.

– Widzisz, twój szef tak mnie robotą zawalił, że nie odróżniam wczoraj od dzisiaj. – Smok zgarpnął jeden z dokumentów i podał go komisarzowi. – Badania krwi, Rh minus. Niestety grupa nie zgadza się z tą, jaką dostaliśmy z przychodni, gdzie leczyła się Jolanta Gutowska. Więc może kogo innego tam zaszlachtowali.

– Ta Jola to może być kto inny... – mruknął bardziej do siebie Kastor. Potem do głowy przyszła mu inna myśl. Co prawda teoretycznie dyrektor nie miał żadnych ran, ale warto było spróbować. – A może zgadza się z grupą krwi Gutowskiego?

– Niestety.

– A co z sejfem?

– Ledwo żeśmy to kurestwo przytargali. – Smok poprowadził ich do sąsiedniego, przemysłowego pomieszczenia, na środku którego stał sejf. – Trzy rozety. Bardzo porządna, austriacka robota.

– Na kiedy możecie to otworzyć? Sprawa jest pilna.

– Bez szans. Nie ruszymy tego.

– Co?

– Człowieku, nie wiem, czy nawet gdzieś mają taki palnik, co by sobie dał z tym radę, ale na pewno nie ma go na Mogińskiej w Krakowie! – Nawet nie niedopałek, ale dosłownie mały węgielek Smok wyciągnął sobie z ust i z jego pomocą zapalił kolejnego papierosa. – Ostatnio ledwo nam na wachę do nyski starcza, a tobie się wydaje, że my jesteśmy ekipą od Q z Jamesa Bonda? Swoją drogą ta Licencja na zabijanie całkiem niezła. Widziałeś?

– Nie do końca – przyznał szczerze Kastor i przypomniał sobie o Oli. Czy powinien ją namierzyć, korzystając ze swoich policyjnych narzędzi? Bez sensu, wyjdzie tylko na jakiegoś zbrojeńca. – Dobra, musi być jakiś sposób.

– Ależ są nawet trzy.

– Zamieniam się w słuch.

– Pierwszy: wywieźć to na Pasternik i niech ci to chłopaki rozdupcą.



– Na poligon wojskowy? – prychnął Kastor. – Przecież jak oni się za to wezmą, to z tego, co jest w środku gównem zostanie.

– To jest ta słynna wojskowa „chirurgiczna precyzja”. – Smok wzruszył ramionami. Wyciągnął papierosa z ust i przyglądał mu się, a komisarz mógłby przysiąc, że mężczyzna kalkuluje, czy aby nie powinien zacząć palić dwóch naraz. – Drugie rozwiązanie to po prostu znać szyfr.

– Elementarne, drogi Watsonie. A trzeci sposób?

– Znajdź złodzieja, który ci to rozpruje.

Komisarzowi najnowsze informacje wyraźnie nie przypadły do gustu, więc Czarek nie odzywał się, gdy weszli do głównego budynku. Przechodząc obok kasyna, usłyszeli podniesione głosy. Kastor zajrzał do środka i zobaczył Maćka „Sonny’ego” Gajdę otoczonego innymi kolegami. Bardzo dobry policjant. Ksywa wzięła się z jego sposobu ubierania, który przypominał bardzo postać z serialu Policjanci z Miami. Gajda podobnie jak Don Johnson cieszył się wyjątkowym powodzeniem u kobiet. Plotka głosiła, że kiedyś, gdy służył jeszcze w prewencji, zamknął jednego gościa za przemoc domową. Potem spędził upojną noc z jego żoną, dwa dni później z siostrą, a po wszystkim zaczął umawiać się z osiemnastoletnią córką pokrzywdzonej. Brzmiało niewiarygodnie, ale Kastor był w stanie w to uwierzyć.

– Kasti, chodź do nas! – krzyknął Sonny, rzucając łobuzerskie spojrzenie spod swoich gładko zaczesanych włosów. Miał na sobie białą sportową marynarkę, a pod nią seledynowy podkoszulek. – Napijemy się.

Komisarz wszedł do środka, a jeden z policjantów od razu wyciągnął dwa nowe kieliszki i rozlał wódkę.

– Co jest grane? W końcu jakaś cię usidliła? Pępkowe? – Kastor wyszczerzył się.

– Nie strasz! – ryknął Sonny. – Kojarzysz Madziara?

– Tego, co ma melinę na Miodowej?

– Ten sam. A Padlinę?

– No. Kieszonę strzela w komunikacji miejskiej.

– Teraz przerzucił się na pociągi. Podmiejskie robi.

– O tym nie wiedziałem. – Komisarz wzruszył ramionami. – Ale to ten co ma HIV-a, tak?

– Tak jest! – Sonny ucieszył się. – I to jest krem della krem. Jedziemy na zdarzenie na Miodową i teraz słuchaj, co się okazuje! Padlina wyruchał żonę Madziarowi. No a ten się wkurwił. Ale nie dlatego, że zazdrosny, bo ona przecież gacie do kostek przed każdym zdejmowała. Tylko właśnie przez tego HIV-a, no i że byli lekko po wódzie, to wiesz, tam u niego na melinie takie lampy były, nie?

– W rogach. Na takich masywnych stojakach.

– Tak! Wziął ten stojak i rozjechał Padlinie łeb. Mówię ci, kurwa, wymordzenie na pięć metrów normalnie!

– Piękny wynik! – Kastor roześmiał się. – Za to trzeba wypić!

Dał znak Czarkowi i obaj osuszyli kieliszki. Potem odciągnął na bok Sonny'ego i rzucił półgłosem:

– Słuchaj, mam jeden temat.

– Dawaj.

– Sejf. Austriacki, na trzech rozetach. Jak potrzebujesz szczegółów, to popytaj Smoka. Ktoś mi go musi otworzyć. Na legalu nie dam rady.

– Rozumiem. – Sonny zmarszczył się, wyraźnie trawiąc prośbę: – Popytam i dam znać.

– Pilne.

– Do rana na pewno wrócę z konkretem.

– Dzięki.

Kastor pożegnał się z kolegami i razem z Czarkiem poszli na górę. Na klatce schodowej młodszy aspirant spytał komisarza:

– O co chodzi z tą balangą? Nic nie rozumiem.

– A czego tu można nie rozumieć? Było dwóch skurwieli, tak? Jeden poszedł do piachu, a drugi dostanie dożywocie. Dwa zero dla policji!

W pokoju Kastor zapoznał się z nowymi sprawami, przerzucając dostarczone pod jego nieobecność dokumenty.

– Było włamanie na 15 Grudnia. Zajmiesz się tym.

– Myślałem, że prowadzimy sprawę o zabójstwo.

– Bo prowadzimy – wyjaśnił cierpliwie Kastor. – Ale oprócz tego są inne rzeczy. Zrobisz wywiad posesyjny. Podpytasz ludzi na okoliczność. Po pierwsze, pomożesz. Po drugie, może nawet ważniejsze, nauczysz się czegoś. Chodź.

Gdy schodzili na parking, Czarek zapytał:

– Właściwie to co takiego się stało piętnastego grudnia?

– Pojęcia nie mam. O, widzisz. Będziesz gadał z ludźmi, to się od razu czegoś mądrego dowiesz.

Wsiedli do samochodu i po chwili czarne audi sunęło w kierunku Wisły. Nagle głośniki policyjnego radia ożyły:

– Zero zero dla zero siedem.

– Zgłaszam zero siedem – powiedział Czarek, chwytając za radio.

– Jest z tobą Kastor? – spytał oficer dyżurny.

– Tak.

– Dzwoniła do nas pani Aleksandra Szolc. Prosiła, aby przekazać panu komisarzowi, czy będzie może mógł być o siedemnastej pod smokiem. Ta pani ma dzwonić za piętnaście minut po odpowiedź.

Czarek rzucił kpiące spojrzenie Kastorowi, a ten odebrał koleżkę od radia i powiedział:

– Przekażcie pani Szolc, że takie wydzwanianie po oficerach dyżurnych jest niepoważne. W każdej chwili ktoś inny może potrzebować pomocy!

Po drugiej stronie zapadła dłuższa chwila milczenia.

– To wszystko? – spytał w końcu dyżurny.

– Nie, powiedzcie jej też, że będę o siedemnastej na bulwarach.

– Przyjąłem, bez odbioru.

Komisarz oddał radio Czarkowi i po kilku minutach zatrzymał się u wylotu Masarskiej, wjeżdżając dwoma kołami na krawężnik.

– Przejdziesz się, masz młode nogi.

Czarek otworzył drzwi i rzucił:

– Nie lepiej będzie, jak weźmiesz od niej numer?

– Człowieku, nie zawracaj dupy! To jest w pewnej sprawie.

– Tak, rozumiem, sprawie sercowej. – Czarek wyraźnie nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dobra idź już, bo zacznasz mnie wkurwiać.

Młodszy aspirant wysiadł, zatraskując drzwi, a komisarz odjechał z piskiem opon.

## 2.

Po południu ciepłe powietrze zamieniło się w gorące. Bulwar Czerwieński zapełniony był tłumem spacerowiczów. Ludzie siedzieli, wylegiwali się na trawnikach i rozmawiali, wyraźnie ciesząc się fantastyczną pogodą. Kastor szczerze żałował, że nie może zdjąć marynarki. Szedł na spotkanie z mocnym postanowieniem, że zacznie je od udzielenia Oli solidnej reprimendy. Załatwianie takiej prywaty kanałami służbowymi mimo wszystko uważał za niedopuszczalne.

Jednak w miarę zbliżania się do figury Smoka Wawelskiego jego zamiary słabły, a gdy zobaczył Olę, postanowił, że co najwyżej uwagę tę zawrze w delikatnej wzmiance, zręcznie wprowadzonej do rozmowy. Ale gdy kobieta uśmiechnęła się na jego widok, całkiem o wszystkim zapomniał.

– Cześć. – Pocałowała go w policzek. – Przepraszam, że zawracałam ci głowę, ale kompletnie zapomnieliśmy wymienić się numerami.

– To ja przepraszam. Niepotrzebnie mówiłem dyżurnemu te bzdury.

– Jakie bzdury?

– Oficer dyżurny nie mówił ci nic, żeby tak nie wydzwaniać?

– Nie. Nic nie mówił. A to mam nie dzwonić na przyszłość?

– Skąd! – Przykrył zmieszanie uśmiechem. – Dzwonić kiedy chcesz, ale najlepiej do mnie na biurko. Albo do domu.

Wyciągnął szybko notes, nabazgrał dwa numery telefonów, wydarł kartkę i wręczył ją Oli. W odpowiedzi ona odebrała od niego notes i długopis.

– Tu jest mój domowy, a tutaj do pracy – powiedziała, zapisując numery.

– Dzięki. To co, przejdziemy się?

– Jasne, na płytę? – spytała z uśmiechem.

– Czemu nie.

Podał jej elegancko ramię i ruszyli w kierunku Bernardyńskiej. Kastor zerknął dyskretnie na Olę. Była ubrana w letnią sukienkę w czarno-białą kratę, a zaczesane na jedną stronę włosy zaplotła w warkocz.

– Dzisiaj o wiele lepiej się ubrałaś.

– To znaczy? – Zmarszczyła brwi. – Ale co, wczoraj wyglądałam gorzej?

– Nie, skąd. Tylko nie potrafiłaś się ubrać. – Komisarz szybko uświadomił sobie swój błąd. – Chodzi mi o to, że wczoraj byłaś ubrana trochę nieodpowiednio do pogody. Tak w ogóle to świetnie wyglądasz. Jesteś najładniejszą dziewczyną na bulwarach. Co ja mówię, w całym Krakowie!

– Starczy! – Ola roześmiała się ze swoim dziewczęcym urokiem, zakrywając usta dłonią. – Kraków naprawdę mi wystarczy. Jak powiesz, że w całej Polsce, to będzie przesada. Dzięki za miłe słowa. Zazwyczaj cenię sobie szczerść, ale ten rodzaj fałszu, pewnie jak każda kobieta, jestem w stanie tolerować.

Gdy weszli w Bernardyńską i minęli po lewej stronie masywne mury Wawelu, powiedziała:

– Mimo wszystko muszę ci przyznać, że przynajmniej orientujesz się, kiedy palnąłeś gafę. Większość moich poprzednich facetów była tego całkiem nieświadoma.

– Wydaje mi się, że twoje komplementy są równie niezręczne, co moje.

– Tak, to prawda! – Roześmiała się. – Obiecuję poprawę. Jesteś bardzo przystojny, wiesz? Na pewno masz powodzenie u kobiet.

- Obydwoje wiemy, że to nieprawda.
- Ej, tym razem mówię szczerze. Oczywiście, marynarkę mógłbyś mieć bardziej dopasowaną, ale już wiem, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Właśnie, czy ty w ogóle istniejesz w wersji bez pistoletu?
- Przykro mi, ale nie.
- Naprawdę? A jak masz wolne, nie wiem, na przykład w niedzielę?
- Nigdy nie rozstaję się z bronią. Tylko wtedy to ma sens. – Kastor poważnie zaczął się zastanawiać, czy nie wygłosić swojego stałego tekstu o tym, że broń jest jak kobieta, ale zrezygnował. Co za dużo gaf, to niezdrowo.
- Dobrze. Ale rozumiem, że jednak muszą być pewne sytuacje, w których broni nie nosisz?
- Są. – Uśmiechnął się pod nosem. – Ale pistolet jest zawsze w zasięgu ręki.
- Dotarli do Grodzkiej. Ulicą przewalały się tłumy ludzi. Komisarz zawsze cenił sobie nastrój Krakowa. Było to duże miasto, w którym mimo wszystko ludzie zachowali choćby pozory wolności, a uliczny pośpiech nigdy nie kojarzył się z zasadami „bij, zabij”. Mieszkańcy raczej kierowali się tutaj swoim własnym rytmem i nie zapominali, że najważniejszą sprawą jest jednak życie samo w sobie. Mam nadzieję, że nigdy się to nie zmieni, pomyślał.
- Mamy jakieś plany?
- Zapraszam cię na kawę do Zwisu.
- Poważnie? – Odgarnęła warkocz z ramienia. – Słyszałam o tym lokalu.
- „Tym lokalu”? Zabrzmiało tak, jakbym cię zaprosił do agencji towarzyskiej.
- To mi przypomina, że wczoraj chciałam cię o coś zapytać.
- Pytaj.
- Wtedy przed kinem. Powiedziłaś, że nic nie masz do, przepraszam za wyrażenie, kurew. Dlaczego?
- Nie bardzo rozumiem. – Odciągnął ją delikatnie na bok, minęli grupę roześmianych nastolatków.
- Jemu jako złodziejowi ręki nie podałeś, tak?

– Zgadza się. Ale on świadomie wybrał swój zawód. A jeśli chodzi o córy Koryntu... To często są to kobiety z przeszłością, które nie miały wyboru. Nie wspominając już o tym, że teraz handel ludźmi kwitnie w Polsce, jak nigdy wcześniej. Zresztą nie będę cię zamęczał tymi potwornościami.

Spojrzała na niego, ale jakoś inaczej niż do tej pory. Z pewną dozą szacunku i troski. Nie rozumiał dlaczego, ale najwyraźniej te słowa bardzo się jej spodobały. Po krótkiej chwili milczenia odezwała się:

– Trzeba mieć chyba w sobie wiele empatii, żeby wykonywać tę pracę?

Kastorowi przed oczami stanęli roześmiani policjanci i niedawne toasty wznoszone w kasynie przy Mogińskiej. Co tak naprawdę robili? Świątowali ludzkie nieszczęście. Coś sprawiło, że w obecności Oli nagle zaczął się tego wstydzić. Tylko czego? W mieście ma być porządek, skontrował swoim stałym mottem, ale nie na wiele się to zdało. Kryzys wezbrał niczym fala. Ogarniająca go senność uderzyła wściekle i gwałtownie. Poczul, że za chwilę położy się pod jedną ze sklepowych witryn i po prostu zaśnie. Postanowił zakończyć temat swojej pracy.

– A co z tym Zwisem?

– Myślisz, że to miejsce dla nas? Poeci, pisarze, błękitne ptaki, a wśród nich księgowa z Rzeszowa i gliniarz w przydużej marynarce?

– Przepoconej – dodał z uśmiechem.

– Domyślam się. Straszny dzisiaj upał. W Rynku jest drogo. Ale pozwolę ci się zaprosić na lody. Uwielbiam słodcze.

– Nie widać. Tym razem to prawda, więc przyjmij, proszę, komplement.

– Przyjmuję. To zasługa mojej mamy. Przemianę materii mam po niej.

Kupili lody w niewielkim punkcie przy placu Dominikańskim, a potem usiedli na ławce na Plantach. Jedli w milczeniu, przyglądając się spacerującym. Gdy komisarz skończył, wytarł usta papierową serwetką i spytał:

– Może podrzucić cię do domu?

– Masz samochód?

– Powiedzmy, że nim dysponuję. Chodźmy, zaparkowałem niedaleko.

Wyszli na Waryńskiego i ruszyli w kierunku Stradomskiej. Po chwili Ola delikatnym gestem złapała go za rękę i powiedziała:

– Wiesz, jeśli już koniecznie chcesz mnie gdzieś zaprosić, to przypominam delikatnie, że jutro piątek.

Komisarz zaczął się gorączkowo zastanawiać, co też w świecie randkujących ze sobą ludzi może oznaczać piątek, gdy Ola taktownie wybawiła go z kłopotu:

– Z chęcią poszłabym gdzieś potańczyć.

– Potańczyć?

– Nie lubisz?

– Lubić, owszem, lubię, ale nie umiem. – Kastor skrzywił się lekko.

– Jeśli zobaczysz mnie tańczącego, to postawisz na mnie krzyżyk. Nie chcę tego.

– Okej, dostosuję się... – Wzruszyła ramionami swoim stałym, dziewczęcym gestem.

– Nie zrozum mnie źle, tylko... – Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Tylko co?

– Wszyscy na mieście mnie znają. Do tych klubów chodzą też złodzieje, włamywacze, rozbojarze... I co? Mam przy nich wywijać marynarą?

– Marynarą nie możesz. – W jej głosie słychać było złość. – Bo wtedy odsłonisz ten swój słynny pistolet. Pif-paf!

Komisarz westchnął, podszedł do audi i otworzył drzwi od strony pasażera. Zatrzasnął je za Olą, a potem sam zajął miejsce za kierownicą.

– Dobrze, zapraszam cię jutro na dansing.

– Ale popatrz, jak to teraz wygląda! Jakbyś się litował nad moją skromną osobą.

– Nie, absolutnie się nie lituję ani nie użalam. Źle to rozegrałem, dobra?



Odpalił silnik i włączył się do ruchu. Po chwili pędzili Waryńskiego w przeciwnym kierunku, mijając miejsce na Plantach, gdzie wcześniej jedli lody.

- Niezły wóz. – Rozejrzała się zdziwiona po wnętrzu.
- Nie jest mój. I nigdy nie będzie mnie na taki stać.
- Wiesz, że czasem zachowujesz się po szczeniacku?
- Wiem, ale zawsze myślałem, że to w pewien sposób urocze.
- Nie. Przynajmniej nie dla mnie. Błagam, przestań robić z siebie gałgana z pensją w formie zapomogi. Nie dlatego, że mi zależy na pieniądzach. Tylko dlatego, że to po prostu nieprawda. Jesteś fajnym facetem.

Zatrzymał się na Długiej we wskazanym przez nią miejscu. Ola pocałowała go w policzek, a komisarz powiedział:

- Jutro o dwudziestej przy Barbakanie?
- Pasuje. Na razie!

Odprowadził ją wzrokiem, obserwując, jak znika w bramie, a potem zjechał gwałtownie z chodnika i zawrócił przed nadjeżdżającym tramwajem. Motorniczy wykonał obraźliwy gest i wduśił z wściekłością dzwonek.

### 3.

Tym razem był ostrożny. Najpierw powąchał czajnik, a potem przepłukał go kilka razy gorącą wodą, by w końcu zagotować wrzątek. Sam nie wiedział, co go tak wykończyło. Ten dzisiejszy sen, z którego tak wiele się o sobie dowiedział? A może spotkanie z Olą, zwłaszcza jego końcówka? Początkowo wydawało mu się, że ma do czynienia z taką sobie słodką dziewczuszką. Teraz za to miał ją za kobietę, która doskonale wie, czego chce, i w jakiś podstępny, choć to nie było najlepsze słowo, sposób realizuje swój plan. Tak czy siak, zaparzoną przez niego kawę można było niemal wyciągnąć, postawić obok i kroić nożem.

Komisarz usiadł za biurkiem, zerkając na pustą amerykańkę po

przeciwnej stronie. Najwyraźniej Kwiatek zaczął się już doprowadzać do porządku. Siorbał gorący napój prosto ze szklanki, gdy między dokumentami zobaczył wijącą się białą glistę. Z początku myślał, że mu się wydawało, ale po chwili zobaczył więcej robaków pełzających po blacie. Odstawił ostrożnie szklankę. Wcześniej w wyniku długotrwałej bezsenności nieraz zdarzało mu się miewać omamy. Ale nigdy takie.

– Gieniu, chodź tu do mnie i powiedz, co widzisz – odezwał się Kastor.

Aspirant wstał zza swojego biurka i stanął obok komisarza.

– Tutaj.

– Nic nie widzę – powiedział Gieniu, a po chwili założył okulary. – A, tu są! Znalazłeś je!

Gieniu klęknął obok zdębiałego Kastora i zajrzał między jego nogami pod biurko.

– Wcześniej gdzieś mi się jedno opakowanie potoczyło! – Starszy pan wynurzył się po chwili z plastikowym pojemnikiem wypełnionym robakami i zaczął skrzętnie zbierać wszystkich uciekinierów. – Jutro jadę na urlop, muszę się przygotować.

Komisarz przez krótką chwilę zastanawiał się, czy warto robić awanturę o tę kuriozalną sytuację, ale odpuścić. Gdy Gieniu uporał się z wszystkimi robakami, zamknął wieczko, spakował je do swojej torby, a z szafy wyciągnął złożoną wędkę. Na to wszystko do środka wszedł naczelnik Tyszowiecki, przyglądając się ze zdziwieniem aspirantowi.

– Tę trzymam tutaj, jak zwłoki w rzece są czy coś – rzucił Gieniu tonem wyjaśnienia. – Zanim zrobią oględziny, to zawsze się coś złowi.

Tyszol z Kastorem wymienili się spojrzeniami, ale żaden nie pokusił się o komentarz. Wyraźnie z siebie zadowolony mężczyzna założył marynarkę, spakował resztę dobytku i powiedział:

– No, to w imię Boże. Do zobaczenia za dwa tygodnie.

Gdy tylko za wychodzącym zamknęły się drzwi, Tyszol usiadł ciężko na biurku komisarza i odezwał się:

- Nareszcie. Czasami na poważnie mam go dość.
- Już nie narzekaj. Parę rzeczy dla nas robi.
- Przecież dla niego nawet maszyna do pisania jest zbyt nowoczesna! Wszystko kaligrafuje!
- Ale zna procedury i to dzięki niemu wiele rzeczy mamy w porządku. Dobrze wiesz, że główna już wymaga takich pierdół, że w produkcji kwitów to chyba jesteśmy w światowej czołówce.
- Wiem, wiem.
- Poza tym nie tylko on popełnia błędy. – Kastor westchnął. – Muszę ci się do czegoś lojalnie przyznać, zanim to wyjdzie. Jak byliśmy pierwszy raz u Gutowskiej, nie sprawdziliśmy jej dokumentów.
- Jak to?
- Normalnie, myśleliśmy, że koleś wróci i rozejdzie się po kościach. Skąd mogliśmy wiedzieć, że skończy w beczce.
- Zawsze trzeba zakładać najgorsze.
- Wiem. Mówię na wszelki wypadek, żebyś potem nie był zaskoczony.
- Ale to taki wielki problem?
- Sam jeszcze nie wiem. Tak naprawdę nie wiadomo, kim była kobieta, z którą wtedy rozmawialiśmy.
- Myślisz, że mogła być zblatowana z tymi, co zaciukali dyrektora?
- spytał Tyszol.
- Pojęcia nie mam. Wiem, że dałem dupy, ale nic się nie martw. Naprawię ten błąd.
- Spokojnie. Akurat na ciebie można liczyć. Może po tym twoim wyznaniu to źle zabrzmi, ale za pierwszy kwartał przyznano ci premię.
- Poważnie!?! – Komisarz uśmiechnął się, a w głowie od razu pojawił się jutrzejszy wypad na miasto z Olą. Wcześniej o tym nie pomyślał, ale mimo że był to zaledwie początek miesiąca, z finansami było już u niego bardzo krucho.
- Nie szalej z entuzjazmu. – Uspokoił go gestem naczelnik. – Dwieście tysięcy.

– Ale luksus – prychnął Kastor. – Chyba sobie działkę na Woli Justowskiej kupię. Zaraz obok Gutowskich.

– Ciesz się chociaż z tego. Ja nic nie dostałem, bo stwierdzili, że „jako kadrze zarządzającej” to mi się nie należy. Niestety kasę będziesz mógł odebrać dopiero w sobotę.

– Dobra, dzięki chociaż za to.

Do środka wszedł Kwiatek. Musiał chyba wyczuć swoim szóstym zmysłem dzisiejszy upał, bo miał na sobie letni, biały garnitur. Zrezygnował z krawata i pod marynarką widać było czarną jedwabną koszulę z rozpiętym guzikiem. Na nogach miał wypastowane na wysoki połysk półbuty, a w butonierce tkwiła niewielka czerwona róża. Nawet z tej odległości było czuć zapach unoszący się z jego gładko wygolonych policzków. Drzewo cytrynowe z nutą brzoskwini, a wszystko to zgrabnie połączone z janowcem barwierskim. Tyszol rzucił komisarzowi znaczące spojrzenie z cyklu „ciągle nie wiem, jak on to robi” i po chwili go nie było.

Sierżant Kwiecień szybko przejrzał dokumenty i notatki z tego, co wydarzyło się rano, a potem zaczął obracać w palcach przedmiot znaleziony w zabetonowanym żołądku Gutowskiego.

– Wiesz może, co to takiego? – spytał komisarz.

– Kawałek drutu.

– Mówiłem ci już, że jesteś trzonem naszej sekcji? Bardzo pomocną osobą?

– Po co ten sarkazm? – Sierżant załadował papierosa do lufki i użył zapalniczki. – Dlaczego nie zapytasz, czy znam kogoś, kto może wiedzieć, co to takiego?

– Pytam.

– Owszem, znam. Wujek Beaty jest szefem działu archeologii na Wawelu. Wiem, że siedzi też w znakach, alfabetach i tym podobnych rzeczach.

Kastor odruchowo zerknął na zdjęcie przyklejone do korkowej tablicy nad posłaniem Kwiatka. Roześmiany sierżant trzymający w objęciach swoją żonę i córki. Robert Kwiecień był jego dobrym kolegą. Przyjacielem, na którym mógł polegać. I chociaż jego okres

zdatności przypadał tylko wieczorową porą, był cenny dla tej niewielkiej sekcji wydziału kryminalnego. Ale to, przez co musiała przejść jego rodzina, można było określić tylko jednym słowem. Piekło.

– Będzie chciał z tobą gadać?

– Wiesz, wśród rodziny mojej żony jestem na pierwszym miejscu czarnych charakterów. Potem Hitler, Stalin, Darth Vader... – Kwiatek uśmiechnął się gorzko. – Ale to dobry człowiek. Jeśli wyłuszczy mu sprawę, to nam pomoże. No i siedzi do późna.

– Aż tak? – Kastor zerknął na zegarek.

– To jego druga robota. Przecież wiesz, że z pracy w muzeum w dzisiejszych czasach nikt by nie wyżył.

– Płacą im coś w ogóle?

– Chyba w kawie i herbacie. Premie w formie cukru.

– Możesz do niego zadzwonić?

Kwiatek sięgnął po słuchawkę, a w tym samym momencie telefon na jego biurku ożył, dzwoniąc donośnie.

– Sierżant Kwiecień – rzucił krótko. – Tak? Dobrze, wprowadźcie ją.

– Odłożył słuchawkę, a potem wyjaśnił komisarzowi: – Jolanta Gutowska.

Biedna i zmęczona. Tak chyba najprościej można by opisać kobietę, którą przyprowadził wkrótce potem jeden z mundurowych. Znoszone buty, sukienka kupiona na tandecie, prawdopodobnie wyciągnięta z „grzebulca”, jak określano teraz duże kosze z używaną odzieżą. Oczywiście widok takich osób w dzisiejszym Krakowie nie był czymś niecodziennym.

Usiadła na wskazanym krześle, a pomny swojego wcześniejszego błędu, komisarz tym razem skrupulatnie sprawdził jej dowód. Z adnotacji o zatrudnieniu wynikało, że kobieta obecnie pracuje w Zakładach Przemysłu Tytoniowego. Kastor miał kolegę, który mieszkał przy Dolnych Młynów. Opowiadał, że podczas jesienno-wietrzenia magazynów po okolicy roznosił się tytoniowy dla jednych smród, a dla innych zapach. Jej twarz kompletnie pozbawiona była makijażu, a takie spojrzenie komisarz ostatnio widywał coraz

częściej. Poddanie. Kompletny brak chęci do życia. Kobieta była przekonana, że w życiu nic na nią już nie czeka.

– Podobno chcieli panowie ze mną porozmawiać. – Mówiła tak samo, jak wyglądała. Jakby w ogóle jej nie było. Kwiatek wsunął kartkę papieru do maszyny do pisania i po chwili pokój wypełnił monotony stukot.

– Tak. – Kastora gnębiły pewne wątpliwości. Ogłoszenie poszło do kilku dzisiejszych gazet. Ale żeby tak szybko? – Mam jedno pytanie. W której gazecie zobaczyła pani swoje zdjęcie?

Kobieta spuściła wzrok, milczała. Po dłuższej chwili komisarz wymienił spojrzenie z sierżantem i w końcu postanowił zareagować:

– Proszę pani?

– Ja nie czytam gazet.

– Rozumiem. Skąd w takim razie wiedziała pani, że pani szukamy?

– Zauważyłam, że Zbigniewa nie ma od trzech dni w pracy.

– Chwileczkę – przerwał Kastor. – Skąd pani to wiedziała?

– Ja... Czy za podglądanie kogoś może być jakaś kara?

– Obawiam się, że będzie pani musiała mówić trochę jaśniej.

– Codziennie w drodze do pracy stałam przed jego biurem. Obserwowałam, jak wchodzi do środka. Oczywiście on czasami wyjeżdżał, ale coraz rzadziej. A nawet jeśli gdzieś wyjechał, to pytałam jego sekretarki. On o tym wiedział i pozwalał udzielać mi informacji.

– Za coś takiego nie grozi żadna kara. Ale proszę wybaczyć moje pytanie, po co to pani robiła?

– Bo ciągle go kochałam. – Choć wydawało się to niemożliwe, kobieta jeszcze bardziej się skurczyła i złała z otoczeniem. – Nigdy nie pogodziłam się z jego odejściem.

– Więc w pracy powiedzieli pani, co się stało?

– Tak, potem pojechałam do naszego, to znaczy do jego domu i od sąsiadki dowiedziałam się, że chcecie ze mną rozmawiać. Przepraszam, że dopiero teraz, ale byłam w pracy. Dzisiaj naprawdę trudno o zarobek.

– Kiedy mąż od pani odszedł?

– Dwa lata temu.

Dwa lata, pomyślał komisarz. Czyli jeszcze niedawno ta kobieta była pewną siebie gospodynią we wspaniałym domu na Woli Justowskiej. A dzisiaj?

– Czy zna pani może personalia osoby, z którą aktualnie związał się pani mąż?

– Nie. Nie znam nawet jej imienia. Widziałam ją za to kilka razy. Ładna, prawda?

Postanowił nie komentować tej ostatniej uwagi. Zastanawiał się, czy poruszać ten temat, ale zdecydował, że jest to winien tej kobiecie. Tym bardziej że prosili o to prawnicy, którzy wcześniej się z nim skontaktowali.

– Przedstawiono nam testament pana Zbigniewa Gutowskiego. Są tam szczegóły dotyczące spadku.

– Tak? – Kobieta nie ożywiła się. Była tak samo przygaszona jak wcześniej.

– Niestety zmarły nie uwzględnił pani w swojej ostatniej woli.

– Cały Zbyszek... – Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Zapewne do swoich wspomnień. – A ta suka?

– Proszę?

– Kobieta, z którą teraz mieszkał.

– Nie. Także synowi... – Zawahał się na chwilę. – Nie wiem, czy zna pani sprawę?

– Znam. Wtedy byliśmy już małżeństwem. Wybaczyłam mu. Oczywiście, że mu wybaczyłam – zamilkła na chwilę. – Wie pan co, tę nową też bym mu wybaczyła. Wszystko, żeby tylko został przy mnie. Ale on już nie chciał.

– Cały majątek, dość pokaźnych rozmiarów, pan Gutowski zdecydował się przeznaczyć skarbowi państwa polskiego. Wracając do sprawy, czyli nie zna pani imienia i nazwiska tej kobiety ani nie wie, gdzie aktualnie może przebywać?

– Przykro mi. Ale nie jestem w stanie panom pomóc.

– Jest pani najbliższą osobą dla zmarłego. Wydamy pani ciało i to pani obowiązkiem będzie zorganizowanie pochówku. Niestety pan

Zbigniew nie zabezpieczył żadnej kwoty na tę okoliczność...

– Rozmawiałam z szefem. Trochę dostanę z kadr, a trochę pożyczę. Będą mi potrącać z pensji.

Komisarz skinął głową, a potem sierżant przyszykował protokół i poprosił Jolantę Gutowską o podpisanie jej zeznania. Gdy po kobietę zjawił się mundurowy, zatrzymała się w drzwiach, odwróciła i spytała Kastora:

– Tamta kobieta. Sąsiadka mówiła, że mogła zostać zamordowana. To prawda?

– Nie wiemy tego na pewno. Ale istnieje taka możliwość.

– Mam nadzieję, że zdychała w męczarniach.

Kwiatkowi udało się dodzwonić do swojego znajomego pracującego na Wawelu i pół godziny później wysiedli z audi zaparkowanego na Smoczej.

– Z tego Gutowskiego był niezły przyjemniaczek – powiedział Kastor.

– Co masz na myśli?

– To, że raczej się nie przejmował innymi.

– Bez przesady. Życie jest długie. Każdemu zdarzają się potknięcia. – Sierżant Kwiecień jako człowiek, który sam zniszczył dokumentnie swoje życie, był o wiele bardziej wyrozumiały dla innych. Komisarz, zgodnie ze swoim zwyczajem, postanowił tego nie komentować.

Szli pod górę po niskich szerokich stopniach, gdy usłyszeli charakterystyczny dźwięk. Cichy trzask, a po nim obsypujące się okruchy szyby. Dźwięk ten stawał się coraz bardziej popularny w nocnym Krakowie 1990 roku. Złodzieje wybijali samochodowe szyby, uderzając w nie poślinionym kawałkiem porcelany. Szkło pękało i wystarczyło je pokruszyć, aby sięgnąć do wnętrza okradanego auta.

– To gdzieś na Bernardyńskiej – szepnął Kastor i porozumiał się na gesty z Kwiatkiem.

Sierżant zbiegł na dół i posuwał się ukryty za samochodami stojącymi po drugiej stronie ulicy. Komisarz przesadził żywoplot i



ruszył między drzewami po trawniku. Gdy dotarł do wysokości Baszty Senatorskiej, zobaczył wystający z luksusowego mercedesa tyłek złodzieja. Mężczyzna do połowy zanurzony był we wnętrzu samochodu, z którego po chwili wyciągnął radio.

– Stój, policja! – wydarł się komisarz, a przestępca jak rażony prądem przebiegł przez ulicę, gdzie został skoszony mocnym ciosem kolby Kwiatkowego pistoletu. Sierżant w kilka sekund założył leżącemu kajdanki, a po chwili komisarz podniósł leżące radio i podszedł do samochodu. Granatowy mercedes klasy S miał nie więcej niż rok i ciągle błyszczał nowością. Czarne audi Hewiga rzucało się w oczy, ale takie samochody jak ten można było policzyć na palcach jednej ręki w całej Polsce.

– Pan wybaczy, ale to chyba moja własność.

Komisarz odwrócił się z zaskoczeniem. Jeśli nawet Kwiatek w godzinach wieczornych był prawdziwym elegantem, o tyle nie mógł się mierzyć z tym mężczyzną. Lekko siwiejące włosy, poważna i przystojna twarz oraz nienagannie skrojony, zapewne za granicą, garnitur. Za tym człowiekiem stały przede wszystkim pieniądze. Kastorowi daleko było do jakiegokolwiek elegancji, a zmierzwiłone blond włosy oraz standardowo za duża marynarka połączone z niechlujnym wyglądem mogły świadczyć, że to właśnie on przed sekundą ukradł radio. Ale właściciel mercedesa nie bał się. Wręcz przeciwnie, wydawał się lekko rozbawiony.

– Chce pan ode mnie odkupić to radio?

– Musi pan zapytać złodzieja. Leży po drugiej stronie ulicy w kajdankach. – Wyciągnął swoją legitymację. – Komisarz Kastor Grudziński.

– Mój Boże. Toż to nasza dzielna milicja, przepraszam, policja dokonała zatrzymania na gorącym uczynku? – Sarkazm w tonie mężczyzny wylewał się z każdej frazy.

– Poproszę pana dowód osobisty.

– Nie zamierzam składać zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa.

– Słucham?

– Nie będę ślęczał na tym waszym zasranym komisariacie godzinami, czekając, aż wyskrobiecie coś na tych przedpotopowych maszynach do pisania. Jutro rano podjadę do warsztatu, a na wieczór będę miał gotowy samochód.

– Czyli co, mamy wypuścić złodzieja? – Kastor ciągle nie dowierzał.

– Niech pan robi, co chce, a mnie w to nie miesza. Poproszę swoją własność. – Mężczyzna wyciągnął rękę po radio.

– Tak czy siak, muszę zobaczyć pańskie dokumenty. Skąd mam wiedzieć, że jest pan właścicielem mercedesa?

Elegancki mężczyzna zrobił zniecierpliwioną minę i wyciągnął dokumenty z portfela.

– Romuald Hewig... – mruknął do siebie komisarz. – Jest pan prawnikiem?

– Zgadza się.

– Zdaję się, że mam przyjemność pracować z pańskim synem.

– Ach tak... To pan jest tym słynnym komisarzem, w którego tak bardzo zapatrzony jest Czarek.

– Docenia pan to, że syn wybrał tak zaszczytne zajęcie i służy społeczeństwu? – Kastor oddał mężczyźnie dokumenty i radio.

– Ma pan dzieci?

– Nie.

– To tylko szczeniacki wybryk. Znudzi mu się za rok, dwa. Kiedy zorientuje się, że tak naprawdę w życiu nie ma wartości większej i bardziej potężnej niż pieniądze. Gdyby nie mój majątek, nie mógłby się bawić w policjantów i złodziei. Musiałby sobie załatwić pracę zapewniającą życie na odpowiednim poziomie.

– Ja jakoś żyję i nie narzekam. – Komisarz kłamał jak z nut, ale Hewig zaczął go irytować.

– Rozumiem... Żyje pan – odparł mężczyzna z lekkim uśmiechem. – Oczywiście nie chcę nikomu zaglądać w kieszeń, ale moim zdaniem pan tylko i wyłącznie egzystuje.

– Słyszałem, że jest pan wielkim entuzjastą kapitalizmu.

– Po prostu nie jestem durniem. Kapitalizm to jedyny system gospodarczy mający sens. Własność, wolny rynek, zysk.

– A co z zawodami takimi jak moje? Wyobraża pan sobie prywatną policję?

– Słyszał pan o powstających agencjach ochrony? Mój dom pilnowany jest dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Szkoda, że nie upilnowali pańskiego samochodu – prychnął Kastor.

– Jesteście dziurą bez dna. Pieniądze przeznaczane na policję są po prostu marnowane. Nie mówiąc już o tym, że jesteście zwykłymi, pieprzonymi nieudacznikami.

– Życzę miłego wieczoru. – Komisarz stwierdził, że dalsza dyskusja pozbawiona jest sensu. Przeszedł na drugą stronę ulicy, a Hewig wsiadł do mercedesa i po chwili dźwięk czterolitrowego silnika wypełnił Bernardyńską.

Rozkuty złodziej nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i ciesząc się w euforii, grubo przesadził. Dlatego zakuli go raz jeszcze i wezwali policyjną nyskę, która zawiozła go na pobliski komisariat. Perspektywa czterdziestu ośmiu godzin w zamknięciu skutecznie zniwelowała radość przestępcy.

Portier przy Bramie Bernardyńskiej kazał im poczekać i dosyć długo próbował połączyć się przez telefon. Kastor zerknął z niepokojem na zegarek. Martwił się, czy aby znajomy sierżanta ciągle tu jest. Nie podzielił się swoimi wątpliwościami z Kwiatkiem, bo ten stracił już na swojej świeżości i opierał się ciężko o ceglany mur. Kiedy zdążył zatankować? Jak pilnował skutego złodzieja? Bardzo możliwe.

W końcu pracownik muzeum polecił im udać się pod Bramę Herbową. Obeszli więc zamek od zachodu, a gdy dotarli na miejsce, sierżant był w jeszcze gorszym stanie niż pod Bramą Bernardyńską. Żelazna krata uniosła się w górę z metalowym jękiem. Na zewnątrz wyszedł mężczyzna w dżinsach, wełnianej marynarce i okularach w grubych oprawkach. Był szczupłej budowy ciała, a na głowie nie pozostał mu ani jeden włos. Bardziej przypominał nauczyciela wuefu niż profesora. Kastor przedstawił się z grzecznym uśmiechem, pokazując swoją legitymację.

– Dobry wieczór, chętnie panu pomogę. – Mężczyzna miał piskliwy

głos, niepasujący do reszty ciała. – Ale tego szmaciarza nie chcę tu widzieć! Niech wypierdala!

Kwiatek skrzywił twarz w uśmiechu, jakby dokładnie tego się spodziewał. Wcisnął papierosa w firkę i zapalił, a potem odszedł lekko już chwiejnym krokiem. Jego garnitur nie sprawiał już tak eleganckiego wrażenia, a zapach też pikował w bardziej pospolite rejony.

– Przepraszam pana – powiedział profesor, gdy sierżant zniknął im z oczu. – Nie lubię przeklinać, ale co moja bratanica przez tego szubrawca łez wylała...

– Rozumiem. Bardzo panu dziękuję za pomoc. To dosłownie chwila. Wie pan może, co to może być? – Kastor wyciągnął wygięty drut z plastikowej torebki i wręczył go mężczyźnie. Ten poprawił okulary na nosie i podniósł przedmiot, aby padające z latarni światło lepiej go oświetliło.

– Przecież to alef.

– Słucham?

– Pierwsza litera hebrajskiego alfabetu. Pan jest przypadkiem z Krakowa?

– Owszem, jestem.

– To chyba mógłby pan być bardziej zorientowany. W naszym mieście przed wojną Żydzi stanowili jedną czwartą społeczeństwa.

– Wie pan, od wojny to jednak trochę minęło. A i struktura demograficzna chyba uległa lekkiej zmianie...

Profesor spojrzął na niego lekko urażonym wzrokiem. Chciał już powiedzieć, że komu jak komu, ale oficerowi policji polskiej jednak wypadało taką wiedzę posiadać. Jednak zrezygnował. W ostatnich latach bylejakość oraz ignorancja rozprzestrzeniły się w Polsce tak bardzo, że nie miał już siły prostować takiej niewiedzy. Oddał symbol komisarzowi i powiedział:

– Czy to już wszystko?

– Jeszcze jedno. Czy to może oznaczać też jakąś cyfrę?

– Tak – westchnął profesor. – Pozwolę się panu domyślić jaką.

Kastor puścił tę uwagę mimo uszu i wyciągnął notatnik z

długopisem.

– Mógłby mi pan zapisać wszystkie cyfry po hebrajsku? Powiedzmy od jednego do dziesięciu.

– Wie pan, w Krakowie są biblioteki, czytelnie...

– Bardzo pana proszę. Ta cała zmiana z milicji na policję, jesteście zaważeni robotą – skłamał gładko komisarz.

Profesor sapnął jeszcze kilka razy i w końcu spełnił prośbę policjanta. Kastor podziękował mu serdecznie, a tamten w odpowiedzi machnął tylko ręką i wszedł za bramę. Po chwili żelazna krata zasunęła się z chrzęstem.

Wysadził Kwiatka przy Grodzkiej. Sierżant wygramolił się z samochodu krokiem pijaka i wybełkotał:

– Dzięki, przejdę się na płytę.

Wątpię, żebyś dotarł do placu Świętej Magdaleny, pomyślał Kastor, obserwując odchodzącego slalomem kolegę. Ruszył ostro, zwracając uwagę kilku spóźnionych przechodniów, i po minucie był już na Zwirzyńckiej. Wyprzedził na wariata dwie taksówki i skręcił gwałtownie w aleję Trzech Wieszców, wzbudzając wściekłość kierowców. Silnik audi szybko rozpędził auto, a komisarz energicznie zmieniał gładko wchodzące biegi. Zignorował zakaz skrętu i wjechał z lekkim poślizgiem w 18 Stycznia. Gdy dojeżdżał do Józefitów, usłyszał jęk syren, a we wstecznym lusterku zobaczył błyskające policyjne koguty.

– Że też musieli się teraz napatoczyć – mruknął komisarz i zjechał na bok.

Obserwował w bocznym lusterku podchodzącego policjanta z drogówki. Uchylił szybę i sięgnął po legitymację, żeby się wykpić jakimś kłamstwem, gdy usłyszał:

– Dobry wieczór, panie komisarzu. To wiadomość od inspektora Sonny'ego. – Mężczyzna wręczył mu kopertę.

– Skąd wiedzieliście, że to ja?

– Proszę się nie wygłupiać. Ile takich wozów kręci się w okolicy parku Krakowskiego?

- Myślałem, że chodzi o zakaz.
- Jaki zakaz? – Policjant zmarszczył brwi.
- Nieważne. Miłej i bezpiecznej służby!

Mężczyzna zasalutował elegancko, a po chwili radiowóz zgasił niebieskie lampy i potoczył się w kierunku Bronowickiej. Kastor otworzył kopertę i wyciągnął złożoną na czworo kartkę. Szybko przebiegł wzrokiem treść, rzucił list na siedzenie obok i zawrócił z piskiem opon. Chyba nie zatrzymali mnie po drodze tylko dlatego, że zdążyli się już zwiedzić, że teraz jeżdżę tym autem, pomyślał, wjeżdżając ledwie dziesięć minut później na plac Centralny. Zredukował bieg, a czarne audi pomknęło dalej aleją Lenina i wkrótce skręciło w bramę długiego domu, tak charakterystycznego dla nowohuckiej zabudowy.

Kastor zaparkował na ciasnym podwórku, wszedł do klatki i wdrapał się na trzecie piętro. Po naciśnięciu dzwonka najpierw rozległo się głośne szczekanie, po nim wściekłe miauczenie, następnie przytłumiony, zdenerwowany kobiecy głos, a na koniec płacz małego dziecka. Po chwili w drzwiach ukazała się zaspana i wściekła twarz nadkomisarza Tyszowieckiego.

– Ja pierdołę, Kastor! Jedyne, co cię tłumaczy, to to, że w Krakowie znowu są Niemcy i obalają pomnik Mickiewicza!

– Szefie, muszę jechać do Warszawy. Szef załatwi delegację, dobra?

– Załatwię to ja ci dyscyplinarkę! A zamiast stempla odcisk mojego obcasa na twojej dupie!

– Wiem, co robię – powiedział komisarz i wręczył naczelnikowi list otrzymany od Sonny'ego.

#### 4.

Od progu słyszał brzęczenie klatki. Zośka i Jasna buszowały po prętach, skacząc niespokojnie. Gdy tylko otworzył drzwiczki, obie wyskoczyły ze środka jak opętane. Ledwo zdołał dorwać Jasną i

sprawdzić jej oko. Było wyraźnie lepiej, ale postanowił jeszcze raz przemyć jej ślepie naparem z rumianku. Podczas tej operacji szcurzyca była bardzo niespokojna, a gdy ją w końcu puścił, pobiegła do swojej koleżanki i obie zaczęły wariować po domu. Co się z nimi dzieje, pomyślał Kastor i zorientował się, że sam jest dziwnie naładowany energią.

Gdy zaczął parzyć swoje ziółka nasenne i wyrztał przez kuchenne okno, domyślił się, dlaczego dziewczyny były tak niespokojne. Nad dachami krakowskich kamienic wisiła idealna, pełna tarcza Księżyca. Powszechnie uważało się, że zarówno ludzie, jak i zwierzęta funkcjonują podczas pełni zupełnie inaczej. Komisarz tak długo cierpiął na bezsenność, że nigdy wcześniej nie zauważył, żeby faza Księżyca wpływała na jego dolegliwości. Na wszelki wypadek zaparzył jednak dwa kubki.

Gdy kończył drugą porcję ziołowego napoju, zaczął zastanawiać się nad „numerem jeden” znalezionym w żołądku Gutowskiego. Wszystko wskazywało na to, że faktycznie mogą mieć do czynienia z seryjnym zabójcą. Oczywiście do czasu pojawienia się „numeru dwa” hipoteza ta nie była do końca uprawniona, ale musiał brać pod uwagę wszystkie możliwości. Za wszelką cenę trzeba otworzyć ten sejf, pomyślał. Dlatego musimy jechać do Warszawy.

Położył notatnik z długopisem obok dwóch stoperów i jeszcze raz przejrzał wczorajszy sen. Jak mogłem usunąć to z pamięci? Tak traumatyczne zdarzenia jak, żeby się nie oszukiwać, próba samobójcza. Ułożył się wygodnie w fotelu, gdy uświadomił sobie, że musi wstać tak wcześnie, że na wszelki wypadek warto zabezpieczyć się budzikiem. Tylko skąd wziąć to urządzenie w domu człowieka zmagającego się od trzydziestu lat z bezsennością? Na szczęście znalazł w jednej z szuflad komody czerwony budzik z mosiężnymi dzwoneczkami, którego swego czasu używała Karolina. Umarłego by obudził, zwykła mawiać, a Kastor uśmiechnął się na to wspomnienie.

Nastawił budzik na za piętnaście piąta. Chciał być w Warszawie jak najwcześniej. Ponownie usadowił się w fotelu, a gdy tylko poczuł ogarniającą go senność, uruchomił stopery.

*W kącie stoi choinka, a ja wprost nie mogę się doczekać, żeby pobawić się nową wywrotką, którą dostałem wczoraj wieczorem. To jest naprawdę superdzień. Ale największą frajdę i ulgę chyba jednak sprawiła mi wizyta u lekarza trzy dni temu. W końcu zdjęli mi opatrunki z rąk i nóg. Początkowo Remus bardzo się martwił, że będę miał odmrożone palce. Kiedy mam sześć lat, nie wiem, rzecz jasna, za bardzo, co to odmrożenie. Ale wiem, że nie muszę nosić bandaży, tylko smarować maścią. No i coraz częściej czuję coś w koniuszkach palców.*

*Opatrunki z oczu zdjęli mi w zeszły poniedziałek, na szczęście gapienie się w tę wielką żarówkę nie uszkodziło mi wzroku. Ja sześćioletni nie wiem, ile tak naprawdę szczęścia miałem. Ale ja dorosły wiem. Remus też to wie. Stoi teraz i patrzy na mnie, a jego spojrzenie wypełnione jest miłością. Uśmiecha się i mówi:*

*– Kastii. Wiem, że chcesz się już iść pobawić, ale to bardzo ważne. Jak będziesz znał łacinę, to bardzo łatwo będzie ci się nauczyć innych języków. – Dziadek pokazuje mi długopisem wypisane na kartce słowa. – No, jeszcze raz.*

*– Rosa, rosae, rosae...*

*– Rosam, rosa, rosa – kończy za mnie Remus. – A liczba mnoga?*

*– Rosae, rosarum, rosis, rosas, rosis, rosae.*

*– Brawo! Liczba mnoga idzie ci o wiele lepiej niż pojedyncza. Dobrze, kończymy na dzisiaj. Możesz iść się pobawić.*

*Biegnę do swojego pokoju. Ja dorosły dostrzegam teraz, że wewnątrz latarni morskiej dosłownie wypełnione jest różnego rodzaju przedmiotami i książkami na temat kultury antycznej. Ja sześćioletni myślę tylko o wywrotce. Remus pociął dla mnie malutkie kawałeczki drewna, więc teraz bawię się w rozładunek olbrzymich pni, które moja ciężarówka musi dowieźć w różne miejsca. Dziadek zrobił dla mnie małą stację kolejową z kartonu, a obok niej są drewniane tory z kolejką. Tory są niekompletne, a kolejka nie jest elektryczna, ale dla mnie to najlepsza zabawka na świecie!*

*W południe był świąteczny obiad, na który przyszło wielu*



znajomych Remusa. To niesamowite, ale okazało się, że w domach tych miłych ludzi Święty Mikołaj też zostawił coś dla mnie. Tym samym bogacę się o bąka, drewniany samolocik dwupłatowy, a także latarkę! Ten ostatni prezent przyćmiewa wszystkie inne. Co prawda Remus z początku nie chciał mi jej dać, ale tak zaczęłam płakać, że w końcu wymusił tylko obietnicę, abym za żadne skarby nie świecił sobie nią w oczy.

Bawię się swoimi zabawkami do późnego wieczora, a potem idę do kuchni, żeby podbierać pierogi z kapustą i grzybami. Przyniosła je jedna pani. Są pyszne! Czasami smutno mi, gdy myślę o rodzicach, ale coraz rzadziej. Te święta to chyba najlepsza Gwiazdka w moim życiu. Remus jest dla mnie taki dobry. Podoba mi się też latarnia. To miejsce jest pełne zakamarków. Tydzień temu poznałem kolegę, Szymka. Bawiliśmy się w chowanego. Jutro też ma do nas przyjść.

Nie jestem już głodny i tak naprawdę to trochę boli mnie brzuch, ale schodzę do kuchni, świecąc sobie latarką. Wezmę jeszcze jednego pieroga. Mijam pokój, w którym dziadek śpi, pochrapując ciężko. Sięgam ręką do miski, gdy nagle słyszę delikatny hałas. Skrobanie? Pukanie w drewnianą powierzchnię? Świecę latarką w kąty pomieszczenia. Remus opowiadał mi o myszach. Kiedyś wylapywała je kocica Diana, ale podobno była już bardzo stara i poszła spać. Jestem podekscytowany, bardzo chciałbym zobaczyć myszy. Nie wiem, jak wyglądają.

Hałas powtarza się, a ja w końcu orientuje się, że dociera zza grubej kotary powieszzonej w kącie. To może być świetna kryjówka, Szymek na pewno mnie tu nie znajdzie! Jestem już duży i wiem, jak to działa. Gdybym pociągnął ją w bok za nisko, nie przesunie się. Staję na palcach i wyciągam rękę wysoko w górę, łapię za materiał i odsuwam go gwałtownie na bok. Patrzę na ciężkie, drewniane drzwi, świecąc latarką. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Sześć wielkich, żelaznych kłódek. Do tego kilka zasuw po każdej ze stron.

Szept. Tak, wyraźnie słyszę czyjś szept. Ktoś jest po drugiej stronie! Przywieram do solidnej, drewnianej konstrukcji, rozplaszczając ucho na powierzchni drzwi. W tej samej chwili silne uderzenie od środka

*sprawia, że krzyczę z przerażenia i upadam na posadzkę. Latarka leci w kąt. Światło zapala się i dziadek staje nade mną. Widzę, że jest zły. Zaciąga kotarę, a potem stawia mnie na nogi, ściskając za ramię. Dopiero kiedy widzi mój grymas bólu, rozluźnia uścisk.*

*– Nigdy, przenigdy nie wolno ci podchodzić do tych drzwi. Rozumiesz? – mówi stanowczo, lecz łagodnie.*

*Potem przytula mnie, a ja zaczynam głośno płakać. Nie interesują mnie drzwi i złość Remusa. Patrę zrozpaczony na latarkę leżącą w kącie. Jest rozbita.*

## Rozdział V

### 1. Piątek, 8 czerwca 1990

Czarne audi zatrzymało się na chodniku przed równo przystrzyżonym żywopłotem. Kastor wysiadł i zerknął na podświetlone wschodzącym słońcem niebo. Na horyzoncie kłębiły się czarne chmury zwiastujące deszcz. Dobrze, że nastawiłem budzik, pomyślał, przypominając sobie, że tego ranka zasnąłby po raz pierwszy od trzydziestu lat. Tajemnicze drzwi z jego snu nie zrobiły na nim takiego wrażenia jak to, że dzisiejszej nocy przespał ciurkiem blisko trzy godziny. A co, gdyby nie budzik? Czy spałby dalej? Trudno było mu w to uwierzyć.

Dom Gutowskich był bardzo ładny i okazały, ale ten tutaj, za eleganckim żywopłotem, ociekał bogactwem. Wykonanie ogrodu, elewacji, a także nowoczesna stolarka okienna wraz z ceramiczną dachówką robiły duże wrażenie. Jezu Chryste, pomyślał komisarz, rozumiem powołanie. Sam tak zacząłem swoją służbę w policji, ale nie wiem, czy gdybym pochodził z takiej rodziny, to chciałoby mi się iść do resortu. Na podjeździe stał granatowy mercedes. Okno od strony kierowcy zakryto folią, na brzegach przyczepiono taśmę samoprzylepną. Kastor rozejrzał się ostrożnie w poszukiwaniu mitycznego ochroniarza, o którym wczoraj wspominał Hewig senior, ale nikogo nie zauważył. Dlatego popodważał delikatnie palcami taśmę tak, że folia na oknie trzymała się raptem w kilku miejscach.

Potem podszedł i zadzwonił do drzwi. Po chwili w progu pojawił się Czarek w samych majtkach.

– Kastor? Co jest, która godzina?

– Po piątej. Słoneczko pojawia się widnokregu. Ubierz się, jedziemy do stolicy.

Komisarz odszedł bez słowa i wsiadł do zaparkowanego na ulicy

samochodu. Po krótkiej chwili zaspany Czarek zajął miejsce na siedzeniu pasażera. Audi zjechało z chodnika, a gdy mijali dom Hewigów, Kastor zauważył, że porywy wiatru zerwały prowizoryczną osłonę okna w mercedesie. Gdy pierwsze krople deszczu zabębniły o przednią szybę, komisarz uśmiechnął się złośliwie. Dobra, może to było gówniarskie i rodem z podstawówki. Ale sprawiło mi cholerną przyjemność, pomyślał.

Czarne audi szybko pokonywało kolejne kilometry. Zaspany młodszy aspirant nie odzywał się, gdy powoli opuszczali granice Krakowa. Dopiero gdy minęli tablicę informującą ich, że do Warszawy pozostało jeszcze 287 kilometrów, odezwał się:

– Czy poznam dzisiaj tajemnicę naszego wyjazdu?

– Jak będziesz grzeczny, to kto wie. Co tam na tym rozpytaniu posesyjnym?

– Gówno. Niczego się nie dowiedziałem. Domy po przeciwnej stronie robiło dwóch mundurowych. Śmiali się ze mnie, że muszę tak jak oni dymać po klatkach.

– I co? Nie zastrzeliłeś ich? – spytał ze śmiechem Kastor. – Dobra, już się nie obrażaj. A co z tym piętnastego grudnia? Dowiedziałaś się, skąd taka nazwa?

– Tak, jedna starsza pani mi wyjaśniła. Powstanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

– Kamień węgielny pod ten piękny kraj...

– Zajedź może gdzieś na jakąś kawę, co?

– O tej porze? Niby gdzie? Spokojnie, pod Kielcami jest fajny zajazd. Zjemy tam śniadanie.

– Dobra. – Czarek kiwnął niechętnie głową.

– Kiedyś tam się zatrzymaliśmy. Zresztą to niezła historia. Chcesz posłuchać?

– Czy mam jakiś wybór?

– Co ty taki markotny jesteś?

– Kurwa, Kastor. Spałem raptem pięć godzin!

– Niezły luksus, ja bym na tym ze dwa miesiące pociągnął! Dobra, nie marudź, tylko słuchaj. Jest 1972 rok. Jestem młodym gliiniarzem,

lecimy sobie do Warszawy. Nowiutkim, prosto spod igły dużym fiacikiem należącym do wojewódzkiej.

– To już wtedy w wojewódzkiej robiłeś?

– Nie, w Podgórzu, ale to nie jest istotne. Nie przerywaj. Fiacisza prowadzi niejaki Kura. Wielki chłop, szorujący czupryną o podsufitkę. No i stajemy w tym zajeździe. Przychodzi kelnerka zebrać zamówienia, każdy jakąś jajeczniczkę czy tam galaretę. Na co Kura mówi: „pół litra wódki, poproszę”. Ja w szoku, baba zaraz wjeżdża ze srebrną tacą, a na niej dziesięć pięćdziesiątek. Myślę sobie, kurczę, to mamy tak wszyscy tę wodę do śniadania pić? A Kura normalnie jednego kielona po drugim. Przyszła kelnerka, pyta, czy zamawiamy coś jeszcze. Kura na to: „nie, bo dzisiaj spory ruch jest”. Zapłaciliśmy i wychodzimy na zewnątrz. Myślałem, że ktoś go zmieni, a Kura za kierownicę siada. Skurwiel nawet nic nie jadł. Zero!

– Nie mogłeś czegoś powiedzieć?

– A niby co? Byłem młodym gliną, a to starzy wyjadacze. Bałem się odezwać. Jechałem potem z duszą na ramieniu, ale normalnie dojechaliśmy. Po Kurze nic nie było widać.

– Zmyślasz – parsknął Czarek.

– Dzisiaj wszyscy tak mówią, jak opowiadam tę historię. Ale widzisz, to były takie czasy.

– Brzmi, jakbyś za nimi tęsknił.

– Czy ja wiem... – Kastor wyprzedził wlokącą się ciężarówkę. – Może coś w tym jest.

Podczas śniadania w zajeździe pod Kielcami nikt wódką się nie raczył. Trzy i pół godziny od wyjazdu spod domu Hewiga wjechali do Warszawy od strony Raszyna, a zaparkowali pod komisariatem na Wilczej kilkanaście minut po dziewiątej rano.

Wysiedli z audi, rozprostowując kości, i rozejrzeli się po ulicy. Była tak wąska, że nie starczyło miejsca na latarnie. Uliczne lampy rozwieszono na stalowych linach rozciągniętych między domami.

Przy zaparkowanym nieopodal białym polonezie kłóciło się dwóch chłopców:

– Zobaczysz, zaraz kopnę cię w kutasa.

– A co to kutas? – spytał młodszy.

– To samo co siusiak – odparł starszy brat.

– Ej, tata! On powiedział, że kopnie mnie w kutasa, to znaczy siusiaka.

– Chłopaki, uspokójcie się – westchnął bez złości wąsaty mężczyzna w białej koszuli i załadował do bagażnika torbę, po czym zatrzasnął klapę. – Wsiadajcie, już!

– Tata, a kiedy dojedziemy? – rzucił jeszcze młodszy, zajmując miejsce z tyłu.

– Jak dojedziemy, to dojedziemy – odpowiedział sentencjonalnie ojciec.

Nieży z niego filozof, pomyślał komisarz, i weszli z Czarkiem do budynku komisariatu. Kiedy wysłuchali już na dyżurce typowo warszawskich żartów o tym, że w Krakowie to chodzi się „na pole” i tym podobnych, skierowano ich w końcu do odpowiedniego pokoju.

W kącie pomieszczenia za biurkiem siedział wysportowany mężczyzna z obciętymi na krótko włosami. Miał na sobie koszulę z kwiecistym wzorem, a z ust wystawał mu patyczek od lizaka. Podwinięte rękawy odsłaniały olbrzymi złoty zegarek na lewej ręce, a na prawym przegubie zwiślała potężna bransoleta z tego samego metalu.

– Cześć, szukamy komisarza Biernata. – Kastor starał się skrócić dystans, ale nie za bardzo.

– No?

– Przyjechaliśmy z wojewódzkiej w Krakowie. Możemy chwilę pogadać?

– Dawajcie. – Biernat wskazał im krzesła.

Przed wyjazdem komisarz Grudziński otrzymał kilka cennych uwag od swego szefa, naczelnika Tyszowieckiego. Ten ostatni twierdził, że żadne oficjalne pisma czy też prośby na warszawiaków nie będą działać. Dlatego najlepiej zagadać po ludzku i poprosić o pomoc, a

jak to nie pomoże, wtedy przejść do planu B. W drzwiach pojawił się mundurowy.

– Panie komisarzu. Przywieźli śniadanie z Polonii. Można?

– Dawajcie.

Po chwili do środka wszedł kelner w eleganckiej kamizelce z dużą tacą. Postawił ją na biurku, uklonił się grzecznie i powiedział:

– Jajka w koszulce na kratce z placków ziemniaczanych. Do tego plastry bekonu, parówki oraz grillowane pieczarki. Tosty pełnoziarniste, tak jak pan sobie życzył. Nie wiedziałem, czy dać konfiturę malinową czy też truskawkową, dlatego przyniosłem obydwie.

– Git – powiedział Biernat i wysupłał pięciodolarowy banknot dla kelnera. Gdy posłaniec wyszedł, powiedział do swoich gości: – Wybaczcie, chłopaki. Nie wiedziałem, że będziecie...

– Nic nie szkodzi, my tylko na chwilę. Smacznego.

Biernat zabrał się do jedzenia, a Kastor przypomniał sobie, co jeszcze mówił o warszawskich gliniarzach Tyszowiecki. O ile w Krakowie niektórzy ludzie bogacili się w błyskawicznym tempie, o tyle w Warszawie szybkość tych przemian była jeszcze większa. Część policjantów również szybko nadrobiła zaległości w zakresie kapitalizmu i chęć niesienia pomocy innym wzrastała po uprzednim opłaceniu funkcjonariuszy. Oczywiście nie wszyscy tak postępowali, ale akurat komisarz Biernat, pałaszujący teraz luksusowe śniadanie, był z tego znany.

– Mówcie, o co chodzi – powiedział z pełnymi ustami.

– Tomasz Warykiewicz, pseudonim Wrzaskun. Złodziej, włamywacz i przede wszystkim kasiarz, którego umiejętności są znane w całej Europie.

– Pierwsze słyszę.

– Naprawdę? – zdziwił się Kastor. – Podobno jesteś poszukiwaczem, tak?

– Zgadza się. – Telefon na burku Biernata zadzwonił, więc ten podniósł słuchawkę. – Tak? – Słuchał dłuższą chwilę kogoś po drugiej stronie, by w końcu odpowiedzieć: – Kurwa jebana, piątek! Mam to

w dupie i nie będę tego robił! Dajcie żyć, do chuja wafla! Nie wiem, dla mnie to go możecie puścić. – Odłożył słuchawkę i wyjaśnił swoim gościom: – Nadgorliwcy jebani. W piątek będą zatrzymywać, to potem trzeba kwity cały weekend pisać. Na czym to skończyliśmy?

– Na poszukiwaniu.

– Aha, no tak. – Policjant posmarował tost masłem. – Słuchaj, kolego z Krakowa. Poszukiwać to ja mogę na wolnym rynku za wolną kasę, rozumiesz?

Komisarz Biernat wybitnie nie był w nastroju do pomagania komukolwiek, dlatego Kastor postanowił zastosować plan B.

– Musimy znaleźć tę dupę. – Kastor położył dokumenty na biurku. – Jasne, możemy to zrobić sami, ale wtedy wyjdzie na to, że ty nic nie robisz. To byłoby nie po koleżeńsku z naszej strony.

Warszawski policjant zrozumiał aluzję i zajrzał do teczki. Jedynym punktem zahaczenia na Wrzaskuna był przechwycony gryps, który swego czasu przestępca wysłał do dziewczyny podczas ostatniej odsiadki.

– Niestety wszystko, co mamy, to Lucyna, prawdopodobnie pseudonim. I wiemy tylko, że chodzi do gastronomika. Tu, w Warszawie, na Poznańskiej.

– Jak to chodzi? – Biernat zaczął przeglądać dokumenty. – To ile ona ma lat?

– Osiemnaście, a prowadziła się z nim, jak miała piętnastka. Ciężko nam będzie przypasować ksywę do osoby. Rozmowy z dyrektorem, uczniami... To potrwa całe wieki, a nie wiadomo, czy ktoś coś powie.

– Rozumiem, że obraca się z bandziorami?

– Tak jest, złodziejska dupa – przytaknął Kastor.

– Po chuj wam ten cały Wrzaskun? – westchnął warszawski policjant.

– Jest poszukiwany. To nie wystarczy?

Biernat uśmiechnął się tylko pod nosem, a Kastor domyślił się, że w jego świecie to nie był żaden powód, aby próbować kogoś odnaleźć. Rzecz jasna, krakowski policjant też miał inną sprawę do słynnego



kasiarza i tak naprawdę nie obchodziły go włamania, za które był poszukiwany. Chciał tylko, aby otworzył dla niego sejf znaleziony w hotelu Forum.

– Słuchajcie, pomogę wam. Ale trzeba będzie z pięćdziesiąt papieru wybecelować. Nie dla mnie. Informacja w stolicy kosztuje.

Kastor skinął w milczeniu głową. Nadkomisarz Tyszowiecki dał mu do dyspozycji pewien budżet i na tyle mógł sobie pozwolić.

Biernat wyprowadził ich na zewnątrz i polecił, żeby jechali za jego wściekle żółtym scirocco. Kastor ruszył za szybko jadącym volkswagenem. Wyjechali w Marszałkowską i po chwili minęli Rotundę i Domy Towarowe Centrum. Kilka minut później zatrzymali się na placu Bankowym, gdzie komisarz Grudziński wymienił złotówki na pięćdziesiąt dolarów i przekazał je Biernatowi. Potem z samochodu obserwowali, jak warszawski policjant spotyka się z kimś przy rusztowaniach rozstawionych wokół dolnych elewacji złotego wieżowca.

Po krótkiej rozmowie Biernat podszedł do audi i powiedział:

– Złodziejska dupa to prawdopodobnie Weronika Jackowska. Wiem, gdzie pracuje jej stara. Jedźcie za mną.

Szybko pokonali tunel pod Starym Miastem, a gdy minęli Wisłę, skręcili w prawo przy pomniku czterech śpiących. Żółte scirocco zawróciło przez pas zieleni z tramwajowym torowiskiem i zatrzymało się na wprost bramy Bazaru Różyckiego.

Wysiedli z samochodu, a Biernat poprowadził ich na targowisko. Przed samym wejściem na niewielkim stołku mężczyzna w czerwonym kapelusiku z niesamowitą szybkością tasował trzy karty, krzycząc przy tym:

– Najlepsza wygrana to tylko z rana! Korzystajcie, bo jestem po ciężkiej nocy, ledwo patrzę na oczy! Czerwona wygrywa, czarna przegrywa! Halo, panie! Nie chodź pan na bezdroże, bo tu dzisiaj każdy wygrać może!

Warszawski policjant wcisnął ręce w kieszenie i przechodząc obok,

z całej siły kopnął stołek z kartami. Mebel pofrunął wysoko w górę, a ludzie obserwujący grę spojrzeli na to ze zdziwieniem. Tasujący uchylił swojego kapelusika i wyszczerzył się w poszczerbionym uśmiechu:

– Uszanowanie panu komisarzowi. Proszę państwa, przerwa!

– Bardzo efektowne – szepnął Kastor do Czarka. – Sam nie lubię tych skurwysynów.

Gra w trzy karty albo trzy kubki polegała na niczym innym jak oszustwie. Dawano wygrać podstawionym osobom, a tasujący, zwany także mieszającym, tak zręcznie później wszystko ustawiał, że puszczał gracza w skarpetkach. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale ciągle zdarzali się naiwniacy, którzy przyjechali do miasta z gotówką po samochód, a wyjeżdżali bez jednego ani drugiego.

Biernat podszedł do niewielkiej budki pomalowanej na szaro z napisem „Pyzy gorące! Kurczak z rożna!”. Przed punktem stała kolejka chętnych, a gdy policjant otworzył drzwi, jeden z czekających wyjął papierosa z ust i krzyknął:

– Kolejka jest!

– Spierdalaj – mruknął warszawski glina i wszedł razem z Kastorem i Czarkiem do środka. Włazł bezceremonialnie za ladę i zakręcił kurek dużej butli z gazem. – Koniec gotowania na dzisiaj! Wszyscy wypad!

Właścicielka baru spojrzała na niego z szeroko otwartymi ustami. Miała z pięćdziesiąt lat, a jej pokaźnych rozmiarów ciało opinał szary sweterek, na który narzuciła biały fartuch. Ponieważ nikt za bardzo nie reagował, Biernat wyciągnął pistolet i przeładował go zamasztyłym gestem.

– No już, kurwa!

Niecałe dwie sekundy i w ciasnym pomieszczeniu zostało tylko trzech policjantów i kucharka.

– Weronika Jackowska. Znasz taką? Tylko bez farmazonów. – Dla podkreślenia groźby Biernat podniósł pistolet.

– No jak nie znam? Córka moja przecie.

– To wołaj ją, bo musimy pogadać! – Warszawski komisarz schował

broń i wsadził papierosa do ust.

– Ale ja nie wiem, gdzie ona jest. Ostatnio widziałam ją... – Kobieta przerwała, widząc, jak Biernat szarpnięciem wyrwał wężyk prowadzący z butli do kuchenki. Potem odkręcił zawór, a syk gazu wypełnił pomieszczenie. Komisarz przystawił zapalniczkę do wylotu z butli i powiedział:

– Chcesz pofruwać nad Targową? Katedrę Świętego Floriana będziemy mieć jak na dłoni.

– Jezusie Nazareński – wyszeptła kobieta i przeżegnała się z trwogą. – Musiałabym zadzwonić...

– Numer podaj. – Biernat zakręcił gaz i wyciągnął krótkofalówkę.

Dziewczyna była ubrana na czarno. Glany, obcisłe spodnie oraz koszulka z pentagramem i napisem „KAT”. Kruczoczarne długie do ramion włosy związała w koński ogon. Czarny makijaż podkreślał jej oczy, a kolczyki w przekłutych brwiach i ustach rzucały migotliwe rozbłyśki.

Kiedy usiadła przed nimi, wydawało się, że jest spłoszona. Ale gdy Kastor zajrzał jej w oczy, zobaczył zdecydowanie i hardość. Ta dziewczyna wiedziała, w co gra.

– Czego od niego chcecie? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Pogadać – odpowiedział komisarz.

– On nigdy nie będzie rozmawiał z takimi śmieciami jak wy.

Wypowiedziane „on” miało w sobie tyle energii, że Kastor musiał zwalczyć odruch cofnięcia się pod naporem tego słowa. Złodziejska dupa, to do niej nie pasowało, złodziejska kochanka już bardziej. Było jasne, że ta młoda dziewczyna była bez pamięci zakochana w kasiarzu. Komisarz mimowolnie pomyślał o Oli, co wywołało w nim zdziwienie. Stała mu przed oczami ze swoją fryzurą zakrywającą lewy policzek i zagadkowym uśmiechem odbijającym się w promieniach słońca. Czy to możliwe, żebym ja też się zakochał? Nie, to niedorzeczne, odrzucił szybko tę myśl. Przecież jest kobietą, którą widziałem raptem trzy razy.

- Mamy dla niego propozycję – powiedział.
- Chuj wam w dupę.
- Panienska uważa, bo... – zaczął Biernat, ale Kastor powstrzymał go gestem dłoni.
- Nie będziemy tu marnować czasu. Wyjątkowo tego nie lubię. Przekaż Wrzaskunowi jedno: lewy pinkiel. Rozumiesz?
- Zobaczą, co da się...
- Nie! – Kastor wydarł się tak, że wszyscy w barze drgnęli. – Masz mu to powiedzieć, bo to może ocalić jego dupę przed dożywociem! Lewy pinkiel! Powtórz!
- Lewy pinkiel – wyszeptęła dziewczyna. Po jej hardości nie było śladu. Teraz wyglądała po prostu jak przestraszona osiemnastolatka.

Było dobrze po dwunastej, kiedy minęli Grójec. Do Krakowa zostało im ponad dwieście czterdzieści kilometrów.

- Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – spytał Czarek.
- A możesz trochę jaśniej?
- Lewy pinkiel. Co to takiego?
- Lewe zarzuty, przyklejone. Takie właśnie figurują w aktach Warykiewicza vel Wrzaskuna. Sprawa z zeszłego roku, może być zamieszany w zabójstwo.
- Myślałem, że poszukują go ze względu na włam.
- Taka jest oficjalna wersja – Kastor uśmiechnął się. – Ale prokurator ostrzy sobie zęby, bo to jedyny ślad w tym zabójstwie, a kogoś posadzić musi. Wiesz jak to jest, jak ma być wynik, to będzie.
- Więc myślisz, że uda się coś załatwić, a w zamian za to on otworzy dla nas sejf?
- Tak. Pamiętaj, że złodzieje unikają takich spraw, bo to dla nich trochę dyshonor iść siedzieć za głowę. Tak naprawdę brzydzą się przemocą i używają jej tylko wtedy, gdy jest to konieczne.
- Może właśnie tak było w tym przypadku?
- Nie wiem – odparł szczerze komisarz. – Zobaczymy, czy się do nas odezwie. Najlepiej by było, gdyby miał jakieś alibi. A po mieście

chodzą słuchy, że ma.

- Tylko czy ta cała wycieczka do stolicy coś nam dała?
- Dobrze pytanie. Być może wkrótce poznamy odpowiedź.

## 2.

Gdy zaparkował czarne audi na Józefitów, dochodziła szósta po południu. Poprosił Czarka o odstawienie samochodu na Mogiłską i po chwili był w swoim mieszkaniu. Najpierw zajął się dziewczynami, a potem wziął długi gorący prysznic. Niedobrze, pomyślał, dokładnie się namydlając. Tak naprawdę w sprawie zabójstwa i zaginięcia tajemniczej partnerki Gutowskiego niewiele mamy. Jedyna nadzieja we Wrzaskunie, który być może zdecyduje nam się pomóc. No i choć to oczywiście przykre, fajnie byłoby, gdyby ktoś znalazł ciało luksusowej żony. Jeśli to naprawdę jakiś seryjny świr, to bardzo możliwe, że stanie się to niedługo. Oni lubią się chwalić.

Skrzywił się, rozczesując swoje długie do ramion włosy. Było to cholernie niewygodne, ale jak tylko raz ostrzygł się na krótko, to przestraszył się swojego chłopięcego wyglądu. Dlatego potem znowu zapuścił włosy i nigdy nie myślał już o zmianie fryzury.

Długo zastanawiał się, w co takiego się ubrać. Nie żeby jego garderoba była specjalnie bogata, ale w końcu randka na dyskotecę trochę zobowiązywała. Założył w końcu eleganckie pantofle, kupione rok temu na ślub kumpla. Trochę cisnęły, ale wyglądały o niebo lepiej niż te znoszone, w których człapał na co dzień. Ciemne sztruksowe spodnie, błękitna koszula i marynarka w granatowe paski dopełniły całkiem eleganckiego, jego skromnym zdaniem, wyglądu.

Zapiął pasek, mocując broń w kaburze, zamknął w klatce Zośkę i Jasną, zostawiając im zapas wody i karmy, a potem wyszedł na zewnątrz. Szybko złapał tramwaj i pół godziny później wysiadł na Wlotowej. Mógł zadzwonić wcześniej, ale wiedział, że była już na emeryturze i dużo czasu spędzała w domu. Zresztą jeśli jej nie było,

to nawet lepiej. Bał się tej rozmowy.

Doszedł do niskiego bloku otoczonego drzewami i wszedł po schodach na drugie piętro. Otworzyła mu sekundę po tym, jak nacisnął dzwonek. Nie widział jej pół roku, ale nic się nie zmieniła. Mimo swoich sześćdziesięciu kilku lat miała świeżą cerę, gdzieniegdzie tylko poznaczoną zmarszczkami. Nie farbowała ściętych na krótko włosów, pozwoliła im siwieć naturalnie. Krystyna Elmer uśmiechnęła się szeroko na jego widok i przytuliła go mocno.

- Kastor, jak dobrze cię widzieć!
- Przepraszam, że nie zadzwoniłem, żeby się zapowiedzieć...
- Daj spokój! Wchodź, szybko. Boże jak się cieszę.

Zaprosiła go do niewielkiej kuchni i posadziła przy stole z surowego, poznaczonego bliznami drewna. Pamiętał, jak poznawał się z Karoliną i siedzieli razem przy tym samym blacie, pijąc wino, ciesząc się swoją obecnością i prowadząc długie rozmowy. Potem poznał jej matkę, Krystynę. Osobę, która od razu zapałała do niego sympatią, a on odwzajemnił to uczucie. Nigdy nie rozumiał kawałów o teściowych. Po prostu tego nie doświadczył. Matkę swojej żony traktował jak własną. Była wspaniałą i ciepłą osobą.

Gdy już zaparzyła mu kawy, posiedzieli i poopowiadali sobie, co u nich się wydarzyło od ostatniego spotkania, w końcu spytała:

- Byłeś u Karoliny?
- Mamo – jęknął Kastor. Krystyna gorąco go namawiała, żeby tak do niej się zwracał, a on z chęcią przystał na tę propozycję. – Wiesz dobrze, jak nie lubię tam chodzić.
- Nie mówię ci, żebyś był tam co tydzień, tak jak ja. Przecież nie mam do ciebie pretensji, ale raz na pół roku mógłbyś jakąś lampkę zapalić.
- Dobrze.
- Bardzo się cieszę, że wpadłeś. Tak miło na ciebie popatrzeć.
- Wzajemnie. – Komisarz zerknął dyskretnie na zegarek. – Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że tylko po to wpadłem, ale...
- Potrzebujesz pożyczki?
- Wiesz, że zawsze oddaję. Poza tym dostałem premię, ale mogę

odebrać w kasie dopiero jutro, bo...

– Daj spokój, nie musisz mi się tłumaczyć. Ile?

– Ja wiem... Ze dwieście tysięcy.

– Poczekaj. – Wróciła po chwili i wręczyła mu odliczoną kwotę. – Poszukaj sobie lepszej pracy. Tyle się teraz dzieje w Krakowie.

– To nie jest praca, tylko służba. Dziękuję.

– Na co tym razem? Prąd?

Komisarz mógł wymyślić jakąkolwiek wymówkę. W końcu jego pensja była tak marna, że mogło mu naprawdę zabraknąć na cokolwiek. Ale ta kobieta nie zasługiwała na kłamstwo.

– Wiesz, że zawsze jestem z tobą szczerzy.

– No?

– Wstydzę się.

– Nie chcesz, to nie mów. – Machnęła ręką z uśmiechem.

– Umówiłem się z kimś. To... To jest randka.

Docenił to, jak bardzo się maskowała. Rozczarowanie na jej twarzy trwało dosłownie milisekundę i zaraz potem uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

– Pomyślisz, że to ja jestem nieszczerą. Ale bardzo, bardzo się cieszę. Wiem, jaki byłeś dla niej dobry. Przecież to już dwa lata. Życie toczy się dalej. – Pocałowała go mocno w oba policzki. – Szkoda, żeby taki mężczyzna jak ty się marnował.

– Dziękuję ci. I obiecuję, że pójdę...

– Och, daj już spokój! Leć, uciekaj! I pamiętaj, oddasz, kiedy będziesz mógł.

Niemal wypchnęła go z mieszkania, ciągle uśmiechając się serdecznie. Gdy wyszedł na zewnątrz i ruszył w kierunku przystanku, był pewien dwóch rzeczy. Po pierwsze, Krystyna Elmer na pewno wybuchnęła płaczem po jego wizycie. Nie to, żeby wcześniej nie była z nim szczerą. Była, ale emocje musiały wziąć górę. Po drugie, uświadomił sobie, że wcale nie przyszedł po pieniądze. Przyszedł po rozgrzeszenie.

Wysiadł na Basztowej i szybko dotarł do Barbakanu otoczonego tłumem ludzi. Część z nich czekała na umówione spotkanie, a turyści podziwiali i fotografowali okrągły budynek. Ola miała na sobie czarne szpilki i obcisłe spodnie tego samego koloru. Biała bluzka w wypukłe wzory nakryta była kusą dżinsową kurtką. Przywitał się z nią, mówiąc to, co pomyślał, gdy tylko ją zobaczył:

– Wyglądasz ślicznie.

– Dziękuję ci. Tobie też należą się słowa uznania za podrasowanie uniformu.

– Jestem panience niezmiernie wdzięczny za te słowa. – Uśmiechnął się do niej i mrugnął okiem. – To co, idziemy?

– Jasne. Kastor, słuchaj. Czy mogę mieć do ciebie prośbę?

– Tak?

– Bardzo bym chciała, żebyś wystąpił dzisiaj w wersji rozbrojonej. Czy to możliwe?

– Ola... – Komisarz westchnął, kręcąc lekko głową. – To będzie amatorszczyzna. Naprawdę nie powinienem rozstawać się z pistoletem.

– Rozumiem, nie ma problemu. Tylko pozwól, że o coś zapytam. Naprawdę wy wszyscy chodzicie ciągle z bronią?

– Wszyscy może nie. Ale ja tak.

– Nie było rozmowy. Chodźmy.

– Poczekaj.

Kastor zatrzymał ją, łapiąc za rękę. Bił się z myślami. Nie powinien tego robić, nawet nie ze względu na jakieś przepisy, ale bardziej z przyzwyczajenia, którego nabrał przez te wszystkie lata. Z drugiej strony wiedział już, że Ola działa na niego w jakiś dziwny sposób. Przykładowo on sam stronił raczej od przekleństw i używał ich naprawdę tylko wtedy, kiedy musiał. Jednak w obecności tej kobiety wstydyłby się zachowywać tak, jak nieraz wymagała od niego wykonywana praca. Lub też służba, jak sam o niej myślał.

Uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i dał gestem znak, że zaraz wróci. Przebiegł przez Basztową i wszedł do budki telefonicznej. Szczęśliwie budka działała, a Czarek ciągle był w pracy. Przeszli na



piechotę Floriańską aż do Rynku, a gdy tylko czarne audi podjechało pod Bazylikę Mariacką, Kastor przekazał koledze swoją broń i wrócił uśmiechnięty do Oli.

– Zadowolona?

– I to bardzo. Dziękuję. – Złapała go pod rękę i ruszyli wzdłuż północnej pierzei Rynku. – Słuchaj, tak sobie pomyślałam...

– Co?

– Rano jak idę do pracy, przechodzę koło stoiska z kwiatami na Kleparzu. Potem idę w kierunku Basztowej. Może będę zostawiać bukietki fiołków przy tym pomniku? Wiesz, taki rycerz na koniu.

Kastor trochę zeszywniał, przypominając sobie wydarzenia z dzieciństwa. Skąd wiedziała, że w młodości w ten sposób nazywał ten pomnik? Uspokój się człowieku, to czysty przypadek. Jest przyjezdna, przecież nie musi wiedzieć, że to Jagiełło.

– Pomnik Grunwaldzki. Ale po co?

– Ot tak. Że myślę o tobie. Wiesz, ja też jestem romantyczna.

– W porządku. – Uśmiechnął się. – A czy to może być biała kalia?

– Nie. Wolę jakieś kwiatki, które zawsze można dostać. – Roześmiała się.

– Dobrze. W takim razie kładź je gdzieś na Jungingenie, on jest na dole.

– Co?

– Ten rycerz, który leży u dołu cokołu, to mistrz krzyżacki Ulrich von Jungingen.

– Nie wiedziałam.

Skręcili w Świętego Jana. Przed wejściem do klubu stała spora kolejka ludzi, więc ustawili się posłusznie na końcu. Komisarz otwierał usta, żeby powiedzieć coś Oli, gdy usłyszał cichy gwizd. Rozejrzał się i zobaczył machającego do niego Dempseya. Były bokser stał pod drzwiami klubu i uśmiechał się szeroko.

– Chodź. – Komisarz pociągnął Olę za rękę.

– Dajcie spokój, nie będziecie przecież stać. – Dempsey uśmiechnął się i wpuścił ich do środka, klepiąc Kastora po ramieniu.

W środku było gwarno i tłoczno, zwłaszcza na parkiecie. Z początku

komisarz był bardzo spięty, widząc tu i ówdzie zakazane gęby, z którymi zazwyczaj miał do czynienia na komendzie. Było kilku złodziei, jeden rozbojarz, a także grupa Bułgarów, którzy coraz śmieiej rozpychali się w Krakowie, ale mimo wszystko na razie nic im nie udowodniono. Wypili po kilka drinków, a kiedy konwersacja przypominająca bardziej krzyk sprawiła, że zaczęły boleć ich gardła, ruszyli na parkiet.

Komisarz na pewno nie był królem tańca. Ale swego czasu przed maturą, aby nie zbłąźnić się do końca, przez pół roku uczęszczał na lekcje tej trudnej, dla kogoś pozbawionego wyczucia rytmu, sztuki. Gdy w końcu zziązani i spoceni wrócili do baru, wykrzyczała mu do ucha:

– Ale z ciebie kokiet! Całkiem nieźle tańczysz!

W odpowiedzi Kastor uśmiechnął się, machnąwszy ręką, dał znak barmanowi, zamawiając dwa drinki, a potem powiedział do Oli:

– Idę do toalety!

Ona kiwnęła głową, a komisarz zniknął w tłumie kłębiących się ludzi. Gdy otworzył drzwi do łazienki, przepuścił wychodzącego blondyna z pokaźnymi bicepsami opiętymi czarną obcisłą koszulką. Mężczyzna kiwnął mu odruchowo głową, a Kastor automatycznie odpowiedział tym samym gestem. Gdy sikał do pisuaru, zaczęła go dręczyć pociągła twarz blondyna. Skąd ja go znam, zastanawiał się, myjąc ręce. Wyszedł z toalety i ruszył do baru, gdy nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że ktoś idący za nim wpadł na niego, omal nie tracąc równowagi.

Marchewa, krzyknął w myślach, zawrócił i rzucił się do wyjścia. Gdy przepychał się na schodach, teraz jasno pamiętał, jak niecały miesiąc temu zatrzymał Marchewę, starego rozbojarsza, tym razem za napad na kantor z bronią w ręku. Sąd zdecydował o wysłaniu go na Monte na sześć miesięcy, bo w sumie groziło mu piętnaście lat odsiadki. Czy to możliwe, żeby zarzuty spadły? Nie, dowody były za mocne, szybko odpowiedział sobie w myślach, wypadając na zewnątrz i podchodząc do Dempseya.

– Potrzebuję twojej pomocy. Zamknij klub na kilka minut! Nikt nie

ma prawa wyjść ani wejść.

– Panie komisarzu – jęknął bokser. – Przecież takie rzeczy nie ode mnie zależą. Co się dzieje?

– Muszę zadzwonić po chłopaków. W środku jest...

Kastor urwał w pół słowa, bo z klubu, roztrzaskując ludzi na boki, wypadł Marchewa i puścił się biegiem wzdłuż ulicy.

– Stój, policja! – wydarł się komisarz i ruszył w pościg, rzucając jeszcze na odchodnym do Dempseya: – Wezwij gliny!

Uciekający skręcił gwałtownie w Świętego Tomasza i wbiegł do bramy kamienicy po prawej stronie. Gdy tylko komisarz znalazł się w podwórku, usłyszał nad swoją głową wściekły jazgot dźwięczącego metalu. Elewacja kamienicy była remontowana i wszystkie ściany studni obstawiono rusztowaniami. Kastor nie wahał się nawet sekundy. Wskoczył na najbliższą metalową drabinkę i zaczął piąć się w górę w ślad za przestępcą.

Rusztowanie chybotąło się na wszystkie możliwe strony. Komisarz dyszał ciężko, gdy udało mu się w końcu dotrzeć na dach. Marchewa biegł po dachach wzdłuż ulicy, przeskakując nierówności pomiędzy poszczególnym budynkami.

– Stój, bo będę strzelał! – wydarł się Kastor, ruszając w pogoń. Gdy uciekający zbliżał się do krawędzi domów górujących nad Sławkowską, komisarz był coraz bliżej. Przypakowany rozbojarz nie miał zbyt dobrej kondycji i wyraźnie słychać było jego głośnie sapanie. Marchewa, przebiegając obok gołębnika, sięgnął do drewnianych drzwi i szarpnął je energicznie. Spłoszone ptaki wyfrunęły gwałtownie przy akompaniamencie trzepotu skrzydeł i chóralnego gruchania. Kastor zasłonił twarz przedramieniem, ale mimo wszystko stracił równowagę i potoczył się niebezpiecznie do krawędzi dachu.

Podniósł się szybko i rozejrzał po dachach. Po Marchewie nie było śladu. Co, skoczył? Komisarz podbiegł do zachodniej krawędzi dachu i spojrzął w dół Sławkowskiej. Przestępca przesuwał się po linie, na której zawieszono uliczną lampę. Klosz ze świecącą żarówką chybotął się niebezpiecznie i mogło się wydawać, że cała konstrukcja

runie za chwilę wraz z uciekającym. Ale tak się nie stało. Marchewa dotarł do krawędzi budynków po przeciwnej stronie ulicy i wspiął się po gzymsie na dach.

Kastor zmełł bezgłośnie przekleństwo w ustach, chwycił się krawędzi i zsunął na linę z lampą, modląc się, aby wyczyn Marchewy nie osłabił zbyt haków tkwiących w ścianie. Zaczepił się nogami niczym małpa i przesuwiał metr po metrze, aż w końcu mógł się chwycić jednego z parapetów ostatniego piętra i po kilku sekundach był już na dachu. Biegł w stronę Reformackiej, pokonując nierówności oraz pochyłe dachy połączonych ze sobą kamienic. W końcu wspiął się i zatrzymał na dachu siedmiopiętrowego budynku na rogu. W dole widział, jak na dłoni plac Szczepański z oświetlonym Głównym Pałacem Sztuki. Rozejrzał się i w końcu dostrzegł podnoszący się cień. Marchewa trzymał w ręku kawałek masywnej anteny telewizyjnej. Chwycił mocniej metalową rurę i zaczął zbliżać się do policjanta. Komisarz uśmiechnął się tylko i sięgnął wyuczonym gestem do kabury po prawej stronie biodra. Ale namacał jedynie pasek od spodni.

Przestępca zamachnął się kawałkiem anteny, trafiając Kastora prosto w czoło. Oczy komisarza zalała krew i poczuł, jak Marchewa pcha go w kierunku krawędzi. Kastor chwycił mocno przeciwnika, przyciągnął go do siebie i obaj zaczęli się turlać po dachu wysokiego budynku. Komisarz walczył z przeciwnikiem, kompletnie nic nie widząc przez zalane krwią oczy. Po którymś z kolei obrocie wypełnionym szamotaniną poczuł, że jego ciało ogarnia stan nieważkości. To koniec, pomyślał. Znał doskonale ten budynek. Jeden z najwyższych w obrębie Starego Miasta, miał ponad trzydzieści metrów wysokości. Nie mieli szans na przeżycie.

Obrócili się kilka razy w powietrzu i rozważania Kastora przerwało silne uderzenie, zamortyzowane przez umięśnione ciało Marchewy. Za wcześnie, pomyślał komisarz, podnosząc się i wycierając krew zalewającą mu twarz. Okazało się, że nie spadali na plac Szczepański, ale po prostu sturlali się z jednego z fragmentów budynku na dach położony dwie kondygnacje niżej. O ile policjantowi nic się nie stało,

o tyle Marchewa rzeźił niezrozumiale, a z jego ust sączyła się spieniona krew.

Dalej wszystko potoczyło się szybko. Kastor zaalarmował przechodzący przez plac patrol pieszy i wkrótce potem rozbojarz został zabrany do szpitala, a ekipa pogotowia zaszła komisarzowi rozciętą skórę na czole. Na miejscu zjawił się też Kwiatek, palący papierosa wetkniętego w firkę. Miał na sobie granatowe spodnie oraz sportową marynarkę w kremowym kolorze. Ostrą woń środków dezynfekujących użytych przez lekarza pogotowia przełamały perfumy sierżanta. Jagody ostrokrzewu, lukrecja oraz delikatny dodatek marcepanu.

– To chyba twoje – uśmiechnął się Kwiatek, oddając komisarzowi jego kaburę z bronią.

– Dzięki.

– Dobra robota. Wszystkie policyjne radia trzeszczą o tym pościgu.

– Co z Marchewą?

– Coś z biodrem i na pewno kilka żeber połamanych, ale przeżyje. To silny chłop.

– Skąd on się tu wziął? – spytał komisarz, pozwalając lekarzowi pogotowia nakleić sobie opatrunek przykrywający szwy.

– Zorganizował połyk na Monte, a potem funfle wyciągnęli go ze szpitala – wyjaśnił Kwiatek. – Niezła akcja. Człowiek czuje, że żyje.

Komisarz wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. Potem przypomniał sobie coś, a jego twarz przybrała wyraz głębokiego szoku. Zmiana była tak gwałtowna, że nie uszła uwadze sierżanta.

– Co się stało?

– Oła!

### 3.

Wrócili do Feniksa i dokładnie sprawdzili całą dyskotekę. Kastor myślał, że może jest w toalecie, dlatego stanęli z Kwiatkiem przy barze i wypili dwie kolejki, obserwując wchodzące do i wychodzące z

damskiej toalety kobiety. Nic z tego. Ola musiała już wyjść z klubu.

– Dobra, chodź. Jedziemy na komendę.

– Pierdole, nigdzie nie jadę – wybełkotał Kwiatek.

Komisarz zerknął na swojego kolegę. Przekleństwo w jego ustach dobitnie świadczyło o tym, że jest już bardzo późno. Marynarka sierżanta była wymięta, a włosy w nieładzie. Kilka kosmyków zaślaniało mu spoconą twarz. Kastor spojrział na zegarek. Faktycznie było już grubo po drugiej w nocy. Trudno się dziwić, że Kwiatek jest już do niczego, pomyślał i powiedział na głos:

– Rozumiem, że nie ma sensu cię namawiać?

W odpowiedzi sierżant wysunął w stronę barmana rozcapierzone pięć palców, a tamten szybko połał i postawił przed policjantem pięć pięćdziesiątek. Skąd on ma na to pieniądze, zastanowił się po raz setny komisarz. Ale tak to już było z alkoholikami, że akurat na wódkę zawsze potrafili zdobyć forszę. Choćby i spod ziemi.

Gdy wychodził z klubu, Dempsey zaczepił go, pokazując opatrunek na czole.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki. Słuchaj, na dole, jakby co, jest Kwiatek. Chyba jest jeszcze niedopity, więc miej, proszę, baczenie na niego.

– Co mi go pan komisarz tak ostatnio podrzuca? W Forum były z nim małe problemy.

– To twoja wina, Dempsey. Masz po prostu dobre serce.

Zmęczony życiem bokser uśmiechnął się krzywo i machnął ręką na pożegnanie. Kastor ruszył w kierunku Czartoryskich, mijając po drodze roześmianych imprezowiczów, którzy o tej porze tłumnie zmieniali lokale. Przeszedł przez Bramę Floriańską i po chwili był już pod Barbakanem, miejscem dzisiejszego spotkania z Olą. Wiedział, że to bez sensu, ale mimo wszystko przeszedł przez ulicę na plac Matejki. Stanął przed pomnikiem Grunwaldzkim i obszedł monument, uważnie lustrując leżącego w dolnej części cokołu mistrza krzyżackiego, Ulricha von Jungingena. Ty cholerny durniu, twarz komisarza wykrzywił gorzki uśmiech. Jasne, przyniosła tu cudem zdobyte w środku nocy kwiatki. Specjalnie dla ciebie. Gościa,

który zostawił ją samą w klubie pełnym ludzi. Możesz o niej zapomnieć.

Komisarz ruszył na Dworzec Główny w poszukiwaniu jakiejś awantury. Na szczęście w takim miejscu zawsze można było na nie liczyć. Szybko napotkał szarpiącego się z policjantami pijaka. Mężczyzna został skuty i załadowany do nyski. Kastor przedstawił się i poprosił mundurowych, żeby nadrobili trochę drogi, wioząc pijaka do pensjonatu przy ulicy Rozrywki.

Wyskoczył z nyski na Mogiłskiej i gdy tylko znalazł się w swoim pokoju, usiadł przy biurku i wyciągnął notatnik. Wpatrywał się w zapisane przez Olę numery. Sięgnął po słuchawkę, ale od razu cofnął rękę. Była już trzecia w nocy. Jeśli wróciła do domu, to na pewno już śpi, pomyślał. Z drugiej strony powinienem się upewnić, czy na pewno dotarła cała i zdrowa. Wykręcił numer, ale nim tylko uzyskał połączenie, odłożył słuchawkę na widełki. Bez sensu, mieszka z koleżanką, nie będę ich budził. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Klakier, oficer dyżurny.

– Panie komisarzu, przepraszam, że przeszkadzam, ale widziałem na dole, jak pan wchodził.

– Żaden problem. Co tam?

– Przede wszystkim szacunek za dorwanie Marchewy.

– Powinienem chyba ci podziękować. To ty skoordynowałaś posiłki, co nie?

– Trochę się zdziwiłem, jak zadzwonił Dempsey. – Klakier uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, czy wierzyć temu pijakowi.

– Sprawa nieaktualna. On już nie chleje od dwóch lat.

– Nie wiedziałem. Chciałem tylko dać znać, że godzinę temu dzwonił jakiś dziwny gość. Twierdził, że znalazł zwłoki na Baryczy.

– Na wysypisku? Ale co, ktoś z obsługi?

– Nie. Wydaje mi się, że to jeden z tych, co wchodzi tam nielegalnie. Rozmowa się urwała. Tamtemu chyba się skończyły monety na automat.

– Wypity jestem. A nie chcę odciągać innych załóg. W piątek w Krakowie jest co robić.

– Właśnie dlatego przyszedłem. Jestem już po służbie i jadę do domu.

– Gdzie mieszkasz?

– W Wieliczce.

– W sumie niedaleko... – mruknął do siebie Kastor.

– Mógłbym pana podzucić i może trochę pomóc. Pan wie, że staram się o przeniesienie gdzieś wyżej. Nie będę całe życie na tym cholernym radiu wisiął.

– Dobra. A co, jak nie będzie żadnego trupa? Jak wrócę do Krakowa?

– U mnie dwie ulice dalej mieszka kumpel, robi w komisariacie w Podgórzu. Parę minut po szóstej będzie jechał do roboty.

Komisarz zaczął się zastanawiać. Z jednej strony, ludzie często robili sobie żarty. Ale z drugiej, ten telefon w jakiś sposób uruchomił jego policyjny instynkt. Ktoś, kto nielegalnie wchodzi na wysypisko w Baryczy, nie dzwoniłby do nich bez powodu. Chyba że faktycznie sprawa jest poważna i ruszyło go sumienie. Poza tym i tak na razie nie miał nic lepszego do roboty, a mimo ostatnich postępów z jego chorobą o tej porze i tak nie uśnie. Podjął decyzję.

– Jedziemy.

Czerwony maluch dosyć sprawnie pokonał puste o tej porze ulice. Pół godziny później Klakier zatrzymał samochód na przystanku autobusowym na Żelazowskiego, nieopodal Krzemienieckiej.

– Dlaczego tutaj? – spytał Kastor.

– Tak powiedział tamten facet. Że mieszka naprzeciwko przystanku.

– Co? – Komisarz wyjrzał przez okno, patrząc na ścianę lasu. – Przecież tu nic nie ma.

– Powiedział, żeby wejść ze sto metrów w las. On ma tam jakiś namiot czy coś.

– Jasna cholera... – mruknął Kastor, ciesząc się, że Klakier zdecydował się mu towarzyszyć. – Latarkę jakąś masz?

– Jasne.



Przeszli przez ulicę i weszli w las, oświetlając sobie drogę latarką. Szybko doszli do miejsca, które najkrócej można by określić jako obozowisko. Prowizoryczna konstrukcja z żerdzi przykryta kilkoma różnokolorowymi kawałkami brezentu. Przepastne torby z różnego rodzaju śmieciami, porozwieszane na sznurach ubrania oraz niewielkie ognisko tłące się pośrodku. Z namiotu wyszedł obdarty i brudny mężczyzna. Długie siwe włosy były pozlepiane od brudu i nawet w nikłym promieniu latarki było widać, że ogarnięte są wszawicą. Bezdomny zerknął na mundur Klakiera i z miejsca zapewnił usłużnym głosem:

– Już gaszę ognisko, panie władzo. Tylko na chwilkę, naprawdę. Ja zawsze pilnuję.

– My tu nie po to. – Kastor wyciągnął legitymację. – Komisarz Kastor Grudziński. To pan dzwonił w sprawie trupa?

– Tak, ja. To znaczy tak mi się wydaje...

– Co to znaczy? To dzwoniłeś czy nie?

– Tak, tak! Ja dzwoniłem, tylko co do tego trupa nie jestem pewien. Znaczy się tylko rękę widziałem.

– Pokaż gdzie.

– To musimy obejść wysypisko od zachodu. Tam jest taka dziura...

– Człowieku, nie denerwuj mnie! Nie będziemy się bawić w takie rzeczy! – Komisarz zrobił się niecierpliwym. – Normalnie tam wjedziemy przez bramę.

Klakier rzucił pełne przerażenia spojrzenie, a Kastor od razu domyślił się, że policjant nie chce mieć takiego pasażera w swoim samochodzie.

– To znaczy przejdziemy się.

– Panie, ale oni tam mnie zawsze gonią. Jak się dowiedzą, że byłem na wysypisku, to...

– Idziemy! – Komisarz przeciął gwałtownie dyskusję.

Faktycznie pracownicy wysypiska nie ucieszyli się z widoku bezdomnego. Ale gdy Kastor się przedstawił i wyłuszczył sprawę, pozwolono im rozejrzeć się po składowisku. Przewodnik

poprowadził ich wąską ścieżką i po chwili wkroczyli na potężną hałdę śmieci. Dziesiątki mew poderwały się w powietrze z głośnym skrzekiem, co komisarzowi od razu skojarzyło się z morzem. Za to unoszący się w okolicy fetor w niczym nie przypominał nadmorskiej bryzy.

– Ostrożnie stawiajcie nogi. Tak trochę w bok każdy śmieć i dopiero, jak czujecie, że nic ostrego nie ma, to dawajcie kroka – instruował ich bezdomny. – Mój koleżka o jakieś świństwo rozciął sobie stopę i koniec. Pod kolanem mu ucięli.

Brnęli przez powierzchnię potężnej góry śmieci, tworzących małe doliny i wzniesienia. W świetle latarki błyszcząły tysiące różnokolorowych odpadków, a komisarz zaczął się zastanawiać, jakim cudem wagabunda orientuje się w terenie. Miał wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem smród staje się coraz bardziej nachalny. Plus tego może być taki, że jeśli faktycznie znajdziemy trupa, to jego sztynek nie będzie tak odczuwalny, pomyślał.

– O, tutaj! Widzicie tę lodówkę? – spytał bezdomny.

Klakier poświecił latarką we wskazane miejsce.

– Wcześniej nie było tak przywalone, musieli coś świeżego dowieźć.

– Pomóż mi – powiedział komisarz i wspólnie z włóczęgą zaczęli usuwać śmieci blokujące drzwi do lodówki.

Po kilku minutach uporali się z zadaniem, a Kastor odebrał Klakierowi latarkę. To była stara, radziecka lodówka Mińsk 15. Identyczna stała kiedyś u nich w domu dziecka. Swego czasu szczyt techniki, bo znajdujący się w górnej części zamrażalnik miał własne drzwiczki. To chyba niemożliwe, żeby ktoś zmieścił w niej trupa, pomyślał komisarz i szarpnął za uchwyt.

Pomylił się podwójnie. Po pierwsze, trup zmieścił się bez problemu, bo ciało zostało pozbawione głowy. Po drugie, fetor wysypiska nie przykrył smrodu rozkładającego się ciała, który po otwarciu lodówki buchnął w nich niczym spaliny z rury wydechowej. Klakier chrząknął kilka razy, ale dzielnie utrzymał kolację w żołądku.

– W imię Ojca i Syna... Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie... – wyszeptał z trwogą bezdomny.

Całe ciało było poszatkowane wręcz w taki sposób, że zwłoki przypominały krwawą miazgę upchaną w ciasnym wnętrzu lodówki. Ale Kastor wiedział, że ich przewodnik po wysypisku błędnie określił płeć. Praktycznie jedynymi częściami ciała, które nie zostały w okrutny sposób pocięte, były dłonie i stopy. Od razu rozpoznał te eleganckie, zadbane paznokcie. Seledynowy kolor z brokatową obwódką. To były paznokcie kobiety zgłaszającej zaginięcie Zbigniewa Gutowskiego.

Luksusowa żona właśnie się odnalazła.

#### 4.

Pierwsze blade promienie słońca rozświetlały już drzewa parku Krakowskiego, gdy Kastor wszedł do swojego mieszkania i z westchnieniem ulgi zrzucił z siebie marynarkę. Z początku myślał, że odda ubrania do pralni, ale szybko doszedł do wniosku, że to nic nie da. Rozebrał się do naga i spakował wszystko, co miał dzisiaj na sobie, do foliowego worka. Szczerze żałował tego ruchu, bo były to jedne z najlepszych ciuchów. Ale nie było innego wyjścia. Nie wierzył, że cokolwiek mogło wyprać ten smród.

Potem wziął długi i gorący prysznic, poświęcając dużo uwagi swoim włosom, które umył trzy razy. Bał się, że mógł złapać wszy od bezdomnego, a wtedy ponownie musiałby ściąć swoją blond czuprynę. Przebrał się w piżamę i dopiero wtedy wypuścił dziewczyny, dolewając im wody i dosypując karmy. Odlepił plaster i ostrożnie przemył zaszytą ranę spirytusem, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. Zrezygnował z ziółek i posiłku. Usiadł w fotelu, szykując notatnik oraz dwa stopery.

Sen nie nadchodził, zaczął więc myśleć o sprawie. Smok nie był zadowolony, gdy dotarł na wysypisko. To był drugi raz w tym tygodniu, kiedy wyciągano go z łóżka. Na szybko stwierdził tylko, że głowa nie została odcięta, a po prostu ktoś tak zmasakrował górną część ciała kobiety, że powyżej szyi były tylko porwane i poszarpane

kikuty. Cięcia były głębokie i zadane bardzo ostrym narzędziem. Być może chirurgicznym lancetem. Smok obiecał mu, że rano ciało będzie na Grzegórzeckiej. Czyżby to była ofiara numer dwa? Wszystko okaże się podczas sekcji, pomyślał Kastor. Jeśli w ciele również znajdą hebrajską cyfrę, to wtedy nie ma mowy o żadnych wątpliwościach. Seryjny zabójca.

Zerknął na pokrytą kurzem kapę przykrywającą łóżko. Od piętnastu lat nie pomyślał o tym, żeby zdrzemnąć się w łóżku. Ale teraz... Zerwał nakrycie i szybko ściągnął nieużywane od lat poszewki i prześcieradło. Przyniósł z szafy świeże i po chwili leżał już nakryty kołdrą. Dosłownie kilka minut później poczuł ogarniającą go senność i resztkami sił uruchomił stoper. Stwierdził, że jeden wystarczy. Nabrał do niego zaufania.

*Wyglądam przez okno. Śnieg już stopniał, a dni są coraz dłuższe. Robi się coraz cieplej. Dzisiaj jest piękne słońce, ale mocny i porywisty wiatr. W ogóle w tym miejscu bardzo wieje. Nie pamiętam, żeby w Krakowie kiedykolwiek tak wiało. Jest środa. Wiem to, bo w środę Remus zawsze na cały dzień jedzie do Gdańska. Byłem z nim raz, nie podobało mi się. Trzeba wstać przed świtem, a potem płynąć kutrem kolegi Remusa. Dziadek cały dzień był w jakimś wysokim budynku i rozmawiał z różnymi ludźmi, a ja bardzo się nudziłem. Wróciliśmy późnym wieczorem. Gdy wszedłem wtedy na kuter, od razu usnąłem.*

*Środa jest jedynym dniem, kiedy to nie Remus dogląda włączenia latarnianego światła. Właściwie to lubię te dni, bo jestem wtedy sam i mogę robić, co mi się podoba. Na przykład tak jak teraz. Ubrałem się ciepło ze względu na wiatr i stoję na szczycie latarni, trzymając się barierki. No niechby mnie tak Remus teraz zobaczył... Chyba byłby bardziej zły niż wtedy w święta. Dopiero teraz przypominam sobie o tamtym wydarzeniu. Schodzę na dół i zdejmuję kurtkę, szalik i czapkę. Potem nalewam ostrożnie herbaty z termosu. Remus zawsze oprócz jedzenia zostawia mi pełen termos tego gorącego napoju. Nauczył mnie, jak sobie z niego nalewać,*

żeby się nie poparzyć. Jestem bardzo dumny, że mi pozwala na takie rzeczy. W końcu jestem już coraz starszy. W lipcu skończę siedem lat! Wyciągam kanapkę ze spiżarki. Potem sam nie wiem, dlaczego, ale podchodzę do kotary i ją odsuwam. Ja dorosły, wiem dlaczego. Ciekawość. Bez tego ludzkość nie odkryłaby wielu rzeczy, ale ja sześćioletni nie zastanawiam się nad takimi sprawami. Przypominam sobie świąteczną awanturę i hałasy dochodzące zza drzwi. Zwijam drobną dłoń w pięść i walę nią kilka razy w drzwi. Kłódki i skoble podskakują, odpowiadając metalicznym rezonem.

– Jest tam ktoś? – wołam i trochę się boję swojego głosu w kompletnie pustych pomieszczeniach.

Nic się nie stało. Dopijam herbatę. Zmywam talerz, tak jak mnie nauczył Remus, i już chcę wychodzić z kuchni, kiedy o czymś sobie przypominam. Zapomniałem zasunąć kotary. Remus na pewno by się zdenerwował. Pewnie nawet bardziej niż za to, że wyszedłem na górę latarni. Zasuвам kotarę, gdy słyszę przytłumiony, ale jednak wyraźny, sepleniący szept:

– Jestem.

Odskakuję gwałtownie. Serce bije mi jak młotem. Chciałbym, aby to był tylko dźwięk świszczącego na zewnątrz wiatru, ale nawet ja sześćioletni nie jestem tak naiwny. Ktoś jest za drzwiami. Zwalczam strach i przysuwając się delikatnie do drzwi, mówię:

– Kim jesteś?

– Romulus. – Głos jest słaby i wyczerpany. Tak mówi ktoś, kto jest chory. Ja tak mówiłem, kiedy miałem świnkę.

– Kto?

– Otwórz, proszę. Błagam.

– Dlaczego jesteś tam zamknięty? Byłeś niegrzeczny?

– Nie. Ktoś zamknął mnie przez pomyłkę. Pomożesz mi? Jestem tu bardzo smutny i nieszczęśliwy. – Słyszę szloch. – A jak ktoś jest smutny, to trzeba go pocieszyć, prawda?

– Tak, prawda – mówię, kiwając głową. Mama zawsze mnie uczyła, że trzeba okazywać innym dobre serce. Trzeba pomagać ludziom.

– Jak otworzysz te drzwi, to pobawimy się razem. Chcesz?

Ja sześćioletni uśmiecham się. Fajnie by było z kimś się pobawić. Ja dorosły drzę, słysząc ton głosu. Wiem, o co chodzi. To dorosły wciągający dziecko w pułapkę. Szybko otwieram wszystkie zasuwę, ale pozostają jeszcze potężne kłódki. Uff, na szczęście są na klucz, ja dorosły czuję olbrzymią ulgę.

– Nie mam klucza – mówię.

– Klucze są w jednej z szuflad kredensu. Nie jestem pewien, w której, bo za każdym razem tylko je słyszę – podpowiada głos zza drzwi.

Rzucam się do szuflad w kredensie i zaczynam przeszukiwać każdą z nich. Jestem podekscytowany. Koncentruję się teraz po prostu na wykonaniu zadania. Muszę otworzyć te kłódki! Wtedy się z kimś pobawię i będzie fajnie! Są! Znajduję klucze na dnie jednej z szuflad. Próbuję dopasować klucze do kłódek, idzie mi to wyjątkowo wolno.

– Poczekaj. Muszę zobaczyć jaki klucz do jakiej kłódki, dobra?

– Spokojnie. – Ja dorosły panikuję, słysząc ten głos. – Nigdzie się nie wybieram. Mamy dużo czasu...

Dopasowuję w końcu klucz do pierwszej kłódki, chyba z pięć minut zajmuje mi otwarcie drugiej. Zostały jeszcze cztery, idzie mi coraz sprawniej. W końcu otwieram i ściągam z drzwi ostatnią kłódkę. Uśmiecham się, jestem z siebie bardzo dumny i mówię głośno:

– Otwarte!

Potężne drzwi otwierają się powoli, a spomiędzy masywnych skrzydeł wypęła jakieś monstrum. Krzyczę z przerażenia.

Postać ma kompletnie białą, prawie przezroczystą skórę i czarne oczy zapadnięte w potwornie chudej twarzy. Ledwo się porusza. Jego ręce i nogi są niemal pozbawione mięśni. Uśmiecha się do mnie, a ja krzyczę jeszcze głośniejsze. Jego dziąsła wyglądają tak jak chleb, który leży za długo i jest już niedobry. Ja dorosły doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co widzę. To ktoś trzymany w zamknięciu bez jakiegokolwiek dostępu do światła. Nie tygodniami czy miesiącami.

Ale całymi latami.

## Rozdział VI

### 1. Sobota, 9 czerwca 1990

Stłumione łomotanie do drzwi. Bardzo powoli, niczym woda przesączająca się przez piasek, hałas ten coraz bardziej przenikał do jego świadomości. Poczuł, że któraś z dziewczyn wącha jego bliznę na czole i parska z zaskoczeniem, wyczuwając spirytus. Obudził się z mocnym zaczerpnięciem powietrza, niczym nurek powracający na powierzchnię. Nieprzyzwyczajony do spania pod przykryciem, odrzucił przepoconą kołdrę.

Wstał, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Do drzwi dotarł, wspierając się o ściany. Gdy je otworzył, zobaczył zaniepokojonego Czarka.

– Żyjesz?

– A co, nie widać?

– Myślałem, że cierpisz na bezsenność. – Hewig wszedł do środka, a Kastor zamknął drzwi.

– Też tak myślałem. Która godzina?

– Parę minut po dziesiątej. Musimy jechać na Grzegórzecką. Pani doktor podobno już zaczęła sekcję.

– Tak, jasne, jasne... – Komisarz próbował uporządkować fryzurę, ale spocone włosy pozlepiały się w strąki. – Czekaaj, muszę wziąć prysznic. Która godzina powiedziałaś!?

– Po dziesiątej!

– Co!?

Komisarz przeszedł do sypialni i wziął do ręki stoper. Wcisnął guzik zatrzymujący urządzenie i odczytał wynik. Niemożliwe, pomyślał, spałem przeszło cztery godziny! Nie, to nierealne. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że może faktycznie zbyt wcześnie obdarzył zaufaniem pomiar z tylko jednego stopera. Ale dobrze wiedział, a

przede wszystkim czuł, że to była prawda. Był wyspany.

– Kurwa, Kastor! Człowieku, coś tu łązi!

Wyszedł z sypialni i stanął w salonie, patrząc cierpko na młodszego kolegę.

– Stary, chyba masz szczury – powiedział Czarek.

– Opanuj się. Mówisz to w pomieszczeniu, którego niemal połowę zajmuje klatka. Świetny z ciebie detektyw.

Czarek dopiero teraz rozejrzał się dookoła, zauważając okazałych rozmiarów konstrukcję. Komisarz poczuł wszechogarniający, wzmożony wprost głód.

– Idę się umyć, a do ciebie mam prośbę. Tu na rogu jest spożywczy. Kup parę bułek, z piętnaście jajek i trochę żółtego sera. Zrobię dla nas śniadanie.

– Ja nie jestem głodny.

– Dobra, ale ja jestem. Masz tu forszę. – Komisarz sięgnął po portfel, ale Czarek powstrzymał go gestem i wyszedł z mieszkania. Kastor wrócił na chwilę do sypialni i szybko zanotował dzisiejszy sen. Na razie nie miał czasu pochylić się nad jego sensem i stwierdzić, czy wydarzenia mogły być prawdziwe. Potem powlókł się do łazienki i odkręcił kurek z gorącą wodą. Zaczął się myć, gdy w jego głowie pojawiła się myśl. Romulus! Mężczyzna zza zamkniętych drzwi powiedział, że tak właśnie się nazywa. Romulus i Remus, legendarni bracia bliźniacy wykarmieni przez wilczycę, założyciele Rzymu. Czy to możliwe, aby przetrzymywany mężczyzna był tak naprawdę bratem jego dziadka?

Dwadzieścia minut później komisarz zastanawiał się, co było dziwniejsze. To, że przespał cztery godziny czy jedzenie śniadania? Od niepamiętnych czasów nie był w stanie absolutnie nic przełknąć z rana. Za każdym razem budził się w stanie permanentnego przemęczenia, kompletnie zestresowany i ze ściśniętym żołądkiem.

Teraz siedział za kuchennym stołem i startł prawie pół kilo żółtego sera na jajecznicę z piętnastu jaj. Posmarował sześć połówek



kajzerek grubą warstwą masła i zaczął pałaszować ze smakiem posiłek. Obserwujący to z lekkim przerażeniem, Czarek w końcu powiedział:

– Stary, ale słyszałeś o czymś takim jak wieńcówka, miazdzyca i tak dalej?

– Tak to możesz stare baby na tandecie straszyć. Wczoraj miałem w perspektywie wymóżdzenie na placu Szczepańskim. Muszę odreagować.

– Słyszałem. Jak głowa? – Młodszy aspirant wskazał zszżytą ranę na czole komisarza.

– Ujdzie. To tylko rozcięta skóra. Wiemy coś więcej o denatce z Baryczy?

– Ta krew z sufitu, pasuje do jej grupy. Widziałem zdjęcia. To musi być niezły psychol, żeby tak pochłastać człowieka.

– Wyprostowane płyty czołowe, wszystko się zgadza. Ale będziemy mieć problem z identyfikacją.

– Myślisz, że to partnerka Gutowskiego?

– Tak, ale jedyne, co mam, to lakier do paznokci. A to za mało.

– Tylko z drugiej strony... Szczerze? Jakby to była moja najlepsza przyjaciółka od dziesięciu lat, to też mógłbym jej nie poznać.

– Zgadza się. – Komisarz wytarł talerz ostatnią połówką bułki. Po jajecznicy nie było śladu. – Daj mi chwilę na umycie zębów. Zamknę też dziewczyny i jedziemy do ZMS-u.

Czarne audi skręciło z Karmelickiej w 1 Maja, a Hewig zerknął z ukosa na siedzącego za kierownicą komisarza.

– Nie prościej byłoby jechać dołem?

– Spokojnie, chcę coś sprawdzić.

Gdy dwie minuty później Kastor ponownie skręcił, tym razem w plac Jana Matejki, Czarek rzucił mu jeszcze bardziej zdziwione spojrzenie, ale tym razem nie skomentował. Ty cholerny naiwniaku, wyrzucał sobie tymczasem w myślach komisarz. To pewnie była najbardziej nieudana randka w historii tej biednej dziewczyny. A ty

liczysz na to, że przyniosła ci kwiatki. I to w sobotę po nieprzespanej nocy! Zwolnił odrobinę i zaczął przypatrywać się mijanemu pomnikowi Grunwaldzkiemu.

– Hamuj! – wydarł się Czarek.

Kastor przeniósł wzrok na jezdnię i wdepnął hamulec. Czarne audi zatrzymało się kilka centymetrów od starszej pani, która w absurdalnym odruchu zastoniła się siatkami z zakupami. Siedzący natomiast po prawej młodszy aspirant wyrznął z impetem nosem w deskę rozdzielczą. Przechodząca przez jezdnię kobieta zaczęła wygrażać kierowcy w niewybrednych gestach, co Kastor skwitował krótko:

– Również miłego dnia dla pani! – Potem odwrócił się do Czarka. – Wreszcie nauczysz się, że trzeba zapinać pasy.

Hewig zerknął na swego przełożonego. Komisarz uśmiechał się tak, jakby właśnie wygrał los na loterii.

– Bawi cię to? Mało mi nosa nie złamałeś.

Kastor tylko wzruszył ramionami. Były tam! Wetknięte za uchyloną przyłbicę hełmu wielkiego mistrza krzyżackiego. Bukieciak fiołków. Czyli jednak myśli o mnie, stwierdził w duchu uradowany jak przedszkolak, komisarz Grudziński. Może to głupie, ale ta sobota zapowiada się naprawdę wspaniale. Być może w perspektywie są zwłoki w Zakładzie Medycyny Sądowej. Ale z drugiej strony porządnie się wyspałem i chyba jestem zakochany. No i może mam szansę! Piłka w grze.

– Naprawdę się o ciebie martwię.

– Co?

– Omal nie rozjechałeś tamtej baby, a teraz sobie nucisz pod nosem?

– Ja nucę? Niemożliwe.

Czarne audi zjechało na chodnik, zatrzymali się przy Kleparzu wypełnionym tłumem okupującym poszczególne stragany i stoiska.

– O co chodzi?

– Powiedz mi. Ale tak szczerze. Myślałeś o naszej pani doktor?

– O naszej... Co? To znaczy o pani patolog? Nie, dlaczego niby

miałem o niej myśleć?

– Chłopaku, starego detektywa chcesz oszukać? – Kastor wyszczerzył się w przebiegłym uśmiechu.

Hewig zrobił minę mającą świadczyć o tym, że tak naprawdę kompletnie nie ma pojęcia, o czym mówi jego kolega. W końcu jednak dał za wygraną i powiedział:

– No dobra. Może raz czy dwa. Przyznam, że pani doktor faktycznie jest... Ciężko mi to nawet jakoś ująć w słowa.

– Pociągająca?

– Tak, to chyba będzie trafne określenie.

– Coś ci powiem w zaufaniu. Ona poluje na takich młodych chłopaków, którzy przychodzą do nas do firmy.

– Jak to poluje? – Czarek zmarszczył brwi.

– To niewyżyta nimfomanka. Po prostu to uwielbia. Tylko musi wiedzieć, że ta druga strona pisze się tylko i wyłącznie na seks. Żadne tam potem mizianie i tak dalej.

– Wiedzieć?

– Wystarczy, że kupisz jej smolinosy. Uwielbia te kwiaty. A potem wejdiesz do niej, wręczysz bukiet i powiesz: „Chciałbym ci wysmolić nosek. Ten na dole”. To takie jakby hasło.

– Pierdolisz! – Hewig roześmiał się głośno. – Naprawdę myślisz, że uwierzę w taką bzdurę?

– Jak chcesz. Ja ci mówię, jak jest. Po prostu byłoby nie fair, gdybym ci nie powiedział. Jesteś młody. Dziewczynę masz?

– Nie mam.

– Widzisz. A pamiętasz jej ciało? Nawet spod tego fartucha widziałeś, jaka jest seksowna.

Czarek kiwnął głową, przełykając ślinę.

– Idź i kup te smolinosy. Na wszelki wypadek. Zostawisz je na korytarzu, jak nie będziesz chciał zagadać. Ale przynajmniej będziesz je miał.

– Nabierasz mnie.

– Dobra, nie mamy czasu. Idziesz czy jak? Bo musimy naprawdę już jechać do tego ZMS-u.

Młodszy aspirant milczał dłuższą chwilę. W końcu sięgnął do klamki i wysiadł z samochodu. Poszedł w głąb alejek otoczonych straganami i stanął przed stoiskiem z kwiatami.

Na zewnątrz nie było może upalnie, ale czerwcowe słońce grzało przyjemnie. Za to w podziemiach Zakładu Medycyny Sądowej przy Grzegórzeckiej panował przenikliwy chłód. Widok rozciągniętych na stole, zmasakrowanych zwłok sprawiał, że wydawało się, iż w pomieszczeniu panuje jeszcze niższa temperatura. Czysty głos doktor Eryki Sadowskiej odbijał się od metalowych powierzchni:

– Nie wiem, czym rozbito jej głowę. Ale ktoś uderzał, prawdopodobnie tępym narzędziem, tak długo, aż po prostu nic nie zostało.

– Ciężko uwierzyć, żeby dał potem radę tak posprzątać mieszkanie. Chyba że zrobił to gdzie indziej.

– Wystarczy, że wszystko najpierw wyłożył folią. Jeśli na przykład plandeka była przyklejona do ściany przez krótki czas, to nie zostawi śladów – powiedziała pani patolog.

– Niezła teoria. Nawet trzyma się kupy.

– Dziękuję. Niestety nie wynika z mojego zmysłu detektywistycznego. Oglądałam kiedyś jeden dokument o zbrodni. Też nigdzie nie było śladów.

– Czy jest coś, cokolwiek, po czym moglibyśmy dokonać identyfikacji? – spytał komisarz. – Nie wiem, jakiś fragment tatuażu na skórze...

– Niestety. Nic takiego nie zauważyłam.

– A te cięcia? – Kastor nachylił się nad ciałem.

– Nieprawdopodobnie gładkie, prawie żadnych szarpnięć. Naprawdę stawiam na jakieś chirurgiczne narzędzie. Denatka została wprost poszatkowana.

– Żołądek? Ostał się, żebyśmy mogli sprawdzić jego treść?

– Nie. Rozumiem, że chodzi ci o to, czy znalazłam w jej brzuchu coś podobnego do tego u ofiary z beczki?

– Właśnie.

– W żołądku nic nie mogło być, bo był pocięty tak samo jak reszta ciała. Za to w kręgosłupie znalazłam wbity drut wygięty w dziwnym kształcie.

– Masz to gdzieś tutaj?

– Oczywiście.

Sadowska nachyliła się nad jedną z szuflad. Kastor kątem oka dostrzegł, że jego młodszy kolega ani trochę nie był zainteresowany trupem lub rozmową o nim, tylko chłonął wzrokiem ponętny biust pani doktor. Komisarz uśmiechnął się pod nosem.

– Proszę. – Podała mu kawałek zakrzywionego drutu. – To było bardzo mocno wbite w jeden z dolnych trzonów kręgosłupa. Ktoś się natrudził, żeby to na pewno się nie odzepiło od ciała.

Kastor wziął do ręki przedmiot i szybko wyciągnął notes. Odszukał stronę, na której profesor nakreślił mu hebrajski alfabet. Z początku myślał, że morderca popełnił błąd i źle zagiął drut. Ale nie. Nie mogło być mowy o pomyłce. To była cyfra 3.

– Dziękuję ci bardzo. Czy oprócz tego wszystkiego... jest jeszcze coś nietypowego?

– Poza brakiem głowy i pocięciem całego ciała? Nie.

– To co? Do następnego trupa?

– Do następnego. – Pani doktor uśmiechnęła się.

Wyszli na korytarz, a Czarek zamknął drzwi. Kastor wskazał leżący na krześle bukiet smolinosów.

– Dobra, leć do niej.

– Czy ja wiem... Naprawdę nie jestem przekonany.

– Zwariowałaś? Widziałaś, jak się na ciebie gapiła?

– Poważnie? – Młodszy aspirant był skołowany.

– Człowieku, pożerała cię wzrokiem. – Kastor sięgnął po kwiaty i wcisnął je Czarkowi. – Leć do niej, ja poczekam przy samochodzie. Nie śpiesz się, ogierze.

Komisarz wyszedł szybko z budynku i podszedł do zaparkowanego auta. Audi stało w pełnym słońcu, dlatego pootwierał okna, aby w środku trochę się przewietrzyło. Po minucie z budynku Zakładu

Medycyny Sądowej wyszedł Czarek. W ręku trzymał połamany bukiet, a na twarzy miał pełno czerwonego pyłku z lili.

– Oho. Widzę, że to jednak tobie usmolono nosek. – Kastor zaczął krztusić się ze śmiechu.

– Ty skurwysynu! Nienawidzę cię! Poza tym wiedziałem, że to podpucha!

– Ach, taaaak? – Komisarz śmiał się tak głośno, że kilku przechodniów odwróciło z zaciekawieniem głowy. – To dlaczego tam poszedłeś?

– Spierdalaj.

– Nie wolno tak mówić do przełożonego. – Kastor otarł łzy. – Nic się nie bój. Eryka się na pewno nie gniewa. To nasz regularny numer. Robimy go każdemu młodemu.

– To ona o wszystkim wie?

– Jasne. To równa babka, z poczuciem humoru. Zawsze ma potem wyrzuty sumienia, że was tak traktuje tymi kwiatami. Poza tym jest zajęta, ma męża. Jest naprawdę porządną kobietą. Wsiadaj, jedziemy na Mogiłską.

Na parkingu pod komendą Kastor polecił poczekać Czarkowi w aucie, a sam szybko pobiegł na górę. Zadzwoił do Oli do domu, ale po drugiej stronie nikt nie odebrał. Spróbował jeszcze do pracy, ale rezultat był ten sam. Zszedł na dół i zgarnął po drodze swoją premię. Oszalałymi dwiema tysiącami złotych. Gdy zajął miejsce za kierownicą, Czarek wyrzucił niedopałek i spytał:

– Dokąd teraz?

– Na cmentarz.

Zaparkowali na Olszańskiej, naprzeciwko głównej bramy. Weszli na teren cmentarza, a komisarz najpierw zerknął na jedną z rozwieszonych klepsydr, a potem ruszył wzdłuż jednej z alejek. Konary wiekowych drzew pochylały się nad pięknymi, zabytkowymi grobami.

– Co tu właściwie robimy? – spytał Czarek.

– Jezu, doprowadź się potem jakoś do porządku. – Kastor skrzywił się, patrząc na twarz kolegi.

– Daj mi spokój, próbowałem zetrzeć to gówno z twarzy, ale jest jeszcze gorzej.

– Wyglądasz, jakbyś skorzystał z zepsutego solarium.

– Ha, ha, ha – powiedział z kamienną miną Czarek. – Pamiętaj, że to ty mnie wrobiłeś.

– Sam się wrobiłeś. Za dużo sobie wyobrażałeś.

Komisarz skręcił w jedną z alejek. Nagle uświadomił sobie, że był w sumie na cmentarzu Rakowickim więcej razy w celach służbowych niż prywatnych. Za każdym razem, gdy wymagało tego śledztwo, przychodzili na pogrzeby ofiar czy przestępców związanych z jakąś sprawą. Znał to miejsce jak własną kieszeń. Przystanęli za porośniętą mchem figurą przedstawiającą anioła i skorzystali z osłony gęstych gałęzi dębu.

Potężny grobowiec przykryto spadzistym dachem, którego front podpierały dwie kolumny. Był elegancki, a jego rola była ta sama, co innych rzeczy w otoczeniu Zbigniewa Gutowskiego. Miał świadczyć o tym, że właściciel jest zamożny. Nad wejściem do grobowca złote, grawerowane litery układały się w napis: „Domus Omnium Mortuorum”. Kastor po trafieniu do domu dziecka kontynuował naukę łaciny, wiedział więc, co znaczą te słowa. Dom wszystkich zmarłych. Przypomniał sobie dzisiejszy sen i przez chwilę miał wrażenie, że z grobowca wypełźnie ta sama postać, co zza zamkniętych drzwi w domu Remusa. Zamiast tego pracownicy zakładu pogrzebowego otworzyli furtę grobowca i wnieśli do środka trumnę. Oprócz nich był jeszcze ksiądz i Jolanta Gutowska. W swoim wytartym, zniszczonym płaszczu kompletnie nie pasowała do tej okazałej budowli.

Kastor skinął na Czarka i obaj zawrócili w kierunku bramy. Po krótkiej chwili komisarz odezwał się:

– Facet był dyrektorem dużej firmy. Musiał mieć jakiś krąg znajomych, kogokolwiek. Prawda?

– Zgadza się.

– Ale tłumów tu raczej nie widać.

– Nie martw się. Na twój pogrzeb też nikt nie przyjdzie, bo robisz świńskie numery kolegom.

– Przestań się mazać. – Kastor westchnął. – Dziwne, że nikogo nie ma.

– No dziwne.

– Mamy też numer 3, a brakuje nam dwójki. Morderca zadał sobie wiele trudu, żeby ten symbol się nie zgubił. Musi być metodyczny. Brakuje nam trupa numer 2.

– Może jeszcze coś znajdziemy?

– Nie wiem. Jestem już prawie na sto procent przekonany, że to jakiś psychol. Tacy jak on chcieliby, żebyśmy znajdowali zwłoki w kolejności.

– Widocznie nie jest taki cwany – powiedział Czarek, gdy dotarli do zaparkowanego samochodu.

– Sam nie wiem. Coś tu nie gra. Bierz samochód i zostaw go na Mogilskiej, ja wrócę tramwajem. Na razie.

– Cześć.

Komisarz dosyć szybko złapał tramwaj jadący w kierunku Salwatora, a kiedy przesiadał się pod Bagatelą, w jednym z tramwajów zauważył Gienia. Aspirant tłoczył się z tyłu, ochraniając swoje wędki przed naporem pasażerów. Starszy mężczyzna wyrzał przez okno i zauważył Kastora. Ten pomachał do niego i uśmiechnął się szeroko, mrugając okiem. Gieniu odwrócił gwałtownie głowę ze strachem, jakby chciał udawać, że tak naprawdę w ogóle nie zauważył swojego przełożonego. Dziwne, pomyślał Kastor, wskakując na stopnie tramwaju jadącego na Bronowice.

## 2.

Szedł powoli po schodach, rozmyślając o najnowszym trupie i niepasującej do znaleziska numeracji. Coś przegapiłem. Ale co? Wetknął klucz do zamka, ale ten nie chciał się obrócić. Spróbował



mocniej, ale w końcu przestraszył się, że złamie klucz. Nacisnął ze zdziwieniem klamkę. Było otwarte. Usłyszał grającą w mieszkaniu muzykę.

Kastor zwinnym gestem wyciągnął pistolet z kabury. Od razu połączył fakt dziwnego zachowania Gienia i otwartych drzwi swojego mieszkania. Sprzedał mnie, stwierdził z wściekłością komisarz i wślizgnął się bezszelestnie do mieszkania. Tylko komu? I przede wszystkim dlaczego? Nigdy by się tego nie spodziewał po Jankowskim. Komisarz omiół wzrokiem salon i kompletnie zbaraniał. Klatka z dziewczynami była otwarta, ale porządnie wyczyszczona. Trociny wymienione na świeże, dosypany pokarm i dolana woda. Oprócz tego gołym okiem było widać, że ktoś wymył butelkę szczurzyca. Największym szokiem jednak było otoczenie klatki. Cały pokój był dosłownie wylizany. Na meblach nie było drobin kurzu, a podłoga lśniła czystością. O co tu chodzi, do kurwy nędzy? Ten psychol od trupów zakradł się i najpierw jako pedantyczny dewiant posprzątał mi mieszkanie? A zaraz wyskoczy na mnie z łazienki z nożem? Słyszał muzykę dobiegającą z kuchni. Kazik Staszewski śpiewał lekko monotony, zbolalym głosem:

*Widziałem, jeździli po sobie czołgami*

*Widziałem, wyrywali sobie ścierwo zębami*

*Widziałem, grozili sobie karabinami*

Otworzył cicho drzwi do łazienki. Przeżył kolejny szok. Zapomniał, że to pomieszczenie w ogóle może tak wyglądać. Zajrzał do kuchni z wycelowaną bronią. Tego zupełnie się nie spodziewał. Ola stała przy kuchni, próbując wyszorować patelnię po porannej jajecznicy. W radiu Kazik skończył śpiewać o tym, że dyktatorzy tak naprawdę, dobre sobie, nie mają władzy na świecie, a spiker zaczął zachwycać się piękną sobotą w Krakowie.

Kastor uśmiechnął się i podszedł do niej, ale nie schował broni. W rezultacie zatopiona w pracy dziewczyna pierwsze, co zobaczyła, to pistolet. Krzyknęła, a myta patelnia wyślizgnęła jej się z rąk i upadła z

brzdękiem na ziemię.

– O rany, ale mnie przestraszyłeś!

– Przepraszam. – Komisarz szybko schował broń.

– Nie gniewasz się na mnie? – Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w policzek.

– Co? Nie. Ale jak tu weszłaś?

– Dostałem klucze od twojego kolegi, pana Eugeniusza.

– Pana Eugeniusza?

Komisarz nigdy nie słyszał, żeby ktoś tak się zwracał do Gienia, więc chwilę mu zajęło, zanim skojarzył. Teraz dotarło do niego również, dlaczego Gieniu tak dziwnie się zachował, gdy zobaczył go pod Bagatelą. Faktycznie uświadomił sobie, że aspirant miał klucze do jego mieszkania, bo czasami podczas nieczęstych wyjazdów komisarza opiekował się Zosią i Jasną.

– Właśnie, gdzie dziewczyny?

– Jakie znowu dziewczyny?

– Zośka i Jasna! Szczurzyce.

– A nie wiem, gdzieś tam sobie łążą.

– Nie pogryzły cię? – zdziwił się Kastor.

– Nie, dlaczego?

– Sam nie wiem, właściwie to nikt u mnie nie bywa. Zaraz, ale skąd ty w ogóle znasz Gienia?

– Wynajmuję od niego mieszkanie. Dzisiaj z rana był u nas, kładł jakieś płytki pod wanną, wspomniałam o tobie i tak od słowa do słowa. Ubłagałam go, żeby mi dał te klucze. To uroczy, starszy pan. Nie mogłam uwierzyć, że pracuje w policji.

– Gieniu ma drugie mieszkanie? – Komisarz zmarszczył brwi.

– Tak. Dlaczego to cię tak dziwi?

To niemożliwe, pomyślał Kastor. Dobrze znam tego starego safandulę. Pod względem finansów jest u niego gorzej niż u mnie. Jakim cudem miałby drugi lokal? Stwierdził, że Oli musiało się coś pomylić albo źle zrozumiała Jankowskiego. Zresztą nie bardzo go to teraz interesowało. Cieszył się jej widokiem.

– Tylko pamiętaj, żeby nie być na niego złym, dobrze? Mówię o

panu Eugeniuszu. Obiecay mi to.

– Jasne, obiecuję.

– Rany, ale cię urządzili. Chodź, pokaż mi tu bardziej do światła – powiedziała i zaczęła oglądać jego ranę na czole.

– To nic takiego.

– Trzeba to jakoś przemyć.

– Przemywałem już...

– Nie dyskutuj – przerwała mu. – Czekaaj, przyniosę spirytus. Siadaj. Kastor usiadł posłusznie na krześle, a po chwili Ola zaczęła przemywać zszytą bliznę.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jest spirytus?

– Przecież dopiero co wysprzątałam całą łazienkę. Właśnie. Nie gniewasz się na mnie za to najście? Chciałam ci zrobić niespodziankę, ale nie wiedziałam, o której wrócisz. Więc z nudów zaczęłam sprzątać.

– Przestań. Bardzo miło cię widzieć. Martwiłem się, czy dotarłaś cała do domu. Przepraszam, że tak zniknąłem, ale...

– To ja się o ciebie martwiłam. Długo cię nie było, więc wyszłam przed klub i widziałam, jak gonieś tamtego faceta. Złapałeś go?

– Tak. Nie było łatwo. Mało co nie spadłem z tego budynku przy placu Szczepańskim.

– O Boże... – Zakryła usta dłonią. – Z tego wysokiego?

– Nie taki znowu wysoki. – Komisarz machnął ręką i po szczeniacku trochę urósł z dumy. Widział, że ta historia robiła duże wrażenie na Oli. Podziwiała go. Nawet nie chodziło o to, że była kobietą, która mu się spodobała. Dawno nikt nie podchodził tak do jego pracy. Zazwyczaj ludzie mieli to w dupie.

– Chcę zrobić na obiad chińszczyznę.

– Po co robić? Tu jest taka knajpa A Dong, zaraz przy parku Krakowskim.

– Wiem. Teraz wszyscy jedzą na mieście tego chińczyka, to taka nowinka. Ale ja chciałam sama spróbować. Zrobię, a ty mnie pochwalisz, nawet jak nie wyjdzie. Rozumiemy się?

– Umowa stoi. Znam zasady tej gry. – Kastor uśmiechnął się. –

Napijemy się do obiadu? Skoczę po jakieś wino.

– Super. Kup też banany. To potem zrobię deser na ich modłę, banana w cieście.

Komisarz wyszedł do sklepu. Okazało się, że premia, którą otrzymał za pół roku ciężkiej pracy, wystarczyła akurat na dwie kiście bananów i trzy butelki wina. Póttorej godziny później byli już po posiłku, a Kastor rozlewał kolejną porcję wina do kieliszków.

– Chyba na mieście jednak lepsze. Przepraszam – powiedziała lekko zawstydzona.

– Przesadzasz. Mi bardzo smakowało.

– Wydaje mi się, że w knajpie muszą czegoś dodawać.

– Patrząc na to, jak ludzie masowo wpieprzają teraz te kurczaki w sosach jakichś tam, to pewnie heroiny.

Roześmiała się cicho, a potem sięgnęła dłonią i rozpuściła włosy. Zaczesała je mocno i związała z tyłu, tym razem odstaniając bliznę na policzku. Docenił ten gest. Traktowała go jak kogoś, komu można zaufać. Nie musiała się przed nim zakrywać. Ślad przypominał niewielką plamę o odcieniu jaśniejszym niż skóra. Wyglądał jak stara blizna po oparzeniu.

– Miałam cztery lata. Mama prasowała w pokoju... – rzuciła cicho tonem wyjaśnienia.

– Jesteś taka ładna. Przepraszam, może to zbyt bezpośrednie, ale... Bardzo mi się podobasz.

– Dziękuję.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu. W końcu odezwała się:

– Pewnie uznasz mnie za wścibską, ale żeby zetrzeć kurze z kredensu, musiałam przesunąć zdjęcia...

– To Karolina. – Kastor przerwał jej. – Moja żona.

– Och. – Nie wiedziała, co powiedzieć. To był jej jedyny komentarz.

– Zmarła ponad dwa lata temu.

– Strasznie... Bardzo mi przykro.

– Dziękuję ci. Wolałbym o tym nie rozmawiać. To znaczy nie

zrozum mnie źle, ta rana jest już zablizniona. Po prostu wolałbym skupić się na tobie.

– Jasne.

Chciała jeszcze coś dodać, ale przerwał jej dzwonek telefonu. Komisarz wstał i podniósł słuchawkę.

– Tak? – Słuchał przez chwilę. – Naprawdę? Tak, to doskonała wiadomość. Kwiatek jest już na chodzie? Nadkomisarz Tyszowiecki jest może? Powiedzcie mu, żeby poszedł do mnie do pokoju i postawił na nogi sierżanta. Jasne, tak. Przekażcie, że jestem mu wdzięczny.

Kastor odłożył słuchawkę i sięgnął po marynarkę.

– Musisz jechać? Ja też będę się zbierać... – Wstała i uśmiechnęła się smutno.

– Zostań, proszę. Postaram się wrócić przed północą. Oczywiście jeśli chcesz. Bo inaczej skołuję transport i ktoś odstawi cię na Długą.

– Nie, zostanę. Będę na ciebie czekać.

Komisarz chciał pocałować ją w policzek na pożegnanie, ale ona przywarła delikatnie ustami do jego ust. Lekko oszołomiony nie wiedział, jak to skomentować. To znaczy wiedział, ale bał się, że ona wystraszy się jego entuzjazmu. Uśmiechnął się tylko i wyszedł.

### 3.

Bezsensem było nadkładanie drogi i jechanie na Mogilską. Dlatego umówili się na Dworcu Głównym. Kastor kręcił się niecierpliwie po peronie, zerkając na wiszący zegar. Dochodziła dziewiąta. Wcześniej po dworcu kręciło się wielu podróżnych, ale z czasem tłum rzedł i teraz oprócz komisarza było raptem parę osób. Wiedział, że postawienie Kwiatka na nogi może zająć trochę czasu. Dodatkowo trzeba było załatwić jakiś transport, bo sierżant z zasady nie poruszał się środkami komunikacji miejskiej. Ale żeby aż tyle czasu? Komisarz w końcu uznał, że przejdzie do poczekalni i skorzysta z budki telefonicznej, by dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

Wtedy na peronie pojawił się Czarek Hewig z papierosem w ustach.

– Co się dzieje? – spytał Kastor. – Gdzie Kwiatek?

– Długo go stawiali na nogi, ale wczorajszą noc musiał mieć wyjątkowo ciężką. Tyszoł nie pozwolił mu wyjść i zadzwonił po mnie.

– Jasna cholera. Nie jest już po czasie? Nie powiedzieli, o której konkretnie mamy wsiąść do pociągu?

– Instrukcja jest jasna. Mamy wsiąść do pociągu do Zabierzowa i ma to być jeszcze dzisiaj.

– Skąd będą wiedzieli, którym będziemy jechać?

– Nie mam pojęcia. – Czarek wypluł niedopałek i rozgniół go obcasem na peronie.

– Musimy kupić jakieś bilety.

– Spokojnie. – Młodszy aspirant wyciągnął z kieszeni bilety i jeden z nich wręczył Kastorowi. – Wszystko jest pod kontrolą.

Czekali jeszcze ze dwadzieścia minut, aż w końcu nadjechał skład do Zabierzowa. Zajęli miejsca w zdezelowanym wagonie i po chwili pociąg ruszył z głośnym zgrzytem. Jedne z drzwi nie mogły się zamknąć mimo beznadziejnych prób zamontowanych siłowników. Dlatego podróży oprócz stukotu kół towarzyszył rytmiczny syk uszkodzonego mechanizmu.

Oprócz nich w bezprzedziałowym wagonie kolejki podmiejskiej była jeszcze dwójka pasażerów, która wysiadła w Łobzowie. Gdy pociąg ruszył ponownie, do wagonu wszedł konduktor. Mierzył blisko dwa metry wzrostu, a rozpięta marynarka kolejarskiego munduru ciasno opinała atletyczną sylwetkę.

– Bileciki do kontroli proszę – usłyszeli wymęczony głos.

Komisarz przyjrzał się bliżej mężczyźnie. Jego łysina była mocno poznaczona różnymi bliznami, a nos dobitnie świadczył o tym, że nie raz i nie dwa kości musiały się zrastać na nowo. Konduktor sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po dziurkacz i pozaczył bilety. Kastor zauważył wciśnięty za pasek kastet i gaz pieprzowy oraz wystającą z kieszeni spodni końcówkę łańcucha rowerowego. Ten człowiek wiedział, że pracuje na wyjątkowo niebezpiecznej linii i był na to przygotowany.

– Dziękuję.

Konduktor ruszył na tył pociągu. Gdy zniknął, Czarek odezwał się lekko podniesionym głosem, żeby przebić się przez syk oraz huczące powietrze wpadające przez zepsute drzwi.

– I co teraz?

– Nic, czekamy. – Komisarz wzruszył ramionami.

Gdy pociąg stanął w Mydlnikach, na dworze zrobiło się już ciemno. Żarówka z latarni pozbawionej klosza rzucała smętne światło na krzywy chodnik peronu. Kastor wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, jak z drzwi z tyłu składu wylatuje postawny konduktor. Mężczyzna rąbnął na ziemię, a w ślad za nim ktoś wyrzucił jeszcze czapkę i dziurkacz. Facet podniósł się z ziemi i spojrzał na drzwi. Komisarz podejrzewał, że mężczyzna nie należał do ułomków i z niejedną sytuacją musiał sobie już radzić na tej linii. Ale teraz po prostu się bał. Nie zrobił nic, nie zareagował. Stał bezradnie na peronie, podczas gdy pociąg ruszył w dalszą podróż.

Po kilku minutach poczuli szarpnięcie i pociąg zatrzymał się z jękiem w szczerym polu. W wagonie zgasło światło i zrobiło się ciemno.

– Ktoś zaciągnął hamulec awaryjny – powiedział Czarek i sam się zdziwił, że zniżył głos do szeptu.

Komisarz zauważył kilka cieni wsuwających się bezszelestnie do wagonu. Cztery postacie usiadły tak, aby zarówno Kastor, jak i Czarek nie mogli nagle opuścić wagonu. Po chwili do wagonu wślizgnęła się kolejna postać, która nachyliła się nad siedzącymi policjantami.

– Żelazo. – Nieznajomy wydał krótki rozkaz zachrypniętym głosem.

Czarek spojrzał pytająco na Kastora, a ten skinął delikatnie głową. Obaj wyciągnęli pistolety i podali stojącemu. Gdy tamten nachylił się do okna, światło wpadające z zewnątrz pozwoliło komisarzowi rozpoznać nieznajomego. Szczupły mężczyzna nosił ksywę „Oczko” i należał do gangu złodziei kolejowych. Swój pseudonim zawdzięczał ponurej sławie, którą zyskał podczas licznych kradzieży. Oczko zazwyczaj stał na świecy, czyli pilnował, aby obrabiający ofiarę

„krawiec” nie został zauważony i by nie doszło do przypału, inaczej mówiąc, wpadki. W momencie gdy Oczko zauważył, że ktoś jest świadkiem kradzieży, przejeżdżał takiemu delikwentowi żyletką po oczach, aby tamten nie mógł rozpoznać sprawcy. Pochodził z Radomia. Zresztą tak się jakoś dziwnie składało, że Radom i Kielce były zapleczem złodziejstwa kieszonkowego. Tam też szkolili się złodzieje kolejowi, którzy rozjeżdżali się potem po całym kraju.

Oczko odsunął się, bo do wagonu właśnie weszła szósta postać. Usiadł naprzeciwko Czarka i Kastora, a Oczko podniósł do góry rękę i włączył latarkę, tworząc prowizoryczną lampę. Wrzaskun był krótko ostrzyżony i miał bystre, przenikliwe spojrzenie. O kimś takim mawia się, że jest tak pewny siebie, że gdy wchodzi do pokoju, to jego jajca od dawna tam są, siedząc sobie wygodnie w fotelu. Ubrany był ze złodziejską elegancją. Sportowa kurtka, nowiutkie dżinsy i białe półbuty. Wszystko tchnące nowością i jasno świadczące o tym, że jest to droga garderoba. Wrzaskun niewątpliwie był przywódcą. Biła od niego charyzma, a ludzie, w sensie złodzieje, pewnie lubili się go słuchać.

– Dobry wieczór panom. – Kasiarz miał głos spokojny i opanowany.

– Wiecie, jak się nazywam. Ale ja was za bardzo nie kojarzę.

– Komisarz Kastor Grudziński. A to mój kolega, młodszy aspirant Czarek Hewig.

– Z tych Hewigów? – zainteresował się złodziej.

– Tak – westchnął niechętnie Czarek.

– To ciekawe... Opierdoliłem kiedyś mieszkanie pana ciotce, tej znanej malarce. Ale w środku gówno było.

– Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Za piecem w schowku miała Leonarda da Vinci.

– Poważnie?

– Nie no, jaja sobie robię...

Wrzaskun zarechotał, odślaniając równe i białe zęby. Kastor nie dziwił się, że zrobił wrażenie na tej małolacie z technikum gastronomicznego. Kasiarz na pewno miał powodzenie wśród kobiet.



- Dobrze, naprawdę dobre... – Wrzaskun w końcu przestał się śmiać.
- Ale do rzeczy, zanim ktoś się zainteresuje postojem tego złomu. Rozumiem, że jest dla mnie jakaś propozycja?
  - Austriacki sejf na trzech rozetach.
  - Ciężka robota. Z góry mówię, że nie będzie łatwo.
  - Ale realne?
  - Wszystko jest realne. – Złodziej wzruszył ramionami.
  - Możemy zorganizować jakieś pieniądze – powiedział po chwili wahania Kastor. – Może nie będzie to astronomiczne wynagrodzenie, ale...
    - Już ja znam te wasze pieniądze – przerwał mu Wrzaskun. – Tak naprawdę to mógłbym wykupić ten wasz bajzel na Mogilskiej, a potem zrównać z ziemią. Dobrze wiesz, co mnie interesuje. Lewy pinkiel.
      - Zabójstwo mecenasa z zeszłego roku. – Komisarz westchnął teatralnie. – Są zeznania na ciebie.
        - Skurwysyny. Przecież ci goście chcą mnie ujechać za to, że nie pozwoliłem im ruszyć działki ze skoku na wóz pocztowy.
        - Być może. Ale prokurator chce cię przesłuchać na tę okoliczność, a ty wsiąkleś jak kamfora. Masz alibi?
          - Mam.
          - To dłaczego po prostu nie pojedziesz na spotkanie z prorokiem?
          - Bo to nie takie proste. Będziesz musiał mi pomóc, jeśli mam dla ciebie otworzyć tę austriacką skrzynkę.
            - Mów.
- Wrzaskun wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował policjantów. Kastor odmówił gestem, ale Czarek wziął papierosa. Wrzaskun podał mu zapalniczkę i po chwili promień latarki przecięły kłęby dymu.
  - Byłem na robocie, którą organizował wasz pobratymiec. Jeden esbek z 18 Stycznia.
    - Co to było?
    - Normalnie, miałem mu otworzyć jakąś chatę w śródmieściu, a oni potem robili co trzeba.
      - Myślisz, że są na to papiery?

– Znasz ich, tam zawsze był porządek. Wziąłem zapłatę, podpisałem kwit. Tylko jedno jest ciekawe. Nigdy nie miałem problemu, żeby namierzyć gościa, a teraz zniknął.

– Jak się nazywa? – Kastor wyciągnął swój notes.

– Major Joachim Greń. Chcę tylko tego. Żeby te zarzuty upadły. Nie mam zamiaru spędzić reszty życia w pierdlu za głowę, która nie jest moja.

– W porządku, umowa stoi. Jak się skontaktujemy?

– Jak będziesz miał coś, to zadzwoń do starej mojej dziewczyny. Tylko wieczorem, bo w ciągu dnia siedzi na bazarze. – Wrzaskun podał Kastorowi złożoną kartkę papieru. – Tu masz numer.

Kasiarz wstał bez słowa, wyrzucił przez okno niedopałek, a Oczko zgasił latarkę. Po krótkiej chwili wszystkie cienie bezszelestnie opuściły wagon. Minutę później w pociągu z powrotem rozjarzyły się światła. Kastor i Czarek zmrużyli oczy, a chwilę później poczuli szarpnięcie i pociąg ruszył.

– A nasza broń? – zapytał spanikowanym głosem Czarek.

Kastor wstał bez słowa i sięgnął do siedzenia po drugiej stronie wagonu. Włożył swój pistolet do kabury, a drugi oddał Czarkowi.

– No i co?

– Będzie ciężko – odparł komisarz. – Nie mam żadnego podpięcia pod esbecję. Tym bardziej że to teraz naprawdę drażliwy temat. Każdy, kto tam służył, ma ognisko pod dupą.

Pociąg stanął w Zabierzowie i obaj wysiedli na zewnątrz. Szybko podbiegło do nich dwóch umundurowanych policjantów.

– Dobry! Dokumenty poprosimy!

– A co się stało? – spytał Kastor.

– Ktoś w Mydlnikach wyrzucił konduktora – wyjaśnił jeden z mundurowych.

– Potem bawił się hamulcem awaryjnym – dodał drugi surowym tonem. – Co, pewnie nie wy? Jedyni pasażerowie?

– Spokojnie, panowie. – Komisarz wyciągnął swoją legitymację.

– No dobra – pierwszy z policjantów rzucił ugodowo po sprawdzeniu dokumentów. – A co was, panowie, sprowadza do

Zabierzowa?

– Właściwie już nic – odparł Kastor zgodnie z prawdą. – Czekamy na powrotny pociąg i zaraz się stąd ulatniamy. Słowo harcerza.

– To macie pecha. Nie ma już pociągów do królewskiego miasta.

– Niedobrze. A nie podrzucicie nas?

– A porządku w Zabierzowie kto będzie pilnował? – Drugi mundurowy uśmiechnął się.

– Zróbmy tak – wtrącił pierwszy. – Zatrzymamy się po drodze w sklepie żelaznym i kupicie ze trzy sztuki, co?

– Bez przesady, dwóch was jest, to umówmy się na dwie flaszki i będzie git.

– W takim razie zapraszam do radiowozu.

#### 4.

Zabierzowscy policjanci wyrzucili ich na placu Inwalidów. Czarek załapał taksówkę, a komisarz dotarł do mieszkania na piechotę. Stojące na stole w salonie świece rzucały refleksy na ściany. Zamknięte Zosia i Jasna wspinały się z zaciekawieniem na klatkę, przypatrując płomieniom.

Ola siedziała przy stole w samym szlafroku, sącząc wino z kieliszka. Nogi położyła na krześle stojącym obok. Kastor szybko obrzucił je spojrzeniem i uznał, że są to całkiem zgrabne nogi.

– Cześć – powiedziała cicho.

– Cześć. Nie wiedziałem, że mam świece.

– Nie miałeś. Poszłam do sklepu je kupić. Dokupiłam też trochę wina. Napijesz się?

– Z przyjemnością.

Sięgnęła po butelkę i nalała wina do kieliszka. Kastor ściągnął marynarkę i usiadł przy stole. Ola przełożyła nogi z krzesła i położyła mu swoje stopy na kolanach. Nie wiedział dlaczego, ale ten gest jakoś podziałał na niego i poczuł, jak jego członek szybko twardnieje.

– Mogę tak? Nie będzie ci przeszkadzać?

– Jasne. – Odchrząknął, bo głos miał trochę zachrypnięty. Sięgnął po kieliszek i napił się wina.

– Jak spotkanie?

– Trudno powiedzieć. Może być bardzo owocne, a z drugiej strony może wyjść z tego gówno.

– Często się zabezpieczasz?

– Proszę? – Spanikowany Kastor pomyślał, że jej pytanie ma jakiś związek z twardym organem w jego spodniach.

– Udzielasz takich odpowiedzi. Że właśnie albo może coś się udać, albo nie.

– Czy ja wiem. – Wzruszył ramionami. – Po prostu wydaje mi się, że tak jest w życiu. Albo coś wyjdzie, albo nie.

Zgodziła się z nim gestem i opróżniła kieliszek. Odstawiła go na stół, zmieniając delikatnie położenie swoich stóp na udach komisarza. Kastor zaklął w myślach, bo jej stopy leżały teraz dokładnie na jego penisie. Zerknął na nią, chcąc ocenić, czy to wyczuła. Ola uśmiechnęła się łagodnie, zagryzając dolną wargę. Poruszała beztrudno stopami, które ocierały się o siebie. Z jednej strony ten gest mógł być całkiem niewinny, z drugiej jej stopy muskały jego członka.

Opuściła nogi na ziemię i nachyliła się do niego. Była pod lekkim wpływem wina, ale na pewno nie pijana. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Wcześniej nie zjedliśmy deseru.

Chciał zadać jakieś pytanie, ale ona pocałowała go w usta. Po chwili poczuł jej język i przyciągnął ją do siebie, namiętnie całując. Gdy przestali, spytał:

– A co jest na deser?

– Zgadnij.

– Banan w cieście?

Przestała się uśmiechać, wyraźnie zaskoczona, a po chwili oboje wybuchnęli głośnym śmiechem. Śmiali się tak może przez minutę. Ola wytarła łzy z policzków i powiedziała:

– Dawno nikt mnie tak nie rozbawił.

Kastor kiwnął głową i zaczął żałować, że postawił to absurdalne pytanie. Wydawało mu się, że przez ten nagły atak wesołości czar erotyzmu uleciał gdzieś bezpowrotnie. Dopóki Ola nie wstała i nie zsunęła z siebie szlafroka. Miał ją teraz przed sobą w całej okazałości. Piersi z ciemnymi sterczącymi sutkami, delikatną oponkę na brzuchu i gęstwinę czarnych włosów tam na dole.

– Wiem, że to zabrzmi jak z kiepskiego filmu – odezwała się, rozpuszczając swoje kruczoczarne włosy. – Ale teraz poproszę pana, panie komisarzu, o odłożenie swojego pistoletu. I wyciągnięcie tego drugiego.

Położył broń na stole, ujął ją za biodra i pocałował namiętnie, jedną rękę ściskając ją delikatnie za pierś i ugniatając w palcach jej sutek. Szybko zdjęła z niego wszystkie ubrania i ciągle pieszcząc się i całując, przeszli, a właściwie przebiegli do sypialni. Gdy tylko znaleźli się na łóżku, Kastor przypomniał sobie z ulgą, że w szufladzie szafki nocnej ciągle powinno być kilka prezerwatyw. Gorączkowo zaczął się zastanawiać, jakie daty ważności mają takie produkty, ale gdy znalazł się na Oli i jego sztywny członek zadyndał między jej udami, szybko stwierdził, że te, które ma, muszą wystarczyć.

Nie uprawiał seksu od ponad dwóch lat, ale wydawało mu się, że stanął na wysokości zadania. Nie był to może najbardziej namiętny stosunek. Kochali się dosyć standardowo, w pozycji misjonarskiej. Potem przeszli nago do salonu i wypili jeszcze butelkę wina. Pamiętał, że gdy poznawał się z Karoliną, wszystko było o wiele bardziej oprószone swoistego rodzaju wstydem. Tutaj byli dwójką osób dawno mającymi za sobą trzydzieste urodziny. Choć bezgłośnie, to jednak wspólnie uznali, że w tym wieku po prostu nie wypada wstydzić się swojego ciała.

Gadali o wszystkim i o niczym. Ona opowiadała mu trochę o swoim dzieciństwie, on o swoim. Tego typu rozmowy toczą niemal wszyscy. Jedynym, co ich wyróżniało, to, że gawędzili sobie, siedząc na golasa na podłodze i popijając wino wprost z butelki. Może to sprawa wypitego wina, a może tego, że to pierwsze zbliżenie było już za nimi. Ten kolejny raz wyglądał zupełnie inaczej.

W pewnym momencie Ola położyła się bez słowa i rozchyliła nogi. Kastor dokończył butelkę i sięgnął po leżącą na stole jej gumkę do włosów. Związał swoją blond czuprynę, położył się na podłodze i zaczął delikatnie lizać Olę między nogami. Gdy udało mu się namierzyć łechtaczkę, naparł na nią koniuszkiem języka, a Ola drgnęła z cichym jękiem. Pieścił ją tak kilka dobrych minut, aż w końcu ona wyciągnęła dłonie za głowę, zaparła się mocno rękoma o ścianę i docisnęła swoje krocze do jego ust. Zrozumiał jej intencje i zanurzył się głębiej. Po dziesięciu minutach poczuł, że język coraz bardziej mu drętwieje i zaczyna boleć. Oddychając ciężko przez nos, złapał ją lekko za biodra, chcąc zmienić pozycję, gdy poczuł, że ona jest bliska osiągnięcia orgazmu. Wtedy resztkami sił zintensyfikował pieścizoty, a nagrodą za jego działania był głośny krzyk Oli. Jej ciało wpadło w epileptyczne drgania, gdy zaczęła wiercić się na podłodze. On nie przestawał jej lizać, a ona nie przestawała głośno krzyżeć.

Gdy w końcu skończyła, usiadła i uśmiechając się z czułością, pocałowała go w usta.

– Może jednak wróćmy do sypialni? Tam będzie wygodniej.

– Przyłączam się do postulatu – powiedział z uśmiechem, podnosząc się z twardej podłogi.

W sypialni usiadła na nim, a potem odchyliła się i opierając o jego kolana, ujeżdżała go namiętnie przez pół godziny, dopóki to on w końcu nie skończył z głośnym jękiem. Kiedy po krótkiej przerwie zrobili to trzeci raz, komisarz szczerze żałował, że nie miał już więcej prezerwatyw. Jednak ciekawym zbiegiem okoliczności Ola miała własny zapas w torebce. Dlatego mogli bez przeszkód kochać się jeszcze dwa razy, a swoją seksualną gimnastykę skończyli dopiero przed piątą nad ranem.

Zasnął nago z wtuloną w niego kobietą. Bez leżących obok notatników, włączania stoperów, picia ziółek i wszystkich tych czynności, które towarzyszyły mu całymi latami.

*Zazwyczaj wszystko jednak było od siebie oddalone. W czasie. Raz były to dwa tygodnie, innym razem dwa miesiące, ale jednak. Teraz*

wiem, że wchodzę w ten sen dokładnie w tym samym momencie, w którym skończył się poprzedni.

Mężczyzna wyglądający jak kret albinos ślania się na nogach i zostawia brązowe ślady na czystej posadzce w kuchni. Śmierdzi. Ja sześćioletni dziwię się, jak dorosły człowiek może robić kupę w majtki. Ja dawno temu się oduczyłem. Nawet nocnik jest już dla mnie przeszłością, korzystam normalnie z łazienki. Jak on w ogóle się tu znalazł? Ja dorosły wiem, że ktoś go po prostu tam zamknął. Niestety podejrzewam Remusa. Ale ja sześćioletni nie mam o tym zielonego pojęcia, dlatego mówię:

– Proszę pana. Może pan coś zje? Jest pan głodny?

W bajkach zawsze jest o tym, że trzeba pomagać w potrzebie. No i jak się zjawi jakiś strudzony wędrowiec, to trzeba go nakarmić. Bo to jest dobre. „Pamiętaj, musisz mieć dobre serduszko”. Przypominam sobie, co zwykła mawiać moja mama, i w oczach stają mi łzy.

Wtedy do środka wchodzi Remus, a wypuszczony zza drzwi mężczyzna zmienia się gwałtownie na twarzy. Łapie mnie za szyję i sięga po jeden z noży leżących na szafce. Dziadek je tam położył, żebym nie mógł sięgnąć.

– Dziadek! – drę się, a tym razem łzy w moich oczach powodowane są bólem.

– Zostaw go. – Remus podchodzi do nas powoli.

– Zrób jeszcze krok, a poderżnę małemu gardło.

Mężczyzna mówi złym, syczącym głosem. Czuję jego smród i teraz już wiem, że to inna postać z bajek. To ktoś, kto mnie oszukał. Wykorzystał moją naiwność. Nigdy nie powinienem otwierać tych drzwi. Wypuściłem potwora!

– Porozmawiajmy spokojnie – mówi dziadek. – Zostaw dziecko. On nie jest niczemu winien.

Tamten przyciska ostrze mocniej do mojej szyi. Remus widzi krew. Cieknie mi w dół po koszulce. Płaczę i próbuję się wyrwać, ale uścisk jest mocny, nie mam szans. Dziwne, ale nie czuję bólu. Po chwili uświadamiam sobie, że mężczyzna, przyciskając nóż, podkłada swój palec pod jego krawędź. To jego krew tak naprawdę spływa mi po

szyi.

*On nie chce mi zrobić krzywdy! Chcę o tym powiedzieć dziadkowi, gdy widzę, jak ten robi gwałtowny ruch i wyciąga strzelbę spomiędzy szaf. Szybko podrzuca ją do ramienia. Huk jest tak głośny, że piszczy mi w uszach. Rozglądam się. Widzę leżącego mężczyznę. Brakuje całej górnej części jego głowy. Widać tylko dolne zęby, sterczące z przegniłych dziąseł. Reszty nie ma. To znaczy jest, kompletnie rozsmarowana po całej kuchni. Czuję ciepło rozchodzące się po spodniach. Teraz to ja robię w majtki.*



## Rozdział VII

### 1. Niedziela, 10 czerwca 1990

Obudził się powoli, przeciągając się leniwie w łóżku. Dopiero wspomnienie snu sprawiło, że podniósł się gwałtownie na łóżku. Oli nie było obok, a z łazienki dobiegał szum prysznic. Sięgnął po zegarek, było grubo po dwunastej. Ile mogłem spać, zaczął się zastanawiać. Sześć, siedem godzin? Niesamowite. Wstał i odnalazł notatnik, zapisując swój sen ze wszystkimi szczegółami. Był praktycznie pewien, że wszystkie wyśnione zdarzenia miały miejsce w rzeczywistości. Coraz więcej obrazów wracało do niego i zajmowało swoje miejsce w pamięci.

Przeszedł nago do salonu. Gdy usłyszał, że woda w łazience przestała lecieć, zapukał do drzwi.

– Proszę! – usłyszał głos Oli.

Wszedł do środka. Stała przed lustrem i energicznym gestem wycierała włosy ręcznikiem.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję za wczoraj. Było bardzo miło.

– To ja dziękuję.

Objął ją od tyłu i odgarnął mokre włosy z karku. Zaczął ją delikatnie całować po szyi, a ona mruknęła w odpowiedzi:

– Nie przestawaj. – Gdy wyczuła jego nabrzmiałą męskość na pośladkach, roześmiała się. – Dopiero co wzięłam prysznic.

– Masz rację, przepraszam.

– Zostały ci jakieś prezerwatywy?

– Ostatnia. Właściwie to twoja.

– Nie musisz mi przypominać o tym, że jestem bezwstydna.

– Dlaczego od razu bezwstydna. Raczej przygotowana. – Wzruszył ramionami.

– Zawsze mogę wziąć prysznic jeszcze raz – powiedziała i rozstawiła szeroko nogi, opierając się o umywalkę. Kastor szybko wyszedł, aby się zabezpieczyć, a gdy wrócił, wszedł w nią powoli od tyłu. Zajęczała cicho i wyprężyła się, napierając na niego pośladkami. Z początku kochali się bardzo powoli, ale skończyli ostrymi, brutalnymi wręcz pchnięciami przy akompaniamencie głośnego krzyku Oli.

Gdy tylko umyła się ponownie, on również wziął prysznic, a potem przeszedł w szlafroku do kuchni i usiadł przy stole. Postawiła przed nim talerz z dwoma kanapkami i ugotowanymi parówkami.

– Dzisiaj śniadanie po polsku.

– I bardzo dobrze. Na razie dość tej chińszczyzny.

– Swoją drogą naprawdę myślisz, że tak jedzą w Chinach? – spytała, siadając naprzeciwko niego.

– Z tego co słyszałem, to bardziej kuchnia wietnamska. Ale wiesz, jak to u nas. Jak ktoś ma skośne oczy, to dla ludzi już wszystko jedno. Masz jakieś plany na dzisiaj?

– Muszę podjechać do pracy, dosłownie na dwie godzinki. Szef coś tam ode mnie chce.

– Gdzie to jest?

– Na Strzeleckiej.

– Może cię jakoś podrzucić?

– Daj spokój, po co? – Zmieszała się delikatnie. – Nie rób sobie kłopotu. Jak twoja rana?

– W porządku. – Kastor dotknął delikatnie zszytej skóry na czole. – W piątek podjadę na zdjęcie szwów.

– A ty dzisiaj co?

– A ja nic. – Uśmiechnął się, kończąc drugą parówkę. – Zamierzam się trochę polenić.

Z salonu doleciał ostry dzwonek telefonu. Komisarz wyszedł z kuchni, przełknął jedzenie i podniósł słuchawkę.

– Tak? – Kastor dłuższą chwilę słuchał kogoś po drugiej stronie linii.

– Dobra, to przyjeźdź po mnie.

Wrócił do kuchni, a Ola od razu zauważyła, że był w o wiele gorszym nastroju niż pół minuty wcześniej.

- Nici z leniuchowania?
- Niestety.
- Ale mogę liczyć na wspólną kolację?
- Zawsze. – Kastor uśmiechnął się.

To już nie był upał. Bardziej skwar. Powietrze drgało nad rozpalonymi ulicami. Kraków tej niedzieli o wiele bardziej kojarzył się z Kairem. Czarne audi podjechało na Józefitów, a gdy tylko Kastor wsiadł do środka, odezwał się z ulgą:

- Ta klimatyzacja to wspaniały wynalazek.
- Przydaje się w takie dni, co? – Czarek uśmiechnął się i wrzucił jedynekę, ruszając ostro.

Kwadrans później weszli do pokoju na Mogilskiej. Niestety tam temperatura w niczym nie przypominała chłodnej atmosfery w audi.

- Ja pierdołę, ale sztynek. – Czarek zatkał nos.
- Otwórz okna. I zobacz, czy Kwiatek się czasem nie zbełtał.

Młodszy aspirant pootwierał okna i zajrzał do stojącej miednicy, ale ta była pusta. Wchodzący do pokoju nadkomisarz Tyszowiecki zmarszczył nos.

- Ludzie, miejcie litość. Śmierdzi tu jak Cyganowi z rozpóra.
- Zaraz się wywietrzy – rzucił uspokajająco komisarz. – Naprawdę jest coś tak pilnego, że ciągniesz mnie tu w niedzielę?
- Naprawdę. Wojewódzki mnie za dupę wziął i byłem z rana na pogawędce. Kawa, ciasteczka...
- Trzeba było po mnie wykręcić wcześniej. Lubię ciasteczka.
- Kastor, ty nie przeginaj, dobra? Wiesz, czym się kończą kawa i ciastka u wojewódzkiego?

– Tym samym, czym nocna wizyta w komisariacie na Szerokiej. Wpierdołem.

- Otóż to.
- Rozumiem, że mam z tym coś wspólnego? – westchnął komisarz.
- Wojewódzkiego opierdolił nowo wybrany prezydent Krakowa.
- A od kiedy to prezydent miasta może czołgać resort?
- Od kiedy nastąpiła demokracja i ten prezydent został, bracie, wybrany przez lud – rzucił z przekąsem Tyszol.

– Rozumiem. A za co?

– Podobno jakiś dziennikarz wyniuchał, że w Krakowie mamy seryjnego zabójcę.

– Dziennikarz. Niby skąd? – Kastor zmarszczył brwi. – Z nikim nie rozmawiałem.

– Nie musiałeś. W narodzie budzi się amerykański duch, a wraz z nim prasa. To jest ta gazeta, co to piszą, że Hitler żyje i sprzedaje ziemniaki w Nowym Targu.

– Dlaczego akurat w Nowym Targu?

– Kurwa, Kastor. Nie męcz mnie, naprawdę...

– Nie mogą ot tak sobie pisać. Muszą najpierw sprawdzić fakty – odezwał się Czarek. – Tego wymaga dziennikarska rzetelność.

– Ty, młody. – Nadkomisarz spojrział tak, jakby dopiero teraz zauważył młodszego aspiranta. – Lubisz ciepłą wodę i spocone baby?

– Co?

– Odpowiadaj, jak przełożony pyta!

– Nie lubię.

– To pójdziesz na urlop w grudniu. Nikt nic już sprawdzać nie musi! Jedynym kryterium jest ilość sprzedanych egzemplarzy i to, żeby kasa się zgadzała. A poza tym nie wtrącaj się, jak dorośli rozmawiają.

– Dobra – westchnął komisarz. – Czego oczekujesz?

– Tego samego, co zawsze. Masz rozwiązać tę sprawę, i to jak najszybciej. Ja cię kręcę, nie mogę... Dlaczego tak tu wali!? Weźcie tego Kwiatka na garaże i niech go przemycją szlauchem!

Kastor wstał i nachylił się nad chrapiącym sierżantem, rozwalonym na rozkładanym fotelu.

– Też śmierdzi, ale to nie on.

Komisarz wraz z Tyszołem i Czarkiem zaczęli kręcić się po pokoju, szukając źródła smrodu. Kastor na dłużej zatrzymał się przy szafie stojącej obok umywalki. Gdy ją otworzył, ze środka buchnął skondensowany, słodkawy odór rozkładającego się ciała. Czarek wytrzymał dzielnie w kostnicy, ale tam były kontrolowane warunki. Tutaj smród padliny zaatakował znieczulenie i młody policjant z

miejsca wychylił się przez okno, puszczając tęgiego pawia. Z dołu rozległy się złorzeczące głosy stojących tam policjantów.

– Co, do jasnej ciasnej... – spytał zdumiony Tyszol.

Kastor sięgnął do szafy i wyciągnął długi na metr przedmiot zawinięty w folię. Położył znalezisko ostrożnie na podłogę i zaczął powoli odwijać plastik. Z każdym kolejnym odwinięciem kawałka folii smród był coraz silniejszy. Gdy udało się do końca pozbyć opakowania, w powietrzu wisiał tak dobrze znany policjantom trupi odór.

– Noga – wyszeptał Czarek.

– Co ty nie powiesz? – parsknął Tyszol. – Nieźle posunięta. Nie wiadomo, czy to rodzaj damski czy męski. Ale to nie jest najważniejsze. Co, do kurwy nędzy, robi noga w szafie pokoju komendy wojewódzkiej?

Kastor spojrział na nadkomisarza, a ten również popatrzył mu prosto w oczy. Po chwili obaj ryknęli:

– Gieniu!

Tyszol natychmiast chwycił za słuchawkę. Na szczęście Jankowski, odstraszony upałem, postanowił spędzić niedzielę w domu i był pod telefonem. Z rozbijającą szczerością oznajmił, że jest to noga znaleziona swego czasu na Bielanach. Dodał też, że przysięga, że o niej cały czas pamiętał, ale postanowił zawieźć znalezisko do ZMS-u po urlopie. No co, jego wina, że takie upały?

Po skończonej rozmowie nadkomisarz usiadł ciężko na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

– Dostanę dożywocie. Zabiję go, gdy tylko wróci z tego zasranego urlopu!

Kastor klęknął i zaczął dokładnie oglądać przegniętą nogę. Odwrócił ją i przyjrzał się śladom na tyłde.

– Zęby.

– Chcesz mi powiedzieć, że ten psychol odrąbał komuś nogę, a potem ją pogryzł? – spytał ze strachem Czarek.

– To ślady jakiegoś zwierzęcia. Najpewniej psa – mruknął komisarz.

– Czarek, wyciągnij akta sprawy. W tych rzeczach można na Gienia

liczyć. Na bank wykaligrafował, gdzie dokładnie znaleziono tę śliczną nóżkę.

Kastor nie mylił się. Aspirant Jankowski skrupulatnie zapisał miejsce znalezienia nogi. Była to piaskowa droga na skraju Lasu Wolskiego. Ponieważ ulica nie miała żadnej nazwy, jedynym punktem orientacyjnym była stojąca pod drzewami kapliczka. Tam też zaparkowali czarne audi, a teraz rozglądali się po okolicy.

– Gieniu pisał, że zgłoszenie było przez telefon, tak? – spytał komisarz.

– Zgadza się – odparł Czarek.

Usłyszeli metaliczny, stukoczący hałas i zobaczyli starszą kobietę jadącą na rowerze. Wyraźnie męczyła się, wkładając dużo siły w napędzenie pojazdu, a przez bagażnik miała przerzucony worek ziemniaków, przytroczony sznurkiem. Kastor uśmiechnął się i wyciągnął swoją legitymację.

– Dzień dobry pani, możemy chwilę porozmawiać?

– Mój Boże, chłopcy – sapnęła kobiecina. – Jak ja się zatrzymam, to z tego piachu nie ruszę.

Rower minął ich, wydając z siebie ciche, brzęczące dźwięki. Komisarz spojrział zdziwionym wzrokiem na Czarka i powiedział:

– Na co czekasz? Leć za nią, masz młodsze kopyta!

– Ale o co mam pytać? O tę nogę?

– Człowieku, rusz głową! Ktoś do nas zadzwonił, tak? Myślisz, że na tej wichurze każdy ma po trzy telefony w domu?

Młodszy aspirant skinął głową i ruszył w pogoń za starszą kobietą. Gdy zrównał się z nią i zaczął truchtać z tą samą prędkością, co rower, zagaił:

– Dzień dobry pani, młodszy aspirant Cezary Hewig.

– Szczęść Boże – wysapała kobieta. – Stało się co?

– Chciałem panią zapytać, kto tu w okolicy ma telefon?

– A tu to tylko albo u sołtysa, albo u myśliwego!

– Dziękuję pani!

Czarek wrócił szybko do komisarza i zameldował mu, czego dowiedział się od rowerzystki.

– Czyś ty do reszty zdurniał!? – wydarł się Kastor.

– Co znowu?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć, gdzie mieszka sołtys i myśliwy?

Hewig zawrócił na pięcie i pomknął z powrotem za oddalającą się starszą panią. Tym razem musiał się naprawdę postarać, więc kiedy wrócił, był poważnie zziąjany.

– Sołtys mieszka przy gieesie. – Czarek próbował złapać oddech. – A myśliwy w drewnianym domu na granicy Kryspinowa i Budzynia.

– Walimy do myśliwego.

– Dlaczego?

– Sołtys to władza. A zgłaszający dał cynk anonimowo.

Chwilę im zajęło znalezienie tabliczki z przekreśloną nazwą „Kryspinowa” i drugą z napisem „Budzyń”. Przy drodze stał okazały dom z ciemnego drewna, nakryty spadzistym dachem. Wysiedli z samochodu i Kastor nacisnął dzwonek przy furtce. Po chwili wyszła do nich kobieta w średnim wieku, ubrana w kwiecistą sukienkę.

– Dzień dobry, komisarz Kastor Grudziński. Mąż jest może w domu?

– Nie ma. A o co chodzi?

– Dzwonił ktoś może od was z domu w... – komisarz otworzył teczkę z aktami, żeby sprawdzić datę – wtorek, piątego czerwca?

– A bo to ja wiem... – Kobieta wyglądała na lekko zmieszaną.

– Proszę pani. Nikt kłopotów mieć nie będzie. No chyba że ktoś zatai coś przed nami. Na to akurat są paragrafy.

– Faktycznie dzwonił ode mnie Golezowski. Pewnie o tę nogę wam chodzi?

– Aha. Skąd pani wie?

– Przecież jak ktoś przychodzi do mnie z telefonu skorzystać, to podsłuchuję. Głupia nie jestem.

– Pan Golezowski mieszka tu w okolicy?

– Dwa domy za remizą. Po lewej.

– Dziękujemy.

Wsiadli z powrotem do samochodu, a gdy jechali drogą, wypatrując siedziby straży pożarnej, Czarek spytał:

– Tego wszystkiego nie powinien czasem Gieniu robić?

– Powinien. Sęk w tym, że policja operuje w ten sam sposób jak każda inna organizacja lub firma na świecie. Działa wtedy, gdy komuś się łaskawie zechce dupę ruszyć.

Zatrzymali się przed domem z białą elewacją, a Kastor przyłożył rękę do kratki nawiewu i powiedział:

– Naprawdę, żał stąd wysiadać w taką pogodę.

Gdy tylko podeszli do bramy, spod domu podniósł się czarny owczarek uwiązany na łańcuchu i zaczął głośno ujadać. Na szczęście gospodarz był akurat na posesji. Postawny mężczyzna bez koszulki siedział na stołku przy ciągniku i grzebał kluczem w silniku. Podeszedł do bramy, a Kastor przedstawił się i szybko wyjaśnił cel swojej wizyty.

– Ja nic nie wiem – odparł szybko gospodarz. – Do widzenia.

– Panie, my w taki upał i dodatkowo w niedzielę dla jaj nie jeździmy. W skrócie to wiemy, że to pan dzwonił – powiedział ostrym tonem komisarz. – Woli pan pogadać tutaj czy na komisariacie?

– Tutaj – westchnął mężczyzna, nastawiony bardziej ugodowo.

– Gdzie pan znalazł tę nogę?

– To nie ja. Murzyn w pysku przytargał. – Gospodarz wskazał ujadającego wilczura.

– Mógł kogoś poszarpać?

– Nie, on nie gryzie... – Mężczyzna rzucił odwieczny tekst wszystkich właścicieli psów. – A nawet jeśli, to nie tak. Przecie to nie lew!

– To gdzie to mógł znaleźć?

– Ubłocony był. Jak na mój gust, to z zalewu. Na brzegu pewnie leżało.

– To nie mógł pan powiedzieć, jak dzwonił!?

– A co, pensją się ze mną podzielicie!? Dajcie mi spokój, niedziela



jest!

Plaża nad kąpieliskiem w Kryspinowie wypełniona była szczelnie tłumem odpoczywających ludzi. Kto mógł i miał siły tu przyjechać, korzystał z pięknej, upalnej pogody. Część leżących zaczęła głośno złorzeczyć, gdy dwa wozy straży pożarnej rozpędziły ludzi dźwiękami swoich syren i zaparkowały nad samą wodą.

Kastor znał się dobrze z szefem płetwonurków, kapitanem Cisowskim. Niejednokrotnie uczestniczyli razem w poszukiwaniu zwłok. Gdy już przywitani się serdecznym uściskiem dłoni, strażak spytał:

– Od którego zaczynamy?

– A jak będzie szybciej?

– Zalew Na Piaskach jest większy, za to płytszy. Maksymalnie ma ze dwanaście metrów głębokości.

– Dobra.

Strażacy zaczęli nadmuchiwać pontony i rozkładać swój sprzęt, a Kastor wrócił do palącego papierosa Czarka. Młodszy aspirant zerknął na pozbawione chmur niebo:

– W taką pogodę to jakieś piwko by się przydało, co?

– Zapomnij.

Komisarz pokazał jedyną na plaży budkę gastronomiczną. W kolejce stało z pięćdziesiąt osób.

Po kilkunastu minutach strażakom udało wyłowić się rękę, którą ułożyli elegancko na rozciągniętej na brzegu plandecie. Gdzieniedzie rozległy się okrzyki obrzydzenia, ale nikt nie zawracał sobie głowy, aby przykryć czymś znalezisko. Rodziny z dziećmi jako pierwsze zrezygnowały z kąpieli i tłum plażowiczów trochę się przerzedził. Gdy z wody wyciągnięto jeszcze nogę, a potem drugą rękę, kolejni odpoczywający zmienili swoje plany. W momencie, w którym z przybijającego do brzegu pontonu wyciągnięto siny kobiecy korpus z odciętymi piersiami, przerzedziło się na tyle, że Kastor z Czarkiem kupili piwo bez kolejki.

Gdy kończyli je pić, z pontonu wysiadł Cisowski i podszedł do nich. Komisarz natychmiast kupił kolejne piwo i wręczył je zmęczonemu strażakowi.

– Dzięki. – Kapitan jednym haustem opróżnił pół butelki. – Głowy chyba tu nie będzie. Musimy szukać dalej w tym po drugiej stronie drogi, Zalewie Budzyńskim. Tam jest trochę głębiej.

– Z głową zawsze jest problem – odparł trochę filozoficznie Kastor.  
– Dobra, szukajcie.

Strażak w odpowiedzi tylko skinął twierdząco i wrócił do swoich kolegów. Czarek zamówił jeszcze dwa piwa, a potem rozejrzał się po plaży. Poza nimi i strażakami nie było absolutnie nikogo.

– Popatrz, taki upał, a nad zalewem żywego ducha.

– No. Dziwne, nie?

## 2.

Poszukiwania głowy przeciągały się, a ponieważ na miejscu zjawili się już Smok z ekipą, Kastor zdecydował, że nie ma sensu tracić dalszej części niedzieli. Zostawił Czarka, żeby miał na wszystko oko, i pojechał na Mogiłską. Z pokoju zadzwonił do Rolnika, żeby mu sprawdził, ile firm zajmujących się księgowością znajduje się na Strzeleckiej. Była jedna.

Postanowił zrobić Oli niespodziankę i podjechać po nią. Siedział teraz w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko parku Strzeleckiego. Według jego zegarka była za pięć czwarta i zastanawiał się, czy aby na pewno Ola jest jeszcze w biurze? W końcu miała wpaść tylko na dwie godziny. Może wróciła już do niego na Józefitów?

Wtedy zobaczył, jak wychodzi z budynku w towarzystwie roześmianego wysokiego mężczyzny. Był ubrany w jasne spodnie i czerwoną koszulkę polo. Lekki zarost, zgrabna sylwetka i złoty zegarek. To musiał być właściciel firmy. Jeden z tych nowych panów, którzy tak doskonale wpasowali się w raczkujący w Polsce

kapitalizm, pomyślał z jakąś chorą zawiścią Kastor. A kim ja jestem? Gościem w nieswoim samochodzie. Na co dzień jeżdżę tramwajami i, co tu ukrywać, nie potrafię się ubrać. W końcu stwierdził, że dosyć tej żalostnej samooceny i postanowił po prostu wyjść, przywitać się elegancko i zabrać Olę do domu. W końcu to z tobą uprawiała seks sześć razy tej nocy, pomyślał.

Sięgnął do klamki, gdy zauważył, że dyskusja między Olą a jej szefem nabiera rumieńców. Wyglądało na to, że się kłócili. Ona gestykulowała energicznie, wyraźnie coś mu tłumacząc. On spuścił głowę i słuchał w milczeniu. Potem mężczyzna powiedział coś, a Ola skończyła mówić, wznosząc oczy do nieba. W końcu podeszła do niego i pocałowała go w usta. To nie był szybki pocałunek. Nawet z tej odległości było widać, że to pełne pasji, namiętne lizanie.

Kastor odpałił szybko silnik i ruszył z piskiem opon, zjeżdżając z chodnika. Omal nie władował się pod ciężarówkę, której kierowca wdusił hamulec i zatrąbił z wściekłością. Nie wiedział, dokąd jedzie. Po prostu zmieniał pasy, stosował się do przepisów, zatrzymywał na czerwonym, a ruszał na zielonym. Z początku zrobiło mu się przykro jak dziecku, a w jego oczach pojawiły się łzy. Potem przyszedł gniew, przede wszystkim skierowany przeciwko samemu sobie. Co ty sobie myślałeś, naiwny frajerze? Po prostu spędziła z tobą jedną noc i tyle. To dla niej tylko zabawa, a oprócz tego jest prawdziwe życie. Lepiej związać się z kimś, kto dysponuje żywą gotówką niż z gościem, takim jak ty. Potem uświadomił sobie swój wygląd, marne mieszkanie i fakt, że dzieli je z dwoma szcurzycami. Roześmiał się głośno. Ależ byłem głupi, pomyślał.

### 3.

Czarne audi zatrzymało się na parkingu przed budynkiem na Mogilskiej. Trzy minuty później Kastor ominął drzwi do swojego pokoju i podszedł do gabinetu nadkomisarza Tyszowieckiego. W przeciwieństwie do zwyczaju panującego w ich siedzibie tutaj

zawsze się pukało.

– Proszę – usłyszał donośny głos z wewnątrz.

– Wszystko w porządku? – spytał Tyszol, widząc wyraz twarzy wchodzącego komisarza.

– Tak... Tylko wiesz, ten upał daje mi się we znaki.

– Straszna parówa. Nad wodę by człowiek pojechał, co?

– Dzięki, już byłem. Wyłowiliśmy zwłoki w Kryspinowie.

– Pasują do nóżki z szafy?

– Prawdopodobnie. Na razie chłopaki szukają głowy.

– Popatrz, z tymi głowami to zawsze problem, nie? – Nadkomisarz zamyślił się.

– Muszę cię prosić o pomoc.

– Mów.

– Chodzi o ten lewy pinkiel. Chyba jedyną opcją będzie jednak Wrzaskun. To on musi otworzyć sejf, a bez tego trudno będzie nam ruszyć sprawę do przodu.

– Czego chce kasiarz?

– Ma alibi, ale muszę odnaleźć jednego esbeka. Major Joachim Greń.

– To może być trudne. Wiesz, tam wszystko jest świeże. Dopiero co rozwiązyli operację „Ośmiornica”.

– Co takiego?

– Działania operacyjne wymierzone przeciwko Solidarności Walczącej. Rozwiązyli ich raptem miesiąc temu i chodzą słuchy, że będą weryfikować.

– To znaczy?

– Czym dokładnie zajmowali się w SB. Jak przejdą, to zostają, a jak nie, to koniec. Wiesz, że Gieniu też był tajniakiem?

– Nie wiedziałem. – Komisarz był wyraźnie zdziwiony. – Będą go weryfikować?

– Skąd. Przecież przeszedł do milicji, to znaczy teraz policji. A nas weryfikacja nie obejmie. Służył u nich w latach sześćdziesiątych, jeszcze zanim pojawiłeś się w resorcie. – Tyszol zapalił papierosa. – Pion B, obserwacja.

- Gieniu w obserwacji? – Kastor parsknął śmiechem.
- A wyobrażasz sobie lepszego niż on? Wtapia się w tłum, nikt nie zwraca na niego uwagi.
- W sumie racja. Słuchaj, podobno Jankowski ma drugie mieszkanie, które wynajmuje. Myślisz, że to możliwe?
- Zwariowałaś? Skąd ten dziadyga miałby kasę na drugie lokum?
- Nieważne. Dobra, ale jak mogę tam podejść? Muszę po prostu pogadać z tym majorem, znaleźć go.
- Przykro mi, stary. Ale to poza moim zasięgiem. Pewnie są jakieś akta osobowe, ale nie mamy w nie wglądu. Poza tym chodzą słuchy, że oni od zeszłego roku palą wszystkie kwity.

Komisarz zaczął zastanawiać się nad tym, co właśnie usłyszał. Na biurku jego przełożonego zadzwonił telefon. Tyszol odebrał i słuchał dłuższą chwilę, by w końcu rzucić krótko:

– Dzięki. – Nadkomisarz odłożył słuchawkę. – Ciało jest już w ZMS-ie. Sadowska będzie tam za pół godziny. Dodatkowo pilnie szuka cię niejaka Aleksandra Szolc.

Pod wpływem tej ostatniej informacji komisarz wyraźnie zmienił się na twarzy. Skinął tylko głową w podziękowaniu, pożegnał się uściskiem dłoni i otworzył drzwi.

- Pamiętaj, że ze mną zawsze możesz pogadać – powiedział Tyszol.
- Nie tylko w sprawach służbowych.
- Naprawdę nie ma o czym.

Komisarz odwiedził sklep na Mogilskiej, gdzie kupił stały zestaw: pół litra wyborowej i dwa okocimy full light. Po półgodzinie Kwiatek był już na nogach, a gdy po kolejnym kwadransie wkroczyli do prosektorium na Grzegórzeckiej, sierżant był w swojej najlepszej formie. Lekki brązowy garnitur, tego samego koloru pantofle i biała koszula rozpięta pod szyją. W ostrą woń chemikaliów próbował się przedrzeć zapach bławatka i jaśminu, połączony z nutą cedru. Kwiatek przywitał się elegancko z doktor Eryką Sadowską, całując ją w rękę.

- Dobry wieczór, panie sierżancie. Dawno cię nie widziałam.
- Obowiązki. – Kwiecień wzruszył skromnie ramionami.

Zabawne, pomyślał Kastor. Ten pijak ciągle robi wrażenie na kobietach. Chociaż Sadowska doskonale wiedziała, że sierżant większość swojego czasu spędza w barłogu, pod którym stoi miska na wymiociny.

– Cześć – przywitał się komisarz i od razu spytał: – Czy kawałki wyłowione z zalewu pasują do zgniłki?

– Wydaje mi się, że tak. Ale w tym stanie rozkładu... Nie mogę mieć stuprocentowej pewności.

– Grunt, że znaleźli głowę. – Komisarz przyjrzał się nabrzmiałej, lekko zielonkawej i napuchniętej twarzy, okolonej blond włosami. – Są jakieś nietypowe ślady?

– Zależy, co rozumiesz przez nietypowe. Wszystkie kończyny oddzielone od korpusu jakimś bardzo ostrym narzędziem, zero poszarpanych krawędzi. Żadnych innych ran poza tym, że ktoś odciął denatce piersi.

Na biurku pani patolog zadzwiczał telefon. Sadowska przeprosiła ich gestem i odebrała, mówiąc:

– Zakład Medycyny Sądowej, słucham? – Pani doktor zmarszczyła brwi, słysząc tłumaczenia po drugiej stronie. – Tak, oczywiście. Już proszę. Kastor, to do ciebie. Pani Aleksandra Szolc, dali jej numer w wojewódzkiej. Chce z tobą rozmawiać.

Sadowska położyła słuchawkę na blacie swojego biurka i taktownie odsunęła się, stając ponownie przy stole z poćwiartowanymi zwłokami. Komisarz bez słowa podszedł do biurka i odłożył słuchawkę na widełki. Ani Sadowska, ani Kwiatek nie skomentowali jego zachowania.

– Znalazłaś coś w ciele? – spytał Kastor.

– Owszem, w odbytnicy symbol podobny do poprzednich. – Podała mu zagięty drut. – Pozwoliłam to sobie przepłukać. Bez obaw, jest czysty. Ale załóż rękawiczki.

– To bardzo miło z twojej strony. – Kastor naciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki i obrócił w palcach przedmiot. Nie musiał wyciągać notatnika. Na pierwszy rzut oka widział, że to hebrajska cyfra 2. – A coś, co ułatwiłoby nam identyfikację? Tatuże, znaki

szczególne?

– Morderca postanowił chyba ułatwić wam robotę. Druć najpierw zawinięto w to, a dopiero potem wetknięto kobiecie w ciało.

Sadowska podała mu zrolowany i pognieciony dowód osobisty.

– Jakim cudem nie jest mokry? – spytał, rozkładając dokument.

– Wszystko zabezpieczono prezerwatywą.

– Ależ z niego figlarz. – Kastor westchnął i rozłożył dokument. Poza pogięciami i kilkoma rozdarciami dowód osobisty był czytelny. Ze zdjęcia patrzyła na niego szeroko uśmiechnięta blondynka. Maria Benikowska. Rok urodzenia: 1969. Obecny adres zameldowania: Paulińska siedemnaście mieszkania osiem.

– Możesz cyknąć mi kilka zdjęć głowy? Ale wiesz, na teraz, polaroidem.

– Jasne – odparła Sadowska.

Wszyscy musieli już przyswoić wiedzę na temat czarnego audi. Gdy tylko wjechali na Kazimierz, podejrzane cienie i postacie pochowały się szybko po bramach. Gdy wysiedli na zewnątrz, uderzyło w nich ciężkie, duszne powietrze. Zero wiatru, gałęzie nielicznych drzew nie ruszały się nawet o milimetr. W oddali granatowe niebo przecięła błyskawica, a po krótkiej chwili rozległ się przytłumiony grzmot. Zbliżała się burza.

Na ulicy nie było nikogo poza dwoma policjantami, bijącymi bez litości jakiegoś pijaka. Gdy Kastor i Kwiatek zbliżyli się do nich, funkcjonariusze obrócili się z zaciekawieniem. Komisarz szybko rozpoznał dwóch mundurowych, z którymi miał ostatnio na pieńku. To oni wcześniej zatrzymali Basiurę. Jeden z nich również rozpoznał Kastora i splunął mu pod nogi. Bity mężczyzna zwietrzył swoją szansę i wyciągnął w błagalnym geście dłońie do przechodzących.

– Panowie, błagam, pomóżcie... Zabierzcie go!

– Go!? Go!? – krzyknął oburzony policjant. – Ja ci, kurwa, dam „go”!

Mundurowi wrócili do okładania leżącego pałkami, a komisarz z

kolegą przeszli w milczeniu dalej i dotarli pod adres z dowodu osobistego. Kamienica na Paulińskiej nie należała do tych najbardziej zrujnowanych, a mieszkanie, do którego ich zaproszono, było w jeszcze lepszej formie. Co prawda trochę ubogie, za to niezwykle schludne.

Gospodynią była kobieta po pięćdziesiątce z rzednącymi blond włosami spiętymi w koński ogon. Gospodarzem był mężczyzna z brodą w przykrótkim, białym podkoszulku. Gdy wyjaśnili cel swojej wizyty i pokazali fotografię obciętej głowy, ona padła na kolana i zaczęła wyć. On podszedł do okna i nerwowym gestem zapalił papierosa.

– Nie! To nieprawda! Nieprawda, nieprawda, nieprawda!

Gospodyni wyrwała Kwiatkowi zdjęcie i podarła je na strzępy. Potem zaczęła szlochać i kwilić jak dziecko. Ciągłe klęcząc, na zmianę kuliła się, niemal dotykając czołem podłogi, a innym razem się podnosiła, wystawiając swoją zapłakaną twarz do światła.

– Bardzo mi przykro. – Kastor zawsze to mówił. Wiedział, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co powie.

Mężczyzna skończył palić papierosa, odwrócił się i powiedział do żony całkiem spokojnym głosem:

– Zadowolona jesteś? Że córkę na kurwę wychowałeś?

Kobieta w jednej sekundzie przestała szlochać, wpatrywała się w męża z wyrazem szoku na twarzy. Komisarz widział to już nieraz. Na filmach małżeństwa poinformowane o śmierci dzieci przytulały się ze zrozumieniem. To był ledwie promil. Zazwyczaj w przyptywie szoku ludzie od razu skakali sobie do gardeł.

– Proszę państwa, rozumiem sytuację, ale najważniejszy teraz jest czas – przerwał nadchodzącą awanturę komisarz. – Czy Maria spotykała się z kimś?

– No a jak. – Ojciec westchnął. – Z tym, kurwa, psycholem. Pojebem pieprzonym.

– Uspokój się, on by jej nigdy krzywdy nie zrobił – zaprotestowała kobieta.

– Przecież to schizofrenik! Popierdoleniec!



– Spokój! – Kwiatek nie wytrzymał i podniósł głos, a komisarz wyczuł wyraźną woń alkoholu w oddechu kolegi. – Ten chłopak. Gdzie mieszka?

– Jaki z niego chłopak. Dorosły facet, pod czterdziestkę – powiedział gospodarz i zwrócił się do kobiety: – Te niedojebane listy pisał. Przynieś!

Ostatnie słowo było niczym komenda wydana psu. Matka dziewczyny po chwili przyniosła koperty z listami. Komisarz sięgnął po jedną z nich i odczytał dane adresata.

Długo pukali do drzwi, a potem jeszcze nasłuchiwali na klatce, czy aby na pewno mieszkanie jest puste. Wrócili do samochodu zaparkowanego na Solnej. Kastor otworzył schowek na rękawiczki i wyciągnął radio.

– Zero zero dla zero siedem.

– Zgłaszam zero zero – usłyszeli głos Klakiera.

– Słuchaj, skontaktuj się z dyżurnym kartoteki. Chodzi mi o Włodzimierza Tureckiego, adres zameldowania prawdopodobnie Solna siedem, mieszkania cztery.

– Daj mi chwilkę.

Siedzący w komendzie wojewódzkiej Klakier połączył się z wydziałem kartotecznym. Tam dyżurny obsługujący wielką niczym kombajn maszynę wyszukał odpowiednią fiszkę i udzielił odpowiedzi. Dwie minuty później siedzący w czarnym audi usłyszeli głos swojego dyżurnego:

– Trzy dwójki.

Kod ten oznaczał: notowany, nieposzukiwany.

– A za co?

– Wiesz, jak jest. Informacja merytoryczna. Musicie kręcić na kartotekę – powiedział Klakier.

– Dobra, bez odbioru.

– Panie komisarzu! – krzyknął dyżurny.

– Nie drzyj się tak. Co?

– Ciągłe tu wydzwania ta pani Aleksandra Szolc. Co mam jej powiedzieć?

– Powiedz jej, że gadałeś ze mną i nigdy, proszę cię, podkreśl to słowo, ma nie dzwonić. Zrozumiałeś?

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Kastor schował radio i zamyślił się na dłuższą chwilę. Na rogu placu Bohaterów Getta stała budka telefoniczna, a po przekątnej w niskiej kamienicy jakiś podrzędny bar.

– Chodź, przejdziemy się – rzucił do Kwiatka.

Wysiedli z samochodu i przeszli przez plac. W oddali ciągle grzmiało, a co jakiś czas atramentowe chmury przecinała błyskawica, ale na ziemię na razie nie spadła ani jedna kropla. Za to było potwornie duszno.

– Też fajny wózek, co? – powiedział sierżant, wskazując białego forda escorta.

– Nieżyły, z szyberdachem. – Komisarz obrzucił spojrzeniem auto. – Słuchaj, idę do budki, zadzwonię do kartotecznego i sprawdzę, za co typ ma u nas fiszkę.

– Dobra, ja zajdę na chwilę do baru. Lać mi się chce.

Kastor tylko skinął głową, nie komentując żałostnego tłumaczenia kolegi. Wszedł do budki i wrzucił kilka monet, ale w słuchawce było głucho. Tę zagadkę akurat wyjaśnił wyjątkowo szybko. Kabel od słuchawki zwisał luźno i nie był przyczepiony do automatu. Ruszył do knajpy, a gdy wszedł do środka, od razu zauważył Kwiatka siedzącego przy barze. Na blacie stały dwie pięćdziesiątki. Usiadł obok sierżanta i powiedział:

– Szybko się odlałeś.

– Zdrówko – powiedział Kwiatek, stuknęli się kieliszkami i wypili wódkę. – O co chodzi z tą Olą?

– O nic nie chodzi. – Komisarz dał znak barmanowi, który napełnił kieliszki.

– Wiesz, że ze mną możesz o takich sprawach pogadać?

– Kurwa, błagam cię. – Kastor dał znak i wypili kolejkę. – Z kim jak z kim, ale jesteś ostatnią osobą, z którą można pogadać o takich sprawach.

– Bo niby co? Spierdoliłem, tak?

Komisarz przyjrzał się koledze. Kwiatek wyraźnie tracił swoją świeżość. Użył wulgaryzmu, miał mętny wzrok, a jego fryzura mocno straciła ze swego nienagannego wyglądu.

– Tak – odparł Kastor.

– I chuj?

W odpowiedzi komisarz westchnął i spytał barmana:

– Ma pan może telefon?

– Tak.

– Mogę skorzystać na sekundę? – Kastor wyciągnął legitymację, a mężczyzna skinął głową i podał mu aparat na długim kablu.

Po krótkiej chwili komisarz połączył się z dyżurnym kartoteki, przedstawił się i poprosił o więcej szczegółów dotyczących Włodzimierza Tureckiego.

– Urodzony piątego kwietnia 1955 – recytował znudzonym głosem dyżurny. – Syn Józefa i Heleny. Wzrost ponad 190 centymetrów, silna budowa ciała, włosy ciemny blond. Obecny adres zameldowania...

– Dobra, dlaczego notowany? – przerwał tę wyliczankę komisarz, a kątem oka zauważył, jak Kwiatek wlewa w siebie kolejne pięćdziesiątki.

– Wypadek samochodowy ze skutkiem śmiertelnym. Turecki prowadził i był pod wpływem alkoholu.

– Masz dane pojazdu?

– Poczekaj... – Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę panowało milczenie. – Ford escort, biały, numer rejestracyjny KRA 0334.

– Szlag by to! – Komisarz rzucił słuchawką i chwycił Kwiatka za marynarkę.

Po chwili obaj byli z powrotem na placu, ale po białym fordzie escorcie nie było śladu.

– Co mnie szarpiesz!?! – wydarł się na cały głos sierżant. – Bo spierdoliłem życie!?

– Zamknij mordę, pijaku! – krzyknął ktoś z uchylonego okna.

Kastor zaciągnął Kwiatka do samochodu, skontaktował się z klakierem i poprosił, aby wszystkie patrole w województwie

zwrócić uwagę na białego escorta należącego do Tureckiego. Odwiozł gardłującego sierżanta na Grodzką, a potem pojechał na parking pod komendą. Zastanawiał się przez krótką chwilę, czy nie powinien wrócić na Solną. Ciekawe, czy koleś był w mieszkaniu i udawał, że go nie ma, pomyślał komisarz. Czy też może po prostu przyjechał skądś i zabrał samochód? W końcu stwierdził, że wrócić do sprawy jutro na spokojnie. Chciał już wyłączyć silnik, gdy usłyszał trzeszczący głos Klakiera:

– Zero siedem dla zero zero.

– Zgłaszam zero siedem – powiedział Kastor do radia.

– Panie komisarzu, chłopaki z ruchu właśnie wlepili mandat białemu escortowi na tych blachach, co pan mówił. Przekroczenie prędkości.

– Gdzie?

– W Mogilanach.

– Puścili go?

– No tak... Nic pan nie mówił, żeby go zatrzymać. Ale to co, mam im mówić, żeby go dogonili?

– Nie. Dzięki za cynk, bez odbioru.

Komisarz odłożył radio i zaczął intensywnie myśleć. Jedzie na południe. Dokąd? Może do Zakopanego? W końcu lato się zbliża, pogoda bardzo ładna, może gościu wziął sobie tydzień urlopu. Ale teraz? Akurat jak byliśmy u niego pod domem, to on jedzie do Zakopanego? Przypomniał sobie, co mówił jego nauczyciel ze szkoły policyjnej, wiekowy komisarz ze Śląska. „Panowie, przez przypadek to można się zesrać. Dlaczego mówię w ten sposób? Bo przypadki, tak samo jak gówno, śmierdzą”.

Odpałił silnik i wyjechał gwałtownie na Mogilską. Zawrócił przez torowisko tramwajowe i po chwili był już na rondzie. Jeszcze nie zaczęło padać, ale chmury zbierające się na południu były już niemal czarne. Ponure niebo co jakiś czas rozświetlały błyskawice. Jechał prosto w kierunku burzy. Szybko dotarł na Podgórze, a gdy znalazł się na Zakopiańskiej, ponownie połączył się z Klakierem. Poprosił o to, żeby rozesłać po patrolach drogówki szczegóły jego audi. Był

mocno do tyłu, jeśli chodzi o escorta. Wiedział, że, żeby go dogonić, będzie musiał jechać jak wariat. I tak właśnie jechał. Wyrzedzał na skrzyżowaniach, na zakrętach, a miejscami zmuszał jadące z naprzeciwka samochody, by zjeżdżały na pobocze. Cały czas obserwował też uważnie wyrzedzane samochody, czy między nimi nie ma charakterystycznego kształtu escorta. Praktycznie nie schodził poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Taka jazda musiała mieć swoje konsekwencje. Gdy zbliżał się do Rabki, na desce rozdzielczej zapaliła się lampka sygnalizująca rezerwę paliwa.

– Jasna cholera – zaklął Kastor i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu jakiejś stacji.

Zaraz po wjeździe do Rabki po prawej stronie zauważył rozjarzone neony CPN-u. Zjechał gwałtownie i zatrzymał się z poślizgiem przed dystrybutorem. Pracownik stacji odskoczył ze strachem, a gdy komisarz wysiadł, spytał z wściekłością:

– Te, coś pan!? Senna!?

– Senna zajął drugie miejsce. – Kastor skrzywił się. – Ja jestem Prost. Do pełna! I to szybko!

Wyciągnął portfel i wtedy zauważył białego escorta zaparkowanego pod barem. Stał między starem i żukiem. Nie było żadnych wątpliwości, KRA 0334. Podszedł powoli i wyjrzał ostrożnie zza kabiny stara. Przez okna baru zauważył siedzącego przy jednym ze stołów, postawnego mężczyznę. Pasował do rysopisu podanego przez dyżurnego kartoteki. Mógł wejść, pokazać swoją legitymację i po prostu wypytać o jego związek z Benikowską. Ale zrezygnował z tego pomysłu. Chciał wiedzieć, dokąd jedzie. Policijny zmysł mówił mu, że lepiej będzie, jeśli na razie będzie śledził podejrzanego.

– Panie! – wydarł się pracownik stacji. – No i co? Tak się śpieszyło, a płacić nie ma komu?

Kastor wrócił do samochodu, zapłacił za paliwo i odjechał. Zaparkował kilometr dalej na poboczu. Czekał.

Po kilku minutach na okolicę runęła ściana wody. Bez żadnego ostrzeżenia. Zupełnie jakby gdzieś w górze ktoś przechylił

gigantyczne wiadro. Burza rozszalała się na dobre. Okolice trzęsła się od grzmotów, a chylące się ku ziemi drzewa co chwilę rozświecilały błyskawice. Komisarz nie był w stanie rozróżnić pojazdów, patrząc w lusterka czy zalane deszczem szyby. Uchylił okno, wyglądając na zewnątrz. Mimo, że uniósł się w fotelu, a szybę odsunął tylko na kilka centymetrów, siła zacinającego deszczu sprawiła, że po minucie był całkiem mokry.

W końcu rozróżnił kształt białego escorta. Zamknął okno i zjechał na szosę, śledząc podejrzanego. W pióropuszkach wody tańczących po jezdni tylne światła forda były ledwo widoczne. Na skrzyżowaniu w Rabce biały samochód skręcił w prawo. Kastor zrobił to samo. Czyli jednak nie jedzie do Zakopanego, pomyślał. W takim razie dokąd? Dopiero gdy minął jeden z drogowskazów, doznał olśnienia. Chyżne, 30 kilometrów. Jechał w kierunku granicy z Czechosłowacją! Czyżby uciekał?

Czerwone światła mijania oddalały się coraz bardziej. Kastor musiał przyśpieszyć, aby nie stracić z oczu escorta. Po chwili zorientował się, że pędzi ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wcześniej jechał szybciej, ale teraz, w tych warunkach, to była szaleńcza jazda na granicy ryzyka. Pokonując zakręty, miejscami czuł, że audi wymyka się lekko spod kontroli. Z asfaltem łączyły go cztery punkty wielkości pocztówek, a jezdnia zalana była hektolitrami wody.

Po pokonaniu kolejnego zakrętu na granicy poślizgu komisarz ze zdziwieniem spostrzegł, że tylne światła forda po prostu zniknęły. Gdy zaczął się zastanawiać, czy aby Turecki nie zjechał gdzieś, ze ściany wody wyłonił się kształt białego escorta. Samochód stał na drodze z wyłączonymi światłami! Kastor zaklął i wcisnął instynktownie hamulec, jednocześnie szarpiąc kierownicę, aby ominąć przeszkodę. Poczuł, jak pedał hamulca pulsuje pod jego stopą i tylko dzięki nowoczesnemu ABS-owi udało mu się ominąć białe auto. Genialny wynalazek zachodnich inżynierów mógł pomóc, ale cuda były poza jego zasięgiem. Audi straciło przyczepność i zaczęło kręcić się wokół własnej osi. W końcu wyleciało z drogi i z

impetem gruchnęło czterema kołami na łąkę. Komisarz rąbnął potylicą w zagłówek, aż zęby mu zadźwięczały. Potem zobaczył, jak w eskorcie zapalają się światła i samochód rusza gwałtownie, wyrzucając spod kół fontanny wody.

Silnik zgasł, więc Kastor uruchomił go ponownie, wrzucił pierwszy bieg i próbował wyjechać na drogę, ale koła tylko bezradnie młóciły rozmoknięty deszczem grunt. Sięgnął po radio i wydarł się.

– Wzywam Nowy Targ, wzywam Nowy Targ! Komisarz Kastor Grudziński, numer odznaki 210179! Potrzebuję pomocy! Odbiór!

Cisza. Tylko wściekłe bębnienie deszczu o karoserię i potężne grzmoty przechodzącej przez okolice burzy. Komisarz jeszcze kilkakrotnie powtórzył wezwanie przez radio, ale niestety bez rezultatu. Gdy tylko zobaczył zbliżające się światła samochodu, zgasił silnik w audi i wybiegł na drogę. Kierowca kremowego dużego fiata zauważył Kastora w ostatniej chwili. Auto wpadło w poślizg i omal nie podzieliło losu audi. Ze stojącego w poprzek drogi samochodu wyskoczył młody mężczyzna i podbiegł wściekły do Kastora.

– Te, kurwa, samobójca! Pod pociąg idź, to będzie mniej trupów!

– Komisarz Kastor Grudziński! – Podetknął mężczyźnie legitymację pod sam nos. – Potrzebuję tego auta!

Kastor wgramolił się za kierownicę, a zdezorientowany właściciel fiata usiadł na fotelu pasażera.

– To można tak? Macie prawo?

– Mordercę gonię! Chcesz pomóc czy nie?

– Ogień, kurwa! – W młodym mężczyźnie obudził się duch walki. – Zajebicie! Jak na filmach! Co gonimy?

– Biały escort.

– Może być ciężko... – Chłopak skrzywił się.

Komisarz wykręcił na drodze i przyspieszył gwałtownie. Próbował wrzucić drugi bieg, ale jego wysiłki spęły na niczym.

– Dwójka i trójka nie wchodzi.

– To jak mam jechać?

– Normalnie, z jedyńki na czwórkę!

Kastor westchnął ciężko i zastosował się do instrukcji. Samochód

rozpędzał się w żółtym tempie. W końcu gdy nabrał prędkości, udało się wrzucić piąty bieg, a poziomy wskaźnik prędkościomierza zaczął przesuwając się w prawo. Gdy zbliżyli się do jednej z potężnych kałuż, właściciel auta odsunął się na prawo i zakrył twarz rękawem. Komisarz zauważył to kątem oka i miał spytać, o co chodzi, gdy wjechali w kałużę, a spod drążka zmiany skrzyni biegów chlusnęła fontanna wody, zalewając pasażerów.

– Co to, kurwa, było!?! – wydarł się kierowca, wycierając twarz.

– Szwagier mi już trochę tę skrzynię rozebrał. Naprawić trzeba. No i od dołu troszkę chlapie.

Komisarz nie pokusił się o komentarz. Od tej pory gdy przejeżdżali przez jakąś kałużę, po prostu zakrywał dłonią twarz, chroniąc oczy. Duży fiat nie mógł się równać z audi. Toporna konstrukcja ciężko wchodziła w zakręty, ale Kastor nie zdejmował nogi z pedału gazu. Gdy pionowa kreska sięgnęła prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę, chłopak powiedział:

– Więcej nie pójdzie.

Gdy osiągnęli prędkość stu trzydziestu, właściciel mocno się zdziwił. A gdy jechali sto czterdzieści, przeżegnał się ukradkiem. Po pięciu minutach ze skrzyni dało się słyszeć metaliczny, lekko buczący grzechot.

– Ja pierdzielę. Człowieku, skrzynię mi zarżniesz.

Komisarz nic nie odpowiedział. Był maksymalnie skoncentrowany na drodze. Pokonywał kolejne zakręty zalanej gwałtowną ulewą drogi. Po którymś razie w oddali zobaczył rozjarzone światłami przejście graniczne, przed którym stała niewielka kolejka samochodów. W tym samym momencie duży fiat szarpnął gwałtownie i samochód zaczął wytracać prędkość.

– Kurwa mać! – zaklął Kastor.

– No i po skrzyni... – westchnął z żalem właściciel.

Gdy auto stanęło, komisarz wysiadł na zewnątrz. Deszcz trochę osłabł i nawet z tej odległości widział białego escorta czekającego karnie w kolejce pojazdów. Przed nim były tylko dwa samochody. Funkcjonariusze Wojsk Ochrony Pogranicza uchyliłi szlaban i



pierwszy z samochodów przejechał przez granicę. Komisarz wiedział, że nie ma szans, żeby tam dobiec. Wyciągnął broń i strzelił kilka razy w powietrze. Ale szum deszczu oraz przechodzące po niebie grzmoty całkiem zagłuszyły strzały. Nikt na przejściu ich nie usłyszał. Drugi samochód przejechał przez granicę. Pilnujący przejścia wopista podszedł do drzwi kierowcy białego escorta i zasalutował elegancko, a Turecki podał mu swoje dokumenty.

Kastor klęknął na jedno kolano i wymierzył dokładnie. Pociągnął za spust, a jedna z lamp jarzeniowych zawieszonych nad przejściem roztrzaskała się z hukiem. Wopista rozejrzał się po okolicy, chwytając za broń w kaburze. Z budynków wybiegło kilku pozostałych żołnierzy, przeładowując swoje karabiny. Komisarz z satysfakcją zauważył, że jeden z wojskowych gazików blokuje przejście z drugiej strony, a potem jeszcze kilka razy wystrzelił w powietrze, aby żołnierze mogli go zauważyć.

Gdy trzech wopistów zbliżyło się do niego z kałasznikowami gotowym do strzału, komisarz ukląkł i odłożył broń. W wyciągniętej dłoni trzymał swoją legitymację.

– Jestem z policji! – wydarł się. – Białe ford escort! Nie pozwólcie mu przekroczyć granicy! Jest podejrzany o zabójstwo trzech osób!

Żołnierz podszedł bez słowa, nawet nie patrząc na zalaną deszczem legitymację. Odwrócił karabin i wymierzył mocny cios kolbą w czoło komisarza. Prosto w niedawno zszytą ranę. Kastor osunął się na ziemię, tracąc przytomność.

Ocknął się pół godziny później w karetce. Jeden z lekarzy właśnie kończył zszywać na nowo rozciętą skórę. Gdy doszedł do siebie, wyjaśnił wszystko z dowódcą wojskowej obsady przejścia granicznego. Sprawdzono jego tożsamość, którą potwierdził nadkomisarz Tyszowiecki oraz komendant wojewódzki. Ten ostatni załatwił też więźniarkę Wojskowej Służby Wewnętrznej, która miała przewieźć zatrzymanego.

Po drodze udało im się wziąć na hol audi i wyciągnąć je na drogę.

Okazało się, że poza tym, że auto było dokumentnie uświnione, nie doznało żadnych uszkodzeń. Jednak Kastor był tak wyczerpany, że zamienił się z młodym kapralem Wojsk Ochrony Pogranicza. Uradowany żołnierz usiadł za kierownicę audi, a komisarz zajął miejsce na siedzeniu pasażera wojskowej nyski. Gdy tylko więźniarka ruszyła, Kastor zapadł w sen.

#### 4.

*Remus stoi w dole po pas i energicznym ruchem wyrzuca nowe porcje ziemi na zewnątrz. Po śniegu nie ma już śladu. Co prawda zawiewa dość chłodny wiatr, ale temperatura jest mocno na plusie. Ziemia jest rozmięknęta i łatwo poddaje się kolejnym ciosom szpadla.*

*– Dziadek, mogę już iść do domu? – pytam i wciągam gile do nosa.  
– Chciałbym się pobawić.*

*– Nie! – odpowiada ostrym tonem. – Masz tu być ze mną. Może niewiele pomożesz, ale chcę, żebyś na to popatrzył. To twoja wina!*

*Kulę się pod wpływem jego agresywnego tonu. Dziadek rzadko jest dla mnie taki niedobry. Nie lubię, kiedy tak krzyczy. Boję się. Gdy dół jest już odpowiedniej głębokości, Remus wygrzebuje się ze środka i idziemy do domu. W kuchni zamiast drzwi za kotarą jest świeżo wymurowana ściana. Tylko u dołu nie ma kilku rzędów cegieł, a całość podparta jest szalunkiem z desek. Dziadek wkłada rękę do środka i po chwili wyjmuję linę. Ciągnie ją, aż ceratowy pakunek wysuwa się na kuchenną podłogę. Jest kilka warstw plandek, ale smród i tak jest straszny. Łzy zaczynają cieknąć mi po policzkach. Ja dorosły doskonale znam ten odór. Czuję go dziesiątki razy podczas swojej policyjnej pracy. Trup.*

*– Pomóż mi chociaż trochę. Ciągnij tę linę.*

*Stosuję się do polecenia dziadka i razem wyciągamy zwłoki na zewnątrz. Miejsce wykopu jest oddalone od latarni o jakieś sto metrów. Wkrótce ceratowy pakunek ląduje w dziurze w ziemi, a*

*Remus zasypuje dół. Potem wracamy do kuchni. Sapiąc i prężąc się, podaję dziadkowi cegły. A on układa je w dziurze, zalepiając dodatkowo zaprawą. Po południu dokładnie tynkuje ścianę, a późnym wieczorem maluje całość na biało. Nie ma śladu po kotarze. Teraz jest to po prostu trochę bielszy kawałek kuchennej ściany.*

*Następnego dnia trzymam deski, które Remus tnie na mniejsze kawałki. Najpierw układa podłogę, potem dokładnie i z mozolem stawia belki, do których przybija gwoździe. W końcu całość nakrywa dachem. Powstaje całkiem zgrabna, drewniana szopa, stojąca w miejscu wykopanego wcześniej dołu. Kolejny dzień pozwala dziadkowi dokończyć dzieła. W drewnianym składziku wstawia wszystkie niezbędne narzędzia, których używa przy utrzymaniu terenu w lecie. Na koniec po bokach szopy sadi dwie małe, wątłe brzoźki. Podchodzi do mnie, klęka i ściska mnie za rękę. Płacze i mówi:*

*– Kasti, obiecaj mi. Nigdy, przenigdy nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Zrozumiałeś?*

*– Tak.*

*– Kocham cię – mówi Remus przez łzy. – Zostałeś mi tylko ty.*

*– Ja też cię kocham, dziadek.*

*Ja sześćioletni naprawdę tak myślę. Kocham tego staruszka.*

## Rozdział VIII

### 1. Poniedziałek, 11 czerwca 1990

Wojskowa nyska dowlokła się w końcu na Mogilską. Policjanci przejęli zatrzymanego i zaprowadzili go na górę. Kastor usiadł na ławce pod komendą, wyciągnął swój notatnik i skrupulatnie zapisał sen. Czy można być normalnym, mając takie wspomnienia z dzieciństwa, zastanawiał się przygnębiony, jeszcze raz analizując wyśnioną sytuację. Nie miał wątpliwości, że była realna. Spał niecałe trzy godziny i choć jeszcze tydzień temu byłby dzięki temu nakręcony jak katarynka, to teraz czuł się jak szmata.

Z budynku wyszedł Czarek, zapalił papierosa i podszedł do niego.

– Cześć. Dobra robota.

– Dzięki.

– Chodź, mamy naradę u Tyszola.

Komisarz skinął niechętnie głową, schował notatnik i podniósł się z trudem z ławki. Gdy weszli do gabinetu nadkomisarza, Tyszowiecki obrzucił wzrokiem Kastora. Kompletnie przemoczone ubranie nie wyschło do końca i komisarz po prostu śmierdział. Skołtunione blond włosy wyglądały jak gniazdo, w które strzelił piorun. Dodatkowo na nowo zszyta rana otoczona była niebiesko-krwawym siniakiem.

– Wyglądasz jak gówno. – Tyszowiecki postanowił być szczery.

– Mówiłem ci już dzisiaj, jak bardzo cię cenię i podziwiam? – Kastor skrzywił się.

– Jeszcze nie.

– No to zapomnij. Czekamy jeszcze na kogoś?

– Na prokuratora.

Kastor miał już spytać, o którym konkretnie mowa, gdy zobaczył wchodzącego do gabinetu mężczyznę z kartonem pod pachą. Był

niski i chudy. Jego nijakie włosy pokryte dużą ilością żelu wyglądały jak niemyte od tygodnia. Twarz porwana śladami po ospie oraz małe ciemne oczka sprawiały nieprzyjemne wrażenie. Prokurator miał z komisarzem jedną wspólną rzecz. Dziwne imię. Nazywał się Gracjan Wiśniewski i mimo że głównie umiał, uważał się za prawniczą elitę tego kraju. Przyjechał z Pcimia i sama możliwość mieszkania w Krakowie była dla niego swoistym awansem.

Osobiście komisarz, jak to on, unikał komplikacji i dzielił prokuratorów na dwie kategorie. Tych, którym coś się chciało zrobić i nie bali się pracy w terenie, oraz takich jak Wiśniewski. Niewyściubiających nosa poza swoje gabinety na Mosiężniczej. Uważających, że każdą sprawę da się rozstrzygnąć na podstawie zdjęć i protokołów. Ciekawe, jak na niego matka wołała, zaczął się wyżyłkować w myślach Kastor. Gracjanek?

– Dzień dobry, panowie. – Prokurator zrobił groźną minę. – Rozumiem, że jest robota do wykonania.

– Czyżby pan prokurator zamierzał być na przesłuchaniu? – spytał komisarz z fałszywym uśmiechem.

– Owszem. Skąd to pytanie?

– Do tej pory nie angażował się pan za mocno w śledztwo. Próbuje sięgnąć pamięcią, czy był pan na którymś z miejsc zbrodni...

– Wkraczam do akcji wtedy, jak jest podejrzany. Do tej pory kiepsko panu szło – parsknął Wiśniewski.

– Tydzień czasu. Moim zdaniem całkiem nieźle. Co pan zrobił w tym czasie? Może przesłuchał kogoś?

– Panowie, zajmijmy się sprawą. – Tyszol uciął przekomarzanie. – Jak zamierzamy rozkuć gościa?

– Rozkuć, czyli doprowadzić do przyznania się do winy – mruknął Kastor do Czarka, a ten skinął w milczeniu głową.

– Jak tylko dostaliśmy w nocy cynk o tej rozróbie na przejściu, obecny tu młodszy aspirant dokonał przeszukania mieszkania przy Solnej.

– Tak jest. – Czarek z namaszczeniem zaczął rozkładać fotografie na stole, a wszyscy obecni pochylili się nad blatem. – Podejrzany

posiada znaczną, powiedziałbym, gigantyczną, kolekcję noży. Wiszą dosłownie wszędzie, nawet w kiblu.

Zgromadzeni przyglądali się w milczeniu ścianom w pokojach, łazience i kuchni, dosłownie zastanych wiszącymi nożami przeróżnych typów i rodzajów.

– To jest najlepsze. – Czarek wyłożył na środek ostatnie zdjęcie. – Stało na środku w salonie.

Fotografia przedstawiała potężny kamień do ostrzenia noży w kształcie koła. Narzędzie obsadzono w metalową ramę, podpieraną przez cztery masywne nogi.

– Według techników narzędzie było w ciągłym ruchu. W piwnicy znaleźliśmy jeszcze cztery takie koła. Facet musiał ciągle ostrzyć każdy z tych noży – wyjaśnił Czarek. – Były takie ostre, że z początku dwóch ludzi od Smoka pocięło sobie palce. Dopiero później zwijali je ostrożnie.

– Robią już ślady biologiczne? – spytał Kastor.

– Pewnie, że robią. – Tyszol wzruszył ramionami. – Ale to nie fabryka gwoździ. Może jutro coś będziemy mieli.

– Jest jedno ułatwienie – wtrącił Czarek. – Na jednej maczecie znaleźliśmy ślady krwi. Były widoczne gołym okiem.

– Nie zmyłby krwi? – Kastor skrzywił się. – Gościu jest debilem?

– Debilem może i nie, ale pojebem jak najbardziej. – Gracjan Wiśniewski westchnął. – Pierdzieć w pasiaki to na pewno nie pójdzie.

– Niby dlaczego? – zdziwił się komisarz.

– Anna Karenina – powiedział prokurator i wyciągnął opasył tom z kartonu, rzucając go na blat. – Wojna i pokój. – Na stole wylądował kolejny tom. – A na koniec Bracia Karamazow. – Wiśniewski z hukiem posłał na blat trzecią teczkę.

– Stał się pan miłośnikiem literatury rosyjskiej?

– To jest dokumentacja medyczna Włodzimierza Tureckiego. Facet jest schizofrenikiem.

– Może nie jest jednak do końca takim durniem. – Kastor sięgnął do marynarki i położył na stole kopertę z charakterystycznym

żurawiem w kółku, pełniącym rolę logo Lufthansy. – To znaleźliśmy w jego samochodzie.

– Bilety lotnicze – mruknął Tyszol i zajrzał do koperty. – Z Wiednia do Madrytu.

– W Hiszpanii zniknąłby jak kamfora – stwierdził prokurator.

– Panowie. Zabierajcie się do roboty – podsumował spotkanie nadkomisarz.

Zanim weszli do pokoju, Wiśniewski zatrzymał się na korytarzu i powiedział do Kastora:

– Ja prowadzę przesłuchanie.

– To trzeba umieć, to po pierwsze...

– Nie przerywaj mi! – Prokurator spąsował na twarzy. – Ja jestem po studiach na UJ-ocie! Aplikację prokuratorскую skończyłem z wyróżnieniem. Ty jesteś zwykłym krawężnikiem.

Komisarz uśmiechnął się pod nosem i przypomniał sobie powiedzenie ze szkoły policyjnej, że „ujot to pies psa”. Otworzył drzwi do pokoju i powiedział:

– Zapraszam.

Na środku pomieszczenia siedział Włodzimierz Turecki ze zwieszoną głową. Dłonie miał przykute kajdankami do metalowego krzesła. Kastor dał znak pilnującemu go mundurowemu i policjant zasalutował elegancko, wychodząc z pokoju.

Wiśniewski obrzucił zdziwionym spojrzeniem pochrapującego Kwiatka.

– A to kto?

– Sierżant Robert Kwiecień – powiedział komisarz. – Bardzo dobry policjant.

– Niedługo skończą się te wasze harce... – Prokurator zajął miejsce za biurkiem Kastora. – Zrobią z wami porządek. Burdel jak zawsze.

– Po prostu pracuje na nocną zmianę, a chwilowo ma ciężką sytuację w domu.

– Dobra, dobra. Ty młody będziesz protokołował.

Czarek spojrział pytająco na komisarza, ale ten skinął lekko głową. Młodszy aspirant usiadł za biurkiem Kwiatka i umieścił kartkę papieru w maszynie do pisania.

– Proszę zdjąć kajdanki podejrzanemu.

– Jest pan pewien?

– Nie dyskutować! Wykonywać polecenia! – Twarz Wiśniewskiego znowu przybrała czerwoną barwę.

Kastor zdjął kajdanki Tureckiemu i sam zajął miejsce na krześle należącym do Gienia. Podejrzany rozmasował nadgarstki i uniósł głowę. Miał dziwne, przenikliwe spojrzenie, które zarazem sprawiało wrażenie nieobecnego. Jakby facet jedną nogą był w pokoju na Mogińskiej, a drugą zupełnie gdzie indziej. Gracjan Wiśniewski upajał się zadawanymi przez siebie, banalnymi pytaniami dotyczącymi miejsca urodzenia, roku, imion rodziców, adresu i tak dalej. Turecki na wszystkie pytania odpowiedział bezbłędnie. Prokurator zrobił efektowną pauzę i spytał:

– Czy przyznaje się pan do zamordowania Zbigniewa Gutowskiego?

– Oczywiście – odparł Turecki bez chwili wahania.

– Czy przyznaje się pan do zamordowania Marii Benikowskiej?

– Tak.

Wiśniewski spytał wzrokiem stukającego na maszynie Czarka, a ten skinął głową, że jak najbardziej wszystko zapisał.

– Niestety nie znamy personaliów trzeciej ofiary. – Prokurator cmoknął. – Tej, której wetknął pan symbol w kręgosłup. Jak się nazywała?

– Nie mam pojęcia. – Podejrzany wzruszył ramionami.

– Ale przyznaje się pan do jej zamordowania?

– Oczywiście.

– Zaraz, to jest jakaś kpina! – Kastor wstał z krzesła. – Nie znał jej, ale przyznaje się do zamordowania?

– Proszę wyjść, jeśli nie potrafi pan powstrzymać emocji! – Wiśniewski bardzo starał się wyglądać na groźnego, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Jak zamordowałeś Gutowskiego? – Komisarz nachylił się nad



podejrzanym. – Czym?

– Nożem – odparł Turecki z pewnością w głosie. – Zawsze tak zabijam. Diabeł mi każe.

– Jaki diabeł?

Prokurator dał znak gestem Czarkowi, aby tego nie protokołować.

– Jest ze mną cały czas. – Podejrzany spojrział poważnie na komisarza. – To ty mnie śledziłeś, prawda? Diabeł mi powiedział. Siedział na tylnym siedzeniu. On jest mądry.

– Zorientował się pan, że jest śledzony przez komisarza Grudzińskiego, tak? – Wiśniewski dał znak, a pokój ponownie wypełnił stukot maszyny do pisania. – I chciał pan uciec do Madrytu?

– Do Madrytu? – Turecki zdziwił się szczerze. – Nie, jechałem do Wiednia. Zawsze chciałem zobaczyć Pałac Schönbrunn i katedrę Świętego Szczepana.

– Beczka, skąd miałaś beczkę? – wtrącił Kastor.

– Jaką beczkę?

– Zbigniewa Gutowskiego znaleźliśmy w beczce.

– Dobrze, chyba naprawdę możemy na tym skończyć. – Wiśniewski wstał zza biurka. – Przyznał się pan do zabójstwa trzech osób.

Prokurator wyciągnął kartkę z maszyny do pisania, przebiegł treść wzrokiem i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak, to powinno wystarczyć. Proszę tutaj podpisać.

Kastor pokręcił głową z niedowierzaniem, a Turecki wstał i złożył zamasytany podpis na protokole. Potem gwałtownym gestem zmiął kartkę w kulkę i wcisnął sobie w spodnie.

– Co!? – Wiśniewskiego zatkało. – Co pan wyprawia!?

Podejrzany z dzikim grymasem na twarzy chwycił za maszynę do pisania i cisnął nią w prokuratora. Ten uchylił się w ostatniej chwili, a masywne urządzenie z ogłuszającym hukiem wybiło szybę i wyleciało na zewnątrz. Turecki rzucił się na Gracjana, chwycił go za szyję i przyspilił do podłogi. Prokurator zaczął charczeć, a Czarek poderwał się na nogi, żeby mu pomóc. Komisarz uspokoił gestem młodszego kolegę i nieśpiesznie nachylił się nad Wiśniewskim.

– Panie prokuraturze – odezwał się niewinnym głosem Kastor. – Nie wiem, może już zakujemy podejrzanego, co? Chciałem zapytać, bo to przecież pan prowadzi przesłuchanie.

– K-k-k-urwa t-t-twoja – wycharczał Wiśniewski.

Komisarz dał znak Czarkowi i odciągnęli wściekłego Tureckiego od prokuratora. Potem cisnęli kilka razy zatrzymanym o szafę, a w końcu siedli na nim, wykręcając ręce. Podejrzany zaczął drzeć się jak opętany, a w chwili, w której zakładali mu kajdanki, do pokoju wszedł mężczyzna w eleganckim, ciemnym garniturze i z drogim neseserem w ręce.

– Co tu się dzieje? – spytał, patrząc na bladego prokuratora podnoszącego się z podłogi i krzyżącego zatrzymanego.

– Przesłuchanie! A co!?! – wydarł się wściekły Kastor.

– Mecenas Roman Frent. Pan Włodzimierz Turecki jest moim klientem.

– Właśnie przyznał się do zabójstwa trzech osób – powiedział prokurator, masując szyję. – Wyciągnijcie mu ten protokół!

– To oni! Zrozumcie, że to oni za tym wszystkim stoją! – Zatrzymany zaczął wierzgać. – Śledzą mnie! Podstuchują! Znają mój każdy krok! Nic nie mogłem zrobić! Przysięgam!

Czarek obrócił leżącego i rozpiął mu spodnie.

– Co pan wyrabia? Złóżę na was skargę! – wydarł się adwokat.

– Skurwysyn! – Młodszy aspirant skrzywił się z obrzydzeniem. – Zesrał się w gacie.

– Panie prokuratorze. – Mecenas odezwał się ciszej. – Wnoszę o wysłanie mojego klienta na badanie psychiatryczne.

– Nie! – wrzasnęła Turecki. – Tylko nie Kobierzyn! Oni tam są! Zabiją mnie! Zajebią! Zapierdolą!

– Przychyłam się do wniosku. – Prokurator wyraźnie miał dość. – Panie komisarzu, jesteśmy w kontakcie. Jakby co, to jestem u siebie na Mosiężniczej.

Kiedy w końcu zjawiała się ekipa pogotowia i zabrała Włodzimierza Tureckiego na obserwację, Kastor spróbował jako tako doprowadzić

się do porządku. Siedział teraz w audi zaparkowanym przed komendą i uruchomił silnik. Pracownicy garażów w międzyczasie wymyli dokładnie auto i teraz wyglądało tak, jakby w ogóle wczorajszej nocy nie wyleciało z drogi.

Szybko stwierdził, że to bardzo zły pomysł. Ale to było silniejsze do niego. Po prostu zadziałał jak automat. Zawrócił na Mogilskiej i popędził w kierunku ronda. Pięć minut później był już na placu Matejki. Zaparkował przy krawężniku i spojrzał na pomnik Grunwaldzki. Postać wielkiego mistrza krzyżackiego wprost zasłana była bukietami fiołków. Było ich ze trzydzieści, albo i więcej. Z jednej strony, uśmiechnął się blado na ten widok, a z drugiej, przypomniał sobie wczorajszą scenę i namiętny pocałunek Oli z obcym, przynajmniej dla niego, mężczyzną.

Skup się na sprawie, rzucił w myślach i odjechał szybko. Doskonale znał tryb urlopowy Gienia. Wiedział, że teraz jest już na swojej niewielkiej działce w okolicach Dobczyc. Miał tam mały domek i łódkę, którą wy pływał na jezioro, wędkując do woli. Co prawda z Krakowa było tam przeszło trzydzieści kilometrów, ale musiał spróbować. Czuł, że ta sprawa wymyka mu się z rąk. Kompletnie nie wierzył w winę Tureckiego. Za wszelką cenę musiał odnaleźć majora SB, Joachima Grenia, aby kasiarz zechciał otworzyć sejf. Skoro Gieniu pracował kiedyś w bezpieczeństwie, to może mi jakoś pomoże, pomyślał komisarz, wjeżdżając na Grzegórzki.

Godzinę później czarne audi zaparkowało przed małym, wymurowanym z pustaków domkiem. Budynek nie był otynkowany, miał za ledwie dwa okna i jedno wejście. Kastor spojrzał ze zdziwieniem na dym unoszący się z niewielkiego komina. Pogoda była zbliżona do tej z dnia poprzedniego. Na niebie nie było ani jednej chmury, a słońce mocno prażyło, rozświetlając widoczną nieopodal taflę jeziora.

Wszedł do środka i skrzywił się od buchającego z wnętrza gorąca. Przez kratkę żelaznej kozy widać było tańczące płomienie. Komisarz z miejsca poczuł, jak koszula przykleja mu się do pleców. Rozejrzał się po pomieszczeniu. W jednym z kątów zauważył piętujące się

teczki, z których wystawały setki kartek. Podeszedł i wziął do ręki jedną z nich. „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Teczka Personalna Tajnego Współpracownika”. Otworzył ją i zerknął na fotografię anonimowego mężczyzny. Nie to, że usłyszał. Bardziej wyczuł czyjś ruch i odwrócił się gwałtownie, kładąc dłoń na kolbie pistoletu.

W drzwiach stał Gieniu. W prawej ręce trzymał brązowy kanister na benzynę. Uśmiechnął się jakoś dziwnie. W tym grymasie była sympatia do Kastora, trochę smutku, a także jakiś rodzaj straceńczej rezygnacji.

– Płacą ci za to? – spytał komisarz. – Za tę forszę kupiłeś sobie drugie mieszkanie na Długiej?

Przez chwilę wydawało się, że Gieniu coś odpowie na zadane pytania. Zamiast tego podniósł jednak kanister do góry i oblał się benzyną.

– Nie! – krzyknął Kastor i wyciągnął broń.

Aspirant Jankowski zamachnął się kanistrem i chlusnął strumieniem benzyny na rozgrzaną do czerwoności kożę. Paliwo szybko objęły płomienie, posuwając się w szaleńczym pędzie do kanistra. Komisarz nie miał wyboru, rzucił się do wyjścia i przywarł do zewnętrznej ściany obok drzwi, zasłaniając rękawem twarz. Usłyszał głucho łupnięcie, gdy kanister wybuchł, a z wejścia na zewnątrz buchnęły płomienie.

Chciał wejść i pomóc koledze, ale rozgrzane i suche wnętrze domku w kilka sekund zajęły płomienie. Nie można było nawet podejść do drzwi. Usłyszał zwierzęce wycie Gienia Jankowskiego. Jedyne, co mógł zrobić, to pobiec do samochodu i wezwać pomoc przez radio. Tak też uczynił.

## 2.

Zgasił silnik samochodu. Czarne audi stało zaparkowane na Józefitów, ale nie wysiadał. Siedział z zamkniętymi oczami. Był

potwornie zmęczony. Zwalczył w sobie przemożną chęć zaśnięcia po prostu tutaj, w samochodzie. Murowana konstrukcja letniskowego domku zadziałała niczym piec. Gdy straż pożarna dojechała na miejsce, mogli tylko zalać wodą pogorzeliisko. Z Gienia zostały czarne, cienkie kości, powykręcane niczym gałęzie nadmorskiej sosny. Temperatura była tak olbrzymia, że szyby w oknach po prostu się stopiły. Po teczkach nie został żaden ślad. Czy powinienem o tym komuś powiedzieć, zastanowił się Kastor. Tylko komu? Czy to może mieć jakiś związek z zabójstwami?

W końcu otworzył drzwi i wysiadł z auta. Przechodząca kobieta spojrzała na niego z zaskoczeniem i odsunęła się z trwogą na twarzy. Kastor podszedł do witryny zakładu krawieckiego. Na wystawie stało sporych rozmiarów lustro. Zmoczone w nocy ubranie miał teraz pokryte popiołem, a twarz, łącznie ze szpetną raną, wysmarowaną sadzą. Kolejne ciuchy do wyrzucenia, pomyślał z rezygnacją. Jak tak dalej pójdzie, to zbankrutuję, wydając na nową garderobę.

Szedł na górę po schodach, próbując wygrzebać z marynarki klucze. Zatrzymał się na półpiętrze, patrząc na siedzącą na schodach Olę. Podkuliła nogi, obejmując je ramionami, a głowę wtuliła między kolana.

– Ola?

Uniosła twarz. Miała podkrążone oczy i szarą cerę. Wyglądała, jakby dopiero co skończyła płakać. W tym momencie dałby jej lekką ręką dziesięć lat więcej.

– Źle wyglądasz – powiedział Kastor zaniepokojonym tonem.

– Ja? – Uśmiechnęła się blado. – Widziałeś siebie?

– Owszem, na dole u krawca. Dlaczego tu siedzisz? Przecież masz klucze.

– Przecież wiesz... – Spojrzała w bok, na ścianę. – Jak zatrąbiła ciężarówka, odwróciłam się. Zobaczyłam, jak odjeżdżasz. Chciałam...

Nie skończyła zdania, łzy napłynęły jej do oczu. Komisarz wyminął ją na schodach, otworzył drzwi do mieszkania i powiedział:

– Chodź.

Weszli do środka, a on z miejsca zaczął zdejmować brudne ubranie.

– Przepraszam cię, ale muszę wziąć prysznic.

– Jasne. To co, może ja dam jeść dziewczynom? – spytała niemrawo. – Kupiłam też dwie konserwy. Widziałam, że masz ryż. Odsmażę nam z cebulką, co?

„Też coś kupiłem”, chciał powiedzieć Kastor, ale ugryzł się w język. Wcześniej, po tym jak zobaczył fiołki i jechał do Dobczyc, zatrzymał się na stacji, by zatankować, i kupić kilka prezerwatyw. Wiedział, że najpierw czeka ich rozmowa. Rozmowa, w której w pewien sposób to on będzie górą. Teraz czuł się źle i głupio, że wcześniej w ogóle mógł pomyśleć o seksie. Umył się dokładnie, potem przemył zaognioną ranę spirytusem, założył szlafrok i przeszedł do kuchni. Jedli w milczeniu konserwę z ryżem. Co jakiś czas patrzyli sobie w oczy, by po sekundzie płoszyć się i przenosić spojrzenie na jakiś mebel.

– Uwierz mi, że to z Przemkiem skończone – odezwała się w końcu.

– Z Przemkiem?

– Moim szefem.

– Daj spokój, Ola. Nie musisz mi się tłumaczyć. Przecież nie jesteśmy małżeństwem. Mało tego, nie jesteśmy nawet parą.

Zauważył, że ostatnie zdanie ją zabolowało. Taki miał zamiar.

– Chodzi o to, że spotykałam się z nim przez pewien czas. Ale ten związek miał pewne minusy. Boże, co ja gadam... Miał praktycznie same minusy. Zgłosiłam się do tej agencji i poznałam ciebie.

– I co?

– Dobrze wiesz, co! – niemal krzyknęła. – Podobasz mi się. Nawet za bardzo, rozumiesz? Zerwałam z Przemkiem, a tego dnia wszystko sobie wyjaśniliśmy. On tylko mnie poprosił, żebym go pocałowała. Ostatni raz... A ja się zgodziłam jak jakaś głupia. To wszystko.

– Nie dziwię ci się – powiedział komisarz, kończąc jedzenie. – Przystojny facet. Samochód też ma pewnie fajny.

– Wychodzę! – Wstała gwałtownie od stołu. – Przepraszam, że zawracałam ci dupę! Nie lecę na samochody, jakbyś nie wiedział. A ty z tym swoim użalaniem się nad sobą jesteś naprawdę żałosny. I wiesz co? Pieprz się!

– Poczekaj. – Komisarz przeszedł za nią i stanął w drzwiach. – Porozmawiajmy.

– Puść mnie! Wychodzę z tego pierdolonego domu! – Łzy ciekły jej po policzkach.

– Uwierz mi, że...

– Że co!?

– Coś do ciebie poczułem – powiedział zupełnie bezradny wobec tego, co myślał. Ale taka była prawda.

– Myślisz, że ja nie? Ty cholerny idioto! Rznąłam się tu z tobą wczoraj jak małolata! A ty przez jakiegoś dyżurnego mówisz mi, że mam do ciebie nie dzwonić! Tylko na tyle było cię stać!?

– Zrozum. Niby dlaczego miałbym ci się podobać? Jestem gliniarzem mieszkającym z dwoma szcurzycami.

– Nie mam pojęcia! Po prostu cię polubiłam, zakochałam... Sama już nie wiem.

Rozpłakała się na dobre, a on ją przytulił. Całował łagodnie w czoło, głaszcząc po włosach. Odsunął ją w końcu i przechylił jej głowę nieco do góry, wycierając łzy kciukiem.

– Wierzę ci. I gówno dla mnie znaczy tamten pocałunek. Ja też się w tobie zakochałem.

Skinęła głową, siorbnęła nosem i wtuliła się w niego.

– Miałem naprawdę popieprzony dzień. Ta sprawa, którą prowadzę... – Urwał. Postanowił nie wtajemniczać Oli w szczegóły. – Jestem wyczerpany. Muszę zebrać myśli, odpocząć. Jutro do ciebie zadzwonię, obiecuję.

– Rozumiem. – Wytarła resztę łez i pocałowała go namiętnie w usta. – Przepraszam, ale muszę zapytać. Więc nie masz siły na...

Miał. Pierwszy raz kochali się namiętnie i gwałtownie. Drugi bardziej perwersyjnie, w wyjątkowo wyuzdanych pozycjach. A trzeci delikatnie i leniwie, trochę od niechcenia. Gdy po wszystkim Kastor zasnął kamiennym snem, Ola ubrała się, pocałowała go delikatnie w czoło i wyszła, zamykając cicho drzwi.

### 3.

Słyszał uporczywe dzwonienie, ale nie mógł otworzyć oczu. Gdy tylko próbował się obudzić, na nowo zapadał w sen. Był półprzytomny. W końcu uniósł się na łokciu i po omacku wyszukał budzik. Wdusił kilka razy centralnie umieszczony przycisk, ale dzwonienie nie ustawało. Uświadomił sobie swój błąd, wstał i powłókł się do telefonu.

– Halo? – wychrypiał do słuchawki, zerkając na zegarek. Była dziewiąta wieczorem. – Co? Ja pierdołę. Dobra, zaraz cię zgrnę i jedziemy.

Ile spałem? Cztery, pięć godzin, zastanawiał się, przemywając twarz zimną wodą. Dwadzieścia minut później odebrał Kwiatka z Mogińskiej i teraz czarne audi sunęło ulicami w kierunku Dębnik. Sierżant miał na sobie garnitur w paski i seledynową koszulę. Wnętrze samochodu wypełniały aromaty pomelo i orzechów brazylijskich, połączonych z hiacyntem. Niestety zbliżała się godzina dziesiąta i oprócz wyżej wymienionych zapachów czuć było też zwykłą, ordynarną gorzałę.

Kastor zwolnił, gdy wjechali na teren parku. Czarne audi toczyło się wąską, źle oświetloną alejką. Zabytkowy dom na końcu drogi swoim wyglądem bardziej przypominał kościół niż szpital. Zaparkował samochód i wysiedli.

Ponuro. Tak jednym słowem prezentowała się okolica oraz niemal stuletni budynek psychiatryka. Komisarz zawsze się zastanawiał, dlaczego szpitale dla umysłowo chorych wyglądają w ten sposób. Ktoś trafiający tu w depresji mógł co najwyżej stać się jeszcze bardziej przygnębiony niż wcześniej.

Wnętrze było równie odpychające. Pielęgniarka prowadziła ich w górę po surowych, odrapanych schodach zabezpieczonych zewsząd metalową siatką. Każdy element wystroju gmaszyska wręcz krzyczał: „Jeśli jest ci źle, to u nas będzie jeszcze gorzej!”. Szli długim korytarzem. Raptem co druga żarówka w metalowej osłonie rzucała jakiegokolwiek światło. Regularne, ostre błyski wypadały na korytarz z



jednej z sali położonych na końcu holu. To Smok i jeden z jego pracowników robili zdjęcia. Flesz rozświetlał rozciągnięte na podłodze zwłoki Włodzimierza Tureckiego. Szara twarz, wytrzeszczone oczy i wywalony na zewnątrz język. Szyja zmarłego owinięta była skręconym prześcieradłem z wyraźnym śladem odcięcia czymś ostrym. Druga część prowizorycznej liny przymocowana była do kraty wstawionej w okno.

Poza technikami kryminalistyki, z którymi Kastor przywitał się od razu, w pomieszczeniu był jeszcze szczupły mężczyzna w białym kitlu. Miał całkowicie łysą głowę, okulary w czarnych oprawkach i jakiś dziwny, wściekły wyraz twarzy. Gdybym mógł stawiać diagnozę po wyglądzie, to ten facet z miejsca kwalifikuje się na oddział zamknięty, pomyślał komisarz i powiedział:

– Dobry wieczór. Kastor Grudziński, komenda wojewódzka. Pan jest lekarzem?

– No chyba nie pielęgniarką? – Głos miał równie nieprzyjemny, co twarz. Skrzekliwy i sepleniący zarazem. – Doktor Michał Strzelecki.

– Może mi pan powiedzieć, jak do tego doszło?

– A co, nie widać? Pacjent powiesił się na kracie. Wie pan, to szpital psychiatryczny. Generalnie dużo ludzi chce tu strzelić samobója.

Komisarz miał już zadać pytanie, czy takie określenie, aby na pewno przystoi lekarzowi, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu.

– Kiedy go przyjęliście? Nie był agresywny?

– Trochę, ale bez przesady. Gorszi się tu trafiają. Tak czy siak, przypięliśmy go do łóżka. – Lekarz wskazał na metalową pryczę ze skórzanymi pasami.

– I co? Chce mi pan powiedzieć, że się z tego uwolnił?

– Nie, podaliśmy mu leki, które miał przy sobie, i się trochę uspokoił. Dlatego pod wieczór go wypięliśmy.

Kastor zerknął na stolik. Stała na nim ta sama buteleczka z lekami, którą znaleźli w białym escorcie.

– Nie przepisywaliście mu innych leków?

– Po co? Te, które ktoś wcześniej mu zalecił, były w sam raz.

– Czyja to była decyzja, żeby go uwolnić z pasów?  
– Lekarza prowadzącego.  
– Mogę z nim porozmawiać?  
– To ja. – Doktor uśmiechnął się, a ten grymas był jeszcze gorszy niż jego twarz i głos.  
– Wieźcie ciało od razu do ZMS-u. Ja zadzwonię do Sadowskiej.  
– O tej porze? – zdziwił się Smok.  
– Tak, o tej porze! – podniósł głos komisarz, po czym zwrócił się do lekarza: – Można skorzystać z telefonu?  
– Zapraszam do gabinetu.  
Strzelecki wyszedł z sali, a Kastor, po krótkim wahaniu zgarnął do kieszeni buteleczkę z lekami i wyszedł w ślad za doktorem.

Podczas podróży na Grzegórzecką komisarz próbował porozmawiać o sprawie z Kwiatkiem, ale niestety sierżant był w coraz gorszym stanie. Wyglądało to tak, jakby klimat psychiatryka podziałał na niego na tyle przygnębiająco, że musiał sobie chlapnąć podwójną dawkę. Dlatego zostawił go w samochodzie pod Zakładem Medycyny Sądowej i sam przeszedł do prosektorium.

Eryka Sadowska była już na miejscu. Nie narzuciła nawet swojego fartucha, po prostu dokonywała oględzin w lateksowych rękawiczkach, nachylając się nad ciałem. Burza loków okalała jej zaspaną twarz z podkrążonymi oczami.

– Przepraszam, jeśli wyciągnąłem cię z łóżka – odezwał się Kastor zbolalym głosem.

– Nic nie szkodzi, normalnie bym nie spała, ale miałam dzisiaj ciężki dzień.

Taka właśnie była. Profesjonalistka, na którą zawsze można było liczyć.

– Nic ci tutaj niestety nie wymyślę. Przyczyną śmierci było uduszenie. Ale...

– Uwielbiam to twoje „ale”.

– Chodź, sam zobacz.

Pani patolog podniosła ramię zmarłego i pokazała na ciemne plamy pod pachami i po wewnętrznych stronach ręki.

– Co to takiego?

– Zasinienia. Ktoś musiał, najpewniej dzisiaj, szarpać go i uciskać pod pachami.

– Innymi słowy, ktoś mógł pomóc mu się powiesić?

– Nie można tego wykluczyć. Ale nie możemy też tego być w stu procentach pewni.

– Napiszesz z tego jakiś fajny raporcik? – Głos komisarza był bardziej niż przymilny.

– Tak, ale błagam, nie dzisiaj.

– Jasne, strasznie ci dziękuję za pomoc. Do następnego!

Szybko wyszedł na zewnątrz i wsiadł do samochodu. Odwiózł bełkoczącego Kwiatka na Grodzką, a potem pomknął jak szalony na Mogiłską. Gdy zaparkował pod komendą wojewódzką, przez chwilę siedział w milczeniu. Potem włączył lampkę w podsufitce i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął buteleczkę skradzioną ze szpitala i wysypał kilka tabletek na rękę. Okrągłe pomarańczowe pastylki coś mu przypominały. Na niewielkiej etykiecie znajdowały się standardowe informacje o atypowym leku przeciwpyschotycznym. Wysiadł z samochodu i spojrzał na bryłę komendy. Odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że w gabinecie nadkomisarza Tyszowieckiego ciągle pali się światło.

Wyjątkowo odpuścił sobie pukanie. Wszedł do pokoju Tyszola i od razu powiedział:

– Słyszałeś o tym Tureckim?

– Słyszałem – odparł nadkomisarz, wyraźnie niezadowolony z takiego najścia.

– To śmierdzi nawet nie na kilometr! Tylko na milę! I to morską!

– Jak zwykle efektownie, a mało treści. – Tyszol westchnął i zamieszał stojącą na biurku herbatę. Potem dodał trochę miodu i rumu. – O co ci chodzi?

– Co ty za miksturę szykujesz?

– Przeziębienie mnie łapie.

– W czerwcu?

– Będziesz w moim wieku, to zobaczysz. – Nadkomisarz sięgnął do szuflady i wyciągnął opakowanie z tabletkami. Wysuptał pięć z nich i popił herbatą.

Kastor spojrzął na leżące na biurku leki i podniósł je do góry. Witamina C. Usiadł naprzeciwko Tyszola i szybko wyciągnął buteleczkę z lekami zabranymi z psychiatrika.

– Co to takiego? – spytał z zaciekawieniem jego przełożony.

– Leki na schizofrenię – powiedział Kastor, po czym włożył do ust jedną z tabletek i rozgryzł.

– Zwariowałeś!?

Komisarz skrzywił się lekko, wypluł pastylkę, a potem sięgnął po witaminę C. Tę również włożył do ust, rozgryzł i roześmiał się głośno.

– Skurwysyny!

– Zwariowałeś. – Tyszol bardziej stwierdził, niż spytał.

– Patrz. – Kastor rozsypał tabletki z buteleczki na biurko. – Podmienili mu leki na witaminę C. Dlatego był agresywny podczas przesłuchania. Byłem właśnie na sekcji. Zasinienia pod pachami. Tyszol, błagam cię. Ktoś mu pomógł, rozumiesz!? Gościu...

– Odsuść sobie – przerwał nadkomisarz grobowym głosem.

– Co?

– Sprawa jest do zamknięcia. Facet przecież do wszystkiego się przyznał. Podpisał zeznanie.

– Tak, a potem schował je sobie w gacie i się zesrał! Schizofrenik bez leków, bo ktoś mu je podmienił. Nie dziwi cię to?

– Będą jeszcze inne sprawy.

– Stary, co z tobą? – Kastor był kompletnie załamany. – Koleś miał sińce pod pachami. Ktoś go powiesił.

– Adwokat zatrzymanego złożył skargę. Stwierdził, że gdy wszedł do pokoju podczas przesłuchania, trzymaliście go właśnie pod pachami.

– Co!?! Przecież to gówno prawda! Wiśniewski też tam był, niech

sam powie!

– Sprawa jest do zamknięcia. – Nadkomisarz podkreślił ostatnie słowo. – Jutro o ósmej rano widzimy się u wojewódzkiego. Spotkanie w sprawie konferencji.

– Jakiej konferencji?

– Prasowej. Wojewódzki chce ogłosić sukces.

Komisarz wstał i podszedł bez słowa do drzwi. Był totalnie przygnębiony. Chwycił za klamkę i rzucił jeszcze na odchodnym:

– Nie zapomnijcie zaprosić dziennikarzy z tej gazety piszącej o Hitlerze. Takie pierdolone kłamstwo będzie doskonale do nich pasować.

Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi tak mocno, że przez sekundę był przekonany o tym, że szyba rozpryśnie się na kawałki. Wyjechał na Mogiłską i po chwili zawrócił w kierunku ronda. Gdy mijiał przystanek tramwajowy pod budynkiem komendy, zauważył Rolnika. Stał smutny ze zwieszoną głową. Potężne łapska położył na biodrach, bo nie mieściły mu się w kieszeniach. Obrazu nędzy dopełniał szkolny plecak, który nijak nie pasował do zwalistej postury gliనిarza. Kastor zjechał na bok i uchylił szybę.

– Cześć. Podrzucić cię gdzieś?

– Jedziesz może na Wolę Duchacką?

– Nie jadę, ale cię podwiozę.

Rolnik podziękował gestem i wsiadł do samochodu. Ściągnięty plecak położył sobie na kolanach i złożył na nim gigantyczne dłonie. Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

– Jak to wasze śledztwo? – spytał w końcu Rolnik. – Przydał się na coś Godart? Znaleźliście merca?

– Tak, jasne. Dziękuję.

– Dorwaliście mordercę?

Kastor westchnął i potem, sam nie wiedząc czemu, opowiedział wszystko Rolnikowi. Kiedy skończył, dojechali na Pochyłą, a pasażer wskazał ręką nieotynkowany dom i powiedział:

– Możesz się tam zatrzymać pod płotem.

Komisarz spełnił prośbę kolegi, a gdy tamten dłuższą chwilę nie wysiadał, w końcu rzucił mu pytające spojrzenie.

– Kastor, wiesz, co te skurwysyny robią?

– No?

– Rozsprzedają ten cholerny kraj! Weź taką hutę, mój zięć tam robi. Kroją to na jakieś spółki chuje muje, dzikie węże. Tak, że nikt się w tym nie łąpie w ogóle. Zamykają stalownie, walcownie, wyburzają piece. To jest granda!

– Ale co, chcesz mi powiedzieć, że to nie ma uzasadnienia?

– Zięć mówi, że nie ma – odparł wyraźnie naburmuszony Rolnik. – To nie tylko tutaj przecież. Wszędzie, w całej Polsce, wszystko się wyprzedaje na pniu. Wkurwia mnie to!

– Nie chciałbyś mi pomóc?

– Jak?

– Są cztery ofiary. Dam ci dane. To znaczy poza jedną, bo jej personaliów nie ustaliliśmy. Chcę wiedzieć, czy coś je może łączyć. W sensie nie wiem, finansowym, spadkowym... Cokolwiek. Potrzebuję pomocy kogoś od was.

– Czyli potrzebujesz pegowca? – Rolnik uniósł z dumą głowę.

– Tak, kurwa! Potrzebuję pomocy pegowca! I to na jutro!

– Zwariowałeś?

– Nie – odparł całkiem poważnie Kastor.

– Słuchaj, ja to zrobię za przysłowiową flaszkę. Ale jak podzwonię po chłopakach i każę im wejść w nocy do archiwów, przeglądać książki wieczyste i tak dalej... To już będzie kosztować.

– Dawaj, jedziemy do mnie. – Komisarz zaczął wykręcać samochodem na wąskiej ulicy.

#### 4.

Rolnik czekał w samochodzie zaparkowanym na Józefitów. Kastor wyszedł z klatki i wszedł do samochodu, wręczając koledze plik

banknotów.

– Dwanaście melonów w naszej walucie, czterysta marek i sto zielonych. Więcej nie mam. Starczy?

– Starczy – uspokoił go Rolnik.

– To co, zawieźć cię na Pochyłą?

– Nie. Jedź na Prądnik Czerwony. Nagram od razu temat Kapsłowi. Stamtąd zadzwonię do starej, że nie wracam na noc.

Komisarz skinął głową i zawiózł pegowca we wskazane miejsce. Potem wrócił do domu, otworzył klatkę i rozsiadł się w fotelu. Jasna od razu wdrapała się na niego i usiadła na ramieniu. Kastor podrapał ją pieszczotliwie pod brodą. Mam nadzieję, że Rolnik coś znajdzie, pomyślał zrezygnowany. Wszystkiego zostało mi dwie bańki. Teraz naprawdę jestem goły i wesoly. Ale nic nie poradzę. Nie zostawię tak tej pieprzonej sprawy. Jak znaleźć tego majora SB, Grenia?

– Muszę otworzyć ten pieprzony sejf – powiedział do Jasnej, a szcurzyca uniosła pyszczek z zaciekawieniem. – Tylko jak to zrobić?

Dosypał dziewczynom karmy i uzupełnił zapas wody. Wziął szybki prysznic i położył się w łóżku. Czy aby przypadkiem nie za bardzo skupiam się na tym sejfie, pomyślał. Rzuciłem się w ślepą uliczkę, a tymczasem koło nosa mogą mi przejść inne szczegóły. Stwierdził, że szanse znalezienia majora są coraz mniejsze. Ponieważ spał bardzo długo po południu, był przekonany, że będzie miał problemy z zaśnięciem. Mylił się.

*W całym domu okna pootwierane są na oścież. Słońce na zewnątrz rozświetla okoliczne drzewa, a do środka wpada ciepłe powietrze. Wiosna w pełni. Doskonale słychać śpiewające strzyżyki, latające z gałęzi na gałąź. To wiem ja dorosły, bo ja sześciolatek nie zwracam zupełnie uwagi na te szczegóły.*

*Trochę zapomniałem o tamtych wszystkich złych rzeczach. Nie mogę się gniewać na dziadka. Zwłaszcza po tym, co dla mnie zrobił. Zbudował dla mnie kolejkę górską! Jeden koniec grubej nitki uwiązany jest do karnisza, a drugi do końcówki nogi od stołu po drugiej stronie pokoju. Kabina kolejki sklejona jest z grubej tektury,*

*pomalowanej później przez Remusa. Staję na krześle, podciągając kabinę wysoko w górę, wkładam do niej drewniane żołnierzyki, a potem całość ziuuuuu jedzie sobie aż pod stół. To najwspanialsza zabawka na świecie!*

*Za którymś razem, gdy znowu ustawiam kabinę w górnej pozycji, wyglądam przez okno i nieruchomieję. Żołnierzyki wypadają mi z rąk i lecą na podłogę. Przed domem stoi milicyjna warszawa. Ja sześćioletni myślę, że to ten sam samochód, który kiedyś przywiózł mi złe wieści. Ja dorosły wiem, że to niemożliwe. Po prostu w latach pięćdziesiątych w Polsce milicja ma dużo takich samochodów.*

*Słyszę głośnie pukanie do drzwi i omal nie sikam w majtki. Jestem mały, ale znam powagę sytuacji. Wiem, że pod szopą jest zakopany człowiek. A przecież to właśnie milicja łapie bandytów i złodziei. I morderców. Ja dorosły wiem, że tak naprawdę nic mi nie grozi. Jestem dzieckiem, a to Remus zastrzelił postać z piwnicy. Jednak ja sześćioletni oczami wyobraźni widzę siebie w więzieniu. Mam ubranie w paski, taką samą czapkę i ciężką kulę przyczepioną do nogi. Pamiętam taki obrazek z jednej książki.*

*Remus otwiera drzwi. Widzę milicjantów w mundurach.*

*– Cześć – mówi jeden z nich.*

*– Cześć – odpowiada dziadek. – Stało się coś?*

*– Obywatelu Grudziński. – Milicjant odchrząknął znacząco. – My do obywatela w sprawie służbowej. Pan porucznik chciałby z obywatelem porozmawiać.*

*Za mundurowych wyłania się mężczyzna o nalanej twarzy i jasnym prochowcu narzuconym na ciemny garnitur, wyciąga do dziadka dłoń i mówi:*

*– Porucznik Orłowski. Milicja kryminalna Kraków.*

*– Kraków? – zdziwił się Remus.*

*– Tak, możemy chwilę porozmawiać?*

*– Oczywiście. Proszę wejść.*

*Milicjant w płaszczu wchodzi do środka, uśmiecha się i mruga do mnie szelmowsko. A potem zwraca się do dziadka:*

*– Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy sami. Chłopaki popilnują*



*dzieciaka.*

*– Kastj, idź pobaw się na dworze.*

*– Dobrze. – Kiwam energicznie głową i przyciskam żołnierzyki do piersi. – Dziadek, brać sweter?*

*– Nie trzeba. Ciepło jest.*

*Stoję na zewnątrz, a dwóch milicjantów pali papierosy, opierając się o warszawę. Próbuję bawić się żołnierzykami, ale nie bardzo mi to idzie. Trzęsę się ze strachu. Jeden z milicjantów zauważa to i podchodzi do mnie. Boję się jeszcze bardziej.*

*– Ej, kruszyno. Wszystko w porządku? – Uśmiecha się i kładzie swoją dużą dłoń na mojej klatce piersiowej. – Serce wali ci jak oszalałe. Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.*

*Jakby na zaprzeczenie jego słów drzwi od domu otwierają się gwałtownie i staje w nich milicjant w prochowcu. Z rozbitego nosa sączy się krew. Krzyczy:*

*– Szybko! Biegnie na latarnię!*

*– Pilnuj małego! – krzyczy milicjant, który do mnie podszedł, a potem wbiega do domu.*

*Drugi z mundurowych podchodzi do mnie, wyciągając jednocześnie pistolet ze skórzanej kabury. Stoimy tak dłuższą chwilę bez słowa. Ja trzęsę się już w sposób niekontrolowany.*

*– Neeeeee!!! – krzyczy ktoś z góry.*

*Stojący przy mnie milicjant zadziera głowę, a potem szarpie mnie, odsuwając na bok. Coś spada z hukiem obok nas.*

*– Nie patrz, mały – mruczy milicjant i zakrywa mi twarz swoją chropowatą dłonią.*

*Spomiędzy jego palców mogę patrzeć tylko w dół. Widzę nogi Remusa. Jest tylko w jednym pantoflu, na drugiej stopie została szara skarpetka. Noga bez buta młóci przez chwilę wściekle w rozpaczliwych drgawkach, a potem nieruchomieje.*

## Rozdział IX

### 1. Wtorek, 12 czerwca 1990

Budzik zadzwonił o siódmej rano. Komisarz podniósł się ociężale i usiadł na łóżku. Przypomniawszy sobie przygnębiający sen. Resztę doskonale pamiętał. Po samobójstwie dziadka odesłano go do domu dziecka w Krakowie. W ten oto sposób odzyskał do końca kompletne wspomnienia swojego wczesnego dzieciństwa. Po raz pierwszy od trzydziestu lat przespałem też całą noc jak człowiek, pomyślał, przecierając oczy. Tylko czy warto wyleczyć się z bezsenności, aby odzyskać takie wspomnienia? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Wziął szybki prysznic i szedł na dół do samochodu. Na pierwszym piętrze budynku przy Mogilskiej zjawił się kilka minut przed ósmą. Przed gabinetem komendanta wojewódzkiego przywitali go sam gospodarz i Czarek Hewig. Komendant był tęgim mężczyzną w okolicach sześćdziesiątki. Siwa czupryna nakrywała owalną twarz okraszoną ciemnymi krzaczastymi brwiami. Inspektor Andrzej Potulicki zawsze ubrany był w wyjściowy, elegancko odprasowany mundur. Wyciągnął dłoń do Kastora, mówiąc:

– Witam pana komisarza. Zapraszam do środka. Oczywiście zna pan zasady.

Kastor skinął głową i wyjął broń, przekazując pistolet Czarkowi, który umieścił go w pancерnej szafie stojącej przed wejściem. Komendant nie tolerował broni palnej w swoim gabinecie. Był to dość niecodzienny nawyk u policjanta z tak długim stażem pracy, ale wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić.

W środku przy długim stole nakrytym zielonym obrusem siedzieli już nadkomisarz Tyszowiecki oraz prokurator Gracjan Wiśniewski. Ostatnim, który wszedł do gabinetu, był Czarek. Wszyscy zajęli

miejsca, a komendant wojewódzki szerokim gestem wskazał leżące na dwóch talerza ciastka.

– Panowie, częstujcie się. Pyszne ciasteczka. Żona upiekła.

Legenda krążąca po korytarzach budynku przy Mogińskiej głosiła, że nikt nigdy nie skorzystał z zaproszenia i nie poczęstował się domowymi wypiekami. Mówiono też, że małżonka inspektora wyciągnęła ciastka z piekarnika mniej więcej pod koniec lat siedemdziesiątych i są to ciągle te same wyroby.

– Panie komisarzu, gratuluję sukcesu – odezwał się komendant. – Za godzinę robimy konferencję prasową dla dziennikarzy. Mogę na pana liczyć?

– Właśnie, jest pewien problem... – Kastor nie wiedział, jak przekazać złe wieści szefowi wszystkich szefów krakowskiej policji.

– Jaki problem?

– Nie jestem do końca przekonany, że to właśnie Turecki dokonał tych zabójstw.

– Co takiego? – Inspektor zmarszczył groźnie brwi i zerknął na Wiśniewskiego. – Pan prokurator powiedział, że podejrzany przyznał się do winy.

– Tak właśnie było – przytaknął gorliwie prokurator. – Wątpliwości pana komisarza są bezpodstawne.

– Bezpodstawne!? Przecież jego wyjaśnienia w ogóle nie trzymały się kupy.

– Kastor, chyba nie wiesz jeszcze wszystkiego. – Tyszol uspokoił gestem podwładnego. – Są wyniki śladów biologicznych. Na jednym z noży znalezionych u Tureckiego jest krew Benikowskiej.

– Podsumujmy. – Gracjan wyprężył się. – Policja wpada na trop podejrzanego, który próbuje uciekać przez Czechosłowację do Wiednia.

– Stamtąd ma samolot do Madrytu. – Tyszol rzucił tonem wyjaśnienia do komendanta, a tamten skinął głową.

– Pan komisarz go łapie. Bardzo efektownie, za co, myślę, należą mu się podziękowania, prawda? – kontynuował prokurator.

– Tak, tak. Oczywiście, piękna akcja. – Inspektor skłonił głowę z

szacunkiem.

– Facet jest niebezpiecznym schizofrenikiem. Przyznaje się do winy, a w domu znajdujemy setki noży i koło do ostrzenia. Gościu codziennie szlifuje te klingi, przy okazji pewnie polerując swoją pałę. Za przeproszeniem, panie inspektorze. – Wiśniewski spuścił wstydliwie oczy. – Mało tego, w jego domu jest kosa, którą ten pojeb zaciukał Benikowską. Panie komisarzu, co tu się nie zgadza!?

– Po pierwsze, nie znał żadnych szczegółów...

– Nieprawda! – wtrącił z agresją w głos prokurator. – Powiedziat, że zawsze morduje nożem.

– Gutowski nie miał żadnych ran ciętych! Ktoś zalał go betonem w beczce. Po drugie, są przesłanki świadczące o tym, że Tureckiemu ktoś pomógł w zwisie ostatecznym.

– Jakie przesłanki? – spytał komendant.

– Zasinienia pod pachami, ktoś go trzymał. Sekcja wykazała...

– Te ślady powstały podczas przesłuchania – przerwał szybko Wiśniewski. – Nawet złożono skargę, ale adwokat dobrodusznie nie będzie kontynuował tego wątku.

– Dobrodusznie? Adwokat musi być z nimi w zмовie! – Kastor podniósł głos. – To oni go wpakowali do tego psychiatryka. To oni go w to wszystko wplątali, sterują wydarzeniami!

– Pan wybaczy, komisarzu. Ale jacy oni? – Gracjan uśmiechnął się złośliwie. – Brzmi pan teraz jak ten schizofrenik z manią prześladowczą. To on wczoraj o wszystko obwiniał tajemniczych „onych”.

– Dobrze – odezwał się inspektor. – Załóżmy, że są jacyś „oni”, panie komisarzu. Dlaczego mieliby zamordować te osoby?

– Tego jeszcze nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Kastor. – A jaki motyw miałby Turecki?

– Był popierdolony. Za przeproszeniem, panie inspektorze – zawstydził się znowu prokurator.

– A teczki?

– Jakie znowu teczki? – Ta rozmowa wyraźnie zaczęła irytować komendanta wojewódzkiego.

– Pan komisarz twierdzi – zaczął wyjaśniać Tyszol – że jeden z naszych ludzi, wie pan Jankowski, spłonął w nieszczęśliwym wypadku. No więc, że tam były palone esbeckie teczki.

– Twierdzi? – parsknął Kastor. – Co, nie wierzysz mi?

– A zostały jakieś teczki?

– Skąd, przecież wszystkie się spaliły.

– Panie komisarzu. – Inspektor odchrząknął groźnie. – Jeśli ma pan jakiegokolwiek twarde dowody, to proszę je tu położyć na stole.

W gabinecie zapadło milczenie. Kastor próbował szukać jakiegoś poparcia u Czarka i Tyszola. Ale ci wyraźnie unikali jego wzroku.

– No dobrze... – mruknął komendant. – Panie prokuratorze, czy materiały dla prasy są gotowe?

– Oczywiście.

– Dobrze. W takim razie na dole punkt dziewiąta. Panie komisarzu, zwalniam pana z obowiązku stawienia się na konferencji. Proszę wrócić do swoich zajęć.

Po wyjściu Kastor odebrał swój pistolet do Czarka, a młodszy aspirant poprosił go o kluczyki i dokumenty do audi. Musiał jechać gdzieś na oględziny mieszkania po włamaniu. Komisarz zgodził się bez słowa i wszedł na górę.

Wszedł do swojego pokoju i zatrzasnął z hukiem drzwi. Śpiący w kącie Kwiatek zamamrotał coś pod nosem i przewrócił się na drugi bok. Komisarz wciągnął kilka razy powietrze nosem i pootwierał okna. Potem zerknął na miskę pełną wymiocin i wylał zawartość do zlewu. Płucząc miednicę, zaczął zastanawiać się nad tym, co właśnie wydarzyło się w gabinecie na górze. Komendantowi nie można odmówić racji, pomyślał. Co tak naprawdę mam na swoją teorię? Gówno! Dodatkowo ten pieprzony Gracjanek. Ale jakby popatrzeć na to z boku, faktycznie gadam jak wariat. Jacyś tajemniczy oni, śledzący i wieszający ludzi w psychiatrykach. Cholerna łoża masońska pociągająca za sznurki? Śmiechu warte, pomyślał, odkładając wymytą miskę pod Kwiatkowy bartóg.

Wyszorował dokładnie ręce i usiadł za biurkiem. Przejrzał szybko biuletyn. W mieszkaniówce jakieś apogeum. Poprzedniego dnia dokonano w sumie dziewięciu włamań. Paserzy będą mieli niezłe żniwo, pomyślał, odkładając dokumenty. Zaczął się zastanawiać, co dalej.

Zerknął na zegarek. Dziewiąta. Na dole pewnie rozpoczynała się konferencja prasowa. Teraz choćby skały srały, sprawa jest nie do odkręcenia, stwierdził w myślach. Jak wojewódzki coś raz ogłosi, to już później do błędu się nie przyzna.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Do pokoju najpierw weszły dłonie wielkości lotniskowców, a zaraz za nimi ich właściciel. Rolnik podszedł do biurka Kastora, usiadł na przysuniętym krześle i rzucił stos dokumentów na blat.

– Już? – zdziwił się komisarz.

– Miało być na jutro, a dzisiaj jest jutro, nie? U nas w pegie się w tańcu nie pieścimy. Kurwa, że nas zamknęli, to normalnie...

– Dobra – przerwał Kastor, czując wzbierającą falę nostalgii. – Mów, coście ustalili. Łączy coś te ofiary?

– Prawa własności do kamienic na Kazimierzu.

– Co?

– Dobra, najpierw ten Włodzimierz Turecki. Schizofrenik, ale naprawdę bogaty z domu. Stare pieniądze, żadne tam polówki z wiertarkami na tandecie.

– Do jakich budynków miał kwity?

– Trzy numery na Józefa i dwa na Miodowej.

– A ta cała Benikowska?

– To jego dupa była, przepisał jej pół kamienicy przy Podgórskiej.

– Zbigniew Gutowski?

– W momencie śmierci nic już nie posiadał. To znaczy na Kazimierzu, bo tak w ogóle to ten dom, bejcę i tak dalej. Na początku roku wszystko, co miał na Kazimierzu, a miał tego sporo, przepisał na niejaka... – Rolnik zerknął do leżących dokumentów – Marzenę Tracz. Urodzona we Wrocławiu.

– Nie macie jej zdjęcia?

– Co ty, z frajerem rozmawiasz? Proszę bardzo, fotokopia prawa jazdy i dowodu osobistego. – Rolnik położył dokumenty przed Kastorem.

– Jakim cudem? – spytał komisarz.

– Zapłaciłeś to masz. Kapsel wsiadł w auto i pojechał w nocy do Wrocka. Kurwa, gdyby nie zamknęli pegie, to...

Kastor nie słuchał wywodów Rolnika, chwilowo wyłączył się, patrząc na fotografię uśmiechniętej dziewczyny. Był to nie kto inny jak luksusowa żona. To z nią rozmawiali tamtego wieczoru, gdy zgłosiła zaginięcie Zbigniewa Gutowskiego.

– Stary, cały Kazimierz powoli się wyprzedaje.

Komisarz podniósł głowę, wracając do żywych. To jest to, pomyślał. Ten, kto kupi ziemię po zmarłych, będzie najpewniej winny ich śmierci. W ten sposób można dopaść morderców! Uśmiechnął się i spytał:

– A kto kupuje?

– Większość działek Gewicht GmbH. – Rolnik położył na blacie kolejny dokument. – Austriacka spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Siedziba w Wiedniu, Schottenring 7/9.

– Kto jest w zarządzie?

– Jakieś tam Hansy, wiadomo. Ale Kastor, nie bądź naiwny. Tam w papierach słup słupa słupem pogania.

– Ale jeśli kupią ziemię po zamordowanych, to będziemy mogli im założyć sprawę.

– Żaden z zaciukanych nie miał nikogo, kto mógłby po nim odziedziczyć. Działki przejmie miasto i sprzeda je na wolnym rynku. Tak to teraz działa.

– Kurwa, a musi to sprzedawać? – Komisarz zaczął się irytować.

– Musi, bo nie ma już centralnego sterowania. Jak się tramwaj spieprzy, to trzeba go naprawić. A ludziom trzeba będzie zapłacić. To tak jakby całe życie utrzymywała cię ciotka, która właśnie odwalila kite. Albo zaczniesz wyprzedawać srebra, albo jesteś w dupie!

– Komu możemy coś udowodnić?

– Absolutnie nikomu. Mało tego, Gewicht GmbH nigdy nie

kupowała bezpośrednio od miasta, tylko przez inne spółki, które sobie to nawzajem odsprzedawały. Stary, nawet jakby wskrzesili pegie i dali nam setkę ludzi, to tego nie wyśledzisz. Oni mają pieniądze, prawników i wyszkolili się na tych wałach dawno temu na Zachodzie. My mamy gówno.

– A Gieniu Jankowski? – Komisarz desperacko uczeplił się ostatniego tematu.

– Na papierze Gieniu był nędzarzem. Nie miał żadnego drugiego mieszkania.

– Dzięki za pomoc.

– Daj spokój. Ale przynajmniej teraz widzisz, jak to wygląda. – Rolnik zgarnął dokumenty i ruszył do wyjścia. Gdy stał już w drzwiach, powiedział: – Aha, jakby co, to ten twój Gutowski na dobre istnieje od zeszłego września.

– Co?

– Wtedy są ślady w urzędach. Wyrobił prawko, dowód. Wcześniej tylko akt urodzenia. Trzymaj się!

Nie miał ochoty dłużej siedzieć na Mogilskiej. Złapał tramwaj jadący prosto na Bronowice i stał teraz z tyłu wagonu, wciskając ręce w kieszenie. Zbigniew Gutowski, który istnieje od zeszłego roku. Jednocześnie jest dyrektorem w zagranicznej firmie? A może nie jest? Nie no, przecież sprawdzaliśmy, dodatkowo zidentyfikowała go pracownica firmy, uspokoił się w myślach. Czuł się totalnie przegrany. W tej sprawie były same ślepe uliczki. Pierwszy raz spotkał się z czymś takim. To była kompletna nowość. Ktoś zamordował cztery osoby, a winnym za te zbrodnie uznano ostatnią ofiarę. I absolutnie wszyscy mają to w dupie, pomyślał z wściekłością, wysiadając na placu Inwalidów.

Gdy dotarł na Józefitów, ze zdziwieniem spostrzegł zaparkowane pod jego domem czarne audi. Zdziwienie przerodziło się w szok, gdy podszedł bliżej i zobaczył siedzącego za kierownicą Dempseya.

– Co ty robisz w naszej furze? – spytał komisarz.



– To samochód pana Cezarego Hewiga, to po pierwsze. Po drugie, otrzymałem polecenie zawieźć pana do hotelu Forum.

– Tak? Pozwól, że zapytam dość obcesowo: po jaką cholere?

– Senior Hewig chce z panem porozmawiać.

– Powiedz mu, żeby mnie pocałował w dupę!

Dempsey sięgnął szybkim gestem pod marynarkę, ale był zdecydowanie za wolny. Kastor wyuczonym przez lata gestem w milisekundę odsunął połę kraciastej marynarki i wycelował z broni w głowę boksera, podczas gdy tamten dopiero dobywał pistoletu. Dempsey nie przejął się wycelowaną w niego lufą i dalej unosił swoje żelazo.

– Zostaw! – warknął Kastor. – Słyszysz!?

Bokser ciągle nie reagował, więc komisarz postanowił wystrzelić ostrzegawczy pocisk w zagłówek. Tak, aby porządnie nastraszyć siedzącego za kierownicą. Pociągnął za spust i usłyszał suchy trzask broni. Dempsey wycelował w niego z szerokim uśmiechem na ustach.

– To niemożliwe. – Kastor wyciągnął magazynek z kolby pistoletu. Był pusty.

– Mój jest naładowany – powiedział bokser, wyrzucając przez okno kajdanki. – Skuj się. Tylko z tyłu.

Komisarz posłusznie nałożył kajdanki. Dempsey wysiadł, sprawdził, czy Kastor dobrze zacisnął bransolety, odebrał mu broń i posadził z tyłu, zapinając pas. Potem powiedział do swego przymusowego pasażera:

– Niech pan się na mnie nie gniewa. Z czegoś trzeba żyć. Ja naprawdę jestem porządnym człowiekiem.

– Wiem – odparł komisarz.

Podjechali pod hotel od Ludwinowskiej, a potem wjechali na szóste piętro windą dla obsługi. Na ostatniej kondygnacji znajdowała się przeszklona kawiarnia Panorama. Jak sama nazwa wskazywała, z okien tej drogiej kafejki można było podziwiać efektowny krajobraz. Leżące po drugiej stronie Wisły Stare Miasto i bryłę zamku na Wawelu.

Dempsey dyskretnymi szturchnięciami lufy pistoletu wprowadził komisarza do niewielkiego saloniku, umieszczonego w rogu. Kastor nie wiedział o istnieniu tego pomieszczenia. Było to zapewne coś w stylu ekskluzywnej jadalni dla najważniejszych gości hotelu. Przy stole siedział Czarek oraz ojciec, Romuald Hewig.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Napije się pan czegoś? – spytał Hewig senior.

– Proszę się nie obrazić, ale ze szmacciarzami nie piję.

– Widzisz, to jest to, o czym ci mówiłem, synku. – Romuald zwrócił się do Czarka. – Ci ludzie są tacy nieokrzesani. Wiecznie te inwektywy, wulgaryzmy. Wszystko biorą od razu do siebie. Zero dystansu. Potworność.

– Nie wiesz czasem, gdzie są pestki z mojego magazynka? – spytał juniora komisarz.

– Sam mówiłeś, że broni trzeba pilnować. – Czarek wzruszył ramionami.

– Myślałem, że można na tobie polegać...

– Niech pan nie będzie dzieckiem. Ile pan ma lat? Czterdzieści czy cztery? W życiu można liczyć tylko i wyłącznie na siebie. Nie sądzi pan?

Ponieważ Hewig senior nie doczekał się odpowiedzi, westchnął i powiedział:

– Rozumiem, że czas pana nagli, a i nasze towarzystwo nie sprzyja poprawie pańskiego samopoczucia. Ja mam do pana jedną prośbę. Proszę już nie węszyć przy tej sprawie.

– Pocałuj mnie w dupę. Przepraszam za wulgaryzm. – Komisarz skłonił się teatralnie. – To znaczy tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

– Jaka kwota by pana interesowała? – Romuald westchnął. – To znaczy i tak nic pan nie ma w ręku. Ale Czarek bardzo pana ceni. Mimo wszystko będzie mu przykro, że jego „mentor” do końca życia jeździ tramwajami.

– Na cholerę wam te kamienice?

– Był pan kiedyś za granicą?

– Owszem, byłem. – Kastor wyteńczył swoją pamięć. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od dziesięciu lat nie był na urlopie. – Na wycieczce na studiach. W Budapeszcie.

– Demoludy to nie zagranica. Mówię o zachodnich miastach. Planujemy przekształcić Kazimierz w dochodową inwestycję. Kluby, kawiarnie, restauracje, hotele.

– Co!?! – Komisarz nie wytrzymał i parsknął śmiechem. – Ludzie będą przyjeżdżać do hotelu, żeby zostać obrobionym przez kazimierskich rozbojarzy? Co to za bzdury!?

– Żadnych rozbojarzy, jak ich pan określa, dawno tam nie będzie. Bo wyrugujemy stamtąd tę biedotę.

– Zaraz, zaraz. – Komisarzowi zaczęło coś świtać. – Gewicht GmbH! Z liter tej spółki można ułożyć Hewig!

Ojciec z synem wymienili się uważnymi spojrzeniami. W końcu senior rodu odezwał się z uśmiechem:

– Jestem pod wrażeniem. Nie spodziewałem się tego po panu. Ale muszę oczywiście powiedzieć, że nie wiem, o czym pan mówi. Gewicht to po niemiecku „waga”. Na tym moja wiedza się kończy.

– Zna pan dobrze niemiecki? – spytał komisarz.

– Radzę sobie.

– Często bywa pan w Wiedniu, przy Schottenring 7/9?

– Jak rozumiem, nie skorzysta pan z mojej propozycji?

– Nie. I poświęcę swoje życie, aby dobrać się wam do dupy i udowodnić te morderstwa! – Kastor podniósł głos i zwrócił się do Czarka: – Naprawdę myślałeś, że pójde na taki układ?

– Nie słyszałeś jeszcze, o jakich pieniądzach mowa. Powiedz mu, tato.

– Gówno mnie to obchodzi! Zamordowaliście cztery osoby i chcecie mnie przekupić!?! Forsa to nie wszystko...

– Mój Boże. – Hewig senior wyrócił oczami. – Zupełnie jak ta moja arystokratyczna rodzinka. Żenujące. Dobrze, może chociaż na koniec zdecyduje się pan zwrócić moją własność? Oferuję dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł kompletnie zaskoczony

Kastor.

Romuald Hewig przez dłuższą chwilę mierzył uważnym spojrzeniem komisarza. Zupełnie jakby chciał z jego oczu wyczytać, czy wie, o co zapytał, czy też może go oszukuje.

– Zawieź go do domu – rzucił w końcu senior do swojego syna.

Czarek prowadził, a skuty komisarz siedział na tylnym siedzeniu w towarzystwie Dempseya. Panujące milczenie w końcu przerwał młodszy aspirant:

– Kastor, ja przyszedłem do policji z powołania. Chcę walczyć z bandytyzmem. Ale mój ojciec naprawdę nie jest głupi.

– Zamknij się – powiedział zrezygnowanym głosem komisarz. – Cztery trupy. I ty walczysz z bandytyzmem?

– Przecież to nie my ich zabiliśmy!

– Ależ wierzę ci. Na pewno zrobili to bardzo doświadczeni ludzie. Tacy, którym trudno będzie cokolwiek udowodnić.

Gdy dotarli na Józefitów, bokser rozkuł komisarza i oddał mu broń. Kastor zwalczył w sobie przemożną chęć dania im obu w mordę. Wiedział, że musi to rozegrać inaczej. Na zimno.

– Dobiorę się wam do dupy. Przysięgam.

– Nie boję się ciebie – odparł Czarek.

– Tak? – Komisarz rzucił mu złe spojrzenie. – A powinienes.

## 2.

Drzwi do mieszkania były otwarte na oścież. Ktoś wyłamał wszystkie zamki. Sięgnął odruchowo do kabury z bronią, ale szybko opuścił rękę. Przecież nie miał nabojów. Wszedł ostrożnie do środka. Mieszkanie było totalnie splądrowane. Każda możliwa szafa, szafka i szuflada została otwarta, a jej zawartość dokładnie przeszukana.

Kastor przypomniał sobie starego Hewiga, który oferował mu dwadzieścia tysięcy dolarów za swoją własność. Ale jaką, do jasnej

cholery? Przecież nie mam nic należącego do tego starego dziada, pomyślał. Potem jego wzrok padł na otwartą klatkę. Tylko nie to, zaczął panikować w myślach. Przez tych skurwysynów dziewczyny pewnie uciekły. Całe życie spędziły w domu, i jak tylko wyjdą na ulicę, albo rozjedzie je samochód, albo złowi jakiś drapieżnik.

Po chwili je zauważył, na środku salonu. Komisarz podszedł i ukląkł na podłodze. Zosia i Jasna leżały bez ruchu, a zza wyszczerzonych zębów wystawały zastygnięte języki. Na pierwszy rzut oka było widać, że ktoś pogruchotał im kręgosłupy. Ale tego było mało tym sadystom. Krwawe ślady zataczające koła dobitnie świadczyły o tym, że przeszukujący zrobili to tak, aby zwierzęta nie zdechły za szybko. Zosia z Jasną musiały się bardzo męczyć przed śmiercią. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Teraz myślał tylko o tym, aby pojechać na Mogiłską, pobrać kilka magazynków i rozprawić się z Hewigami. Postrzelę ich w brzuch tak, aby sami cierpieli katusze, zanim zdechną, pomyślał z wściekłością.

Dzwonek telefonu poderwał go na nogi. Podniósł słuchawkę i usłyszał przestraszony głos Oli:

- Kastor? Musisz do mnie przyjechać. Proszę!
- Co się dzieje? Wszystko w porządku?
- Wiem, że to może głupio zabrzmieć, ale chyba ktoś mnie śledzi. – Słyszał, że jest bliska łez.
- To nie jest głupie. Kto?
- Nie mam pojęcia. Z rana już ich widziałam, ale myślałam, że mi się wydaje. Teraz ich widzę, siedzą w białym polonezie pod domem. Kastor, te ich twarze... To jacyś bandyci!
- Nic nie rób! Nie wychodź z domu i zamknij dokładnie drzwi, rozumiesz? Jeśli zaczną się dobierać do zamków, natychmiast dzwoń na policję! Zaraz u ciebie będę!

Rzucił słuchawkę na widełki i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się i zerknął na leżące dziewczyny. Nie mógł ich tak zostawić. Przeniósł je delikatnie na stół. Potem wśród sterty rzeczy odszukał czystą ścierkę i nakrył truchła szczurzyc.

Nie miał samochodu i stwierdził, że czekanie na tramwaj będzie

stratą czasu. Tym bardziej że musiałby się przesiadać. Po prostu biegł. Gdy po dziesięciu minutach skręcił w Krowoderską zabrakło mu tchu i musiał zwolnić do szybkiego marszu. Ale potem znowu ruszył biegiem. Na Długiej od razu zauważył zaparkowanego przy chodniku białego poloneza. Oni też go zauważyli. Dwóch nieprzyjemnych typów. Nawet z tej odległości Kastor widział, że są to najprawdopodobniej dwaj starzy rozbojarze. Typowe łamignaty do wynajęcia. Zastanowił się, czy to właśnie oni zamordowali Zosię i Jasną. Sięgnął do kabury i wyciągnął broń tak, aby tamci ją zauważyli. Biały polonez zjechał na ulicę, zawrócił na dwa razy i po chwili już ich nie było.

Gdy Ola upewniła się przez wizjer, że to on, otworzyła drzwi, a potem od razu wtuliła się w komisarza.

– Dziękuję, że przyjechałeś.

– Raczej przybiegłem. – Uśmiechnął się, łapiąc oddech, a potem pocałował ją w usta.

Mieszkanie było bardzo skromne. Usiedli przy stole w ciasnej kuchni, naprzeciwko łazienki. Kastor obrzucił spojrzeniem stojący worek z zaprawą i świeże kafelki, którymi obłożono wannę. Przypomniawszy sobie, jak Ola mówiła o tym, że to właśnie Gieniu zajęła się niewielkim remontem. Przed oczami stanął mu płonący domek i nieludzki krzyk kolegi.

– Muszę cię o coś zapytać – zaczęła drżącym głosem. – Czy to... Czy to ty wysłałeś tych ludzi, żeby mnie śledzili?

– Co? – Aż się skrzywił na tak absurdalny zarzut. – Nie. Ale niestety ma to po części związek z moją pracą.

– Czy mam się bać?

– Nie martw się. Dopóki jesteś ze mną, nic ci nie grozi. – Komisarz był przekonany o tym, że nie ośmieli się podnieść ręki na policjanta. Szybko doszedł do wniosku, że oszukuje samego siebie.

– Będziesz się jeszcze dzisiaj widział z panem Eugeniuszem?

– Dlaczego pytasz?

– Mamy dla niego czynsz, ale nie mogę się do niego dodzwonić.

– Chwilowo możesz o tym zapomnieć... – rzucił mocno zamyślony.

Patrzył na przestraszoną Olę i nie wiedzieć czemu przed oczami stanęły mu Zosia z Jasną. Wiedział, że Ola również jest w niebezpieczeństwie. Przez niego. Musiał coś wymyślić, i to szybko. – Słuchaj, czy możesz się ze mną spotkać dziś wieczorem w Feniksie?

– Tak, jasne... Ale naprawdę w takiej sytuacji zabawa ci w głowie?

– To dla mnie bardzo ważne. Niestety nie możesz tutaj zostać. Odprowadzę cię na płytę i do wieczora, powiedzmy do dziewiątej, przesiedzisz w jakiejś kawiarni, dobrze? Pamiętaj, żeby zawsze było dużo ludzi. Nie chodź do łazienki sama, rozumiesz?

– Zaczynam naprawdę się bać. Dobrze, daj mi tylko chwilkę. Skoro wieczorem idziemy do klubu, muszę się jakoś wyszykować.

Chwilka potrwała dobre pół godziny, ale Kastor uznał, że efekt był więcej niż zadowalający. Zaplotła włosy w mysi ogonek, nie zapominając rzecz jasna o zamaskowaniu blizny. Włożyła ciemnogrnatową sukienkę podkreślającą figurę, a na nogi sandały, które zapamiętał z ich pierwszego spotkania.

Przeszli na Rynek w milczeniu, przytuleni do siebie i trzymający się za rękę. Ot, kolejna zakochana w sobie para na krakowskim starym mieście. Ale Kastor już wiedział, że to nie potrwa długo. Podjął decyzję. Rozstali się pod bazyliką Mariacką namiętym pocałunkiem. Ola weszła do jednej z zatłoczonych kawiarni, a komisarz zszedł w dół Sienną. Po kilku minutach przeciął Planty i wszedł w Bohaterów Stalingradu. Minął po swojej prawej stronie Pałac Pugetów i wszedł w bramę, nad którą zawieszono napis „KANTOR EXCHANGE GELD WEKSEL”.

Komisarz minął okienko i zszedł do bocznego wejścia od podwórka. Zastukał energicznie w obite blachą drzwi i po chwili rozsunęła się klapka, za którą zobaczył opuchnięte oczy Basiury.

– Pan komisarz!?

– We własnej osobie. Możemy pogadać?

Klapka w drzwiach zamknęła się, drzwi otworzyły i po chwili Kastor rozsiadł się na krześle w ciasnej kanciapie. Basiura zasunął szklane

okienko, wywieszając jednocześnie plakietkę z napisem „Zamknięte”.

– Ten WEKSEL to się chyba inaczej pisze, przez „ch”. I do tego razem z „geld”.

– A to nie jeden chuj? Szwaby i tak wymieniają u mnie furę gotówki. – Basiura machnął ręką. – Tylko po to pan przyszedł?

– Nie. Pomocy potrzebuję.

– Pan mi ostatnio pomógł i wie, że ja o takich rzeczach nie zapominam. Co potrzeba?

– Niestety trochę forsy. – Kastor nigdy tego nie robił, ale teraz wiedział, że nie ma wyjścia. Jeśli ma się trzymać planu to na następną pensję nie może liczyć.

– Pożyczyć?

– Zarobić.

– Prędeż bym się dziewczicy w burdelu spodziewał. – Basiura gwizdnął cicho. – Pan!?

– Czasy się zmieniają... Masz coś?

Basiura milczał dłuższą chwilę. Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Tylko mi nie mów, że nic się nie dzieje. Wczorajszego dnia opędzlowano dziewięć kwadratów. Od rana telefon pewnie ci się urywa.

– Ma dzisiaj u mnie być Strit. – Cinkciarz westchnął. – Kojarzy pan?

– Ten pokerzysta? – komisarz spytał po krótkiej chwili namysłu.

– No, ten sam. Pamięta pan tego sześciolatka, co to go kablem od wideo zadusili?

– Pewnie.

– Chodzą słuchy, że to właśnie Strit robił tamten kwadrat, a mały wszedł im pod rękę.

– Dlaczego do mnie z tym nie przyszedłeś?

– Nie miałem nic twardego. – Basiura skrzywił się. – Takie tam ploty. Trochę ludzi w karty do niego przegrało, to może tylko chcieli głównym rzucić, żeby się przykleiło...

– Do rzeczy.



– Tak czy siak, nie lubię skurwiela. Ma dzisiaj przynieść dwa kilo czosnku – rzucił cinkciarz branzowym określeniem złota.

– Kiedy?

– Za godzinę. – Basiura zerknął na zegarek. – Jak będzie pan, powiedzmy... No, zróbmy równą dziewiętnastą. Ja już się postaram, żeby było git.

– Torbę jakąś masz?

Basiura wyciągnął niewielką torbę z szafki, ale zanim wręczył ją Kastorowi, powiedział:

– Panie komisarzy... Tylko to między nami zostaje, tak?

– Dobrze wiesz, że przy takim numerze to ty trzymasz mnie za jaja. Cinkciarz skinął głową. Wiedział.

Kastor przeszedł się na Dietla i zajrzał do Baru pod Filarkami. To, co właśnie zaplanował z Basiurą, napawało go takim obrzydzeniem, że zupełnie nie miał apetytu. Ale nie jadł nic od wczoraj, a dzisiejszego wieczoru naprawdę musiał być w formie. Dlatego wcisnął w siebie żurek z jajkiem i kotleta de volaille z frytkami i surówką. Potem przeszedł się na pocztę główną i zgarnął plik druczków do nadawania poleconych.

Punkt dziewiętnasta nacisnął klamkę obitych blachą drzwi i otworzył je kopniakiem. Strit był autentycznie zdziwiony, a Basiura całkiem dobrze udawał.

– Co jest!?! – wydarł się pokerzysta.

– Jajco!

Kastor huknął złodzieja dwa razy w szczękę, podciął mu nogi i jeszcze kilka razy kopnął w potylicę. Potem usiadł na leżącym i wyciągnął broń. Podniósł mu głowę do góry lufą pistoletu, a pod twarz podstawiał swoją legitymację. Na tyle wolno, aby mógł zobaczyć napis „Policja”, ale na tyle szybko, by nie mógł odczytać nazwiska.

– Z kryminalnej jestem! Co tu się odpierdala!?

– Panie władzo, legalny handel... – powiedział Basiura. – Klient

przyszedł, bo chciał wiedzieć, czy to co dostał po dziadku, jest coś warte.

Komisarz schował pistolet i podniósł na nogi Strita. Męczyzna oprócz gry w pokera swoją ksywę zawdzięczał też rozbieżnemu zezowi. Otarł krew z ust i spojrzał hardo na komisarza, to znaczy na ścianę.

– Co, nic nie powiesz? – spytał Kastor. – Ten dziadek. Jak się nazywa, gdzie mieszka?

– Nie żyje już... – wybąkał Strit.

– Kurwa, a jak żył to co, imienia nie miał!? Nazwisko!

Strit zerknął na Basiurę, to znaczy na komisarza. Najwyraźniej nie miał przygotowanej żadnej legendy. Albo był taki głupi, albo myślał, co by tu powiedzieć.

– Potrafisz wytłumaczyć pochodzenie tego złota czy nie? – Strit ciągle milczał, więc Kastor wyciągnął torbę i zgarnął cały towar do środka. – Dobra, dokumenty mi tu dawać, ale już!

Cinkciarz i złodziej położyli posłusznie dowody na stole, a Kastor zaczął przepisywać ich dane na kwitek do nadawania poleconych. Oczywiście w ten sposób, aby Strit niczego nie zauważył. Potem oddał im dowody i powiedział:

– Nic na was nie mam, ale fanty na razie idą do depozytu. Sprawdzimy, czy nie są kradzione, a jeśli są, to... – Komisarz spojrzał na Strita i Basiurę. – Powiem tak, długo na wolności nie pofruwacie. Tu jest pokwitowanie.

Kastor wręczył kwitek Basiurze, po czym wyszedł, zatraskując drzwi. Cinkciarz z miejsca wymierzył solidny policzek złodziejowi.

– Za co!?

– A kto mi tu tego psa podprowadził, co?!

– Niby po co miałbym to robić!? Przecież to mój towar zajebał!

– Ciągnąłeś za sobą ogon! Co ty, nic nie czaisz?

Basiura westchnęła, podał pokwitowanie i szybko wyrzucił je do kosza.

– Co ty robisz?

– A co? Masz jak wytłumaczyć ten czosnek?

– Skąd? Przecież trefny, z kwadratów...  
– To będziesz jeździł na Mogilską i prosił o oddanie?  
– W sumie nie...  
– Weź idź mi stąd, człowieku, i więcej, kurwa, do mnie nie przychodź! Nie znamy się, rozumiesz!? Jeszcze przez ciebie mi paserkę przykleją... Jak mnie zobaczysz na ulicy, to przechodź na drugą stronę!

Przygnębiony Strit skinął głową i wyszedł z kantoru.

Piętnaście minut później Kastor ponownie zjawił się w kantorze i oddał Basiurze torbę. Właściciel punktu dokładnie zważył łup i przesunął złote precjoza w kierunku komisarza, mówiąc:

– Równa połowa. Dziewięćset siedemdziesiąt gram.  
– Pogięło cię?  
– Co?  
– Mam se jubilera na płycie otworzyć? – parsknął Kastor. – Weź mi to jakoś wyceń na swoją korzyść i daj połowę w dolcach, a połowę w naszej walucie.

Basiura pocmokał, postękał, przypatrzył się biżuterii pod szkłem powiększającym i w końcu wypłacił komisarzowi tysiąc dolarów i dziesięć milionów złotych. Kastor przeliczył szybko pieniądze i spytał:

– Torbę prezentujesz?

Basiura skinął głową, dał torbę komisarzowi, a potem obaj wymienili uścisk dłoni.

– Mnie tu nigdy nie było.  
– Sie wie – odparł cinkciarz.

### 3.

Mieszkanie, gdzie w drzwiach wyłamano właśnie zamki, nie jest najlepszym miejscem na składowanie niemal półrocznej pensji. Dlatego po drodze kupił plastikową reklamówkę i zawinął w nią szczelnie torbę. Potem pojechał do parku Krakowskiego. Nieopodal stawu było miejsce określane uroczym mianem „szczalni”. Pijacy

obalający trunki na okolicznych ławkach urządzili tu swój szalet. Gdy tylko komisarz wkroczył między drzewa, poczuł ostrą woń moczu. Miejsce było idealne, bo nie będzie wzbudzał podejrzeń, kręcąc się akurat tutaj. Schował owiniętą torbę do dziupli jednego z drzew i poszedł do domu.

W stercie rozrzuconych ciuchów wyszukał i odprasował na szybko odpowiednie ubrania. Wziął prysznic i po chwili był już w tramwaju. Wsiadł przy Bagateli i przeszedł spacerkiem pod Feniksa. Uśmiechnęła się na jego widok, uściskała go i pocałowała w usta.

– Cieszę się, że jesteś. Tak sobie myślałam. Może wyjedźmy gdzieś, co?

– Spokojnie. Myślę, że jutro będzie po wszystkim.

– Na pewno?

– Zaufaj mi.

Uśmiechnął się do niej i namiętnie pocałował. Weszli do środka tak, aby stojący na bramce Dempsey mógł ich zauważyć. Bokser skinął delikatnie komisarzowi głową na powitanie, a ten odwzajemnił gest.

Wypili kilka drinków i porozmawiali trochę na banalne tematy. Kiedy z głośników poleciało Careless Whisper George’a Michaela, przyciągnął ją do siebie i spytał:

– Można panią prosić?

Przyłgnęli do siebie, otoczeni innymi parami kiwającymi się w rytm tego wolnego kawałka. Położyła mu swoją głowę na ramieniu, a on przymknął oczy, aby się nie rozplakać. Przecież wiedział, że to ich ostatni taniec. Gdy tylko Steve Gregory rozpoczął swą obłądną, saksofonową solówkę, zaczęli się namiętnie całować. Kiedy wybrzmiały ostatnie takty piosenki, spojrzła mu prosto w oczy i wyszeptwała:

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Wrócili do baru. Kiedy dokończyli drinka, Kastor uznał, że to już czas. Szybko, zanim się rozmyślisz, pomyślał zrozpaczony. Chwycił brutalnie Olę za ramię i zaczął ciągnąć do wyjścia. Zdziwieni ludzie

rozstępowali się przed nimi, obserwując dziwną scenę.

Gdy wyszarpał ją w końcu na zewnątrz, chwycił za włosy i pchnął tak mocno, że straciła równowagę i przewróciła się w kałużę. Ludzie z kolejki, wraz z zaskoczonym Dempseyem, patrzyli w milczeniu. Ola podniosła się. Klęczała w kałuży i spojrzała na niego bezradnie.

– Mam cię dosyć, ty szmato! – wydarł się na całe gardło Kastor.

Jakiś dobry samarytanin postanowił zareagować i podszedł, prężąc muskuły.

– Ej, człowieku. W taki sposób nie traktuje się...

Urwał, bo komisarz wyciągnął broń i wycelował w mężczyznę. Ten uniósł ostrożnie ręce i wycofał się pośpiesznie. Wyraz twarzy Oli nie łamał, ale dosłownie kruszył na kawałki serce Kastora. Dwie olbrzymie łzy stoczyły się po jej policzkach.

– Nie chcę cię więcej widzieć! Rozumiesz!?

Komisarz rozejrzał się delikatnie. Widownia była coraz większa. Lepszego momentu nie będzie, pomyślał. Splunął Oli prosto w twarz, schował pistolet i odszedł. Nikt go nie zatrzymywał. Miał nadzieję, że tego nie usłyszy, ale gdy tylko przeszedł sto metrów usłyszał głośny, rozdzierający wręcz szloch, wypełniający całą ulicę.

Na Floriańskiej zrobiło mu się duszno, a usta wypełnił metaliczny posmak. Próbując się go pozbyć, zaczął pluć kompulsywnie, zwracając uwagę przechodniów. Przed oczami ciągle stawało mu zranione spojrzenie Oli. Zaczęło mu się wydawać, że każdy z przechodzących wie o tym, co zrobił, i patrzy teraz na niego z wyrzutem. W końcu wszedł do sklepu i kupił pół litra wyborowej. Przytknął butelkę do ust, gdy tylko wyszedł na zewnątrz. Czekać na tramwaj skończył flaszkę, a potem stłukł butelkę na przystanku. Ludzie odsunęli się od niego.

Następną półlitrowkę kupił w sklepie przy placu Centralnym, do którego wszedł chwiejąc się na nogach. Pił ją ostrożnie, małymi łykami, siedząc na klatce przed drzwiami nadkomisarza Tyszowieckiego. Gdy butelka była w połowie pusta, cisnął nią mocno o drzwi.

Po chwili na zewnątrz wyszedł wściekły Tyszol, ubrany w samą

piżamę i domowe kapcie. Gdy zobaczył kompletnie pijanego Kastora, zwiesił głowę, wszedł na chwilę do mieszkania uspokoić żonę, a potem usiadł obok komisarza na schodach.

– To są potężni ludzie – powiedział cicho naczelnik. – Świata nie zbawisz.

– Naprawdę? – wybełkotał Kastor. – Dzięki za radę.

– Nie nasza wina, że tak jest.

– A czyja?

– Nie wiem, kurwa! Tych, co byli przed nami. To oni sprawili, że wszystko zbudowano na fundamentach, które gniją i śmierdzą trupem!

– Może czas, żeby ktoś to zmienił?

– Błagam. Nie rozśmieszaj mnie. Chyba cierpisz na manię wielkości. Komisarz wyciągnął swoją legitymację i rzucił ją na potłuczone szkło, w kałużę wódki. Po chwili w tym samym miejscu wylądował pistolet.

– Co ty odpierdalasz?

– Składam wypowiedzenie.

– Jesteś pijany. Nie myślisz. Uznam, że cię tu w ogóle nie było. Jedź do domu, wyśpij się. Jutro pogadamy.

– Wszystko dobrze przemyślałem. – Kastor wstał, ledwo trzymał się na nogach. Obiema dłońmi kurczowo ścisnął poręcz. – Będziesz robił „porządek” beze mnie.

Komisarz zaczął schodzić powoli na dół. Tyszol podniósł legitymację i broń. Wyczynnym, gliniarskim gestem sprawdził magazynek. Zawołał za schodzącym Kastorem:

– A pestki gdzie?!

– Spytaj Czarka.

#### 4.

Jakimś cudem, totalnie nawalony, dotarł do swojego mieszkania. Od razu poszedł do kuchni, grzebiąc w sztućcach wyrzuconych z

szuflad na podłogę. Znalazł srebrną łypatkę do ciasta, którą wraz z tortownicą dostali w prezencie ślubnym. Ostrożnie zgarnął zawinięte w ścierkę truchła szczurzyk i wyszedł na zewnątrz.

Znalazł najładniejszy, jego zdaniem, kawałek parku Krakowskiego i łypatką wykopał niewielki dołek. Złożył w nim Zosię i Jasną i przysypał je dokładnie ziemią, na koniec przykrywając darnią. Stwierdził, że nie zasługują na to, aby po prostu zostać wyrzucone do śmieci. Klęczał tak dłuższą chwilę, aż w końcu jego ramionami wstrząsnął szloch. Płakał dobre piętnaście minut. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to przytrafiło. W końcu otarł łzy i mimo że miał naprawdę dość, kupił jeszcze jedną półlitrowkę.

W mieszkaniu podparł rozwalone drzwi krzesłem, a potem usiadł na podłodze i zaczął pić. Nie dał rady skończyć butelki. Zasnął na podłodze wśród rozrzuconych ubrań. Zaraz obok krwawych śladów zostawionych przez zdychające Zosię i Jasną.

*Płynę w krystalicznej wodzie. Kolejne wymachy ramion przybliżają mnie do brzegu. W końcu czuję piasek pod stopami. Wychodzą na brzeg, rozkoszując się ciepłymi falami i błękitnym niebem. Słońce rozświetla potężny, betonowy bunkier. W szarej ścianie znajdują się dziesiątki otworów zamkniętych kratami. Siadam na brzegu i nagle słyszę chropowaty, metaliczny dźwięk.*

*Odwracam się i widzę, jak kraty unoszą się powoli. Z każdego wyjścia wychodzi lew. Monumentalne zwierzęta stąpają zwinnymi krokami po piasku, ich grzywy lśnią w słońcu. Uśmiecham się, czuję związek z naturą. Podchodzę do pierwszego z lwów, ale ten rzuca się na mnie z dzikim rykiem.*

*Gdy jego kły są milimetry od mojej twarzy, plażowy krajobraz znika. Płonące latarnie rozświetlają Rynek Główny w Krakowie. Rozglądam się i widzę, że ludzie przypatrują mi się dziwnie. Niektórzy z rozbawieniem, a inni wręcz z obrzydzeniem. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że jestem nagi. Próbuję zakrywać się rękoma, biegnę w kierunku Sukiennic.*

*Zaraz obok pomnika Adama Mickiewicza zauważam wejście do*

windy. Zadzieram głowę. Szyb dźwigu ciągnie się wysoko w górę i znika gdzieś w chmurach. Wejście do windy wygląda wyjątkowo obskurnie. Nie chcę tam wchodzić. Odwracam się i z przerażeniem zauważam, że zamiast wieszca na postumencie stoi Ola. Jest naga tak jak ja, a z jej oczu lecą krwawe łzy. Czerwone krople spadają na jej piersi i dalej na brzuch, ściekając na wzgórek łonowy.

Zawracam. Chcę uciekać, ale przede mną stoi Czarek Hewig ze swoim ojcem. Senior zdejmuje spodnie, zaczyna się masturbować i drze się:

– Synek, przytrzymaj mi go! Zerznę go w dupę! O tak, wyrucham go doskonale!

– Nie wolno przeklinać! – krzyczę jak dziecko.

Czarek próbuje mnie złapać, ale ja się wrywam. Zaczynam uciekać, ale nogi mam jak z waty. Zamiast przyspieszać, ciągle zwalniam. Czuję oddech Hewigów na karku. W końcu w akcie desperacji wbiegam do windy i zatrzaskuję drzwi. W środku na wysokim, barowym stołku siedzi mała w ubraniu boya hotelowego. Zwierzę szczerzy do mnie żółte kły i ciągnie za wajchę. Czuję, jak dźwig gwałtownie unosi nas w górę.

Z windy wychodzę wprost na wielką salę bankietową. Na scenie gra orkiestra złożona z demonicznych postaci. Wszystkie mają zapadnięte, czerwone ślepia oraz rogi w przeróżnych kształtach. Upiory szczerzą się do siebie, wygrywając jakąś powolną żałobną pieśń. Przestają się zakrywać, wszyscy na bankiecie są nadzy. Niektórzy tańczą w parach na parkiecie, a inni kopulują po kątach. Mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami i w przeróżnych innych kombinacjach. To jedna wielka orgia.

Pozostali siedzą przy stołach, pijąc i rozmawiając. Widzę kilka śmiejących się osób. Każda bez wyjątku ma czarne, zepsute zęby. Mała w stroju kelnera wskazuje na oparcie krzesła i podtyka mi pod nos tacę wypełnioną kieliszkami z czerwonym winem. Dziękuję z uśmiechem i upijam łyk z kryształowego naczynia. Szybko wypluwam i ciskam kieliszkiem o ścianę. To krew!

Dopiero teraz zauważam, że krzesła, na których siedzą goście, to



*ludzkie ciała, powyginane w dziwaczne kształty. Twarze ludzi służących za siedzenia przepiętne są bólem i cierpieniem. Ich ciała zdeformowano w okrutny i brutalny sposób, łamiąc i naginając kończyny.*

*Zauważam, że obok sceny ludzie tłoczą się przy bufecie. Czuję silny głód, dlatego również stoję w kolejce. Zamiast talerzy są przepastne koszyki z plecionej wikliny. Gdy w końcu nadchodzi moja kolej, widzę nakładającego jedzenie. Mundur w kolorze feldgrau i opaska ze swastyką na ramieniu. Uśmiecha się do mnie spod równo przyszytych wąsów. Zamiast jedzenia stoją skrzynki z ziemniakami. Hitler wbija druciany czerpak w stertę warzyw i pyta z uśmiechem:*

*– Wie viel für dich? Ein Kilogramm? Zwei?*

## Rozdział X

**Środa, 13 czerwca 1990**

Obudził się z potężnym kacem. Przez całe życie zmagał się z bezsennością, a wypity alkohol tylko wzmagał tę przypadłość. Dlatego praktycznie nigdy nie pił. Przeczochał się do łazienki i zwymiotował do muszli klozetowej. Potem przypomniał sobie swój sen i roześmiał się, leżąc między sedesem a wanną. Więc tak to wygląda, pomyślał. Ciągłe śnił swój dyżurny sen, a potem następne, ujawniające szczegóły z dzieciństwa. Ale nieraz rozmawiał ze znajomymi, którzy opisywali mu swoje absurdalne marzenia senne. Czy to był koszmar? Chyba nie. Z drugiej strony, gdy przypomniał sobie postaci Hewigów oraz Olę zamiast pomnika... Tak, to mógł być koszmar. Zdecydowanie.

Zerknął na zegarek. Za dwie siódma. Darował sobie mycie. Wszedł w tych samych ciuchach, w których był wczoraj. Zjawił się pod mieszkaniem Oli na Długiej koło wpół do ósmej. Prowadził bardzo ostrożną obserwację. Przede wszystkim chciał się upewnić, czy na ulicy znowu stoi samochód z łamignatami. Nie było ich. Początkowo bał się, że może tego dnia Ola zrezygnuje z pracy, ale w końcu się pojawiła. Gdy tylko zobaczył wyraz jej twarzy, skurczył się w sobie. Wiedział, że to on jest powodem tego cierpienia.

Śledził ją aż do pracy, a gdy tylko zniknęła w biurze księgowym, udał się do najbliższego sklepu. Ekspedientka z początku zaczęła się rzucać, że przed trzynastą nic nie sprzeda, ale gdy zobaczyła kilka banknotów więcej, szybko spuściła z tonu. Wypite pół litra skutecznie zagłuszyło poczucia winy. Śledził ją do końca dnia, unikając jednego. Nie chciał patrzeć na jej twarz i puste, pozbawione wyrazu oczy. Siedział na Długiej do późnego wieczora, wspomagając się piwami z pobliskiego spożywczaka. Parę minut po dziesiątej w

oknach jej mieszkania zgasto światło. Ani śladu łamignatów. Najwyraźniej jego plan się powiódł. Dempsey jako świadek wczorajszej awantury opowiedział o wszystkim Hewigom. Stwierdzili, że co jak co, ale takie rozstanie nie może być udawane. Mieli rację. Tym samym Ola nie była już kobietą Kastora. Była bezpieczna.

Przeszedł na piechotę do parku, wziął część gotówki z dziupli, a potem pojechał na Grodzką. Wszedł do jednej z knajp, zamówił flaszkę, wzniosł kieliszek i krzyknął na całą salę:

– Poloneza czas zacząć!

### **Maligna od czwartku 14 czerwca 1990 roku aż do, mniej więcej, połowy lipca**

Znowu cierpi na bezsenność. To znaczy śpi, ale ani razu chyba nie przespał się w domu. Tak sądzi. Nie, była jedna sytuacja. Poznaje gościa na bulwarach. Jest już grubo po pierwszej w nocy. Dobrze się rozumieją. Obwiniają o swoje pijaństwo wszystkich dookoła. Tamten nie ma kasy, więc Kastor stawia. Jadą potem na Józefitów pić dalej. Zaproszony pijak widzi wielką klatkę i zaczyna rzucać głupimi żartami o chomikach. Komisarz tłucze go do nieprzytomności, a potem wywleka delikwenta do parku Krakowskiego. Ale nie, wtedy chyba nie spał w domu. Wziął pieniądze z dziupli i pojechał na Planty. Tam się obudził następnego dnia. Na ławce.

W miarę picia przestaje jeść. Zauważa, że każdy pokarm, który próbuje w siebie wrzucić, automatycznie jest zwracany przez organizm. W najmniej oczekiwanych momentach. W tramwaju, w restauracji, na płycie, w sklepie. Kastor ma przez to nieprzyjemności. Ludzie mu ubliżają, szturchają go.

Zaczynają się nawyki. Kupuje tylko na jednej melinie. To ta sama, w której swego czasu Madziar rozwalił stojakiem od lampy łeb Padlinie. Życie nie znosi próżni. Nową właścicielką jest sześćdziesięcioletnia kobieta, która z niejednego stołu wódkę piła. Poznaje też te nowe powiedzenia. Każde jedno przekształcone na

pijacką modłę. Alkoholicy uwielbiają tę starszą panią. Ona nie ocenia, nie krzyczy, nie ubliża. Rozumie. Gdy któryś się zrzyga albo zleje na melinie, wzdycha tylko i wyciera podłogę bez słowa skargi.

Jedzie tramwajem, dużo jeździ teraz komunikacją. Lepsze to niż samochodem. Nie trzeba być trzeźwym. Stoi jak zwykle z tyłu i trzyma ręce w kieszeniach. Wszyscy patrzą na niego jak na wariata, bo Kastor śpiewa na całe gardło. Taką ma ochotę. Co, nie wolno?

Drze się więc:

*Moje ciało murem podzielone  
Dziesięć palców na lewą stronę  
Drugie dziesięć na prawą stronę  
Głowy równa część na każdą stronę*

Traci równowagę. Leci twarzą do przodu i rozbija głowę o kasownik. Dwukrotnie zszyta rana otwiera się na nowo. Ma z nią problemy. Źle się goi, a po jakimś czasie zaczyna również nieprzyjemnie pachnieć.

Cienie chodzą za nim. Przez pierwsze dni czuje, że ciągle jest obserwowany. Nie wie, czy one później odpuszczają, czy też jego percepcja spada na tyle, że nie jest w stanie ich zauważyć.

Odkrywa nowe smaki. Bardzo polubił Bar Smok przy Dworcu Głównym. Siedzą tam podobni do niego. Zaprzyjaźnia się z nimi, rozmawiają, dyskutują o świecie, jego wielu wadach i kilku zaletach. Kastor jest lubiany. Ma pieniądze, zawsze chętnie postawi komuś obiad. Dla niego specjalnie podają kogel-mogel. Kiedy go je, często płacze. Przypomina mu się dziadek Remus.

Lubi też spacerować po Starym Mieście. Zwłaszcza po Grodzkiej, gdzie zawsze można się napić. Podczas jednej z takich eskapad spotyka Kwiatka. Padają sobie w objęcia, opowiadają co tam u nich. Sierżant jest szczerze wzruszony, że oto jego dawny przełożony dołączył do niego i teraz razem będą oddawać się swej pasji. Od razu wchodzi do pierwszej restauracji, wspominają stare czasy, śmieją się głośno, wchodzi na stół. Wyrzucają ich z jednej knajpy, potem drugiej,

trzeciej, grożą wezwaniem policji. Roześmiany Kwiatek pokazuje broń i odznakę, idą pić dalej.

Na Plantach w okolicach Szpitalnej sierżant Kwiecień coś sobie przypomina. Poznał ostatnio fantastycznego gościa. Jest muzykiem z Filharmonii Krakowskiej, ale wywalili go na zbitą mordę, bo zakosztował w smaku nowego hobby, też ma pasję, jak oni. Wszechstronnie uzdolniony, gra chyba na każdym instrumencie. Rzępoli na Dworcu Głównym i genialnie potrafi zagrać Baker Street Gerry'ego Rafferty'ego. Kastor nie dowierza. Poważnie, przekonuje Kwiatek, tylko to kosztuje sto tysięcy.

Idą więc na Dworzec Główny, po drodze zaliczając dwie knajpy. Znajdują genialnego muzyka na jednym z remontowanych peronów. Komisarz wysuępuje z kieszeni Moniuszkę i wrzuca do futerału po saksofonie. Tamten skłania się szarmancko i zaczyna grać. Kastor nie może uwierzyć. Facet jest genialny! Śmieją się razem z Kwiatkiem, padają sobie w ramiona i zaczynają tańczyć. Sierżantowi trochę kręci się w głowie i rzyga na peron. Grający zaczyna wykonywać solówkę, a wtedy w pamięci Kastora pojawia się inne saksofonowe solo. Ostatni taniec z Olą. Wpada w amok, rzuca się na muzyka i zaczyna go dusić przy krawędzi peronu. Wjeżdżający pociąg uruchamia syrenę. Kwiatek wyciąga broń, ale ślizga się na własnych wymiocinach. Pistolet wypada na tory, hamująca lokomotywa wyrzuca spod kół broń, która odpala samoistnie. Na peronie pojawia się policja. To ci sami mundurowi, co kiedyś przyskrzynili Basiurę. Ich pałki szybko robią się różowe od krwi Kastora.

Tyszol wyciąga go z aresztu. Próbuje coś tłumaczyć, błaga, odwołuje się do rozsądku. Mówi, że w jego mieszkaniu urządzono melinę, musi coś z tym zrobić. Niech przestanie chlać do kurwy nędzy! Kastor w odpowiedzi wyciąga pieniądze, niech zajmie się zamkami u niego w mieszkaniu. Idź z tym do lekarza, Tyszol wskazuje czoło komisarza. Źle to wygląda.

Nadkomisarz miał rację. Prorok jakiś czy co? Któregoś dnia Kastor mdleje, a karetka zawozi go do szpitala. Pielęgniarka, widząc śmierdzącego szczykami obdartusa, zaczyna pomstować. Takich

mają leczyć, a na porządnym ludzi brakuje czasu? Lekarz ją uspokaja, rozpoznaje Kastora. Przypomina sobie jego pościg po dachach, to on po raz pierwszy szły rozcięte czoło. W ranę wdało się zakażenie, mówi. Robi zastrzyk. Igła szoruje kilka razy po czaszce komisarza. Rozciętą skórę znowu ściska chirurgiczna nić.

Kraków żyje. Oddycha. Jest żywym organizmem tworzonym przez ludzi. Mówią, gadają, plotkują, rozmawiają. Artyści plastycy wymieniają się opiniami, politycy poglądami, adwokaci dyskutują na temat wyroków i orzecnictw, a świat kryminalny przenika się z tym policyjnym. Wszyscy wiedzą wszystko. Kastor stwierdza, że już dość. Jest na dnie.

Idzie na most Grunwaldzki. Patrzy na bryłę zamku na Wawelu. Staje przy balustradzie i zdejmuje ubranie. W samych majtkach wysiada z tramwaju pod Poczta Główną. Budynek Straży Pożarnej przypomina średniowieczny zamek. Zaskoczony kapitan Cisowski chce w pierwszej chwili wyrzucić śmierzącego pijaka z remizy. Dopiero potem poznaje komisarza. Kastor mówi mu, gdzie wrzucić ubranie. Zawinięte w kilka cegieł, powinno wytrzymać nurt. Wysuptuje z majtek porwane pięćdziesiąt dolarów, ale Cisowski nie chce pieniędzy.

– Na pewno wiesz, co robisz? – pyta strażak.

– Nie wiem – odpowiada zgodnie z prawdą Kastor.

Przestaje. Zaczyna trochę sypiać i pamiętać coraz więcej. Zwłaszcza przejmujący chłód. Taksówka wywozi go do Dobczyc. Kierowca awanturuje się, że musi jechać taki kawał i nie będzie kursu powrotnego. Kilka dodatkowych banknotów koi ból złotowy. Kwateruje się w doszczętnie spalonym domku Gienia Jankowskiego. Zaczynają się lipcowe deszcze, więc idzie do gospodarza i kupuje kilka metrów dziurawej plandeki. Rolnik jest zadowolony z transakcji, proponuje to uczcić flaszką. Kastor odmawia. Już nie. Wystarczy.

Nie pije dwa albo trzy dni. Całe ciało go boli, każdy mięsień trawi

intensywny płomień. Ciągłe czuje się pijany. Nie jest w stanie nic jeść. Człapie na pobliski komisariat, uprasza badanie alkomatem. Pomimo pięciu dni niepicia w organizmie ma ciągle blisko dwa promile.

Zaczynają się ostre biegunki. Trochę je, ale wszystko przez niego przelatuje. Tyłek ma tak odparzony, że dużą część czasu spędza, siedząc na wiadrze wypełnionym wodą. Strugi deszczu wlewają się na wypaloną posadzkę przez dziurawą plandekę.

W końcu, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę, jest trochę lepiej. Sypia i je coraz więcej. Wreszcie chyba jest trzeźwy. Orientuje się, że w załomie wypalanej ściany leży sterta przemoczonych gazet. Przypomina sobie, że kupował je w pobliskim sklepie. W jednej z nich, datowanej na 7 lipca 1990, jest krótka wzmianka:

#### *Zaginiony komisarz*

*Wczoraj nurkowie Państwowej Straży Pożarnej wyłowili z Wisły nieopodal mostu Grunwaldzkiego ubrania. Służby zawiadomił anonimowy obywatel, który zauważył na moście pijanego mężczyznę chcącego targnąć się na swoje życie. Dokumenty znalezione w ubraniu świadczą o tym, że jest to były policjant krakowskiego wydziału kryminalnego, komisarz Kastor G. Strażacy kontynuują poszukiwania. Na razie mężczyzna uznany jest za zaginionego.*

#### **Niedziela, 15 lipca 1990**

Kastor poszedł do sklepu, kupić bochenek chleba i dwie konserwy oraz gazetę. Data na tej ostatniej świadczyła, że jest weekend, środek lipca. Dużo czasu, pomyślał komisarz. Nareszcie był trzeźwy i nic go nie bolało. Co za ulga!

Wrócił do domku, zjadł śniadanie, a potem sięgnął po torbę z pieniędzmi. Na szczęście szczelnie zawinięta folia uchroniła je przed

zamoczeniem. Poszedł do centrum Dobczyc, gdzie kupił ubranie w jednym ze sklepów oraz maszynkę do golenia, nożyczki i inne środki czystości. Musiał też zajrzeć do apteki, kupić lek przeciw wszawicy, opatrunek i środki dezynfekcyjne.

Ale na razie jest za wcześnie. Spróbował zrobić kilka pompek, przysiadów i omal nie zemdłał. Wrócił do sklepu spożywczego i zrobił trochę większe zakupy. Zjadł niemal wszystko i mimo że było dopiero południe, zasnął kamiennym snem.

### **Poniedziałek, 16 lipca 1990**

Obudził się niemal dobę później. Zjadł resztki wczorajszych zakupów na śniadanie i wszedł do jeziora. Najpierw ostrożnie stąpał po piaszczystym dnie, a potem pozwolił sobie na kilka ruchów, aby wypłynąć trochę głębiej. Nie zemdłał. To już coś, pomyślał z gorzkim uśmiechem.

Ostrygł skołtunione włosy nad jeziorem i wylał na głowę całą butelkę lekarstwa na wszy. Następnie zajął się raną. Sycząc z bólu, zdjął stary opatrunek i przemył czoło środkiem dezynfekującym. Przejrzał się w puszcze po konserwie. Na szczęście rana wyglądała na w miarę zabliznioną i nie było żadnych oznak zakażenia. Potem wyszorował się dokładnie i przebrał w czyste ubranie. Nie był w szczytowej formie. Ciągłe był wrakiem człowieka i gnębiły go depresyjne, poalkoholowe lęki. Ale nie mógł tu zostać.

Późnym wieczorem wysiadł z taksówki na placu Centralnym. Nie chciał wchodzić na górę i straszyć rodziny Tyszowieckiego. Zaczepił na dole jakiegoś łebka i dał mu dziesięć tysięcy, aby przekazał wiadomość. Kastor usiadł na ławce i rozejrzał się po okolicy. Mój Boże, jak dobrze być trzeźwym, pomyślał. Nadkomisarz Tyszowiecki wyszedł z klatki i usiadł na ławce obok niego. Przypatrzył się komisarzowi. Jego ściętym byle jak włosom, twarzy poznaczonej siniakami i strupami oraz gigantycznemu nieporadnemu



opatrunkowi na czole.

– Nieźle wyglądasz – powiedział Tyszol.

– Ty to jednak masz duszę psotnika.

– Poważnie mówię. W porównaniu ze stanem, w jakim byłeś poprzednio, to jesteś młody bóg.

– Dziękuję za miłe słowa. Słuchaj, zmieniłeś mi wtedy te zamki?

– Zmieniłem, wyrzuciłem żuli i zapłaciłem dwóm babkom, żeby wysprzątały ci mieszkanie od góry do dołu.

– Dzięki. Ile ci jestem winien?

– Zamknij się. – Tyszol skrzywił się i wręczył klucze do mieszkania Kastorowi. – Podobno utonąłeś w Wiśle.

– Raczej zaginąłem.

– Co, namówiłeś Cisowskiego, żeby wyciągnął twoje łachy?

– Wiesz, naprawdę dobry z ciebie gliniarz.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. – Nadkomisarz parsknął. – Powinienem wtedy przycisnąć tę sprawę. Ale uwierz mi. To za wysokie progi na moje nogi.

– Daj spokój. To już prehistoria.

– Wierzę ci już w kwestii teczek u Gienia.

– Dlaczego?

– Jego mieszkanie też ktoś wyrócił do góry nogami.

– Kto jest szefem sekcji?

– Czarek Hewig. – Tyszol spuścił wzrok i po chwili zaczął się szybko tłumaczyć. – A co ty myślisz? Że ja mam kim robić? Gieniu w ziemi, ty chlejesz, a na Kwiatka można liczyć tylko wieczorami. Spraw przybywa. I to w szybkim tempie.

Kastor skinął z zamyśleniem głową i podrzucił kilka razy klucze w rękę. Czy miał pretensje do Tyszola? Chyba nie. Wstał z ławki i powiedział:

– Pamiętaj, że moje zwłoki przewala nurt Wisły. Jeszcze raz dzięki za wszystko.

Nadkomisarz nie odpowiedział. Siedział w milczeniu ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Gdy w końcu podniósł głowę, komisarza już nie było.

Na Józefitów dotarł tramwajem. Mieszkanie było wysprzątane aż po sufit. Cała pościel, ubrania, sztucce i wszystkie meble były na swoich miejscach. Sprzątaczkę dokładnie wyczyściły klatkę ze zużytych trocin, ale sama konstrukcja pozostała. Kastor schylił się i podniósł niewielką szmacianą piłeczkę. Przypomniawszy sobie, jak Zosia uwielbiała się nią bawić. Przez chwilę znowu był bliski też. Kiedyś tego nie zauważał, ale za każdym razem gdy wracał do domu, były tam. Zmieniał im trociny, karmił. A one z wdzięczności wspinały się po nim i lizały go delikatnie po palcach. Odwrócił się. Nie chciał patrzeć na klatkę. Umył się dokładnie i położył w czystej pościeli. Co za ulga.

## **Wtorek, 17 lipca 1990**

Z samego rana poszedł do fryzjera, gdzie profesjonalista do końca oczyścił jego włosy z wszy i gniid, a potem zrobił krótką, ale całkiem elegancką fryzurę. Zjadł śniadanie na mieście, a następnie kupił kilka nowych ubrań. Ze zdziwieniem stwierdził, że zostało mu całkiem sporo gotówki, zwłaszcza dolarów. Chłanie chyba jednak nie jest takie drogie, pomyślał. Po obiedzie poszedł na spacer i stanął na Długiej w nowej kraciastej marynarce, wiśniowej koszuli, sztruksach i błyszczących świeżością brązowych pantoflach.

Nie wiedział, czy jest akurat w domu. Wszedł na klatkę i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu, a on drgnął na jej widok. Twarz Oli zmieniała się, wyrażając w ledwie sekundę różne emocje. Zaskoczenie, delikatny uśmiech, smutek, a na koniec gniew.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

Stała ciągle w drzwiach, nie wpuszczając go do środka. Jej milczenie trwało na tyle długo, że Kastor postanowił je w końcu przerwać:

– Błagam.

Usiedli w tym samym miejscu co przed miesiącem. W kuchni naprzeciwko łazienki.

– Czytałam o tobie w gazecie. Myślałam, że nie żyjesz.

– Pamiętaj, że w ogóle mnie tu nie było. To bardzo ważne. Dla twojego bezpieczeństwa. Dobrze?

– Dobrze. – Ola wzruszyła ramionami. Widać było, że cierpi. – Co się stało z twoimi włosami?

Komisarz zaczął opowiadać. Tłumaczyć jej, dlaczego musiał tak postąpić. Musiał jasno dać tamtym do zrozumienia, że nie jest już dla nich żadnym zagrożeniem. Ola słuchała tego wszystkiego, wpatrzona w blat stołu. Gdy Kastor skończył, uniosła głowę.

– No i powiedziałaś. Czego oczekujesz?

– Niczego. Chciałem cię tylko przeprosić.

– Ale z ciebie rycerz. – Ola odwróciła głowę, patrzyła w ścianę. – Jestem znowu z Przemkiem. Dobrze mi z nim. Wiesz, jest naprawdę dla mnie czuły, poza tym tak dużo rozumie. Zupełnie jakby czytał mi w myślach. Świetnie zarabia, co też nie jest bez znaczenia. No i seks jest boski. A umówmy się, te sprawy są dla mnie ważne.

Cios za ciosem. Kastor kiwnął głową w milczeniu. Spodziewał się tego, ale mimo wszystko ból rozrywał mu wnętrze. Czuł się zupełnie pusty. Po raz kolejny uświadomił sobie jak beznadziejnie zakochał się w tej kobiecie.

– Przykro mi – powiedziała Ola i delikatnym gestem zaczesła włosy, odsłaniając swoją bliznę. – Wiem, że zrobiłeś to dla mojego dobra, ale nie potrafię ci wybaczyć.

Tym razem to on zamilkł i odwrócił głowę. Patrzył przez otwarte drzwi na tonącą w mroku łazienkę. Nowe płytki osłaniające wannę połyskiwały delikatnie. Wtedy doznał olśnienia. Mieszkanie Gienia też splądrowali. Czego szukali? Czy to możliwe, że wiedzieli również o tym lokalu? Nie, wtedy też by przeszukano, szybko odpowiedział sobie Kastor.

– Nie przyszedłem prosić cię o wybaczenie.

– To o co?

– O młotek.

– Co!?

Ola znalazła jakiś młotek w niewielkiej skrzynce z narzędziami, a komisarz rzucił banknoty na blat, żeby miała pieniądze na naprawę. Potem chwycił młotek i rozwalił glazurę wokół wanny. Sięgnął do środka i wyciągnął paczkę owiniętą czarną folią. Pożegnał się z Olą, przepaszając raz jeszcze, ale ona nic nie odpowiedziała. Stała, tylko patrząc na bałagan w łazience. Odniósł przykre wrażenie, że tak samo potraktował jej uczucia. Młotkiem.

Rozerwał paczkę dopiero wtedy, gdy był już w swoim mieszkaniu na Józefitów. Cztery teczki MSW tajnych współpracowników. Trzech nazwisk kompletnie nie znał, ale ostatnia była niczym Święty Graal. Ze zdjęcia patrzyła na niego uśmiechnięta, przystojna twarz. Nikt tak się nie uśmiecha do aparatu, wiedząc, gdzie wyląduje jego zdjęcie, ale ten człowiek miał to w dupie. Niesamowite, jak Czarek jest do niego podobny, pomyślał Kastor, widząc fotografię z połowy lat sześćdziesiątych. Tajnym współpracownikiem był nie kto inny jak Romuald Hewig. Oficer prowadzący: podporucznik Joachim Greń.

– Kurwa, człowieku. Gdzie ty jesteś? – mruknął do siebie Kastor.

Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jest jeszcze sens poszukiwania esbeka? Czy Wrzaskun pamięta jeszcze o ich układzie? No i co takiego może być w tym sejfie? Pewnie pieniądze, zaczął bagatelizować sprawę komisarz.

Czytał grubą teczkę do wieczora. Młody, rzutki prawnik Romuald Hewig nie wahał się donosić na swoich najbliższych przyjaciół, rodzinę, partnerki, a nawet na rodziców świeżo poślubionej żony. Rzecz jasna, Kastor już wcześniej był pozbawiony jakichkolwiek złudzeń, ale teraz miał pewność. Hewig senior był wyjątkowo obrzydliwą kreaturą.

Tylko czy dzięki tej teczce mogą go powiązać z zabójstwami, zaczął się zastanawiać. Zdecydowanie nie, co najwyżej mogą go skompromitować. Ale czy aby na pewno to zrobi na nim takie

wrażenie? W dzisiejszych czasach? Z drugiej strony to pewnie za to chciał swego czasu dać komisarzowi dwadzieścia tysięcy dolarów. Być może jego życie małżeńskie i rodzinne legnie w gruzach, ale to nie to samo co poniesienie odpowiedzialności za morderstwa.

Zjadł kolację i potem chciał się zabrać do demontażu klatki. Ale nie był jeszcze na to gotowy. Za wcześnie. Zrobił sobie herbatę i usiadł przy oknie. Przypomniał sobie stare glińskiarskie powiedzenie: „zabójca jest zawsze w pierwszym tomie akt”. Chodziło o to, że często zdarzało się przeoczyć jakiś fragment znajdujący się na początku drogi rozrastającego się śledztwa.

Co było pierwsze? Komisarz upił łyk gorącej herbaty. Zgłoszenie zaginięcia Gutowskiego. Ale przecież wszystko zrobiliśmy, pomyślał. Przeszukanie, oględziny... Zaraz, kto prowadził te czynności? Młody Hewig. Czy to możliwe, że od początku maczał w tym swoje brudne paluchy i już wtedy coś ukrył? Zwalczył w sobie przemożną chęć natychmiastowego udania się na Wolę Justowską. O tej porze byłoby to bardzo podejrzane. Musiał poczekać do jutra.

## **Środa, 18 lipca 1990**

Kastor zjawił się na Kasztanowej kilka minut przed dziesiątą rano. O tej porze większość mieszkańców willowej okolicy była już w pracy. Wcześniej, gdy przeszukiwali dom razem z Czarkiem, zwrócił uwagę na niewielkie okienko w piwnicy. Przesadził płót i po krótkiej chwili zaczął oklejanie szyby taśmą samoprzylepną. Potem naparł nogą na szkło, które ustąpiło z cichym chrzęstem. Wyciągnął szybę elegancko przyklejoną do taśmy i wślizgnął się do środka.

Spodziewał się, że wewnątrz domu będzie nienaruszone. Dziedziczący Skarb Państwa jest raczej powolny w przejmowaniu własności i zanim machina biurokratyczna się do czegoś weźmie, mijają długie miesiące albo i lata. Ale wewnątrz willi było totalnie splądrowane. Kastor szybko upewnił się, że wszelkie cenne przedmioty typu biżuteria lub dzieła sztuki nie zginęły. Nie chodziło

więc o rabunek.

Teraz już mógł się domyślać, że ludzie Hewiga szukali teczki swojego pryncypała. Komisarz zaczął się martwić, czy aby pozostawienie teczki w jego mieszkaniu nie było zbyt lekkomyślne. Co prawda, już raz je przeszukano, a tamci myślą prawdopodobnie, że Kastor utonął. Ale jeśli ktoś w międzyczasie zauważył go na mieście?

Przeszukał dokładnie całe mieszkanie, próbując znaleźć jakikolwiek ślad lub poszlakę, dającą mu zahaczenie w sprawie. Przy okazji zaczął zastanawiać się, dlaczego Gutowski musiał zginąć? Przecież przepisał wszystko na swoją luksusową żonę. Nie wystarczyło zamordować tylko ją? Kastor skończył kręcić się po domu, postawił krzesło w salonie i usiadł z rezygnacją. Jego wzrok padł na rozrzucone po podłodze albumy ze zdjęciami. Podniósł jeden z nich i zaczął przeglądać fotografie. Standardowe, uśmiechnięte postacie na wakacjach w różnych rejonach świata. Na zdecydowanej większości z nich Zbigniew Gutowski z luksusową żoną. W kolejnym albumie widać było Jolantę Gutowską z mężem. Kastor zdziwił się, przeglądając te zdjęcia. Była żona dyrektora na fotografiach wyglądała zupełnie inaczej niż teraz, kiedy była złamaną życiem pracownicą zakładów tytoniowych. W trzecim albumie Zbigniew Gutowski siedział w jakiejś auli z poważną miną w otoczeniu innych mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie obozowe pasiaki i czapki. Komisarz przyglądał się dłuższą chwilę zdjęciom. Zaraz, Gutowski miał sześćdziesiąt cztery lata, czyli był rocznikiem 1926. Czyli w latach 1940–44 mógł mieć czternaście–osiemnaście lat. Wszystko się zgadzało. Kastor przejrzał do końca album, gdzie znajdowało się wiele zdjęć z podobnych uroczystości, najpewniej swojego rodzaju złotych byłych więźniów.

Siedział tak dłuższą chwilę, a potem wszedł po schodach do głównej sypialni. Wśród sterty ciuchów wyrzuconych z szafy odnalazł obozowy pasiak i rozłożył go na łóżku. Zawsze dziwiło go, dlaczego byli więźniowie zakładają to na siebie na różnego rodzaju uroczystościach. Wątpił, aby po takich przejściach na przykład on

sam był w stanie to zrobić. Z drugiej strony, co właściwie mógł wiedzieć? Przecież ci ludzie przeszli prawdziwe piekło na ziemi. Wpatrywał się przez chwilę w obozową bluzę, zwłaszcza w wyszyty na piersi numer. 710870. Sześć cyfr! Sejf oparty na trzech rozetach!

Zbiegł na dół i podniósł słuchawkę. Na szczęście jeszcze nie odłączono telefonu. Wykręcił znany na pamięć numer.

– Halo? – usłyszał po drugiej stronie zachrypnięty głos Smoka.

Godzinę później był już na Mogilskiej w siedzibie techników laboratoryjnych. Smok zaciągnął się głęboko papierosem i powiedział:

– Stary, w ogóle cię tu nie ma. Robię to tylko ze względu na naszą starą znajomość.

– Dzięki.

Komisarz uściśnął dłoń koledze, a technik odpalił nowego papierosa i wrócił do swoich zajęć. Kastor klęknął przy sejfie i na pierwszej rozecie ustawił najpierw siódmkę, a potem jedynkę. Na dwóch pozostałych kolejne cyfry i położył dłoń na klamce. Mechanizm ustąpił bez żadnego oporu. Sejf stanął otworem.

Najpierw wyciągnął ze środka dwa pistolety, CZ 75 i P-64. Potem kilka zwitków banknotów. Dolary, marki oraz franki francuskie i szwajcarskie. Trzy paszporty. Brytyjski, niemiecki i brazylijski. Każdy na inne nazwisko, ale każdy z poważnym wizerunkiem Zbigniewa Gutowskiego. Niewielki segregator z luźno powpinanymi kartkami. Na koniec mała książeczka. Legitymacja służbowa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Major Joachim Greń.

Komisarz usiadł obok sejfu, przyglądając się fotografii na urzędowym dokumencie. Zbigniew Gutowski. Nic dziwnego, że nie mógł go namierzyć, skoro major SB był pierwszą z ofiar, zalaną betonem w beczce. Tylko czy te znaleziska cokolwiek mu dają? Niestety nie. Kastor odłożył legitymację i sięgnął do sejfu. Wydawało się, że jest już pusty, ale w kącie wymacał jakiś niewielki, płaski, plastikowy przedmiot.

## Sobota, 21 lipca 1990

Świat nie stał w miejscu przez ten czas, gdy komisarz Kastor Grudziński zaglądał do butelki, chcąc rozciągnąć nad sobą zasłone dymną. Właśnie, czy aby tylko o to chodziło? Czy aby na pewno był to jedynie element planu? Czy też może ból po rozstaniu z Olą był zbyt silny, aby poradzić sobie z nim bez alkoholu? Tak czy siak, Romuald Hewig albo poczuł się bardzo pewnie, albo po prostu jego plan wkroczył w kolejną fazę. Faktem jest, że stawał się w Krakowie postacią coraz bardziej znaną. Mówiono nawet, że być może zostanie kolejnym prezydentem miasta. Obecny władarz był pisarzem, eseistą i historykiem sztuki. Człowiekiem z natury rozumnym, zrównoważonym i prowadzącym polityczne dysputy jedynie za pomocą merytorycznych argumentów. Ktoś taki nie miał szans w starciu z bezwzględnym biznesmenem i cynikiem, Hewigiem seniorem.

Sprawa nieruchomości posiadanych przez ofiary zabójstw ciągle zostawała nieuregulowana. Choć może dziwić tempo, z jakim Skarb Państwa położył już na nim swoje łapska i szykował się do wystawienia na sprzedaż. Za to inne działki zostały już przejęte. W obrębie ulic Świętego Wawrzyńca, placu Wolnica, Mostowej, Trynitarskiej i Gazowej miała nastąpić rewolucja. Ponad pięćdziesiąt kamienic do wyburzenia. Kilka tysięcy osób do wysiedlenia. Oczywiście rozlegały się głosy oburzenia w obronie lokatorów i historycznej zabudowy. Ale opinie te nie miały jakiegokolwiek siły przebicia. Kapitalizm już był, a trzymające go w ryzach reguły i zakazy jeszcze nie powstały.

Właśnie tego dotyczyła zwołana w samo południe konferencja prasowa, urządzona w hotelu Forum. Powstania olbrzymiego centrum handlowego Casimir. Komisarz na razie nie wchodził do środka. Usiadł na jednej z ławek ustawionych nad Wisłą. Było ciepło, a słońce wychylało się co jakiś czas spomiędzy białych obłoków.



Wrzaskun przycupnął obok niego. Kasiarz był ubrany ze swoją stałą, złodziejską elegancją i przyciągał uwagę przechodniów. Nie miał przy sobie obstawy i nie obawiał się. W końcu wieści w Krakowie rozchodziły się lotem błyskawicy. Wiedział, że teraz Kastor Grudziński jest nikim. Komisarz wręczył Wrzaskunowi świstek papieru z segregatora znalezionej trzy dni wcześniej w sejfie. Kasiarz przebiegł dokument wzrokiem i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia:

– Tego się nie spodziewałem. Myślisz, że to wystarczy?

– Gadałem z prokuratorem. – Kastor skinął głową. – Na podstawie tego kwitu nikt już nie łączy cię z zabójstwem. Dodatkowo jeśli zgłosisz się dobrowolnie, to za te włamy dadzą ci dwójkę. Jak nie będziesz brykał pod celą, to po roku wyjdiesz.

– W porządku. – Wrzaskun schował kartkę. – Gdzie jest ten sejf?

– Sprawa nieaktualna.

– Rozumiem... To co chcesz w zamian?

– Nic.

– Jak to?

– Przecież jesteś niewinny. Nie zrobisz tego. Tak jest sprawiedliwie.

– Tyle lat jesteś gliną. – Wrzaskun skrzywił się. – Przecież wiesz, że nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość.

– Coś mi się wydaje, że będę ostatnim, który przestanie w nią wierzyć.

Złodziej uśmiechnął się i podniósł z ławki. Zza chmur wychyliło się słońce. Wrzaskun wyciągnął i założył eleganckie okulary przeciwsłoneczne.

– Kastor. Wiszę ci. Jak będziesz kiedyś czegoś potrzebował, to daj znać.

– A niby jak cię znajdę?

– Coś wymyślisz.

Sala bankietowa Cecylia była szczelnie wypełniona. Romuald Hewig odpowiadał z uśmiechem na pytania zebranych dziennikarzy, dopóki nie zauważył Kastora, rozdającego siedzącym ludziom teczki. Gdy

wszyscy je otrzymali, komisarz podszedł z uśmiechem i wręczył kserokopię teczki tajnego współpracownika głównemu zainteresowanemu. Hewig senior nawet do niej nie zajrzał. Wiedział przecież, co to takiego. Wśród dziennikarzy dało się słyszeć szmer, a nawet głosy oburzenia. Mecenas nachylił się nad mikrofonem i powiedział:

– Proszę państwa. Czy wiecie może, co to takiego karmienie konia?

– Na sali zapanowała cisza, a Romuald Hewig zwrócił się po chwili do Kastora: – Może to już sam były pan komisarz wyjaśni. Co pan na to?

– Wiem, do czego pan zmierza. Ale to chyba nie jest ten przypadek.

– Ale co to jest? – spytał jeden z dziennikarzy.

– Nieprawdziwa informacja, tak pokrótce. – Komisarz westchnął. – Założmy, że wiem coś, ale nie jestem w stanie tego udowodnić, nie ma źródła. Pobieram forszę z funduszu operacyjnego i wkładam tę informację w usta informatora. On mi to kwituje, a ja mam się czym podeprzeć.

– Czyli ta informacja jest nieprawdziwa? – indagował kolejny dziennikarz.

– Jest. Ale nie pochodzi od tej osoby, tylko mam ją z innego źródła.

– I właśnie tak fałszywie skonstruowaną teczkę macie państwo przed sobą – rzucił z gniewem Hewig. – To jest kolejny akt nagonki na moją osobę. W zeszłym tygodniu byli ci, pożałujcie Boże, pseudohistorycy i architekci! Jest duża rzesza ludzi, którzy chcieliby, aby Kraków dalej był zapyziałym, śmierdzącym peerelowskim miasteczkiem! Nigdy nie współpracowałem ze Służbą Bezpieczeństwa!

Kastor podszedł do stojącej w kącie wieży. Uruchoił urządzenie i ustawił głośność w maksymalnej pozycji. Potem włożył do kieszeni znalezioną w sejfie kasetę. Czarna, z wykonanym korektorem napisem „Polisa”. Gdy tylko w sali rozległ się basowy głos Joachima Grenia, Romuald Hewig wstał i krzyknął:

– Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej hucpie!

Następnie mecenas wyszedł wraz ze swymi współpracownikami. Ale dziennikarze zostali, słuchając historii Grenia. Major SB mówił

bardzo szczerze. Opowiadał, jak to wstąpił do resortu, żeby w PRL-u mieć po prostu lepiej niż inni. Lepszy dostęp do luksusowych towarów, lepszą pensję i pozycję społeczną. Poza tym lubił broń i kult siły. W 1967 roku zgłasza się do niego niejaki Marcin Sosnowski, mężczyzna przed siedemdziesiątymi urodzinami. Opowiada z uśmiechem, jak to był szmalcownikiem za okupacji i wyłudzał od Żydów pieniądze w zamian za uratowanie życia. Potem rzecz jasna wydawał ich w ręce Gestapo. Sosnowski tłumaczy też, że oprócz pieniędzy i kosztowności brał od nieszczęsnych ofiar również prawa do nieruchomości. „A najlepsze jest, że dzisiaj możemy robić to samo”, szmalcownik zanosi się od śmiechu.

Joachim Greń tłumaczy, jak szantażowali osoby z żydowskim pochodzeniem w okresie nadchodzącej nagonki antysemickiej. Pozorowali działania SB nawet wobec osób, którym nic nie groziło. Część się bała i sprzedawała za bezcen swoje mieszkania lub parcele. Inni z kolei mieli dość PRL-u i potrzebowali jakichkolwiek pieniędzy na nowy start w Izraelu.

Major bez ogródek tłumaczy, że natrafił na istną żyłę złota. Ale razem z Sosnowskim potrzebują mózgowca. Kogoś, kto ogarnie wszystkie dokumenty. Mecenasa. Wtedy zjawia się Romuald Hewig. Kompletnie wyzuty z moralności, szybko decyduje się zostać współpracownikiem SB i dodatkowo pomóc w procederze. Nie za darmo przecież.

Ale coś się zmienia, gdy natrafiają przypadkowo na trop rodziców Tureckiego. Tacy sami szmalcownicy jak Sosnowski, ale ci byli współodpowiedzialni za śmierć rodziców Hewiga seniora. Jest 1989 rok. Mecenas jest już nasycony, ma władzę i pieniądze. Więc marzy o czymś lepszym, efektywnej zemście. To stąd te wszystkie zabójstwa i żydowskie symbole w ciałach. Prawdziwi sprawcy wydania rodziców Hewiga już nie żyją, podobnie jak Sosnowski. Ten ostatni pobity do nieprzytomności jako dziewięćdziesięciolatek, zapewne przez zbirów Hewiga.

Schody zaczynają się, gdy luksusowa żona Grenia, który zmienia swoją tożsamość, by uniknąć kłopotów, jest potomkinią jednego ze

szmalcowników. Major SB nagrał kasetę i chciał poinformować Hewiga, że zostawi ją w jednej z kancelarii. Na wypadek jego śmierci lub śmierci jego młodej żony miano ją upublicznić. Ale nie zdążył.

Ostatnie dziesięć minut nagrania to nazwiska, adresy i szczegóły całego dwudziestoletniego procederu, w którym uczestniczył Hewig. Są też szczegóły łamignatów do wynajęcia, stojących najprawdopodobniej za morderstwami. W sali panuje totalna cisza. Dziennikarze notują skrupulatnie każde słowo.

Gdy pierwszy z reporterów wybiegł z sali, żeby zadzwonić do redakcji z informacją o tej bombie, granatowy mercedes zaparkował pod terminalem na Balicach. Romuald Hewig nie kłopotał się z zabraniami jakichkolwiek rzeczy osobistych. Wynajmował małe mieszkanie nad Dunajem w centrum austriackiej stolicy. Resztę najwyżej doślą mu z Polski. Opuścić granice kraju. To był teraz jego priorytet.

Wszedł do niskiego, przeszklonego budynku i ruszył do punktu sprzedaży biletów, gdy usłyszał czyjś głos:

– Dzień dobry panu, nadkomisarz Krzysztof Tyszowiecki.

– Dzień dobry. – Hewig senior zmierzył policjanta groźnym spojrzeniem. – Pan wybacz, ale nie mam teraz czasu.

– Niestety będzie pan musiał znaleźć chwilkę.

W jednym momencie Romuald Hewig został otoczony przez kilku policjantów, wśród których rozpoznał swego pierworodnego.

– Synek!? O co w tym wszystkim chodzi?

Tyszol spojrzał groźnie na Czarka i gestem głowy dał znak. Młody Hewig podszedł do swego ojca i powiedział:

– Ręce do tyłu.

– Co!?

Czarek nie bawił się w ceregiele, złapał ojca za nadgarstki i zdecydowanym ruchem założył mu kajdanki.

– Czyś ty do reszty zwariował!? Aresztujesz własnego ojca?

– W życiu można liczyć tylko na siebie. Twoje słowa, tato.

– Rozumiem, że to ty jesteś dowódcą tej smutnej bandy. – Hewig senior odzyskał rezon i uśmiechnął się nieprzyjemnie, zwracając do Tyszola. – Wiesz w ogóle, co robisz?

– Tak – odparł Tyszowiecki. – To, co powinienem zrobić już wcześniej. Porządek.

Marek Ostrowski obudził się, gwałtownie otwierając oczy. Niewiele pamiętał z poprzedniego wieczoru, ale z ulgą stwierdził, że jest w domu. Z lekkim zaskoczeniem obrzucił spojrzeniem dwie leżące w jego łóżku kobiety. Chwilę mu to zajęło, ale w końcu je rozpoznał. Kurwy z hotelu Cracovia. Jedna z nich przebudziła się i z lubieżnym uśmiechem wślizgnęła pod kołdrę. Gdy poczuł jej usta na swoim penisie, chwycił kobietę za włosy i wyrzucił z łóżka.

– Wypierdalać! Obie, ale już! – wychrypiał.

Ostrowski usiadł na łóżku i zapalił papierosa, a potem rzucił ubierającym się prostytutkom kilka banknotów. Odkąd sięgał pamięcią, na kacu był zawsze maksymalnie wściekły i agresywny. Jedna z kobiet o tym nie wiedziała. Zadowolona z sowitej zapłaty chciała się z nim pożegnać i nachyliła się nad nim z uśmiechem.

– Jak będziesz kiedyś miał chęć na ostre ruchanie, to wiesz, gdzie nas...

Nie skończyła, bo Ostrowski z całej siły rąbnął ją pięścią w twarz. Jej koleżanka uchroniła ją przed upadkiem i zatkała swoją dłonią krwawiący nos. Po chwili ich nie było.

Wstał i podszedł nago do okna. Jego ciało znaczyły blizny i tatuaże. Miał pięćdziesiąt osiem lat i ciągle był w formie. Dla kumpli był po prostu „Ostry”. Był biznesmenem, a jego pomysł na prowadzenie interesów był prosty. Dać komuś w łeb i zabrać mu pieniądze. Dlatego mniej więcej do pięćdziesiątki spędził sześć lat we Wronkach, dziewięć w Barczewie i blisko dwanaście w Sztumie. Dopóki nie spotkał tego prawnika, Hewiga. Wtedy wszystko się zmieniło. Dalej mógł rabować, ale nie musiał się już przejmować policją i prokuraturą.

Ostry ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Po takiej nocy muszę jebnąć ze dwa browce, nie ma bata, pomyślał, idąc w kierunku baru. Z bocznej ulicy gwałtownie wyjechał wiśniowy polonez i zatrzymał się kilka centymetrów od niego. Ostry odskoczył do tyłu.

– Co, do chuja wafla!?

Z zaparkowanego obok fiata wyskoczyło czterech mężczyzn. Jeden z nich psiknął gazem łzawiącym Ostrowskiemu w oczy, a drugi wymierzył kilka mocnych ciosów pałką w zgięcia kolanowe. Wspólnie obalili go na ziemię, a Ostry zawył:

– Ludzie! Ratunku, ludzie!

Zamilkł, gdy poczuł na swoich nadgarstkach kajdanki. Gdyby to był ktoś z konkurencyjnego gangu, nie bawiliby się w takie ceregiele. Blacharnia, pomyślał z ulgą. Dostał jeszcze kilka kopniaków, a potem posadzili go na tylnym siedzeniu poloneza. Zobaczył przed oczami policyjną legitymację i usłyszał:

– Podkomisarz Maciej Gajda, kryminalna. Jesteś aresztowany za zabójstwo.

– Gówno na mnie macie. – Ostry uśmiechnął się. Tak zawsze powtarzał jego pryncypał, Romuald Hewig. Ostrowski wierzył mu bezgranicznie, w końcu od przeszło dziesięciu lat nie siedział za żadne świństwo wykonane na zlecenie mecenasa. A było tego niemało.

Sonny rozejrzał się po ulicy, a potem trzasnął kilka razy pięścią w twarz zatrzymanego. Gdy tamten zaczął krwawić, poprawił jeszcze kilkoma kopniakami, nachylił się nad otwartymi drzwiami i powiedział z uśmiechem:

– Kochanie. Mamy więcej, niż ci się wydaje.

Podkomisarz zatrzasnął drzwi i rąbnął otwartą dłońią w dach. Polonez z zatrzymanym odjechał z piskiem opon w asyście dwóch radiowozów.

Michał Żurek oglądał się uważnie w lustrze. Był w szoku. Towar, który zaczął sobie wstrzykiwać od miesiąca, był rewelacyjny. Może

miał lekkie wahania nastrojów. Pryszczę na plecach były tak duże, że niektóre zaczęły krwawić. Trochę mu też nie stawał, ale za to takich muskułów nigdy nie miał. Naprężył się z zadowoleniem, a potem dołożył talerzy na sztangę.

Chwycił za kartkę i długopis, szybko spisał ciężary i podsumował je elegancko w słupkach. Od zawsze miał lekkie problemy z matematyką. Tak naprawdę to miał problemy z każdym przedmiotem, bo udało mu się skończyć jedynie cztery klasy podstawówki. Wyszło mu, że na sztandze aktualnie ma dwieście dwadzieścia kilo. Położył się na ławce i chwycił drążek. Zdjął żelazo ze stojaka i opuścił ostrożnie do klatki piersiowej, gdy usłyszał głos z sąsiedniego pokoju:

– Michasiu! Michasiuuuuuu! Babunia idzie do sklepu. Kupić ci coś?

Żurek nie odpowiedział, naprężył się, a jego twarz zrobiła się purpurowa z wysiłku. Sapnął cicho i centymetr po centymetrze uniósł sztangę w górę, po czym odłożył ją z hukiem na stojak. Wstał i wydarł się:

– Jest, kurwa! Jest! Ja pierdołę, sztangi nie doliczyłem. – Klepnął się otwartą dłońią w czoło. – Czyli dwieście dwadzieścia plus dwadzieścia!

Szybko sięgnął po kartkę i dokonał stosownych obliczeń.

– Dwieście czterdzieści... Kurwa, ale wynik.

Drzwi do pokoju otworzyły się i w progu stanęła zasuszona starowinka w kwiecistym fartuchu.

– Michasiu, dlaczego nie odpowiadasz?

– Babciu, tyle razy prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać jak ćwiczę. – Ucałował staruszkę w czoło. – Nic nie potrzebuję. Czekał, dam ci forszę.

Przeszli do dużego pokoju i Żurek wyciągnął pieniądze z wiszących na piecu spodni. Wcisnął kilka banknotów babci do ręki. Ta zaczęła chować je do portmonetki, gdy nagle zmarszczyła brwi.

– Michasiu. To nie są chyba polskie pieniądze.

Chłopak roześmiał się. Faktycznie dał babci dolary otrzymane wczoraj od Ostrego za jedną robotę. Szybko naprawił swój błąd, a

babcia sięgnęła po siatkę na zakupy i wyszła, zamykając z piskiem wiekowe drzwi.

Żurek popatrzył z dumą na trzymane w ręku dolary. I kto tu teraz jest debilem, pomyślał, przypominając sobie szydzące z niego nauczycielki. Poważnie myślał o tym, żeby otworzyć swój własny biznes. Ludzie dużo teraz zarabiali. Żarli się przy tym i kłócili do upadłego. Dwa dni temu jeden z takich nuworyszy zapłacił mu tysiąc dolarów tylko za to, żeby przetrącić kręgosłup jego konkurentowi w interesach. „Wie pan, nie zabijać, tylko na wózeczek chuja”, uśmiechnął się zamawiający usługę, wręczając pieniądze. Żurek zarobił tysiąc dolarów w kilka minut. Ile to jest na godzinę? Musiałbym policzyć, zaczął się zastanawiać, gdy usłyszał jęk zawiasów. Niemożliwe, żeby babcia tak szybko wróciła. Znowu czegoś zapomniała? Kochał tę staruszkę, ale czasami naprawdę go wkurwiała.

Odwrócił się i zobaczył wchodzących policjantów. Rzucił się do wersalki, gdzie w skrzyni na pościel miał ukryte dwa pistolety, ale w tym samym momencie drzwi balkonowe rozleciały się z hukiem i do środka wpadło czterech uzbrojonych po zęby gliniarzy. Mieli hełmy na głowie, a w rękach trzymali kałasznikowy. Po sekundzie Żurek leżał rozciągnięty na podłodze. Deptało po nim z dziesięć osób, wrzeszcząc coś i wydając polecenia. Był tak skołowany, że kompletnie ich nie rozumiał, ale te krzyki przypominały mu warczenie dzikich psów. Jego układ wegetatywny doznał szoku i poczuł, że moczy się w spodnie. Darli się na temat zabójstw i klęli głośno, bo kajdanki nie chciały się zapiąć na jego masywnych przegubach. Musieli użyć dwóch par. Michał Żurek chciał już się znaleźć w więzieniu. Żeby tylko przestali po nim deptać i ciągle go szturchać lufami karabinów. Żeby to już się skończyło! Zaczął płakać jak dziecko.



## Epilog

**Środa, 8 sierpnia 1990**

Trąbili o tym we wszystkich gazetach, radiu i telewizji. Do Morza Bałtyckiego przywiało jakiś ciepły prąd i teraz temperatura wody bardziej przypominała tę śródziemnomorską. Komisarz szedł brzegiem. Przyjemna, ciepła woda obmywała mu stopy. Plażę wypełniał tłum wczasowiczów. Ludzie z zaciekawieniem przyglądali się idącemu mężczyźnie. Po co komu marynarka w taki upał?

Przyduża marynarka w nieśmiertelną kratę musiała być na swoim miejscu, by zakryć tkwiący w kaburze pistolet. Mimo że od tygodnia Kastor przebywał na zasłużonym urlopie, to nie chciał rozstawać się z bronią. Nie czuł się do końca bezpiecznie. Coś mu mówiło, że rozgrywka z Hewigiem jeszcze się nie skończyła.

Znaleźli trochę dowodów na Ostrowskiego i Żurka. Odciski palców w mieszkaniu Tureckiego, drut, z którego wykonano hebrajskie symbole, oraz zeznania Godarta, który rozpoznał Ostrego. Obaj aresztowani twardo zeznali, że z Romualdem Hewigiem nie mieli nic wspólnego. Co prawda wykaz połączeń z centrali telefonicznej mówił co innego, ale senior miał świetnych prawników. Na razie został aresztowany na trzy miesiące, lecz Kastor czuł, że trudno będzie mu udowodnić zlecenie wszystkich zbrodni. Za to niewątpliwym plusem było to, że na razie krakowski magistrat zamroził wszystkie pozwolenia na budowę na Kazimierzu i miał się przyjrzeć transakcjom Gewicht GmbH. Szeptano również o reaktywacji Wydziału ds. Przestępstw Gospodarczych w polskiej policji.

Zszedł z plaży, otrzepał stopy z piasku, włożył buty i odwinął nogawki spodni. Musiał jeszcze zajrzeć w jedno miejsce. Początkowo chciał odpuścić, ale potem stwierdził, że przecież i tak tu jest, a nie

wiadomo, kiedy po raz kolejny odwiedzi te strony. Dzień wcześniej zadzwonił tam ze swojego ośrodka, więc latarnik spodziewał się wizyty.

Był wysokim szczupłym mężczyzną. Serdeczną twarz nakrywały kręcone szpakowate włosy. Przywitał gościa uśmiechem i silnym uściskiem dłoni.

– Marek Nowicki.

– Kastor Grudziński – odparł komisarz. – Bardzo dziękuję, że się pan zgodził.

– Ale przecież to dla mnie żaden problem, naprawdę!

Gospodarz zaprosił go do kuchni, gdzie usiedli przy szerokim stole. Wszystko tu było teraz inne. Meble, szafki, zlew. Stary piec z fajerkami służył tylko jako dekoracja. Posiłki przyrządzano na nowoczesnej kuchence gazowej.

– Zapali pan? – spytał Nowicki.

Kastor odmówił gestem, a potem zastygł na chwilę. W ścianie, gdzie kiedyś wisała kotara, a za nią zaryglowane drzwi, ział elegancko wykończony otwór. Prowadzące w dół schody ginęły w mroku.

– Wszystko porządku? – Latarnik zaniepokoił się.

– Tak. Wie pan, myślałem, że w tej ścianie nie było żadnych drzwi...

– Poważnie? Nie mam pojęcia. Jak się wprowadziłem, to ta spiżarnia już była.

– Myśli pan, że mogę tam zajrzeć?

– Ależ proszę bardzo!

Nowicki zapalił światło, po czym wstał i poprowadził Kastora na dół. Niewielka przestrzeń wypełniona była półkami, na których stały paczki z mąką, ryżem, konserwy mięsne oraz inne produkty spożywcze. Komisarz rozejrzał się i szybko ocenił, że ciasne pomieszczenie miało nie więcej jak trzy metry kwadratowe. Ile lat mógł tu spędzić Romulus? Nie miał pojęcia, ale on sam nie wytrzymałby tu jednej nocy.

Latarnik pokazał mu potem resztę domu. Wspięli się też na górę, skąd Kastor mógł podziwiać wypełnioną setkami ludzi plażę. Na

koniec serdecznie podziękował gospodarzowi, który pożegnał się z nim na zewnątrz, zapalając kolejnego papierosa. Wzrok komisarza powędrował na skraj lasu. Zbutwiała, przekrzywiona na jedną stronę szopa tkwiła między dwoma strzelistymi brzożami. Gdy Kastor spytał o tę konstrukcję, latarnik tylko wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. To nie jest już teren latarni. Byłem tam krótko po przeprowadzce. W środku nic nie ma. A co, to należało kiedyś do was?

– Wie pan co... – Komisarz zamyślił się. – Nie pamiętam. To już tyle lat. Jeszcze raz serdecznie panu dziękuję.

– Nie ma za co.

Wrócił do ośrodka wczasowego służbowym polonezem. Nadkomisarz Tyszowiecki załatwił z komendantem wojewódzkim przywrócenie Kastora do służby. Inspektor zgodził się pod jednym warunkiem. Nie chciał, aby całość jakoś specjalnie pokazywano w mediach. Nie lubił przyznawać się do błędu. Jednak wszyscy w pewien sposób czuli się winni wobec komisarza, dlatego pomimo ciągłych braków pozwolono mu na wypożyczenie samochodu.

Nie zdołał niestety udowodnić młodemu Hewigowi kradzieży naboju z jego pistoletu i jedyne, co mógł zrobić Tyszol, to przenieść Czarka w inne miejsce. Kastor odzyskał swoją sekcję. Oprócz Kwiatka miał teraz do dyspozycji jeszcze Sonny'ego i jednego nowego policjanta.

Zjadł obiad, potem rozegrał turniej ping-ponga z kilkoma gliniarzami ze Śląska, a wieczorem poszedł wykąpać się w morzu. Woda była przyjemnie ciepła i przesiedział w niej chyba godzinę. Po kolacji poczuł się zmęczony i od razu po kąpieli położył się do łóżka. Jednak senność szybko minęła. Ta szopa nie dawała mu spokoju. Przecież milicja musiała wtedy wyciągnąć ciało Romulusa, myślał, wpatrując się w sosnowe gałęzie bujające się za oknem. Co potem, odbudowali tę szopę?

W końcu nie wytrzymał. Ubrał się i zszedł na dół. W restauracji ośrodka trwał dansing. Szybko dogadał się z kelnerem i kupił cztery

flaszki wódki. Wsiadł w samochód i podjechał pod pierwsze lepsze gospodarstwo. Uradowany gospodarz chętnie wymienił procenty na sfatygowany szpadeł.

Piętnaście minut później Kastor stał w lesie, zadzierając głowę do góry. Wpatrywał się w błyskającą lampę latarni, przypominając sobie swoją ucieczkę, gdy miał sześć lat. Księżyc rzucał trochę światła przez gałęzie lasu, dlatego nie musiał używać latarki. Szpadeł wszedł miękko w zbutwiałe deski podłogowe szopy. Przedał się przez wierzchnią warstwę ziemi, szybko docierając do mokrego piachu. Chciał już zrezygnować, gdy ostrze szpadła chrupnęło o coś z cichym stukiem. Odrzucił narzędzie i zaczął rozgrzebywać piach rękoma. W nikłym świetle zobaczył bielejącą kość. Chwycił za wystający fragment i pociągnął do góry. Otrzeptał znalezisko z piasku i podniósł je do góry. Ludzka czaszka. W górnej części ziała dziura po kuli wystrzelonej przez dziadka Remusa.

Ale jak? Jakim cudem? Skoro milicja przyjechała wtedy w sprawie Romulusa, to dlaczego nie wyciągnęli jego ciała? To niemożliwe!

### **Poniedziałek, 13 sierpnia 1990**

W pierwszy dzień po urlopie nie miał zbyt wielu zajęć. Dobrze się złożyło, bo większość czasu przesiedział w archiwum. W końcu go odnalazł. Przeszedł na emeryturę jeszcze w latach sześćdziesiątych. Porucznik Adam Orłowski. To on przyjechał wtedy nad morze, aby porozmawiać z dziadkiem Remusem. Według dokumentów mieszkał na Garbarskiej.

Kastor pojechał tramwajem, przypatrując się słabemu odbiciu w szybie wagonu. Blond włosy zdążyły mu już trochę odrosnąć. Chociaż na czole pozostało jeszcze trochę strupa, to jednak rana była już kompletnie zagojona. Prawdopodobnie do końca życia pozostanie mu szpetna blizna.

Wdrapał się na drugie piętro wiekowej kamienicy. Dzwonek nie działał, więc zapukał energicznie do drzwi. Powtórzył tę czynność

jeszcze kilka razy i chciał już odejść, gdy usłyszał szcęk odblokowywanych zamków. Drzwi uchyliły się i stanął w nich zgarbiony starzec z bielmem na lewym oku.

– Tak? – Głos miał słaby i cichy.

– Dzień dobry. Przepraszam za najście, ale chciałem z panem porozmawiać. Nazywam się Kastor Grudziński.

Zdrowe oko starszego mężczyzny rozszerzyło się gwałtownie ze zdziwienia.

– Nie wiem, czy pan sobie przypomina...

– Wszystko pamiętam – przerwał mu starzec. – Takich rzeczy się nie zapomina.

– Więc porucznik Adam Orłowski to pan?

– W rzeczy samej. Proszę wejść.

Starszy mężczyzna usadził swojego gościa w salonie. W pomieszczeniu panował zapach stęchlizny, a większość mebli i sprzętów pokryta była grubą warstwą kurzu. Komisarz zauważył, że okna były poblokowane zakrzywionymi gwoździami. Najwyraźniej od dawna nikt ich nie otwierał.

– Jak mnie pan znalazł?

Komisarz wyciągnął swoją legitymację. Orłowski zapalił lampę, kierując światło żarówki na dokument. Potem wyciągnął okulary i przyłożył je bez zakładania do zdrowego oka.

– Coś takiego... Więc pan jesteś tym brzdącem, który był wtedy w latarni?

– Tak. – Kastor odebrał swoją legitymację i schował ją do kieszeni marynarki.

– Jak to się życie różnie plecie. Że też po tym wszystkim poszedłeś na służbę do nas...

– Nie zajmę panu dużo czasu. Tak naprawdę mam tylko jedno pytanie.

– Słucham.

– Skoro przyjechaliście z powodu zabójstwa Romulusa, to dlaczego nie wydobyliście jego ciała?

– Romulusa? Jakiego ciała? – Orłowski nachylił się, przekrzywiając

głowę. – Nic nie rozumiem.

– Dlaczego przyjechał pan wtedy do mojego dziadka?

– Podejrzewaliśmy go o zamordowanie pańskich rodziców.

– Co? – Kastor najpierw zmarszczył brwi, a potem prychnął z wściekłością. – Co to za bzdury!? Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

– Ktoś im pomógł. Przecięto przewody hamulcowe.

– Pierwszy raz o tym słyszę. Jak mogliście pomyśleć, że to właśnie Remus...

– Przyznał się – przerwał mu emerytowany milicjant.

– Jak to?

– Zanim pobiegł na górę. Przyznał się. Zaproponował mi kawę. Kiedy przedstawiłem mu zarzuty, czajnik zaczął syczeć, a on wstał, żeby zdjąć go z fajerki. Tyle lat, a ciągle to pamiętam... Wtedy się przyznał.

Kastor długo milczał, trawiając to, co właśnie usłyszał. Jednooki starzec obserwował go cierpliwie, jakby na coś czekając. Gdy w końcu komisarz się odezwał, wyraz twarzy emerytowanego milicjanta dobitnie świadczył o tym, że właśnie takiego pytania się spodziewał.

– Zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Jak wpadliście na to, że ktoś przeciął przewody hamulcowe? Wypadek samochodowy to nie katastrofa lotnicza. Nikt nie bada tego tak wnikliwie.

– Samochód pańskiego ojca dwa dni wcześniej był w warsztacie. Widzieliśmy, że ktoś się tam kręci. – Orłowski westchnął. – Może mi pan wierzyć, że dużo pracy zajęło mi potem, aby dotrzeć do pańskiego dziadka i stwierdzić, że to właśnie on mógł uszkodzić auto.

– Jak to, widzieliście? – Kastor pokręcił głową.

– Obserwowaliśmy pańskiego ojca.

– Obserwowaliście mojego... Ale dlaczego?

Emerytowany milicjant podniósł się z krzesła i wyszedł na korytarz. Zdziwiony komisarz wstał i podążył za gospodarzem. Orłowski zdjął z szyi rzemyk z kluczem, otworzył drzwi i wprowadził swojego gościa

do środka.

Jedną ze ścian wyłożono korkowym obiciem. Trzy rzędy po pięć i jeszcze dwie fotografie na dole. Kastor szybko obliczył, że na ścianie wisi siedemnaście czarno-białych zdjęć. Wszystkie przedstawiające kobiety. Jedne uśmiechnięte, inne zamyślane, ale żadna smutna. Na pierwszy rzut oka nie miały więcej niż trzydzieści lat.

– Ofiary – powiedział cicho Orłowski. – Wszystkie bez wyjątku uduszone przez mordercę. A potem zgwałcone.

Komisarz obserwował w milczeniu porozkładane na dwóch stołach akta. Zdjęcia ofiar. Ich posiniaczone szyje oraz wytrzeszczone w niemym przerażeniu oczy. Szybko spostrzegł, że na żadnym z przedmiotów nie było nawet grama kurzu.

– Ciągłe żyje pan tą sprawą – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Codziennie – odparł emerytowany milicjant. – Niestety nikt nie dawał mi wiary, że zbrodnie są połączone. Powstająca w bólach Polska Ludowa nie mogła sobie pozwolić na seryjnego mordercę. To przecież była domena zgniłego kapitalizmu.

– Nie znalazł pan sprawcy?

– Odpowiedź na to pytanie jest niezwykle trudna. Ale gdy zjawiłem się tamtego dnia w latarni, nie byłem już kryminalnym.

– Jak to?

– Wyrzucono mnie, bo za bardzo chciałem rozwiązać tę sprawę. – Orłowski zwiesił głowę. – Wbrew swoim przełożonym. Oddelegowali mnie na posterunek w Skawinie. Ale ja nie mogłem tego tak zostawić! Czy pan wie, jak to jest, gdy jakaś sprawa chodzi za człowiekiem? Gryzie go, ciągle siedzi gdzieś pod powiekami tak bardzo, że ten nie może spać? I zrobi wszystko, aby ją rozwiązać?

Kastorowi w głowie przeleciał w przyśpieszonym tempie film z wydarzeń dwóch ostatnich miesięcy i udzielił jedynej słusznej odpowiedzi:

– Wiem.

– W końcu po to jesteśmy, prawda?

– Co to wszystko ma wspólnego z moim ojcem? – spytał komisarz i poczuł suchość w ustach. Tak naprawdę nie chciał znać odpowiedzi.

– Wie pan, gdzie pracował pański ojciec?

– W hucie. Był inżynierem.

– Konkretnie specjalistą od stali walcowanej. Dużo jeździł po Polsce, zbierając zamówienia i służąc radą powstającym wtedy zakładom. Do walki o socjalizm, dobrobyt i trwałe pokój!

Orłowski zarechotał, ale szybko spoważniał, jakby świadom niestosowności tego wybuchu wesołości. Zdjął po kolei każde ze zdjęć i rzucił je na stół, odwracając tyłem. Na białej powierzchni papieru fotograficznego ręcznie zapisano miejscowości oraz daty. Szczecin, 5 kwietnia 1955, Gdańsk, 1 maja 1955, Stalinogród, 5 października 1955, Warszawa, 17 lipca 1955, Stalowa Wola, 21 stycznia 1955...

Gdy milicjant rozłożył wszystkie fotografie, sięgnął po jedną z teczek i położył obok nich niewielkie poźółtkłe kwitki. „Polecenie wyjazdu służbowego” z pieczęcią Huty im. Lenina w Krakowie. Wszystkie na to samo nazwisko. Lucjusz Grudziński. Orłowski skończył rozkładać dokumenty i mruknął:

– Jak pan widzi, daty delegacji pańskiego ojca pokrywają się z dniami, w których dokonano zabójstw...

– Nie ma pan żadnych dowodów! – zapał komisarz i szybko sobie uświadomił, że zachowuje się jak jeden z setek podejrzanych, których zdarzyło mu się przesłuchiwać w swoim życiu. Mimo że tkwili w niewielkim pokoiku krakowskiego mieszkania, doznał złudzenia, że oto siedzi w pomieszczeniu na Mogińskiej, a przesłuchującym jest sędziwy jednooki milicjant.

Orłowski spojrział przeciągle na Kastora. Wyraźnie wahał się, czy powinien kontynuować, czy też może odpuścić sobie i grzecznie, acz stanowczo, wyprosić swojego gościa. W końcu westchnął, otworzył szafkę niewielkiego regału i wyciągnął ze środka pudełko po butach.

– Więc siedziałem w mundurze na tej wichurze. Dzisiaj gównie się tam dzieje, a wtedy było jeszcze gorzej. Nowo powstały posterunek w Skawinie. Proszę mi wierzyć, że gdyby ktoś kazał mi zdjąć kota z drzewa, to byłby bardzo emocjonujący dzień. – Orłowski machnął ręką. – Ale mieszkałem ciągle w Krakowie. Wynająłem złodzieja.



– Po co? – spytał komisarz, mimo że znał odpowiedź.

– Otworzył mi wasze mieszkanie. Dwa dni tam siedziałem i nic nie znalazłem. – Milicjant zauważył, że Kastor odetchnął z ulgą. – Ale w końcu odkryłem niewielką skrytkę na dnie szafy.

Orłowski otworzył pudełko. W środku leżały niewielkich rozmiarów przedmioty. Kilka kolczyków, zegarek, obrączka, spinka do włosów, parę szminek i dwie puderniczki.

– Rzecz jasna śladów biologicznych nie było, poza tym przecież to inne czasy...

Milicjant odwrócił jedną z fotografii i położył na niej kolczyk. Nie było żadnych wątpliwości. Uśmiechnięta dziewczyna do zdjęcia nosiła identyczną biżuterię.

– Wie pan, Polska Ludowa. Wtedy wszyscy nosili to samo. – Komisarz przejechał językiem, żeby zwilżyć usta. Musiał się napić. Najlepiej czegoś mocniejszego.

W odpowiedzi Orłowski wyciągnął z pudełka obrączkę z wygrawerowanym napisem „Ukochanej żonie. Roman”, a potem odwrócił jedno ze zdjęć i powiedział:

– Młoda mężatka, Felicja Dobrzyńska. Jej mąż miał na imię Roman.

Komisarz stał jak sparaliżowany, nie wiedząc, jak jeszcze mógłby zakwestionować te oczywiste dowody. Wtedy milicjant sięgnął znowu do szafki i wyciągnął z niej skórzany pas ze zdobieniami.

– Prawdopodobnie narzędzie zbrodni.

Pod Kastorem dosłownie ugięły się nogi, a Orłowski pchnął w jego kierunku krzesło. Komisarz usiadł ciężko i poczuł, że robi mu się gorąco. Strużki potu zaczęły ściekać mu po plecach. Pamiętał tamte zabawy. Tata wyciągał ten pas, opowiadając historię, jakoby dziadek używał go do dyscyplinowania niesfornego syna. Mama śmiała się, krzycząc, abym nie słuchał ojca, bo on tylko żartuje. A ja bawiłem się tym pasem, przesuwając w palcach krążki. Jak to się nazywało?

– Balteus. – Mogło się zdawać, że milicjant czytał w jego myślach. – Pas rzymskiego legionisty. Staranna replika.

Kastor pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Słyszał, jak Orłowski chowa wszystkie przedmioty, a potem odwiesza zdjęcia na ścianę.

Gdy uniósł głowę, oblicze milicjanta przepętniały współczucie i smutek. Komisarz wiedział, co zaraz powie. Przecież sam mówił to setki razy ludziom, na których prawda spadła w dość niespodziewany i brutalny sposób.

– Przykro mi.

Szedł przez Planty, zatopiony w myślach. Przez pierwszy kwadrans wmawiał sobie, że to wszystko bzdura. W końcu przecież Orłowskiego przetrzucili do Skawiny, tak? Musiał być po prostu kiepskim gliniarzem i wymyślił sobie coś, co miało pogryźć jego ojca. Ale dlaczego? Cholera wie, może kochał się kiedyś w mamie i potem był zazdrosny. Tak, takie rzeczy się zdarzają, i to nawet często.

A Remus? Komisarz zatrzymał się gwałtownie, a ktoś idący za nim mało nie wpadł na niego. Przecież według milicjanta do wszystkiego się przyznał. Musiał o czymś wiedzieć. Ale skąd? Jak? Wtedy pomyślał o Romulusie. Czy to możliwe, aby brat dziadka miał podobne skłonności, co jego ojciec. Czy dlatego był więziony w piwnicy?

Nagle poczuł, że jest bliski płaczu. Najpierw ta bezsenność, trudne dzieciństwo w domu dziecka. Później sny, przypominające mu o tamtych wydarzeniach. A na koniec coś takiego. Pochodzę z jakiejś kompletnie popierdolonej rodziny, pomyślał z wściekłością. Tylko co takiego mogę z tym zrobić, zastanowił się. Nic.

Spacerował dalej, nie myśląc już kompletnie o niczym, stawiając po prostu kroki, przechodząc przez ulice, mijając spacerowiczów na krakowskich ulicach. Ocknął się dopiero pod Dworcem Głównym. Postanowił, że złapie tramwaj i pojedzie na Mogiłską. Postawi na nogi Kwiatka i wspólnie popracują nad nową sprawą. Ruszył ulicą, mijając faceta w czerwonej bluzie, który stał na Ogrodowej. Gruby mężczyzna z przeredzoną czupryną opierał się o mur i palił papierosa. Komisarz minął go bez słowa, gdy nagle zawrócił. Coś nie dawało mu spokoju.

- Dokumenty – powiedział i pokazał mężczyźnie swoją legitymację.
- Stało się coś?
- Nic.

Facet w czerwonej bluzie wzruszył ramionami i wysuwał z kieszeni dowód osobisty. Na ulicę zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Kastor wyciągnął krótkofalówkę.

- Zero zero dla zero siedem.
- Słucham cię zero siedem – zatrzeszczał głos dyżurnego.
- Sprawdź mi, proszę, Aleksander Trociński, syn Józefa i Władysławy.

Kastor czekał w milczeniu, obserwując uważnie legitymowanego. Ten był całkowicie spokojny. Wypalił do końca papierosa, wyciągnął paczkę i rzucił pytające spojrzenie komisarzowi. Gdy ten odmówił gestem, mężczyzna zapalił kolejnego papierosa, wtedy nagle głośnik krótkofalówki ożył:

- Trzy piątki!

Komisarz odrzucił krótkofalówkę i dowód, wymierzył kilka ciosów pięścią facetowi w czerwonej bluzie, a potem chwycił go za ramiona i rąbnął jego głową kilka razy o mur. Następnie wykręcił mu ręce i założył kajdanki. Trzy piątki oznaczały poszukiwanego szczególnie niebezpiecznego, do natychmiastowego zatrzymania.

– Panie komisarzu – usłyszał głos dyżurnego. – Wyślę panu posiłki, tylko gdzie!?

– Nie trzeba! – Kastor podniósł krótkofalówkę. – Leży na glebie. Podeślij mi kredens na róg Pawiej i Ogrodowej.

- Przyjąłem, bez odbioru.

Usiadł na zatrzymanym, który jęknął cicho pod jego ciężarem. Przechodzący ulicą ludzie patrzyli na to ze zdumieniem, a Kastor szczyrzył się w szerokim uśmiechu. Nie myślał już o sprawach z przeszłości. Robił to, co do niego należało. W mieście ma być porządek.

Po pięciu minutach zatrzymany był już w policyjnej nysce, a Kastor poprosił o podrzucenie na Mogiłską. Rozpadało się na dobre i nie miał ochoty na podróż tramwajem. Gdy tylko ruszyli, siedzący za

kierownicą policjant odezwał się:

– Słyszał pan? Trzech naszych z podgórskiego komisariatu zastrzelili.

– Jak to zastrzelili?

– Normalnie, z kałachów. – Policjant splunął pod nogi, prosto na gumowy dywanik. – Skurwysyny.

– Ale jak?

– Handlarze narkotyków. Nie ma już kompotu i łagodnych hipisów. Kokaina.

Komisarz był w szoku. Nieraz zdarzało się, że któryś z nich dostał w łeb na melinie. Ale żeby strzelać do policjantów? To się raczej nie zdarzało, a już na pewno nikt nie prął do nich z karabinów maszynowych. No i kokaina? Takie rzeczy widywało się raczej na amerykańskich filmach. Coś się działo. Coś nowego.

Nyska wjechała na plac Matejki, a Kastor zerknął na zalany deszczem pomnik. Pływał w przyłbicy Ulricha von Jungingena, ale nie było wątpliwości, że jest świeży. Bukiet fiołków.

## Od autora

Tomasz Warykiewicz. Osobowość niezwykła, bez której tej książki w ogóle by nie było. Krakowski gliniarz z blisko trzydziestoletnim stażem w policji. Choć zaczynał jeszcze w milicji, w czasach gdy na przysłowiową robotę naprawę trzeba było dymać z komisariatu tramwajem. Jego charakter najlepiej chyba oddaje jedna z naszych rozmów. Podpisany pod niniejszą powieścią autor mówi:

– Stary, ale to ja czegoś nie kumam. Jest 1990 rok, jesteś wykształconym facetem znającym kilka języków. Idziesz do pierwszej lepszej zachodniej firmy, caują cię w grabę, zostajesz menago i kosisz zajebistą forszę.

– Ale ja chciałem łapać bandytów.

Cały Tomek. Gość, który absolutnie nie godzi się na to, aby innemu człowiekowi działa się krzywda. Niestety również na wskroś uczciwy. Wszelkie moje namowy na to, abyśmy napadli na bank, spełzają na niczym. Trudno, trzeba będzie pracować normalnie jak wszyscy.

Z Krakowa nie jestem, ale mam nadzieję, że jako tako będzie się zgadzało. Oprócz pomocy Tomka mogłem korzystać również z wiedzy rodowitej krakowianki Eli Kalinowskiej, za co serdecznie jej dziękuję. Rzecz jasna reguły gry pozostają niezmiennie. Tak czy siak, za wszelkie nieścisłości należy winić tylko i wyłącznie autora. Czy to odnośnie do krakowskiej topografii, czy policyjnych realiów.

Dla mnie ma być przede wszystkim atrakcyjnie dla Ciebie, kochany czytelniku!

Jak zwykle w trudnym i wymagającym procesie redakcji pomagał mi niezrównany Filip Modrzejewski. Na szczęście z odsieczą przysłała nam Ida Świerkocka, która oprócz swoich uwag dorzuciła również szeroką wiedzę, przekładając język autora na ten, którym władają ludzie w kraju nad Wisłą. Jestem Wam niezmiernie wdzięczny.

Wszystkim pracownikom Grupy Wydawniczej Foksal bardzo

dziękuję za to, że wkładają wiele pracy i wysiłku w to, aby te wszystkie literki mogły zostać wydrukowane i trafić na sklepową półkę, skąd mogą je zgarnąć czytelnicze ręce.

Krzyśkowi Tyszowieckiemu dziękuję za to, że w sposób szczerzy podzielił się ze mną swoją przykrą przypadłością pod nazwą bezsenność, która nie dawała mu spokoju przez długi okres. Wyjątkowo ze względu na brak czasu oraz sezon urlopowy nie mogłem się w sprawie tej powieści poradzić mego brata Zygmunta. Ale dziękuję mu po pierwsze za to, że jest. A po drugie za to, że swego czasu namówił mnie, abym zszedł na ciernistą drogę fikcji.

Na koniec dziękuję osobie dla mnie najważniejszej, żonie Oli, która niezmiennie jest pierwszą redaktorką moich powieści. Ciekawa rzecz, ale jestem w niej ciągle zakochany tak samo jak w pierwszym dniu naszej znajomości. Cieszę się, że to właśnie dzięki niej mam dwóch wspaniałych synów, a wszyscy razem możemy tworzyć rodzinę, która każdego dnia napędza mnie do działania.

Zgorzała, 12 września 2018 r.